Październik — 1857.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA
O ZGROMADZENIU XX. BAZYLJANÓW
W HUMANIU.

Franciszek Salezy Potocki Wojewoda Kijowski, dziedzic dóbr obszernych w Ukrainie Bracławskiéj Humańszczyzny, Krystynopola, Bełzki, Hrubieszowski Starosta zajął się silnie uporządkowaniem pustych miejsc w głębokiéj i bezludnej Ukrainie. Pragnąc bezpieczeństw własności swojéj, cały kraj chroniąc od napadu Zaporoża, zamek obronny w Humaniu założył. Humań — uczynił silnym zameczkiem, wojsko nadworne Kozaków urządził, stały rząd i administracyą lepszą wprowadził. Rozpoczęła się uprawa roli, gospodarstwo dość porządne. Dobra, które żadnego nie przynosiły dochodu wielkie nadsyłać zaczęły intraty tak dalece, że mówiono, iż Potocki i jego rządca wykopali ogromne skarby, które Karol XII uchodząc do Wołoszczyzny z Półtawy zakopał. Kraj się ludnić przez szlachtę rozpoczął. Można się było opierać na stałej wojska humańskiego obro-

nie i chronić w razach niebezpieczeństwa w zameczku. Przymierza jakie zawierała Administracya humańska z Zaporożem chroniły od hajdamackich napadów, od pożaru i rzezi. Potocki chcąc Ukrainie dopomódz w rozkwitnieniu się i porządku, zamyślił o ukształceniu moralném i religijném całego ludu i mieszkającéj już dość ludnie szlachty. W roku 1764 fundował księży Bazyljanów w Humaniu dla stałych w całéj Humańszczyznie missji i utrzymywania szkoły zaczynając od infimy do Teologji moralnéj z warunkiem czternastu kapłanów. W zgromadzeniu Missjonarze Proffessorowie, Proci, Kaznodzieje; Przełożonego Wikarego, Fundacja nauczycielska i kaznodziejska z kapłanów katechizujących uczących w domu, w kraju, w kościele, z Profesorów nauczających w Szkole i Prefekta rządzącego uczniami. Dla spełnienia tego celu potrzeba było ludzi czternastu. Wsie dwie wielkie Sredzenówkę, Monasterek na wieczne im czasy zapisał. Fundacya ta jest roku 1764. Przywilej dany Opatowi owruckiemu Prowinciałowi księży Bazyljanów roku 1767. Fundacya zupełnie dokonana osobnym dekretem Metropolity, objawionym przez urzędników na ten cel przeznaczonych i przysłanych. Szkoły rozpoczęte w pierwszym roku miały 150 uczniów. Pierwsi Bazyljanie do Humania przybyli: X. Herakliusz Kostecki, Rektor klasztoru i missyi. — X. Lewicki Vicerektor, X. Lachowski; X. Zabaczyński; X. Zahorowski itd.

Ciekawy jest szczegół inwentarzy wsi w roku 1764 Bazyljanom nadanych; są one wskazówką powinności włościan tego czasu w Humańszczyznie w dobrach rozciągających się od rzèczki Bahwy i miasteczka Sokołówki do Targowicy; od Teplika do Bohopola; — od Niemurowa Tulczyna do Mohylowa nad Dniestrem. Inwentarz ten jest dokumentem praw kraju całego. Numer włościański miał robocizny rocznéj dni dwanaście ko-

sawic 2, ogólnie 14 dni; robocizna była równa dla wszystkich, osyp i czynsz stósowny do posiadanego dobytku, wymiar powinności nie był zastósowany do gruntu ale do zaprzęgu. Grunt był niezmierzonym. — Był na ukrainie Geometra przysięgły Romer; ten robił plany ogólne, szczególnego rozdziału gruntu na użytek włościan nie było; zostawione mieli wolne używanie. Podzieleni włościanie na trzy klasy pieśi, parowi i pługowi; dawali osyp z żyta i owsa. Pierwsi żyta ośminę; 12 garcy owsa. Drudzy żyta ośmin 2, owsa garncy 12. Trzeci żyta ośmin 3, owsa garcy 18. Prócz tego z każdego domu czynsz: piérwsi złp. 7 gr. 18, drudzy złp. 14 groszy 18, pługowi złp, 21 gr. 18. Ten inwentarz w całéj włości humańskiéj stósowany do polskich w całym kraju inwentarzy objaśnia obowiązki włościan i dochody ziemskie. Oprócz czynszu i osypu dochody były z propinacyi stósunkowo do czynszów włościańskich, ogólnie je zliczając jak dwa do jednego. Wieś mająca czynszu 1000 złp. propinacyi 2000. Księża Bazylianie w dwóch wsiach swoich mieli Włościan powinnych Nr. 93. Intraty wyliczonéj 3325 złp. Te szczegóły są zbyteczne. — Dla dziejów miejscowych ciekawe i nieodzowne.

Napełnione są pisma narzekaniami na ucisk i niewolę chłopów polskich. Kmieć polski ogólnéj powinności redukując na pieniądz miał najwięcéj złp. 35, miał wolność osiadania, używania ziemi, pastwisk w nieoznaczonéj ilości; osobiście oswobodzony od służby wojskowéj najlepiéj uposażony ze wszystkich ludów.

Pierwszym Rektorem przełożonym klasztoru i missyi był X. Herakliusz Kostecki mąż Boży wielce zasłużony w Zakonie, świątobliwie w nieskazitelnéj żyjący czystości; prosty, pokorny czuwający we dnie i nocy: Missyom, kaznodziejstwu, nauczaniu ludu oddany. W Trembowli był superiorem w różnych miejscach w Halickiem

w ziemi Bełzkiéj nieustanne missye miewał; najdalsze okolice i strony wielokrotnie nawiedzał, kazał, pracował, nawracał, w pobożności lud utrzymywał. Przed fundacyą Humańską w Ukrainie był na missyi z Zamościa. Będąc przełożonym w Zamościu missye odbywał w Targowicy, w Humaniu w dalszych miejscach z X. Kornelim Sroczyńskim Missyonarzem z Zamościa. Ksiądz Ryłło biskup chełmski za szczególnym rozkazem Stolicy Apostolskiéj znajdował się na Ukrainie w Berdyczowie z nim był ksiądz Kostecki. Po missyi ukończonéj w Krystynopolu za prośbą Potockiego z woli Prowincyała i starszych do Humania wyjechał. W Trembowli, Zamościu; w całéj Rusi Czerwonéj przez lat wiele służył Bogu, surowe prowadził życie zakonne, dnie i nocy na służbie boskiéj przepędzał. Lud po wsiach, okolicach dalekich nauczał z rzadką wytrwałością, pracą i doświadczeniem w katechizowaniu przy nieustających ciągłych spowiedziach, kapłanów do prac missyjnych sposobił, ćwiczył w zakonności ścisłéj i obserwancyi pasterskich powinności przyuczał. Z nieskazitelnego żywota swego, miał cześć powszechną i wielką powagę. Pomimo przeszkód fundacyą humańską uskuteczniа. Zostawiwszy w Humaniu dwóch Missyonarzy z dwoma innymi poszedł do Smilańszczyzny z osobistem niebezpieczeństwem, aż do zniesienia obelg i krzywdy pracował. Ile się misyom poświęcał tyle i klasztorowi; często nieobecny, gorliwie braćmi rządził, równie szkołami. Nietylko miłą Bogu jedność doskonałą pobożność rozwinął w Zakonie, ale i w szkołach, które zaraz na wyższém stanowisku postawił, zbiorem licznym młodzieży napełnił. Pod wodzę tak świątobliwego męża miłującego nauki a nadewszystko duszy zbawienie rodzice z całą ufnością oddawali dzieci swoje. Jeden przykład dany wszedł w zwyczaj, Humańska szkoła nabyła wziętości zawsze mając liczny zbiór uczniów.

Wśród samej rzezi jeszcze na misyą do Buków poszedł, pomyślnie ją spełnił. Na cztery dni tylko przed samą rzezią z pracy Apostolskiéj do klasztoru powrócił.

Spełnione missye od początku fundacyi.

Missya pierwsza 1766 roku przed Zmartwychwstaniem Pańskiém w Humaniu przez księdza Kosteckiego i Kornelego Sroczyńskiego dopełniona w kościele parafialnym pod tytułem Wniebowzięcia Najświętszéj Maryi Panny trwała cztery tygodnie, Krzyż na pamiątkę wzniesiony.

Missya druga tegóż samego roku przez tychże samych kapłanów w miasteczku Ładyżynie dziedzicznem Mniszha dopełniona przez dwa tygodnie z wzniesieniem krzyża.

Missya trzecia w miasteczku Targowicy tegóż roku.

Missya czwarta roku 1766, za zleceniem Metropolity ksiądz Kostecki i towarzysz z cnót znany ksiądz Lewicki słowo boże opowiadali w Smile, Zabotynie, Czehrynie, ucierpieli od napadu Charka ze wzburzonym ludem wytrwali mężnie przynieśli owoc zbawienny.

Missya piąta roku 1767, Missyonarze: ksiądz Kostecki, Leon Zasławski, Epifaniusz Lachocki w Sokołówce dziedzicznych dobrach Potockiego przez dwa tygodnie po dwakroć byli na missyi. Spokojnie skończyli z wielką chwałą Boską, wśród niezliczonego ludu; cztery tysiące i więcéj przystępowało do najświętszego Sakramentu; liczne były processye i krzyż wzniesiono.

Missya szósta roku 1767, za staraniem Zalewskiego Łowczego Zydaczewskiego do Lisianki dziedzicznéj księcia Jabłonowskiego, Wojewody Nowogrodzkiego naznaczeni i posłani: ksiądz Jan Lewicki, ksiądz Epifaniusz Lachocki i ksiądz Leon Zasławski świeccy Parochowie z rozkazu Dziekana do posługi przybywali.

Missya siódma roku 1768 w Mańkówce wielkiéj w dobrach dziedzicznych Potockiego rozpoczęta w czasie W.

Postu; lud missyi nie przyjął nauk nie słuchał, dzieci na słuchanie katechizmu nie przybywały. Przez dwa tygodnie tak było, uporu nic wzruszyć nie mogło. Missyonarze dotrwali do czasu spowiedzi wielkanocnéj lud wtedy chcąc nie chcąc zbierać się począł. Misya na nowo rozpoczęta i dopełniona z wielką chwałą Boską. Lud się w naukach i kazaniach rozmiłował, coraz się liczniéj zbierał, wielki był w Murykowie tłum, wydołać pracy ledwie mogli z wielką solennością w końcu missyi, krzyż wzniesiono.

Misya ósma roku 1768 Rafał Młkadanowicz rządca dóbr humańskich sprowadził z Winnicy OO. Kapucynów O. Maryofila i Serena. Cztery tygodnie w Humaniu missyą odprawiali każąc wśród Mszy ś. i nieszporów w parafialnym kościele; na pamiątkę téj missyi był postawionym krzyż. Bazylianie się uskarżali, że z niechęci ku nim obcych zakonników sprowadził przeciwiąc się myśli fundatora.

Missya dziewiąta 1768 roku ostatnich dni maja z wielką żarliwością przez księdza Kosteckiego rozpoczęta w Bukach nad Tykiczą w poście przed apostołami ŚŚ. Piotra i Pawła, przez księdza Lachockiego i księdza Zasławskiego wspólnie z X. Kosteckim prowadzona. Wśród wielkiego uczęszczania ludu z zbawiennym i największym dusz pożytkiem, 11 dni tylko trwała. Wzburzenie Ukraińskie i rzezie przerwały dla bojaźni śmierci i zabicia niemylnego nieukończona. Krzyż nie wzniesiony, tylko Statua ś. Jana Nepomucena.

W tym roku okrutna rzeź wybuchnęła d. 9. czerwca 1768 roku. Humań srodze krwią zlała. Rozpoczęta konfederacya Barska ściągnęła konsystujące koronne wojska; za ordynansem Regimentarzów poszły się z nią połączyć w Województwie Bracławskiém. W Ukrainie były dostateczne do uspokojenia rozruchów siły: prócz wojsk koronnych, nadworni Kozacy w Smielańszczynie,

Humaniu. Ci odebrali téż rozkaz przejść do konfederacyi. Dziedzice dóbr wielkich nie chcieli się narażać na niepewny los Konfederatów, wojska dla bezpieczeństwa miejsc swoich zatrzymali. Tem powiększyli ogień wojny. Lud bez Kozaków nie śmiałby się rzucić na władze krajowe, na mieszkańców uzbrojonych; mając nadwornych na miejscu Kozaków, z nimi złączony, dopełnił czynu téj słynnéj *Rzezi*.

W Ukrainie stało się to co mówi S. Jan Chrzyzostom o Jerozolimie w czasie męki Zbawiciela: „Opanowali je czarci całe piekło weszło w Lud żydowski. Nie sami starsi i kapłani osądzili Zbawiciela, wydali na śmierć i okrutne męki, lud cały wybuchnął piekielnym ogniem nienawiści.“ Ukraina doznała napadu piekielnego; niewinność dziatek uchamować nienawiści wściekłego ludu nie mogła. Patrząc na te straszne ogniste łuno na te krwi zdroje przychodzą na myśl dawniejsze jeszcze w przeszłości podobne fakta i inne daleko po tém późniejsze.

Ztąd się tyle pism o kozaczyznie, tyle sporów różnych wylęgło rozmaicie objaśniających fakta. Sądy ludzkie jednak nie są pewne każdy patrzy przez przyjętą przez się opinię i zasadę przez swoją szczególną sympatyą. Biorą ludzie, fakta jak cegły do muru dla robienia i rozwijania swoich systematów i teoryj: jednak sprawy ludzkie idą koleją Bogu wiadomą, ludziom nieznaną bezwzględnie na ich przywidzenia, wnioski i teorye. Człowiek tylko jest świadkiem zdarzeń nie sędzią. — Pycha ludzka wszystko przesądza i rozumuje nad tem co boskie i ludzkie, co pojęte i niezrozumiane; bo umysł człowieka ile z natury ograniczony, szczupły, tyle zuchwały. Dziś w szeregu przed nami toczących się zdarzeń z tego co widzimy, jasnéj sprawy zdać nie możemy. Jak przesądzać wypadki przeszłe, co znaczą historyczne rozumowania? Filozofie, historye? ludzkie spółeczne te-

orye i zakreślane przez nie wypadki i prawa, tak różne od tego co się wypełnia, co się dzieje — co się stać musi. — Boleję nad temi którzy wierzą w teorye, nie mające wpływu na życie ludzkie, i nie będące słowem żyjącém. Dotykając faktu rzezi Humańskiéj przypuszczanych przyczyn nie wprowadzam, ani odnawiam starego sporu z kozaczyzną z równą zaciętością przez pisarzy wiedzionego jak niegdyś przez Kozaków orężnych; na tło bowiem dziejów zwykle rzucane są barwy dzisiejszych namiętności i przywidzeń. — W dziejach ludzkich to rzecz pewna widzimy massy złych i dobrych czynów na większéj i mniejszéj skali życia człowieka. Te czyny mają potęgę albowiem nie sprawuje ich sam człowiek lub też naród, poparte są wyższą siłą niejako w połączeniu zobopólnèm dopełnione, ze złym duchem, jeśli są występne z łaską bożą, jeśli cnotliwe i święte. Widzimy walkę złych z dobrymi, dobre i święte są dotąd tylko reakcyą, oporem, przeciwieniem się, a nie zwycięstwem. Całém naszém zadaniem głównym celem liczbę naprzód dobrych myśli, następnie dobrych uczynków powiększyć, aby na szali przed Bogiem dobre przeważać mogło.

Taka jest treść taki sens główny dziejów i historycznéj nauki. Czy pojmujemy dzieje ludzkie czy je objaśnimy byleśmy zapał zdolność do lepszego z téj nauki powziąść mogli. Dla tego mówiąc o rzezi chcę tylko zwrócić uwagę na dany przykład godzien apostolskich czasów poświęcenia się świątobliwéj śmierci X. Kosteckiego nie rozbudzając z tych zdarzeń nienawiści wzajemnych.

Jeśli zadana sercu rana, niechaj Cię błogosławi; jeśli łzy wylane niech rozbudzą miłosierdzie Twoje Panie!

Przed samą rzezią która była w Poniedziałek dnia 9 Czerwca 1768 roku przybył X. Kostecki z missyi z Buków we Czwartek do Humania, znalazł ogromne tabory

w mieście, na przedmieściach wiele bardzo przybyłéj szlachty i żydów. Zdążył X. Magierowicz zasłużony Misyonarz z Zamościa z Białołówki wraz z Skibickiemi possesorami tego miejsca. X. Kostecki widząc tak wielką trwogę zebrał wszystkich zakonników z posłuszeństwa ich rozwiązał pozwalając aby każdy ratując życie opuścić mógł klasztór. Sam postanowił pozostać dla usługi w niebezpieczeństwie będącym ofiarując się na śmierć. X. Lewicki wice-rektor Misyonarz z Białołówki, X. Magierowicz; X. Oczowski zakrystyan, braciszek X. Majewski oświadczyli że X. Kosteckiego i klasztoru nie opuszczą i odważyli się zostać czekając z ochotą śmierci. Inni w liczbie 7miu prefekt szkół Misyonarze: X. Nahimowicz, X. Lasocki, X. Zasławski korzystając z pozwolenia z miasta w Niedzielę dopiero dniem przed rzezią wyszli, nic z sobą nie biorąc i to z wielką trudnością. Żydzi, których nie wypuszczano przed tem z miasta wzajemnie odejść zakonnikom wzbraniali; cudem wyratowani, pieszo zaszli na Wołyń w różnych się miejscach kryjąc po skończonéj rzezi i uspokojeniu zupełném do klasztoru powrócili. X. Kostecki przez wszystkie dnie Piątek, Sobotę, Niedzielę na rynku spowiadał, udzielał Sakramentów, na śmierć przygotowywał, dodawał odwagi do cierpliwego zniesienia strasznéj śmierci, upewniał, że pierwszy im będzie torował drogę. Dał nakoniec generalne rozgrzeszenie, ostatnie błogosławieństwo; wszystek lud ukląkł we łzach ich błogosławił. Ostatniego dnia z klasztoru przeszedł do kościoła farnego ten był przy bramie do któréj szturmowali Kozacy. Gonta już był na czele szturmujących i powiewał białą chorągwią. Rządca Młàdanowicz bronić się nie chciał nawet zabraniał. P. Markowski silnie o to się sprzeczał chcąc obrony, gdy nie mógł przemódz bojaźni Młàdanowicza otworzono bramę rzucili się wszyscy do X. Kosteckiego, aby błogosławił w téj strasznéj chwili. X. Kostecki wyszedł

z ostatnią Mszą ś. w kościele farnym. Kozacy i chłopi wpadłszy rzucili się na trzy miejsca, gdzie najwięcéj było zebranych w ostatniem niebezpieczeństwie na modlitwę do kościoła farnego, do kaplicy Bazyliańskiéj do żydowskiéj bożnicy. W klasztorze naprzód na kurytarzu zabili braciszka, w kaplicy trzech księży odprawiających nabożeństwo do Najświętszéj Panny Maryi. Byli to owi świątobliwi niezapomniani nigdy Misyonarze, co mając zezwolenie ratowania życia i opuszczenia klasztoru nie odstąpili swego powołania i dobrowolnie ofiarowali się na śmierć. Ludzie zażarci czekali jednak do skończenia nabożeństwa. Związawszy ich okrutnie krwawo bili po głowie i całem ciele. Skrwawionych opędzali około ratusza zostawiając potem na straży u Rohatego mieszkańca Humania. Zabijać jednak ich nie chcieli. Dopiero za rozkazem Zelezniaka i Gonty, „iżby źle było dla wojska Zaporozkiego, gdyby zostali przy życiu“ spisami skłóci na ulicę rzuceni. Gdy tak w kaplicy klasztornéj mordowali, kłóli spisami mordowali, strzelali, X. Kostecki siedział przy wielkim ołtarzu i słuchał spowiedzi. Jak się to stało? W czasie wejścia dawał błogosławieństwo odprawiał Mszą świętą w kościele farnym w chwili napadu na klasztór już był w swoim kościele wraz z braćmi, ci śpiewali Akafest, on słuchał spowiedzi. Nikt go przez miasto idącego nie widział. Gdy się powszechne rozpoczęło zabijanie stanął w ambonie. Ująwszy go kozacy wciągnęli do piwnicy chcąc, aby ukryte skarby pokazał; Stamtąd go wyprowadzono przed drzwi lochu — wleciał kozak i rozpoczął się spór silny między tymi co go z kościoła do lochu ciągnęli a przybyłym Kozakiem; — który o zabicie jego mocno nastawał. X. Kostecki klęczał, miał ręce do nieba wzniesione. Od postrzału upadł na ziemię, spisami natychmiast dokłóty we krwi się własnéj zanurzył, i ducha świętemu oddał niebu. Świadkami téj śmierci stojąc przy drzwiach lochu byli chłopiec

służący do Mszy ś. i stróż klasztorny. Po skonaniu X. Kosteckiego chłopiec posłanym był dla toczenia trunków, stróż dla kopania w tym lochu i szukania skarbów. Wróciwszy obaj ciała X. Kosteckiego już nie znaleźli i dowiedzieć się co się z niem stało nie mogli. Następnemu po nim rektorowi robili ci dwaj ludzie jako naoczni świadkowie relacyą. Przełożony każdego osobno o nich pytał, relacye ich z sobą się zgodziły. Obowiązany był dowiedzieć się o tém ściśle z zalecenia prokuratora spraw prowincyi XX. Bazylianów pod tytułem obrony N. Maryi Panny dla uczynienia urzędownéj relacyi prefektowi kardynałowi de propaganda fide X. Castelli. — Co się tyczy X. Kosteckiego tego XX. Bazylianie i inni miejscowi ludzie dojść nie mogli. Zostało to ukrytem, tem dziwniejsza, że ciała innych zakonników w różnych miejscach zabite pogrzebione znaleziono.

Prorokował o tém X. Marek Karmelita w domu P. Puławskiéj starościny wareckiéj gdy na początku konfederacyi przed rzezią ostatni się raz z X. Kosteckim widział. Wedle słów X. Marka w lat sto to jest roku 1868 wśród zepsutéj wiary i obrzędów ma być znalezioném z wyraźnemi dowodami, że to on jest przy cudach i niezmiernéj łasce boskiéj.

X. Magierowicz zabity niedaleko cerkwi ś. Mikołaja, ciało jego leżało przy drzwiach cmentarza, cerkiewny sługa na cmentarz wciągnął. Widząc jadącego chłopa z wsi Bazyliańskiéj, zawołał, aby mu pomógł zagrzebać. Ten ciało z cmentarza wziąwszy na wóz swój włożył i wywiózł za miasto aby je między trupy na pastwę zwierząt wrzucić i pozbawić na cmentarzu pogrzebania. X. Hipolit Zawadzki staruszek z kościoła farnego zginął tym sposobem: zaczęli go chłopi pytać o skarby schowane w Mańkówce i z pewnym szlachcicem, na pasie przy koniu wiedli. Nie znalazlszy nic w Mańkówce na-

hajami bili i na moście ich postrzelali. Widząc niewinną śmierć staruszka Watażka żałować począł i dał rubla na dzwonienie i pogrzebanie jego. Widzieli tę śmierć Ks. Lachocki i braciszek Ambroży, którzy się ukryć zdołali.

Wojska rosyjskie uspokoiły tę burzę, oddali schwytanych władzy; ponieśli kary okrutne i srogie. — Ratowało miłosierdzie wielu na szubienicę skazanych w miastach: Lwowie, Kamieńcu; pracowali tylko czas jakiś przy nowych budowlach i murach.

Tegoż samego roku w jesieni zgromadzili się XX. Bazylianie do Humania X. Jerofeusz Korczyński w Szarogrodzie otrzymał obediencię na przełożonego zebrawszy tych co ochronili życie swoje zaczął porządkować zrujnowany klasztór, zniszczoną kaplicę. Na dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszéj Maryi Panny po raz pierwszy otworzoném zostało solenne nabożeństwo. Wprowadzono Najświętszy Sakrament z Granowa nie było bowiem w Humaniu od rzezi Mszy ś. i kapłana. Ten sam lud co był w mordzie tak zapalczywy i gwałtwony z uniesieniem cisnął się do Sakramentu Pokuty. Ten sam lud co przed kilku miesiącami na wiadomość zbliżających się Zaporożców spieszył łączyć się z niemi, tworzył masy rozhukane i namiętne. W czasie tego festu gdy przyszła wiadomość, że się zbliżają tłumy na nowo zbrojnych ludzi strworzył się, zaledwie ukończyło się nabożeństwo pierzchać zaczął. Nowy zarząd Humania daleko silnéj jął się obrony; podjazdy rosyjskich i polskich żołnierzy chwytały oddając ich sprawiedliwości. Reszty tak zwanych z jednéj strony zbójców z drugiéj wojska zaporoskiego zostały zniszczone ponosząc karę okrutnéj śmierci lub ucięcia prawéj ręki i lewéj nogi. Znajdowali się ludzie których miłość była wyższą nad wrażenie okrutnych mordów i zabójstw w Humaniu dokonanych; nad wzajemne uprzedzenia i przesądy co między szlachtą a lu-

dem wzniecały krwawe wojny i mordy. Skazanych na śmierć nie wieszano nie odcinano ramienia ratując ich życie i zdrowia. Wielu Mołojców rześkich chłopaków unieśli się duchem ukraińskiéj narodowéj ruchawki. Wpływem chrześciańskich pośredników zajęci czas krótki przy budowlach robotą i pracą do domów wracali. Ta krwawa burza nastąpiła między ludźmi innego obrządku przyznano ją téj różnicy religijnemu uciskowi, a jednak podobny powtórzył się między ludźmi tego samego wyznania i narzecza. Cała teorya religijnych różnic i sporów przez to upada i niknie. Łatwo jest opowiedzieć z całą wiernością szczegóły zdarzeń — dlaczego co się stało? To inne głębsze pytanie. Przyczyny spraw ludzkich, tenby był mądrym, ktoby je czerpał w główném źródle nie w rozumie piszących. Nie ma spraw ludzkich w którychby uczestnictwa boska siła i wola nie miała. Żeby pojąć, objaśnić, trzeba mieć oświecenie; oświecenia nie dadzą nam ludzkie teorye, pisarska długoletnia praca, czytanie dzieł wielu, ani też słynny rozum, wytrawny, dojrzały, silniejszy krytyczny. Oświecenie trzeba sobie u Boga wysłużyć, wpoić szczerze w ducha pokorę i miłość, temi duszę uprawiać i doskonalić by ją do łaski bożéj, w któréj dopiero prawdziwe jest oświecenie przybliżyć, mówię to do całéj historyi do rozległych filozofii do przeszłości stósowanych, do rozumnych historycznych badań i nauk bez prawdziwego jednak objaśnienia. ś. Augustyn przeszedł przez wszystkie stopnie ludzkiéj nauki, czerpał ile tylko można w ludzkich usiłowaniach i zdolnościach; wybornie naucza i rozjaśniaco jest zrozumienie i pojęcie; pojęcie i zrozumienie, nie jest skutkiem zdolności usiłowań lecz nagrodą udzieloną od Boga. „Nie usiłuj wprzódy pojąć — lecz wiérz pierwéj abyś mógł pojąć — *Zrozumienie nagrodą jest wiary.*“ Roku 1772 dnia 22 Octobra życie zakończył fundator klasztoru humańskiego Franciszek Salezy Poto-

cki wojewoda kijowski w klasztorze humańskim gdy o tem przyszła wiadomość, przez dni osiem trzy razy na dzień dzwoniono, solennie odprawiano przez oktawę żałobne nabożeństwo. Roku 1773 za zezwoleniem, łaską apostolskiéj stolicy staraniem kosztem Potockiego Kaniowskiego starosty dnia 8 Września w Poczajowie, odbył się akt koronacyi Narodzenia Najświętszéj Maryi Panny. Przez całą oktawę solenne było nabożeństwo z odpustem zupełnym na każdy dzień oktawy. Po wszystkich bazyliańskich kościołach tę koronacyą solennie z ambon głoszono czytając bullę papiezką i udzielano odpusty. Zewsząd, z całéj świętéj Rusi lud płynął do Poczajowa. W owych pobożnych czasach wszystkie stany jednę w Bogu składały rodzinę wspólnie pielgrzymując do miejsc świętych. Całe rodziny aż do niemowlęcia w tych pielgrzymkach dążyły do miejsc świętych. Na wieść koronacyi cała Ruś zabrzmiała świętemi hymny. W Poczajowskim wspaniałym kościele rozlały się zdroje śpiewów, we dnie i nocy do króla niebios płynęły wtórowały im pieśni pielgrzymów. O tym uroczystém jakby stółecznym Rusi kościele rzec można: *Oto dom Twój Panie Dom Modlitwy!* Trudno gdzie było doznać tyle słodkości i znaleść tak wielką chwałę boską. Starosta Kaniowski zbudował gmach okazały. Po wybrykach swawoli i namiętności wzniósł wielki okazały pomnik świątobliwéj pokuty. — Był wyrażeniem się całéj Ukrainy, która po krwawych uniesieniach i piekielnéj napaści pragnęła silnie pokuty. Ten wzniosły pokuty pomnik Ruś pobożna, Ruś święta po strasznym grzechu napełniała całym ludem swoim. Taki jest łańcuch wypadków, jednem ogniwem rzeź drugim kościół wielka ogólna chwała boska w Poczajowie. Czyn złości i natychmiast reakcya święta sprawiona przez człowieka, co o téj missyi swojéj może niewiedział z woli bożéj dopełnił ją świetnie.

Roku 1774 na początku roku szkolnego to jest w miesiącu Septembrze szkoły Humańskie zostały urządzone według przepisów komissyi Edukacyjnéj. Rozdział czasu, sposób wykładania, wszystko zostało przez komissyą urządzoném, jednostajnie ze wszystkiemi szkołami całego kraju. W roku 1773 rozpublikowany był dekret komissyi Edukacyjnéj Akademiom i wszystkim szkołom aby nie przerywając prac wedle każdego miejsca, zwyczajów, dalszych rozporządzeń kommissyi oczekiwali. W roku 1774 już podrukowane były egzemplarze przepisów i porządku szkolnego. Wszystkie szkoły duchowne i świeckie do jednéj stosując formy i porządku bez najmniejszéj zmiany. Ustanowieni w tym celu wizytatorowie z plenipotencyą od komissyi edukacyjnéj szczególniéj od generała ziem podolskich księcia Adama Czartoryskiego, ustanowiony porządek wprowadzili. Szkoły wojewódzkie miały niemniéj jak 6 profesorów prócz prefekta, początkowe 3ch. Wprowadzona osobna katedra języka francuzkiego, niemieckiego, czego dawne szkoły nie znały, i osobna katedra matematyki. X. Jakukiewicz wizytator szkół województw ruskich roku 1774 przybył do Humania, przepisy komissyi edukacyjnéj wprowadził. X. biskup wileński Massalski w komissyi prezydujący, pełen prawdziwych co do sprawy edukacyjné ofiar i zasług, osobném swém pismem uprzedził o tém rektora. Ci dotąd bowiem bazyliańskim swoim zwyczajem nie odnosząc się do władz edukacyjnych w szkołach uczyli i niemi rządzili „żądając usilnie, aby nauk „porządki i sposób uczenia jeden we wszystkich ogól- „nie miejscach podług przepisów komissyi edukacyjnéj „ściśle był zachowany o czém uwiadamiając WMPana „imieniem komissyi, zagrzewam go jak najmocniéj do „najpilniejszego starania z urzędu swego, aby się woli „komissyi i publicznéj potrzebie w poprawie edukacyi „zadosyć stało. Zdatność i applikacya każdego z uczą-

„cych, będzie mu drogą i zaleceniem do wyższych sto„pni i względów komissyi.“ Spotykamy spory pisarzy naszych o szkołach, przenoszą duchowne ostatnich czasów nad akademickie świeckie. To wszystko opartém jest na ogólnikach bez znajomości szczegółów. Przed ustawami komissyi edukacyjnéj mogły być i były niemylne różnice między szkołami świeckiemi i zakonnemi. Od roku 1774 jeden był przepis jeden rozdział czasu i te same elementarne książki dla szkół wszystkich wszelkie różnice stanowczo ponikły. Zatem niepodobna jednę szkołę wynosić nad drugą, wszystkie podobne. Od czasu komissyi, dzielić nie można szkół na świeckie i duchowne, ale na powiatowe i wojewódzkie. Nie do wszystkich szkół tylko zarówno się garnęli; były miejsca ulubione do których więcéj się zbierano. Gdzie taki był pociąg ustalił się, zazwyczaj szkoła była ludniejszą, stała się przeto lepszą. Wysyłano tam ludzi z talentem czynniejszych przysyłano prefektów, zresztą jednostajne były co do praw i urządzeń. Talenta z powodu częstych przemian i promocyj należały więcéj do ogólnéj krajowéj edukacyi niż do szczególnego miejsca. — Po kasacyi XX. Jezuitów wyjawiły się wielkie zalety XX. Bazylianów. Wśród tego umartwienia publicznego, kto w edukacyi zastąpi ich miejsca. XX. Bazylianie roku 1776 przesłali sami do komissyi oświadczenie, że wszystkie szkoły jezuickie opuszczone, zapełnią własnym kosztem i swymi nauczycielami nie daléj jak w ciągu lat dziesięciu. Ta odezwa rozbudzona szczerym zapałem, na uczuciu własnéj siły oparta, przynosi im wysoki zaszczyt, rzetelną chlubę. — Odtąd stali się zgromadzeniem narodowém najściśléj zlaném z uczuciem narodu z jego moralnemi potrzebami. Różnili się od Jezuitów i przewyższyli ich w tém, że nie mieli tego wyłącznego systematu, lecz z całą ochotą poddali się przepisom właściwym krajowéj edukacyjnéj. Ustanowili alumnaty w Rzymie,

w Wiedniu, w Brunsbergu; ztąd wychodzący uczniowie ich, byli filarem Unii, na nich się ta ś. Unia opierała wśród największych prześladowań. Dopokąd ci alumnowie byli biskupami, potąd nic téj ś. Unii nadwerężyć nie mogło aż do X. Bułhaka ostatniego metropolity z alumnów rzymskich. XX. Bazylianie mieli w têm wyższość od innych zgromadzeń zakonnych. Tamte upadały brakiem subjektów, wszędzie nie stawało ludzi, zakony dla braku ludzi upadały. W Assyzie, na górze Kasyno, gdzie było kilka tysięcy zakonników, dziś ledwie 16. Toż samo i w Polsce, Bazylianie tego braku nie mieli z powodów: 1mo iż z Rzymsko-katolickiego obrządku jako i Unickiego do siebie przyjmowali mając wielkie opactwa, prelatury, biskupstwa, wiele obywatelskich synów najokwitszéj średniéj klasy przychodziło; 2do świeccy ich księża parochowie w małżeństwie żyli. Wszyscy przeto ich synowie w stanie duchownym zostawali, brali edukacyą u XX. Bazylianów. Ci wszystkich zdolniejszych zostawiali u siebie i sami z ochoty zostawali żyć na wsi, nie przedstawiało żadnéj przyszłości, wejść w zgromadzenie XX. Bazylianów nadawało karierę i przyszłość w zawodzie bądź nauczycielskim bądź missyjnym. Ci synowie parochów zostawali i opatami i biskupami, XX. Bazylianie mieli niejako przyrodzony środek napełnienia domów swoich i zakonu; zasilani byli ludźmi Rzymsko-katolickiego obrządku, szlachta, która się niezmiernie garnęła i oddawała synów swoich do zakonu Bazylianów; chociaż wszystka ogólnie szlachta posesionaci na Rusi przeszli na obrządek Rzymsko-katolicki. Lud tylko i część szlachty czynszowéj została Unicką, jednak na zakonników Bazylianów szlachta łacińska wstępowała. Wiodło wielu powołanie, wielu nadzieja miejsc znaczących. W całéj Koronie najbogatsze były opactwa Bazylianów, jako: Żółkiewskie, Dubieńskie, Mileckie, Dermańskie,

Żydaczowskie, Owruckie, Kaniowskie. Biskup każdy posiadał znaczne dobra stołowe, metropolita prócz dóbr kilkakroć sto tysięcy dochodu wynoszących, podatek zwany metropolitarny po złp. 20 z cerkwi, a ostatnich czasów Rzeczypospolitéj było w Koronie 10,000 parochialnych unickich cerkwi. Po Synodzie brzeskim roku 1595 było 2,000 unickich cerkwi a 1,000 dysunickich a w r. 1793 już 10,000. Te wszystkie opactwa, biskupstwa i urząd metropolitarny, zajmowali li tylko XX. Bazylianie, którzy jedyną główną w obrządku stanowili hierarchią. Księża bowiem świeccy jako żonaci, po wsiach żyjący, trudniący się rolą, nic nie znaczyli, nic zdziałać nie mogli, zastępowali ich Bazylianie. Oficyalstwo tylko r. 1720 odstąpili klerowi świeckiemu. Wszyscy oficyałowie byli Presbiteri saeculares. Na Podolu Mikołaj Skorodyński, Bazyli Markowski; w Łucku Teodozy Brodowicz; w Ostrogu Turkiewicz metropolitarny Meleniewski. Nawet biskup Łucki Stefan Lewiński był z kleru świeckiego.

Najzasłużeńsze w Ojczyznie naszéj zgromadzenie XX. Bazylianów chociaż zdolniejszych u siebie zachowało dla usług nauczycielskich, missyjnych, zakonnych lub zajęcia opactw i biskupstw, jednak i świeckich parochów stan umysłowy i moralny ulepszało. Nie rzadką rzeczą było spotkać mężów, świeckich kapłanów nie ustępujących łacinnikom w naukach i świetle. Z Bazylianów biskupi nie zasiadali w Senacie równie i metropolita, tym przeto byli poniżeni, na co były skargi; i w powadze obywatelskiéj nie równali się biskupom Rzymskim. Z tych powodów prawem kardynalném Rzeczypospolitéj było, każdy szlachcic uczestnikiem politycznych przywilejów; do posługi publicznéj obowięzywało szlachectwo, stan duchowny nie wyzuwał z szlachectwa. Przeto każdy kapłan i biskup, jako szlachcic krajowi służyć musiał, jako duchowny więcéj miał cza-

su do nauki i zupełnego poświęcenia się sprawom publicznym, przeto najwyższe urzęda duchowni posiadali i piastowali, co było zaszczytem Rzeczypospolitéj, iż się wiara i religia ś. z jéj zlała prawami. Zakonnicy tylko przy ślubach swoich zrzekali się szlachectwa, tracili je dobrowolnie. Przeto biskupi uniccy jako zakonnicy Bazylianie nie zasiadali w Senacie, gdyż przywileju nie mieli szlacheckiego, bo go przy ślubach zakonnych odstąpili. Dominikan lub Franciszkan zostawał biskupem, w Senacie zasiadać nie mógł, bo się zrzekł szlachectwa, ale zostając biskupem brał sekularyzacyą, następnie odzyskiwał szlachectwo. Biskup unicki nie sekularyzował się, lecz zawsze był Bazylianem zakonnikiem.

Bazylianie biskupi nie mając przywilejów politycznych, przestronniejszą mieli władzę duchowną od biskupów w Polsce rzymsko-katolickich w duchowném zawiadywaniu owczarni swoich. Nie było w dyecezyi ruskiéj okrom biskupów, żadnéj innéj władzy, któraby go ograniczać mogła. W dyecezyach łacińskich, zakony były wyłączone od władzy biskupa, podlegając prowincyałom i jenerałowi. Wielkie przywileje były kapituł katedralnych. W niektórych wypadkach mogły biskupa zasuspendować; biskup nie mógł plebana przemienić ani przenieść, w przypadku złego postępowania, nie mógł go powołać do swego sądu, aż po 3ch admonicyach synodalnych; kapituły były złożone z ludzi znakomitych uczonych; po trybunałach, po assesoryach urzędowali i wysokie dostojeństwa piastowali. Nieraz kanclerze, podkanclerzowie, sekretarze w koronie, członkami byli kapituły. Biskup łaciński był *primus inter pares*. Unicki biskup ruski samowładnie rządził klerem, nawet metropolitowie bez odwołania się do Ojca ś. biskupów prekonizowali. Zaszły potém odmiany czasu cztero-letniego sejmu; metropolita unicki zasiadał w Senacie, podatek me-

tropolitalny po złp. 20 z cerkwi został skasowany. Na sejmie roku 1774 uchwalono ofiarę *Subsidii charitativi* 600,000 złp. z duchowieństwa koronnego; przez trzy lata czasowo składana została stałym krajowym dochodem. Roku 1775 złożonym był we wrześniu kongres biskupów celem dopełnienia téj ofiary, zalecono kościołom i klasztorom w miesiącu listopadzie złożyć po 6 złp. od zaprzysiężonych kominów. Lustracyę dziekani z wybranymi zakonnikami spełnić mieli. X. Onufry Bratkowski prowincyał XX. Bazylianów, odznaczał się czuwaniem nad karnością zakonną i porządkiem w zgromadzeniu. Pisał często okolne listy w nich: „Najgoręcéj, „najuroczyściéj zalecał pokój, miłość ślubów ustaw za„konnych i pilność nabożeństwa, gorącość w modlitwie, „skromność, staranność i największy w zakonności po„stępek.“

Tak zwane kongresa, były to zgromadzenia XX. Bazylianów na których spisywały się urządzenia zakonów, gdzie się doskonaliła reguła i zarząd. Ostatni kongres, na którym prowincyałem obrany Bratkowski przed 1775 zwany był *Hojskim*. Zalecane ustawy tego kongresu Hojskiego co tygodnia w każdym klasztorze były czytane. Ścisła karność i modlitwa przy nieustannych pracach dla uczącéj się młodzi, dla ludu czyniły to zgromadzenie świetném co do cnót, obyczajów i użytku publicznego. Prowincya koronna pod tytułem Opieki N. Maryi Panny, miała zlecone uroczyste nabożeństwo solenne na intencyą Korony.

Roku 1776 były przeglądane reformowane ustawy ostatniego kongresu Hojskiego. Wszyscy zakonnicy mieli prawo w osobnych pismach przedstawiać potrzeby zmian, uwagi nad regułą ogólne i szczegółowe. Tém prawem lepiéj się mogli od innych urządzić. Prowincyał i konsultorowie korzystali na kongresie z pism i uwag im

przysyłanych. Po nowéj kapitule, prowincyałem obrany X. Józef Morgulec.

Roku 1775 klasztor XX. Bazylianów Kaniowski przez czas rozruchów na lat kilka opuszczony, na nowo został zajętym. Wziął go pod zarząd X. Markowski opat kaniowski.

Dnia 4 grudnia 1775 r. klasztor Lisiański od czasu rzezi opuszczony, X. Nazarowicz rektor humański w zarząd objął i zakonnikami z Humania osadził.

Roku 1775 dnia 21 września ostateczny wypadł dekret kongresu biskupów pod prezydencyą nuncyusza Apostolskiéj Stolicy z podpisem jego i dwóch biskupów *in ordine* na kongresie przytomnych, biskupa Łuckiego i Kamienieckiego. Zalecił lustracyą biskupstw, opactw, dóbr klasztornych, bez najmniejszego wyłączenia nawet i dóbr kawalerów maltańskich dla złożenia podatku *Subsidii charitativi*. Z dóbr duchownych koronnych wypada 600,000, z Bazyliańskich w Koronie 90,000 złp. Lustracye spełnione na każdém miejscu przez 3 osoby odsyłane do konsystorzów, w których osobno oznaczeni z kapituły werifikowali odsyłając do konsystorza, biskupów do Warszawy.

XX. Bazylianie odznaczyli się szybkością w wykonaniu zaleceń rządowych, jak świadczy odezwa ich prowincyała: „Na najwyższą wolę, która w obfitym do„statku może nas zniszczyć, spuściwszy się na nią, „czyńmy to co władza od Boga postanowiona wymaga. „Listem naszym wam najusilniéj zalecamy, podatek Sub„sidii i przydatek emergencyi bez najmniejszéj zwłoki, „gdyby się zapożyczyć przyszło, w złocie podług niniej„széj kurencyi, lub w srebrnéj byle brakowi nie pod„padłéj“ zebrać i złożyć usilnie starali się.

Tabella podatku Subsidii r. 1776 z klasztorów Bazyliańskich Dyecezyi Kijowskiéj po złp. 12 gr. 7 z komina przez Likwidacyą wyznaczona.

	kominów	złp.	gr.	Maleńkie klasztory dyzunitów
Tryhury	30	367	10	1) w Knyszowicach dymów 6
Biłołowka	25	306	3	2) „ Bohusłowiu „ 6
Granów	15	183	20	3) „ Korsuniu „ 6
Humań	123	1506	12	4) „ Łebedynie „ 15
				5) „ Czehrynie „ 4
Kaniów	4	48	29	6) „ Motrynieński „ 15
Lisianka	20	244	26	7) „ Ś. Onufrego „ 7
		6110	9	8) „ Trechtimirowie „ 6

Ogólnie podatku Subsidii 794 złp. 22 gr.

Ogólnie z duchowieństwa zakonnego dwóch obrządków w dyecezyi Kijowskiéj złp. 6,905

Metropolia Kijowska			
1) Zakonnicy jak wyż.	6905 złp.	Emergentii	710 złp. 15 gr
2) Kler świecki	10556		
3) Metropolita	11210		
Dyecezya Łucka			
1) Biskup	6358	„	673
2) Kler świecki	9260		
3) Zakonnicy	14224	„	1342
Dyecezya Włodzimierska			
1) Biskup	8453	„	875
2) Kler świecki	1824		
3) Zakonnicy	5504 24 gr.	„	565 12 gr.
Dyecezya Kamieniecka			
1) Biskup	1125		
2) Kler świecki	6376		
3) Zakonnicy	3834 12 gr.	„	398
Dyecezya Chełmska			
1) Biskup	78	„	90
2) Kler świecki	888		
3) Zakonnicy	840		
Z Podlasia	310		
Klasztor Bazyl. Warsz.	1365		

Subsidii 90000 — Emergentii 5000

Spisałem te szczegóły chcąc dowieść jak błędnie sądzą utrzymując, że Duchowieństwo nie czyniło ofiar dla kraju, nie składało podatków. Dochody i majątki kościelne były własnością ogólną. Z nich służyli dostojniejsi kapłani w Ministeryach w Senacie, płacono więcéj jak z dòbr szlacheckich podatku, a szczegółowie pracowali bez interesownie *ad majorem Dei gloriam*. Przekonać może o tem Tabella pensyi rocznéj, którą zakonnicy jako Missyonarze i nauczyciele pobierali. Porównajmy z tym nayzwyczajnym dzisiejszych czasów kosztem, gdy poświęcenie siebie i ofiara na Boską chwałę już niema miejsca, a posługa i praca liczebnie na pieniądz srébrny lub złoty jest cenioną

	Złp.
XX. Superiorom	150.
Przełożonym niemogącym śpiewać	100.
Profesor Filozofii lub Teologii	100.
Wikarym klasztorów większych	90.
„ „ mniejszych	60.
OO. Emerytom	80.
Missyonarzom pracującym	100.
Nie będącym na Missyach	70.
Magistrowi Nowiciuszów	200.
Profesorowi Teologii moralnéj	70,
Profesorom szkoły każdéj po	90.
Kaznodzieje miejscowi klasztorni	72.
Profesór religijnéj wymowy	72.
„ świeckiéj „	60.
Patribus de familia	54.
Notaryuszowi Prowincyi	150.
Sekretarzowi „	300.
Konsultorom vel Definitorom	300.
Prowincyałowi	500.

Klerycy Laicy na dyskrecyi bez pensyi. — Tabella ta wskazuje ile w zgromadzeniu XX. Bazylianów rozmaitych użytecznych, było obowiązków, ile ci prac mie-

li w szkołach, w missyach nabożeństwie. Ci wszyscy ludzie prawie bez zapłaty dla chwały tylko Boskiéj pracowali. Posłuszeństwo mając za główny cel i warunek chlubili się przed Bogiem, ciesząc się nie zapłatą ziemską lecz niebieską.

Szkoły XX Bazylianów.

1) W Poczajowie.
2) we Lwowie ś. Jerzego.
3) w Lubarze.
4) w Kamieńcu.
5) w Poddembicach.
6) w Krzemieniu.
7) w Zahorowie.
8) w Zamościu.
9) w Krystynopolu.
10) w Szarogrodzie.
11) w Humaniu.
12) w Koniowie.
13) w Hojsku

było ich i więcéj, ale te znaczniejsze.

Odpusty przez stolicę Apostolską XX. Bazylianom nadano.

I W dzień S. Bazylego odpust zupełny Klemens XIV 10 maja 1773 r.
II. W dzień Zwiastowania N. M. P. 26 lutego 1774 Klemens XIV.
III. W dzień Ś. Grzegorza Naziańskiego 26 L. 1774 Klemens XIV.

Roku 1776 Pius VI przysłał wiele dla Bazylianów przywilejów i odpustów Bulla d. 5 maja. W dniu Zesłania Ducha św. na święta Matki Boskiej; podwyższenie Krzyża ś. i w Święta, których zgromadzeniu za Patronów naznaczył ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła. Śgo Józefa Oblubieńca, ś. Anny świętych: Szczepana męczennika, Mikołaja biskupa Mirejskiego, Antoniego Opata,

Atanazego biskupa, Jerzego męczennika, Hilariona, Grzegorza, Nissona Sabby Epifańjusza.

Odpusty nie są rzeczą małą, lecz najwyraźniejszą i obfitą łaską. Prócz łask duchownych udzielanych wiarą dla wytrwania aż do końca w doskonałości zakonnéj odpuszczenia grzechów i ratowania dusz zmarłych. Prócz tych łask odpusty zwiększają łaskę boską i chwałę, obowięzując do solennych obchodów. Zgromadza się lud, wystawienie Przenajświętszego Sakramentu, Spowiedzie, nauki, kazania, rozlewa się pobożność i wiara. Heretyk tylko nie pojmuje daru odpustów jednéj z największych łask Boskich. Temi odpustami tak obficie udzielonemi przez Klemensa XIV i Piusa VI, Bazylianie byli jakby wynagrodzeni za połączenie się z kościołem. W zakonie ich przeto podniosła się chwała Boska mając tyle uroczystych corocznie solenności. Pius VI roku 1776 zaleca Bazylianom w czasie dzwonienia na *Silentium* odmawiać Psalm, *„z głębokości do Ciebie Panie wołałem;"* udzielił odpust zupełny, każdego wieczora schodzili się na medytacyą, na rachunek sumienia o godzinie 8 wieczór. Dzwonienie na Silentium na głębokie uciszenie się i milczenie; odwiedzać siebie, chodzić po kurytarzu nie wolno tylko utonąć w Bogu w najsłodszym pokoju i w świętéj ciszy. Stolica ś. szczególnie Bazylianów obdarzyła w 1776 d. 1 lutego, r. 1778 d. 7 czerwca były osobne Ojca ś. listy nadające odpust zupełny spowiadającym się w czasie święcenia Jordanu w dzień ofiarowania i Zwiastowania najświętszéj Maryi Panny i pozwalające użyć na ratunek dusz zmarłych wszystkich odpustów zakonom łacińskim przez Pawła V udzielonych. Zatwierdzając powtórnie, albowiem roku 1624 przez Urbana VIII było to im przyznane. Osobny został utworzony rytuał na odprawianie *Officium* w dzień ś. Bazylego na intencyą wszystkich wiary św. wyznawców. Dana wolność X. Bazylianom odprawia-

nia mszy świętych jedną lub dwoma godzinami przed zorzą i godziną po południu. W wielki czwartek mogą mieć dwie Msze święte. Księża Opaci obrządkiem biskupim mogli poświęcać kościół, kaplicę, kamień i fundamenta, obrządkiem biskupim błogosławić. Z mocy tych wspomnionych listów XX. Bazylianie mogli spełniać powinności Proboszczów w obcych parafiach, tylko proboszcza o tém uwiadamiając. Pius VI chcąc zasługi Missyonarzów w całym kościele odznaczyć udzielił kapłanom, ołtarza osobistego uprzywilejowanego, przez trzy dni w tygodniu *Altare privilegiatum personale*. Missyonarz odprawując Mszą ś. w każdem miejscu tyle dla dusz ludzkich naczerpać może z skarbu łask kościoła, jakby odprawiał na uprzywilejowanym Ołtarzu. Tenże przywiléj mieli wszyscy Bazylianie odprawując Mszą ś. w dzień zejścia zmarłego. XX. Bazylianie dopiéro od Synodu Zamojskiego r. 1720 przyszli do ukształcenia reguły; długo byli tylko mnichami bez związku ze sobą, bez żadnego moralnego i umysłowego znaczenia; szczególnie przed Unią. Przed Unią od r. 1595 do r. 1720 mało znani, bez znakomitszych czynów i posługi tylko nabożeństwem się zajmowali, nie mieli kapituły swojéj, kongresów prowincyi, ani uregulowanego stroju. Przez długi czas ani kongregacyi, ani uregulowanego stroju, ani udoskonalonéj reguły, ani wskazanych wyraźnie obowiązków; starym wschodnim zwyczajem, jedni duchowni byli świeccy, drudzy bezżenni mnisi; zwano ich *Humennymi* od przełożonego Ihumena, jak widzimy w przywileju 1731 r. Stanisława Potockiego Wojewody bełzkiego, zowie ich *Humennymi*. Litewska Prowincya pierwéj się urządziła przed Synodem Zamojskim r. 1617 JW. Rucki Metropolita całéj Rusi na kapitule nowogrodzkiéj utworzył prowincyą Litewską pod tytułem ś. Trójcy. W koronie późniéj. Na zasadzie wyroku Synodu Zamojskiego, X. Szeptycki Metropolita zło-

żył generalną Kapitułę we Lwowie r. 1739. Na niej wszystkich zakonników w Koronie mieszkających w jednę kongregacyą połączył. Odtąd zwać się zaczęli Bazylianami, mieli Prowincyała, przepisany im został jednostajny ubiór jaki dziś noszą. Prowincya koronna została pod Opieką N. M. Panny. Ś. zgromadzenie *de propaganda fide* obie prowincye, Litewską ś. Trójcy od 1617 r. trwającą, i nową Koronną Opieki N. M. Panny w r. 1739 złączyć postanowiło r. 1742 z woli Ojca św. Benedykta XIV o tem wydany dekret (wyrok). Nuncyusz B. Nicejski X. Paulucci wydał obwieszczające listy, w których wyrok Ojca ś. Benedykta XIV kommunikował. Obydwie prowincye po raz się pierwszy zjechały na kapitułę Generalną do Dubna. Odbyła się r. 1743 pod prezydencyą zastępującego Nuncyusza B. Laskaris w obecności Metropolity Atanazego Szeptyckiego. Zjednoczone dwie prowincye w Kongregacyą jednę, oddane zostały pod rząd Jenerała Zakonu Proto-Archimandryty. Zachowały nazwę dwóch prowincyj, każda wybierała Prowincyała mając swoje prowincyonalne kongressa, jak widzieliśmy i mówiliśmy o Hojskim. Na téj generalnéj dwóch prowincyj kapitule, urządzona, udoskonalona reguła, nazwana *reforma* zakonu. Kapituła prowincyonalna koronna Uniejowska, na któréj Morgulec prowincyałem obrany, ustawy zwane Hojskie roztrząsała, nowemi kształcąc ćwiczeniami zakonnemi do wysokiego szczebla doskonałości wznosiła Bazylianów stawiając ich na świeczniku naszego społeczeństwa. Zgromadzenie pracowite, czynne oddane modlitwom, we dnie i w nocy kościołowi, Missyom, szkołom poświęcone. Inne zakony miały te prace między siebie rozdzielone, XX. Bazylianie sami spełniali wszystko zachowując do tego ostrość reguły, równą niemal XX. Kapucynom. R. 1784 kapituła Zahorowska ustanowiła w Tryhurach szkołę główną Missyi pod zwierzchnością ukształ-

conych kaznodziei; w Poczajowie, gdzie nie było wyższych szkół świeckich, kurs Teologii dogmatycznéj i moralnéj, gdzie kształcono spowiedników. Na Podhoreckiej i Milewskiéj obradach ustanowiono raz na zawsze, aby XX. Bazylianie spowiedzi słuchający corocznie 4 razy przed nauczycielem lub przełożonym z umiejętności sprawowania Sakramentu Pokuty examen składali. Każdy klasztor Missyi powinien cztery najmniéj corocznie dopełnić, zdolniejsi kaznodzieje do klasztorów sąsiednich i bliższych dojeżdzać w czasie Świąt uroczystych byli obowiązani. Wzajemny stósunek między klasztorami do nadzoru karności i posługi kaznodziejskiéj regułą zalecony. Ustawy kapituł ukształcały zakonność, która w rychłym rozwiniona czasie wydała wielkie owoce. Każdy szczegół duchownych potrzeb miał sposobiących się i poświęconych ludzi: missyi, usługi parafialne administrowanie Sakramentów, szkolne nauki. Według ustaw kommissyi edukacyjnéj studenci w soboty powinni przychodzić do kościoła na litanią wspólnie z zakonnikami śpiéwaną. W niedzielę po godzinach kapłańskich profesorowie uczniów wprowadzali na Mszę ś. Zawsze w chórze usposobieni Studenci śpiewali. Śpiewania pięknego czasu Mszy św. w szkołach Bazyliańskich uczono. To dwoiło pobożność i zapał do chwały Boskiéj *qui cantat bis laudat.* Co miesiąc Studenci przystępowali do N. Sakramentu.

Utrzymywano przytem dziejopis klasztorny, Regestra obligów, zakonne akta; wszystko się koncentrowało w ogólném najglówniejszem Archiwum Poczajowskiem: Metrykę osób zmarłych dwóch prowincyj, metryki parafialne, katalog ksiąg bibliotecznych, kształciły się przeto pewne pisarskie usposobienia. Czuwał nad wszystkiém Prowincyał osobiście zwiedzał i pisał listy, które były *odwiedzeniem duchownném braci.* Co do karności kapitułą Uniejowską nakazana klauzura, wszelkie wy-

chodzenie było wzbronione, listów bez przełożonego do Rodziców i familij pisać nie wolno. Sposobiący się na kapłanów dwa razy na rok ośmiodniowe w zupełnéj osobności odbywać musieli rekollekcye, prócz jednéj osobnéj głównéj, w któréj się z niedostatków swoich próbowali. Czasu obiadu przez wszystkie dnie czytane koleją rozdziały z Pisma ś., Regułą ś. Bazylego, żywoty świątobliwych zakonników, nauki z Teologii moralnéj, szczególnie o kierunku ludzkiego sumienia. Wieczorem wszyscy na uczczenie najświętszego Sakramentu chodzić powinni i śpiewać Hymny. Mnisi Lajcy, jeśli byli usposobieni do rzemiosła, lub artyści ustawą do sprawowania rzemiosł obowiązani, nie uwalniając się od chóru i innych obowiązków, gdyby czas jaki opuścili znane im rzemiosło, wrócić powinni byle bez zapłaty i doczesnego zysku dla saméj nagrody w Niebie pracowali. W rejestrze zakonnym każdego rzemiosło adnotowane, Missyonarze, Profesorowie zakonnicy, przełożonego o błogosławieństwo w pełnieniu powinności prosić powinni z uderzeniem wielkiego pokłonu, obrządkiem wschodnim w obec nawet obcych i gości. Nowiciusze ich sposobem Jezuickiem kształcili się w mowach, w kazaniach, w refektarzu. Przez czas studiów w kościele obowiązani byli nauczać katechizmu lecz nie z ambony i zawsze z Sociuszem. Tak pisze do nich r. 1777 Prowincyał: „Bracia, bądźcie posłuszni przełożonym, za„chowajcie zgodę, ścisłą serc jedność, miłość nierozdwo„joną wzajemnie szczerą, zadosyć się stanie naszemu „powołaniu. W dzień nawiedzenia was ostatecznego „będziecie radości pełni.“

Po pierwszym rozbiorze kraju, gdy część prowincy koronnéj odpadła do Austryi, a część do Rosyi r. 1775 wtedy wypadło za kordonem utworzyć nowe prowincye. Roku 1781 d. 1 stycznia po raz ostatni zjechali się wszyscy Bazylianie z całéj Rzeczypospolitéj na gene

ralną kapitułę w Białym Stoku ze względu na nowe krajowe wypadki rozdzielili się na 4 prowincye: dwie za kordonem Galicyjską i Białoruską a w Rzeczypospolitéj zostały dwie jak przedtem koronna N. Maryi Panny i Litewska św. Trójcy. Do r. 1775 koronna liczyła 65 klasztorów, jedne były większe rządzące, drugie mniejsze, które pod zwierzchnością i opieką większego zostawały.

Klasztory większe rządzące.	Spis klasztorów koronnych.
Ostrogski zależne od niego:	Hojski i Struktowski.. 3.
Humański	Kaniowski, Lisiański, Granowski .... 4.
Lubarski	Tryhurski, Biłołowski... 3.
Szarogrodzki	Seinonecki, Korzowski Maciejowiecki, Hołowczyniecki .... 5.
Kamieniecki	Bilczecki............. 2.
Trembowelski	Czortkowski, Satanowski, Ułaszkowiecki, Strusowski .... 5.
Wicyński	Krasnopustyński, Zawałowski, Sokolecki, Łukoczyński............. 5.
Kryłowski	Zadarowski, Pohoński, Uhernicki............ 4.
Lwowski ś. Jerzego	Lwowski: ś. Jański i św. Onufrejski.......... 3.
Dobromilski	Hoszowski, Drohobyski.. 3.
Krechowski	Ławrowski, i Śto Spaski. 3.
Krystynopolski	Szczepłocki, Czernielawski Domuszewski .... 4.
Zamojski	Werchracki i Lubelski... 3.
Podhorecki	Derewianowlicki, Jazienicki i Złoczowski..... 4.
Poczajowski	Zahajecki, Krzemieniecki, Zbaraski, Midorecki .. 5.

Białostocki	Łuski, Podzbronicki, Jumiński............. 4.
Zahorowski	Zuimowski, Nuslliniecki Puhyński, Smilecki... 5.
Warszawski	.... 1.
	Ogólnie koronnych klasztorów... 66

Przełożeni Superiorowie klasztorów rządzących, czuwali, administrowali nad 4 bliższemi lub trzema wedle téj tabelli. Tem urządzeniem rozległa prowincya rządziła się z łatwością przez Prowincyałów 17 Superiorów klasztorów większych te 66 klasztorów w Koronie były szkołami szlacheckiéj młodzi i wysyłały missye dla religijnego kształcenia ludu. Z tych wielkich czynów kościoła doskonale do kraju naszego zastósowanych poświęceniem się i obywatelstwem kapłanów naszych zakonników, jeden tylko szczegół chciałem uczynić mniéj więcéj dokładnym. Z takich szczegółów utworzy się historya kościoła; szczegóły o zakonach, o klasztorach ich regule, sposobie życia zdają się być nie interesujące szczególniéj w wieku naszym, gdzie literatura schlebia skłonnościom czasu. Sądzę lepiéj przypatrzmy się środkom ustanowionym i spełnianym dla doskonalenia człowieka i ludziom powołanym do pośrednictwa przed Bogiem i błagania za grzechy nasze.

Życie zakonne jest nieodzownym warunkiem bytu śmiertelnych. Potrzebują bowiem ubłagania, miłosierdzia i wzorów doskonałości. Życie zakonne jest rzeką światła i miłosierdzia bożego; uświęceni zrzeczeniem się, czerpać mogą łaskę boską dla odwrócenia kar i zlania błogosławieństwa. W zeszłych czasach wszystkie rodziny przez synów i braci z kościołem były złączone. Dziś to powołanie ta skłonność i ochota wygasły, widzimy z jaką niezwykłą szybkością upadają rodziny dawne, i nowe schodząc bezpotomnie. Nie można tego czemu innemu przypisać tylko zatraconemu do stanu duchownego a

szczególnie do zakonu powołaniu. Ustało pośrednictwo nie ma komu odwrócić kary Boga, wyjednać miłosierdzie, zlać łaskę, zarobić błogosławieństwo. Starania i prace rodzin nie utrzymają, trzeba błogosławieństwa boskiego, to nie jest zasłużone przeciwnie stracone. Widzimy ludzi pracujących, ale w grze, służących ale swym namiętnościom, *Kto zasiewa w zgorszeniu zniszczenie żąć będzie.* — Czém stać się mogą i na czém opierać rodziny? na majątkach, na zbiorach, silniéj chociaż bez krzywdy drugich pracy? Zapewnie istnieć bez tego nie mogą, są to jednak tylko piedestały. Ręka pierwszego rodziny fundatora majętność wznieść musi oddając wszystkę pracę i cały czas swój. Raz ten piedestał ustawiony, mamyż na nim bryły budować, piątrzyć jedne na drugich? Z natury rzeczy potrzeba jakiś wznieść pomnik, potrzeba na tym piedestale fortuny ziemskiéj: uczuć szlachetnych i wzniosłych czynów obywatelskich, nie dość na tém, uwieńczyć jeszcze należy błogosławieństwem boskiém. Błogosławieństwo ustala przez długie czasy, życie rodów dając z nich *owoc*; błogosławieństwo nie daje się darmo, zasług potrzeba jedynie na ofierze się opiera. Są ludzie co się: woli własnéj, własności, rodzinnych stósunków i co najdroższa jest, co my losem i szczęściem zowiemy, dla Boga się zrzekli. I to jest *ofiarą.* Ofiara ta zasadą jest boskiego błogosławieństwa dla kraju całego, dla szczególnych rodzin. Gdy z nich ofiary ku niebu nie płyną, nikną idąc w poniewierkę, tracą potomki, są społecznemi rozwalinami. Niech mi się godzi przeto wskrzesić ten rodzinny dawny nasz zapał do stanu duchownego, do zakonów. Dziś w téj powodzi romansów mamy pewny, stały kurs publiczny serdecznych uczuć i miłych dla myśli wrażeń gdzie wszystkie charaktery uczucia wystudiowane uchwycone namiętności zebrane nawet kruszyny uczuć, które my szczęściem zowiemy co są zmętem wzruszeń nadziei nigdy niedopełnionych;

przytem rozwinione barwne wstęgi piękności estetycznéj i zmysłowéj. W téj powodzi romansów zwierciadełek tego wieku gdzie dowcip i zmysły żyją a dusza niszczeje niech mi wolno wspomnieć nieznanych ziomków ubogich pracowników *żywota wiecznego*. Wróćmy teraz do klasztorku *humańskiego*. R. 1778 ogłoszoną została śmierć Metropolity X. Leona Szczeptyckiego. Roku 1779 dnia 11 Czerwca za staraniem X. Pazarewicza wprowadzone do Humania S. Onufrego, S. Jana Chrzciciela relikwije dnia 24 Julii. Gasper Gottlieb ewangelik z Prus rewokował, N. Sakrament publicznie w Humaniu przyjął. — Roku 1779 partykuła krzyża drzewa świętego przez tegoż przełożonego z wielką świątobliwością wprowadzona do kaplicy, osadzona w wielkim krzyżu. Roku 1780 tegoż roku murował się kościół, dotąd była kaplica. Fabrykę zwiedzał Potocki wrócił wtedy z wojażu Branicki i Rzewuski hetmani przyjmowani byli przez niego w Humaniu strzelaniem z armat. R. 1783 z klasztoru humańskiego wysłany został Bazylian na naukę do Rzymu a Superior krzemieniecki X. Krownicki na Rektora przybył. Tegoż roku był świetny egzamen filozofii scholastycznéj; Szczęsny Potocki był obecnym zjeżdżał dla odwiedzenia Repnina, który przebywał tego roku w Humaniu, w kościele bazyliańskim zawsze się modlił. Klasztor tego roku wysłał dwóch zdatnych ludzi jednego na korrektora topografii drugiego na profesora filozofii zakonnéj i świeckiéj do Poczajowa r. 1784 dnia 15 Aprilis. Repnin wyszedł z Humania, na wyjazd jego przybył równie Potocki, Repnin odchodząc z Humania ofiarował XX. Bazylianom złotą tabakierkę z uprzejmym listem, słuchał Mszy ś. w ich kaplicy przez cały swój pobyt. Tegoż pułkownik Sotlohab z pułkiem huzarów wyszedł z Humańszczyzny do Berdyczowa. Tego roku 1784 profesór filozofii zakonnéj długo tam mieszkający X. Szaszkiewicz wyjechał na kapitułę generalną do Zahorowa miał mowę

pożegnalną, powszechnie był szanowany, do Humania niepowrócił, został prokuratorem w Warszawie r. 1784. Przybył na przełożonego exprowincyał X. Margulec r. 1785 trwoga była w Humaniu. Rozeszła się wieść: poddany rosyjski Tereszko za rozboje knutowany uciekł zbierał hultajów i groził rzezią. Potocki dla bezpieczeństwa miasta przysłał szwadron kawaleryi Narodowéj, część żołnierzy z swego regimentu jako był regimentarzem Rzeczypospolitéj partyi Ukraińskiéj. Była to płonna wieść a rozsiewający byli karani. Rok 1785 już się mury kościoła ukończyły. Tego roku dla zwiedzenia kościoła i szkół przybył znowu Potocki. Był członkiem kommisyi edukacyjnéj przeto go szkoły i studenci uroczyściéj witali; miał mowę w języku polskim X. Strojnowski matematyki profesór. R. 1785 do Humania przybył gość wielki Ignacy Potocki marszałek W. Ks. Litewskiego bawił tydzień. — Ignacy Potocki usiłował skłonić Szczęsnego do zjednania się w tych zasadach, wyobrażeniach, które reprezentował. — Powtórnie przybył Branicki. Szkoły dygnitarze ci zwiedzali, studenci obyczajem szkół dawnych grywali *djalogi teatralne.* Cała szkoła wszyscy studenci odprowadzali gości do Buków skąd się rozjechali Branicki do Białocerkwi, Potoccy do Tulczyna. W Bukach reprezentacyą teatralną, studenci gości bawili. W tym roku 1785 kościół humański zmurowany skończony w lat 20 po fundacyi.

Roku 1783 wyszedł Edykt cesarski w Wiedniu, aby duchowieństwo Rzeczypospolitéj, fundusze swoje odebrało lokowane na dobrach w Galicyi, wszystkie zakony, Bazyliański przeto, całe duchowieństwo podało o tem urzędowi wiadomość. Ta była składana w Ostrogu. Do odebrania ich jednak nigdy nie przyszło. Fundusze kapituły były też znaczne należące się duchowieństwu w Galicyi, lokowane na dobrach i majątkach Rzeczypospolitéj. Nastąpił układ między rządem cesarskim a Rzecząpospolitą

rządy te sumy wzajemnie sobie ustąpiły, była to pierwsza konfiskata dóbr w Polsce duchownych nigdy przedtem niezasłyszana. Kapitały zakonów Rzeczypospolitéj w Galicyi lokowane, wcielił do skarbu swego rząd austryacki wzajemnie rzeczpospolita nie oddała kościołowi ale przeznaczyła na komisyą wojskową. Summy należące się klasztorom galicyjskiem nazwano *sumami pogalicyjskiemi*. Komisya wojskowa jednak nieodebrała od roku 1775 zaległe procenta. R. 1803 starosta Czacki wyrobił ukaz u cesarza Aleksandra I przeznaczający tę summę na publiczną edukacyą; ustanowiona na ten cel komisya sądowa *edukacyjna*. Wydawała dekreta zapłacenia bez apelacyi magistratura inkwizycyjna sądowa mając sekretarza biegłego prawnika Borkowskiego w zeschłéj postaci umysłowego olbrzyma z rozumem stworzonym nie z ksiąg lecz z pracy stósunków z ludźmi i doświadczenia, z szybkością wyśledziła sumy opierając się na relacyi do Ostroga przysłanéj zaliczając od r, 1783 procenta. Zaledwie pozwany dłużnik usłyszał dekret i egzekucyą, apelacyą ratować się nie mógł. Strona była i sędzią.— Ogromne kontrybucye sum pogalicyjskich wypłacono. Ogromne było oburzenie lecz zasilił się fundusz edukacyjny, wszystkie szkoły i zakonne mogły mieć wsparcie i pomoc pieniężną.

Roku 1787 pamiętnym na Ukrainie z bytności króla Stanisława Augusta w Kaniowie, Ukraina się rozjaśniła, cesarz rzymski tędy przejeżdżał. X. B. Naruszewicz zwiedzał z królem, wizytował szkoły i wiele świetnych gości. Ukraina była jakby dworem królewskim. Było to czasu świąt wielkanocnych, gdy lud ukraiński zawsze się czegoś spodziewa, pragnie, nie zwykłém uczuciem woła zmartwychwstałego Zbawiciela. Podnosząc się z grobu zawsze promień życia na lud swój zlewa Zbawiciel; lud prosty wierzący nie zmazał danego namaszczenia boskiem objawieniem. Uczuwa zawsze ten promień łaski boskiéj nań w dzień Pańskiego Zmartwychwstania pły-

nącéj. Cóż się to działo gdy w czasie tych stale okazałych, z uniesieniem jakby raz pierwszy obchodzonych świąt Wielkanocnych król był obecnym, nogi 12 starcom umywał, przyjmował publicznie przenajświętszy Sakrament. Na procesyach obecny karty księgi świętéj wedle obrządku wschodniego kładzionéj na głowach ludu król trzymał. Zewsząd bieżono do Kaniowa król był hojnym i przystępnym, lud się mu Ukraiński podobał obeznał się z nim trzy niedziele w Kaniowie na wsi prawie mieszkając, w dalekie strony wycieczki czynił, rozmawiał, darzył; już wielką miano do króla śmiałość. Stój, Stój wołała zadyszana ukraińska dziewka wstrzymawszy karetę królewską, pocałowała w rękę mówiąc chciałam zobaczyć ciebie królu. *Król* jedzie, król jedzie z radością wołano. *Salve rex* studenci wołali czyniąc mu w kształt ulicy przechód z orszaku swego król na examinie bywał. Zarządzał szkołą w Kaniowie X. Fizykiewicz Opat znany z zasług w zawodzie edukacyjnym szczególniéj przez Kołłątaja ceniony miał z nim korespondencyą i trwałe stósunki, otrzymał medal złoty *Merentibus*. Zwykle na egzaminach bywał z królem X. Naruszewicz. Gdy się przybliżyła cesarzowa uderzono w Kaniowie 100 razy z armat. Król w towarzystwie Synowca X. Stanisława hetmana Tyszkiewicza i X. biskupa Naruszewicza płynął łódką pięknie przybraną, przysłaną od cesarzowéj, majtkowie ustrojeni. W czasie płynienia dawano ognia na całéj flocie i muzyka grała. To samo było gdy wracał. Po powrocie góra Moskiewką zwana była illuminowana i wieża 50 łokci wysoka umyślnie postawiona z cyfrą cesarzowéj. Puszczano race i dano 100 razy z armat ognia. Góra zmieniła się w ognistą piramidę. Cały lud Ukrainy zbiegł się do stóp téj góry, cesarzowa nazajutrz odpłynęła, król odjechał. W Ukrainie jak echo po silnym głosie. To nowe życie i jakoby jasność zgasła, zniknęło zostało:

„Cicho, pusto, w bujnéj Ukrainie;
Cicho, pusto, jak gdy szczęście minie.“

Rok 1787 był posusznym. Upały wielkie zniszczyły urodzaje, armia rosyjska pod wodzą ks. Romiańcowa przechodząc na turecką wojnę w Ukrainie zimowała, było kilkanaście tysięcy polskiego żołnierza. Wielkie były dostawy zboża do armii. Drożyzna niezwyczajna korzec żyta złp. 21; można go było kupić za złoty. Po raz to pierwszy zboże w Ukrainie kupowano, dawniéj na targu korzec owsa groszy 6. W czasie téj wojny tureckiéj, niektórzy zrobili fortuny, możniejsi znaczne pieniądze mieli, ubodzy marli z głodu, było ztąd wiele napadów i nie jedna śmierć.

Roku 1788 był mróz na Ukrainie aż do zamarznienia merkuryuszu przez trzy dni, czego nigdy nie pamiętano, potém mrozy silne z nieznośną śnieżnicą przez dwa tygodnie, która wiele ludzi i bydła zasypała, wsie wysyłały gromady do odrzucania dróg, a że napróżno, przez dwa tygodnie jakoby w potopie mrozy nie wolniały, śnieżnica nie ustawała. Tę zimę do dziś dnia pamiętają, zowiąc ją *wielką zimą oczakowską*.

Królowie pomazańcy boscy dawniéj uzdrawiać mogli, widzenie ich przynosiło błogosławieństwo. Król Stanisław radośnie przyjęty, widać nie miał zasług u Boga, rozdawał pieniądze ludowi, nie udzielił mu powodzenia; zaraz po odjeździe jego, przeszły się po Ukraińskiéj ziemi głód i zima wielka. Hetman Branicki często za obozem się włóczył téj zimy, z Oczakowa wracał i był w Humaniu.

Roku 1788 metropolita całéj Rusi X. Smogorzewski zakończył życie, kościół własnym kosztem zmurował w Warszawie, ozdobiony pięknemi obrazami Smuglewicza.

Roku 1789 dnia 2 stycznia następca jego X. Rostocki rozesłał list pasterski. Byłoto czasu sejmu cztero letniego

w liście swym zalecił modlitwy powszechne o zgodę i jedność sejmujących stanów. W tym celu osobne nabożeństwo przed Najświętszym Sakramentem, każdéj niedzieli i święta uroczyste, nowy metropolita XX. Bazylianom i całemu duchowieństwu zalecił.

Roku 1789 Rektor humański do nowego metropolity do Radomyśla jeździł, przywiózł obraz Matki Boskiéj przez konsystorz za cudowny uznany od państwa Tadeusza i Brygidy Lipkowskich Podstolstwa Inflanckich ofiarowany. Oddali go najprzód do cerkwi jednéj parafialnéj gdzie lat 20 zostawał, potém na zawsze w tym roku kościołowi XX. Bazylianów Humańskich oddali. Solennie z wielką uroczystością do kościoła wprowadzony. Było to dnia 6 decembris w dzień ś. Mikołaja; przy procesyi, dawaniu ognia z armat i muzyce. Trzech księży w ubiorach kapłańskich wnosiło obraz ten na ołtarz r. 1789.

Było kilka pogrzebów w Humániu p. Gośniewskiéj Komornikowéj Czerskiéj, cztery przy eksportacyach i kondukcie exorty, jedno kazanie w czasie summy, zbiór liczny obywateli. Tego roku XX. Bazylianie otrzymali relikwije ś. Teofilakta z Rzymu do Humania przysłane, Dnia 20 grudnia był grzebanym p. Osmulski towarzysz kawaleryi narodowéj. X. Rektor uroczyście swym kosztem chował na publicznym cmentarzu sam celebrując, z rzewném uczuciem miejscowego dziadka, któremu lat 100 dawno przeminęło. Roku 1791 w Humaniu u Bazylianów pogrzebana p. Moszczeńska jenerałowa wojsk polskich. Staruszek kwestarz Augustyanin z Kodni kochany i znany wszędzie 90-letni aż do śmierci pracujący, pobożny, wesoły, miły. X. Jacek w drodze zatrzymał się w Humaniu i umarł. Przybył X. Fizykiewicz wspominany często przez Kołłątaja, wizytował szkoły, pontyfikalnie celebrował. Roku 1791 wysłano X. Michalewskiego z Humánia profesora do Alumnatu rzymskie-

go. Tego roku X. Skarbek Warzyński generał zakonu Bazylianów został biskupem Chełmskim. R. 1792 umarł w Humaniu Rektorem ex-prowincyał Morgulec zasłużony i szanowany, przy zebraniu ludu, obywateli, księży, uroczyście pochowany. Prowincyałem został opat Owrucki X. Jozafat Ochocki w 1794 roku wysłany na Syberyą.

Roku 1793 objawionym był manifest cesarzowéj Katarzyny II. przez namiestnika Kreczetnikowa, i wszyscy złożyli XX. Bazylianie przysięgę; odtąd inna nastąpiła dziejów karta. XX. Bazylianie Humańscy lękając się konfiskaty dóbr i zaboru kościoła, poszli na lat kilka w rozsypkę. Klasztor ich Szczęsny Potocki na dom swój zajął, wsie Monasterek i Gedłenówkę objął w swoję administracyą, wpływem swoim od kassaty ocalił; w lat kilka, gdy na nowo przybyli, oddał im wszystkie intraty najskrupulatniéj zachowane. — Po rozbiorze kraju, kościół katolicki, wszystkie jego fundacye, klasztory miały opiekę zapewnioną, nie doznały prześladowania i straty. Nawet cesarzowa Katarzyna II. odznaczyła się opieką dla XX. Jezuitów, hojną fundacyą kościoła św. Katarzyny w Petersburgu. Lecz los Bazylianów i Unii od téj protekcyi był wyłączonym. Zaczęło się to jeszcze za Rzeczypospolitéj od saméj gwarancyi, która stawała w opiece Dysunitów. Po Synodzie Brzeskim, jeszcze była w Polsce trzecia część cerkwi dysunickich. Po Zamojskim już prawie nie egzystowała. Tak była mała ich liczba, iż nie mieli swego nawet w Rzeczypospolitéj biskupa. Ośm było monasterków w lasach czehryńskich po 6 dymów do 15 mających funduszu, Archimandrya Słucka i Ś. Ducha w Wilnie. Te monasterki były zarzewiem skąd wybuchła wojna domowa, rzeź Gonty. Archimandryta Słucki Sadkowski, pisał sekretne listy, wzbraniał się modlić za króla, był nawet sądzony za nieprzyjazne knowania w czasie sejmu, ale wypuszczo-

ny, na miejsce swoje powrócił. Był największym nieprzyjacielem Unii, pisał listy „czas, aby ta zapora i ściana zwaloną została.“ Cerkiewki Czehryńskie były pod zarządem biskupa Pereasławskiego za Dnieprem. Nieobecny rządził przez wikarego Melchizedeka Jaworskiego. Znane są tego wikaryusza niecne z Żeleźniakiem knowania. Dysunia za Rzplitéj miała dwóch przewodników rządzców X. Sadkowskiego w Słucku i X. Jaworskiego na Ukrainie. Obaj nieprzyjaciele ukryci i jawni Kościoła katolickiego nadewszystko Unii ś. nawet krwią zbroczeni.

Roku 1785 ustanowiony pierwszy Biskup grecko-rosyjski w Łucku żądał od Rzeczypospolitéj spełnienia traktatu gwarancyi uznając za rok normalny 1717. Wszystkie cerkwie, które w tym roku były Disunickie według traktatu wracać do nich były powinny Do tego uciążliwego traktatu spełnienia nie przyszło. Nowy Biskup Łucki o to się jednak upominał. Po rozbiorze kraju zaraz X. Sadkowski stanął na czele przyłączenia wszystkich cerkwi parochialnych do panującego wyznania. XX. Bazylianie wszyscy się oparli, ani jeden klasztòr nie odstąpił Unii. Wtedy była piérwsza kassata klasztorów Bazyliańskich w latach 1795 i 1796. Granów, Szarogród, Białołówka, Kamieniec i wiele innych zostało skasowanych. Poczajów jednak pozostał, Lubar Humań. Cała prowincya litewska ś. Trójcy, Nowa Białoruska zostały przy Unii tak klasztory jako i parafie. Tylko Ukrainę, Podole, wielką część Wołynia, oderwano, zostawując gdzie niegdzie klasztory Bazylianów jako wysepki wśród ludu już innego wyznania i obrządku. Wiele było walki i Parochowie opuścili parafie zostali przy Unii. Cesarzowa Katarzyna II zaleciła im płacić dożywotnią pensyą. Odtąd uformowały się kaplice w Ukrainie na Podolu, Wołyniu dla pomieszczenia Parochów unickich wiernych kościołowi. Kościoły były

przepełnione parafialne katolickie pomagającymi Wikaryuszami Unitami. Przy Unii zachowane prawo wschodniego kościoła dozwalające małżeństwa, wiele się przyczyniło do słabości oporu. Jednak wiemy, że wielu Unitów w pierwszej kasacie zwalczyło miłość swych dzieci i żony dla wiary. Litwa i Białoruś, Polesie kujawskie całe Owruckie, dawny Powiat Zytomierski, część Łuckiego stało się tak silnym murem. W téj pierwszéj kasacie ani jedna cerkiew, ani jeden kapłan nie utracony. Bazylianie i Unia byli pierwszém szańcem kościoła na który uderzono walecznie. W tym czasie nawet za Cesarza Pawła Biskupstwa Unickie, Łuckie, Włodzimirskie skasowane, katedry zastały w ruinie, dobra skonfiskowane. Metropolitalne dobra klucz Radomyski oddany Złotnickiemu.

Unia w Polesiu na Białorusi i Litwie została nie tknięta, wspierali ją Biskupi Alumnowie rzymscy. Ostatnim Alumnem był X Bułhak Metropolita.

Cesarz Aleksander odebrał Opactwa dermońskie i Dubieńskie, wyszedł ukaz wzbraniający wstępować do Bazylianów ludziom rzymsko-katolickiego wyznania. To zadało cios wielki Bazylianom na Ukrainie i Podolu. Ludzie rzymsko-katolickiego wyznania szlachta zasilała najdzielniéj zgromadzenie wielką liczbą talentów ludzi rozumnych; odtąd ograniczać się musieli klasą niższą, klasa wyższą wiemy wszyscy, że byli katolikami. Trzeba było czerpać z przyrodzonego środka z synów Parochów, parochie zostały wcielone do panującego wyznania, przeto zabrakło im Subjektów. Otoczeni ludem już inszego wyznania jednak zostawione im klasztory na Wołyniu, Ukrainie, w świetnym stanie utrzymali z wielkiém poświęceniem się i wysiłkiem jako co do chwały Boskiéj, Poczajów w Luborze, Barze, Humaniu, Kaniowie, Włodzimierzu, Owruczu, mieli szkoły do drugiéj kassaty r. 1832 stale się utrzymali. Czacki uprze-

dzony do edukacyi duchownych, cenił szkoły Bazyliańskie; miały dzielnych profesorów i formowały zdolnych uczniów, celowały nadewszystko dobrém wychowaniem, obyczajowém i utrzymaniem młodzieży w zupełnéj niewinności. — W tych prowincyach Humańska, Barska, Luborska, były szkoły znakomitsze Włodzimierska, Owrucka mniejsze, Kaniowska. Nic tu nie mówię o Bazylianach, Litewskich, Białoruskich, na to osobne dzieło poświęcić trzeba. — Mówię tylko o części Prowincyi koronnéj, która po odpadnieniu Galicyi została pod rządem Rosyjskim.

XX. Bazylianie jak się zastósować umieli do rządu edukacyjnéj komisyi, tak równie potem do rządu uniwersytetu Wileńskiego i wizytatorów, najprzód stałego jakim był Czacki a potem rozmaitych czasowie przysyłanych Humańska szkoła odpowiadała gymnazyom, pomimo ciężkich okoliczności nie upadła ale podniosła się i była wyższą jak za Rzeczypospolitéj; przybyły pomoce z ksiąg elementarnych już wydoskonalonych szczególniéj w maematyce umieli wśród siebie XX. Bazylianie wynaleść talenta i skupiali je w Humaniu Śmiało rzec można szkoła humańska przewyższała wiele świeckich szkół. Z Humania uczniowie wprost się do uniwersytetu udawali, znakomici młodzieńcy w Warszawie chlubę téj szkole czynili, jeśli stosując się do słów Zbawiciela mąmy oceniać drzewo z owoców jego, szkoła humańska była drzewem najlepszego gatunku, patrząc na owoc jakim jest między wielu innymi wieszcz Ukrainy B. Zalewski. Dochował wdzięczność i cześć dla szkoły, winien jéj wrażenia religijne, uczucia pobożne, które tak rozwinął, że się do nieśmiertelności uniósł. Bazylianie po 1széj kasacie bez pomocy już przybywających łacinników jednak silniéj stali co do boskiéj chwały w Poczajowie, co do szkoły w Humaniu. Missyi już od 1795 czynienie nie było wolne. Poczajów był zawsze stóle-

cznym Rusi kościołem, przybytkiem chwały, w którym się wszystkie jednały wyznania, katolicy, unici, lud grecko rosyjski i z najdalszéj Rosyi, — wszyscy jakby rzeką płynęli do morza łaski. Z téj świętéj stopki wytrysk żywota po długie czasy nas uszczęśliwiał. — R. 1832 był końcem szkół w Humaniu Bazyliańskich i ich istnienia. Nie dotykając dalszych dziejów na tém kończymy, krótkie o Bazylianach wspomnienie.

E. Helleniusz.

KILKA SŁÓW
O DAWNÉJ BRONI W POLSCE

z powodu broszury

JÓZEFA ŁEPKOWSKIEGO

›O BRONI SIECZNÉJ W OGÓLE I W POLSCE.‹

Wyczytawszy z wielką przyjemnością w „Czasie“ doniesienie o wyszłem z druku osobném odbiciu, Rozprawy Archeologa naszego p. Józefa Łepkowskiego: „O broni siecznej w ogóle i w Polsce“ z Rocznika Towarzystwa Naukowego Krakowskiego; postarałem się bezzwłocznie o to dzieło, jako przyjaciel wszelkich, jakichkolwiek płodów pióra polskiego; a tém więcéj, w rzeczach tyczących się wojskowości krajowéj. — Pośpieszam zatém wypowiedzieć wrażenie, jakie na mnie wywarła ta praca znanego Autora, zwłaszcza, iż tenże na str. 5 wzywa sprzyjających jego przedsięwzięciu, żeby go ra-

dami i świadomością swoją wspierali. — Lubo więc nie znajduję się w miejscu, gdzie mam jakie takie książkowe pomoce, w przedmiocie rzeczonéj Rozprawy, idąc jednak za przysłowiem: „co się odwlecze, często uciecze,“ odzywam się przez organ „Dodatku do Czasu,“ do dawnych Towarzyszów broni, oraz do Szanownych Zwolenników starożytności i rzeczy krajowych: żeby pospieszali dopomagać autorowi, który jak to wyraża na stronnicy 60, ma zamiar wydać drugą Rozprawę: O broni kolnéj, ostréj, czyli kłójącéj; które to oręże, jak wiadomo, zostają w związku z bronią sieczną, o ktoréj teraz p. Łepkowski zamierzył pisać wyłącznie. — O ile więc inne zatrudnienia i niedostatek pomocy księgowéj dozwalają, posyłam do druku pobieżne postrzeżenia, które mi przyszły do pamięci, czytając to dzieło o broni siecznéj; ażeby ułatwić i sobie i czytelnikom cytacye przedmiotów, przechodzić będę dzieło według stronnic.

Autor rozpoczyna rzecz od natury człowieka, który jeden ze stworzeń boskich używa: „ognia i broni,“ lubo to mniéj ma związku z przedmiotem, jakże tu nieprzypomnieć owego wzniosłego wyrazu Owidiusza, o różnicy człowieka od zwierząt, o jego szczytném przeznaczeniu?

„Prona cum spectent animalia cetera terram
Os homini sublime dedit, coelumque tueri
Jussit et erutos ad sidera tollere vultus“

Nie można obrazu tego dość często przedstawiać młodzieży, która, czy orężem, czy piórem, czy pługiem, chce się przysłużyć krajowi; bodaj zawsze miała w pamięci słowa Adama w Farysie: „Wyżéj wyżéj, i wyżéj! aż do niebios szczytu!..“ a nigdy nie zapadała w przywary, dozwolone: tylko niemyślącym istotom.

Szanowny Autor przyznaje na stron. 2, że w naszych

czasach „bitwy rozstrzyga oręż myślą prowadzony“ — otóż to i przyczyna, dla któréj ja, choć nie jednę wyprawę wojenną odbyłem, mniéj mogę dostarczyć spostrzeżeń o *Broni siecznéj*.

Napoleon, w którego bliskości odbyłem siedm lat wojny, cenił wysoko szpadę Fryderyka II, ale podobno oba ci wojownicy, mało dobyli szpad swoich. Patrzałem się sam, nie raz, jak król neapolitański Joachim, ów sławny dowódzca jazdy francuzkiéj: Murat, niedobywszy oręża, z chabiną tylko w ręku, wyprzedzał nacierające hufce.. i to był najdzielniejszy sposób prowadzenia konnicy, która swego ulubieńca nie mogła nieprzyjacielowi oddać.. tak i nasz książe Józef nacierał na czele swoich, i pieszych i konnych, niedobywszy oręża, wskazując im potrzebne ruchy, tylko krótkim cybuszkiem, czasami od ust odjętym, a tak zachęcał ich żeby ruszyli za nim, na miejsce natarcia...

Z takiéj to szkoły wychodząc, nie wiele umiem powiedzieć, o broni jedno siecznéj i obsiecznéj prostéj lub zakrzywionéj; bo te wszystkie czyny dzielności oręża, dobre były przed wynalazkiem prochu, i przed rozpowszechnieniem krociowych wojsk — dziś, bezwątpienia: dzielne natarcia piechoty na bagnety, a impet jazdy, mają znakomite, często stanowcze znaczenie; ale bagnety i pika nie należą do broni opisanéj przez Autora; a Jazda, czy ma proste, czy krzywe pałasze, byleby szła ostro, przewróci wszelkiego nieprzyjaciela, nawet bez użycia oręża, aż w pogoni.

Autor na stron. 3. uniewinniać chce przodków naszych, że nam mało zostawili nazw polskich, używanéj przez siebie broni; że tę i jéj nazwy brali od obcych, najwięcéj od sąsiadów Niemców:..

Wojskowi nie są tak wymyślni w nazwach... i tak bezwątpienia, starożytni pobierali użycie i nazwę broni od swych poprzedników, których zwyciężali; a w naszych

czasach, częstokroć pod hasłem i komendą obcéj mowy, zdobywano sobie wzajemnie, szańce i czworoboki.

Lecz kiedy Autor, na téj saméj stron. 3, żali się: jakoby „u sąsiednich narodów, w zaciężnych szeregach panował jednaki kord“ a u nas: „w Polsce, jak kto chce“, to po raz pierwszy muszę oświadczyć: że jestem zupełnie przeciwnego zdania. Mylném to jest twierdzeniem, i tylko na złośliwéj niewiadomości opartém, jakoby w Polsce, zdawna, było więcéj nieładu, jak indziéj.... Bezwątpienia, gdy wszelka wiedza przychodzi z doświadczenia, więc narody, powstałe z upadku Rzymian, mogły mieć zarodek wszelkiego porządku, wcześniejszy: niż potomkowie owych nieznanych Sarmatów i Scytów, co dopiero z wiarą Chrystusa zaczęli czerpać, od dojrzalszych braci Chrześcian, jaką taką oświatę i naukę: ale kiedy szanowny Autor chwali ład w zaciężnych szeregach sąsiadów, a gani: że u nas, okazuje się broń: wschodnia, niemiecka, północna, a nawet, francuzka i hiszpańska; więc ja ośmielam się utrzymywać: iż ta różność broni, była, i niemal jeszcze jest wszędzie, przy pospolitych ruszeniach, strażach narodowych, i jakichkolwiek nieregularnych uzbrojeniach: przeciwnie zaś niewątpię, że w regularném wojsku polskiem, nie było mniéj jednostajności i porządku, jak u innych narodów, bo Wojskowość wszelka i wszędzie, żyje tylko porządkiem, a zatem: gdziekolwiek był jaki Organizator wojska: jakto: Bolesław, Łokietek, Batory, i tym podobni; niezawodnie tyle było porządku u nas, ile gdzie indziéj. Zaś chełpliwe zdanie: „szabla, to broń polska, to symbol narodu!“ jeżeli jest jeszcze gdzie takie mniemanie, to mam je za szkodliwe i nie wojskowe; bo dawno minęły te czasy, kiedy samą szablą można było co przeważnego dokazać, a skojarzenie różnych części dawnéj Polski, mianowicie, Korony z Litwą, nie były skutkiem,

brząkliwéj szabli, i wrzaskliwych szermierzów, ale Polityki.

Na stron. 4 mówi Autor pod lit. c: że „po broni pogańskiéj, niemieckiej, wschodniej i szabli przepolszczonéj, nastąpił pałasz i powrót do Cudzoziemszczyzny“ to nibyto, szabla ma być wyłącznie bronią sieczną Polaków, na co nigdy przystać nie można, chyba że Autor, *Koncerz* odłącza do broni kłójącéj... zresztą, żadna broń nie może być poczytywaną za wyłącznie narodową, jak równie i strój, modzie ulegający, nie może być nazwany stale narodowym... nie sięgając wyżéj, od r. 1788, epoki otworzenia sejmu czteroletniego; kurtka zastąpiła kontusz, a pałasz zastąpił szablę.

Nie widzę zatém, żeby wyraz: Pałasz, był więcéj cudzoziemskim, jak inny broń jaką wyrażający; przeciwnie, jak późniéj o tém będzie, zdanie moje przemawia za pałaszem: teraz tu przytoczę: że wyraz: szabla o ile mi wiadomo, nie da się z polskiej mowy wywieść. Po włosku mówi się *Sciabla* albo *Sciabola,* po francusku *Sabre,* a po hiszpańsku *Sable.*— Czy Włochy wzięły od Polaków wyraz równo brzmiący *Sciabla*, czy Polacy od Włochów? znawcy to rozsądzą. Tymczasem ja nie wiem wyrażeń polskich pochodzących od szabli: można mówić: zrąbałem na kapustę, ale nie mówi się: *zszablowałem*; gdy przeciwnie Hiszpanie nazywają raz od szabli: *Sablazo;* a Francuzi mówią: *Sabrer.* — Zresztą zgadzam się z Autorem, że szabla sama zasługuje na monograficzny traktat; ale czy szabla jako wyraz, jest więcéj polską od pałasza? to pytanie zostawiam lubownikom do rozwiązania.

Nie sądzę ja, żeby: jak Autor mówi niżéj na stron. 4 „język wojskowy u nas zaginął“. bo póki jakie wojsko istnieje, lub istniało, musi być język wojskowy... a ten nawet w wojsku polskiem był tak piękny, jak nie może być w żadnym języku używającym przedim

ków: bo zakończenie dowodzącego głosu przez pojedynczą zgłoskę: *broń!* jest tak dźwięczne, krótkie i rycerskie, jak tylko można żądać. Francuzi zakończają głos dowodzczy, słowem: *Arme!* którego brzmienie byłoby doskonałe, gdyby nie było stłumione przez *e* ciche, które Francuzi zowią *e muet*. Jędrniejsze więc, jest słowo polskie broń! a w żadnym mnie znanym języku, nie może być oddany wyraz: *za-broń!* tak zwięźle, i tak wielorako użyty. Nadto się może rozszerzyłem nad tym przedmiotem miłym, lecz pracy p. Łepkowskiego obcym, ale chciałem mu dowieść, że język wojskowy u nas nie zaginął.

Między nazwami broni i części onéj, które zajmują stron. 5, 6 i 7, pozwalam sobie tylko uwagę, | wprawdzie niepopartą powagą Lindego i innych; ale ja nie przywykłem do wyrazu Rękojeść, lecz *Rękojęść*... sądzę zaś, iż być powinno *Rękojęć*, równie jak powinnibyśmy już przestać pisać: wziąść zamiast wziąć, a to z przyczyny, że się ani mówi, ani pisze: jąść, ale ująć, objąć itd.

Wyrazy *Brzeszczot*, *Glownia*, *Osada*, są prawdziwie polskie: Wyraz: *brzeszczot* mniej używany, ale widocznie, ani z romańskich, ani z germańskich mów niepożyczany, zasługuje na etymologiczne wyprowadzenie; zaś wyraz *Osada*, jest przez wojskowych polskich najwięcéj używany, i odpowiada wymaganiom dobrego ujęcia pałasza czyli szabli.

Jaszczur używany był na oprawę rękojęści czasem, a więcéj na oprawę pochew; jest to skóra, czyli raczéj łuszczka rybia, koścista i tak dalece twarda, że przyjmuje polor, sądziłbym, że pochodzi z krokodyla, lub innego rodzaju wielkich jaszczur; ale żeby czeczuga, ryba, miała dostarczać podobną oprawę jak jest jaszczur, wątpię. Czeczuga, o któréj tu mowa w nocie na stron. 8, że się poławia w południowéj Rosyi, nie jest obcą kra-

jom polskim; poławia się albowiem, nie tylko w Dnieprze, ale i w Dniestrze; jestto rodzaj małego Jesiotra, tak jak i słynny w Rosyi sterlet; przy tej sposobności niech mi wolno będzie zwrócić uwagę naszych Rybożnawców, że w Rosyi jest rodzaj sterletów, których tam nazywają: Kościuszkami. Czy nasz bohater nie od téj ryby miał nazwę? czy w wodach Rusi, nie jest ta ryba także znajomą, równie jak czeczuga? jakim sposobem, rodzaj szabli, dostał miano: *Czeczugi*? jest także zagadką ciekawą.

Nie uważałem miecza u grobowca Batorego o którym jest mowa stron. 9, ale zdarzało mi się widzieć łańcuszki, połączające wierzch rękojęści z jelcem, misternie robione ze stali, nie tylko u szabel ale i u szpad cywilnych. Były to zawsze tylko ozdoby, nie pojmuję jakby takie łańcuszki miały służyć za tak zwany: *temblak*, do użycia pałasza w boju? co jest koniecznie potrzebném, bo bez tego, wiele by broni ginęło. Z jakiego zaś języka pochodzi ten wyraz: *temblak*? zostawiam to lubownikom do rozwiązania.

Dla czegoby *pochwa*, właściwiéj miała się zwać *poszwą*? nie wiem. Mnie się owszem zdaje, że ma swoje nazwanie od schowania do niéj miecza, jak nauczają wyrazy: łaciński: *vagina*; francuski: *fourreau*. Że pochwy są czasami arcy piękne i bogate, nie metalowe to przyznaję, bo takie widywałem; ale czy dla tego miałyby zasłużyć na nazwę: *poszew*? zamiast: *pochew*? tego nie sądzę. Dziś zaś, kiedy w konnicy, jedynie: pałasze lub szable mogą mieć znaczenie, pochwy są ogólnie metalowe, a jako takie poszwami być niemogą.

Takie pałasze w pochwach blaszanych, zawieszano u pasów rzemiennych, bielonych, na takichże rzemieniach węższych opatrzonych w sprzążki, a pas zapinał się na klamrę; taki jest sposób używania czyli noszenia pałasza, od czasu jak Wojsko Polskie stanęło na

etacie regularnym: zresztą w Posągu Swiatowida, daje się baczyć: jak już na ten czas przypasywano miecze; ale p. Łepkowski nie okazał nam w rycinach: jak się nosiła i nosi, szpada, albo i sieczna broń, w przepasce, bądź skórzanéj, bądź z innéj materyi, z ramienia prawego zwieszonéj do lewego biodra — *en bandoulière*. Rycina Nr. 9, miecza Mikołaja Szydłowieckiego, okazuje coś podobnego, ale niedostatecznie.

Na stron. 12 i 14, gdzie jest mowa o pięknym zwyczaju Papieżów, posyłania Monarchom i Bohaterom, błogosławionych mieczów, wzmiankuje Autor o dwóch pisarzach Imienia Załuskich; którzy o tym przedmiocie obszerne podali szczegóły: tu tylko tę mam dodać uwagę: że ten co skreślił Obrząd w Żółkwi r. 1684 odbyty, był Jędrzéj Chryzostom Załuski, *stryj* Józefa Jędrzeja, Autora: Analektów &c. który znowu był bratem Jędrżeja Stanisława Kostki. Ponieważ ci trzej Załuscy często są cytowani, pozwalam sobie umieścić tę uwagę, wyjaśniającą: jak? i dla czego? wszyscy trzej mieli imie Jędrzéj.— Piękny był to obyczaj! Kiedy OO. Święci obdarzali królów naszych: mieczami i czapkami wojennemi, a kiedy cytowany na stron. 13 Bozarym, upominał Zygmunta Augusta, żeby zważył: wiele to kraje niemieckie straciły, odstępując od jedności Kościoła! nieprzewidywali w ów czas słuchacze tych słów, że Dyssydencya tak zabije Polskę, jak zabiła Cesarstwo Niemieckie. Nie przewidywali: Papież, Nuncyusz Jego, i nasz Zygmunt August, jaki to zjazd na dawném. Pogorzelu, odbędzie się w obecnym 1857 roku.

Z ostatnim podobnym podarunkiem na stron. 15 wzmiankowanym r. 1726, zgasł duch Polski; było to w lat 17 po rozprawie pod Pułtawą, owém grobowisku równowagi na północy Europy.

Do stron. 18 mam dodać: że dwa miecze na krzyż złożone, stanowiły herb Elektorów Saskich Cesarstwa

Rzeszy niemieckiéj, któryto herb po trzy razy obok naszego Orła w herbie polskim świetniał.

Na stron. 22 daje się czytać piękne godło: „broń zrosła się niejako z pojęciem stanu szlacheckiego w dawnéj Polsce,“ a drugie nieco wyżéj: „u nas chłopu rolę sprawować, mieszczaninowi kupiectwem się bawić, szlachcie zaś, rycerskie rzemiosło i wojna.“ Nie tylko u nas w Polsce było to, zasadą w średnich i zaprzeszłych wiekach, ale w całéj — można mówić — Europie; lecz gdy tam przyszło do ustanowienia regularnych wojsk, a te się wszędzie w zagrażający sposób pomnażały; my pod przewodnictwem bohatera Pułtawy, zwinęliśmy nasze wojska, jakoby nie potrzebujący tego ciężaru, bo nasza szlachta „gotowa była i *kilka* lat walczyć, żołnierskich zabaw nie opuszczała, ale jakoby jutro do boju wsiadać, zbroje z koniem w pogotowiu mieli,“ do czego nas takie chełpliwe zdania doprowadziły?... każdy widzi.

Na stron. 31, wcisnęła się pomyłka, może druku: w Niesieckim stoi herb *Kopasina* nie *Konasina;* atoli może Autor ma dokładniejsze wiadomości o tym herbie, bo jak wiadomo i Niesiecki nie jest wolen od pomyłek.

Do stron. 42 to mam dodać: że wielorakie są napisy i godła na głowniach pałaszów, i szabel jak np. *Vivat Hussar!* te wyliczać, nie tu miejsce; ale jedno z takich zdań winienem wymienić, bo nietylko jest stósowne do pojedynczych osób, ale nawet całym krajom może służyć za naukę: „Nie dobywaj bez przyczyny, nie chowaj bez skutku.“

Do stron. 41 czynię tę uwagę: Różne są, przyznać trzeba, obce nazwy broni, przyswojone w naszéj mowie: ale te wyrazy: *Oręż* i *Miecz* zdają się mieć za sobą niezaprzeczoną rodzimość. Przeciwko wyrazowi *Oręż*, zdaje się że żaden cudzoziemiec nic wnieść nie potrafi. Za wyrazem *Miecz*, przemawia już, tak dawne imie w Narodzie: Mieczysław. Radbym się ująć i za pała-

szem, owym długoletnim moim towarzyszem; kiedy Niemcy, jak twierdzi Autor na str. 48, sami swój wyraz *Palasch* wywodzą z polskiego, od słów: palić, palnąć; dla czegóż my mielibyśmy wątpić o pochodzeniu tego wyrazu? chyba żeśmy go przejęli od Węgrów? czego nie wiem, ani też, kiedy się ten wyraz u nas zjawił?

Że miecz ma największe powinowactwo z pałaszem, tego zaprzeczyć niepodobna. W Polsce, kat wykonawca sprawiedliwości, używał miecza; w Rosyi kat ma nazwę: *Pałacz;* czegóż więc tenże Pałacz tam używał? prawdopodobnie Pałasza, który wyraz okaże się słowiańskiego pochodzenia, lubo może od Greków przejęty; tymczasem słowa: płatać, płask, płaz, płazem, pałka, palnąć i palić, jak Niemcy tłumaczą, więcéj przemawiają za rodzimością pałasza niżeli szabli... i kiedy jak się wyżéj powiedziało, Francuzi mówią *Sabrer*, my nie możemy rzec: szablować, gdy przeciwnie mówi się: pałaszować i to nie w jedném znaczeniu. Dodam jeszcze wyraz *Płatnerz*, który także zdaje się mieć związek z pałaszem. Obok miecza i pałasza, sądzę że i *Koncerz* jest polską bronią wywodzącą swoją nazwę, od końca. Linde który nie był wielkim znawcą broni, miesza koncerz z tureckim dzirytem i tłumaczy to po niemiecku przez *Wurfspiess!* Aktualnie dziryt jest grotem do rzucania na nieprzyjaciela; ale żeby komu na myśl przyszło, długim i ciężkim mieczem jak jest koncerz, ciskać na nieprzyjaciela, tego wcale nie pojmuję.

Koncerz tak jak go rozumimy, był od dawna używany w ciężkiéj jeździe, a w ostatnich wojnach Napoleońskich, konne karabiniery, jazda najcięższa, kiryssyery, a nawet dragoni używali takich koncerzów czyli mieczów, które my od kłócia końcem przezwaliśmy niegdyś koncerzami. Obstajemy więc za rodzimością tych wyrazów: oręż, miecz, koncerz, pałasz.

Żeby zaś wyraz *Szpada*, jak Autor twierdzi, stron. 47

i 48, miał wziąść początek na Wschodzie? jakoby to był wyraz arabski? nie umiem sądzić. Przeczyć nie można, że Włosi są następcami Rzymian, wszelako Włosi wyraz swój *Spada* nie przejęli od Rzymian. Hiszpanie mają zwyczaj przed literą *s* zamieszczać *e*, i tak nie mówią: Spanja ale España; podobnież mają i wyraz *Espada*; sądziłem więc, że to słowo jest pierwotnie hiszpańskie, zatém przemawiają różne od słowa Espada pochodzące wyrazy, ale styczność tego narodu z Maurami, skłania mię do twierdzenia p. Łepkowskiego: że „po arabsku mieez się zwie *sif* lub szpada...“ czego nie wiem. Jakkolwiekbądź, Francuzi mają *Epée*, Niemcy *Degen*, a Francuzi mają znowu *Dague*; wychodzi na to, cośmy powiedzieli wyżéj, że nie my Polacy tylko, pożyczaliśmy nazwisk broni od sąsiadów i nieprzyjaciół, ale podobnie i wszystkie narody.

Tymczasem że Hiszpanie należą do najdawniejszego rycerstwa, i że wojska hiszpańskie były niegdyś wzorem wszystkich wojsk, świadkami nasi Tarnowscy i inni, co po naukę wojskowości do Hiszpanii jeździli; że tyle pułków polskich przez lat kilka niedawnemi czasy, wojowało w Hiszpanii, niechaj nam wolno będzie ująć się za *Espadą* hiszpańską, która w ich języku dała początek różnym wyrażeniom.

W mowie hiszpańskiéj znaczy *Estoque* (Estokie) to samo prawie, co po polsku miecz albo koncerz; po francuzku albowiem *d'estoc et de taille*, znaczy: i końcem i ostrzem — wyraz hiszpański *Estoque*, jakkolwiek bardzo dawny, nie urodził tyle pochodzących co *Espada*, które samo ma bardzo wiele znaczeń, a z niego ukształcone są wyrazy: *Espadachin*, ten co umié władać szpadą; *Espadada*, zranienie szpadą; *Espadador*, mistrz w robieniu szpadą; *Espadero*, płatnerz; *Espadilla*, nazwiska powtarzane w kartach gry, które po hiszpańsku zowią się *naypes*, a między któremi są teraz powszech-

nie znane karty, tak zwane Tarrok. Nie tu należy tak długa wzmianka o mowie hiszpańskiéj i jéj rozwinięciu, ale wracamy do zdania, że wyraz *Szpada* jest dawny hiszpański, broń zaś ta jest tak dawna, jak miecz, *gladius*, *ensis*, słowem, jak broń kolna. Oręże zaś tureckie, po hiszpańsku *Cimeterra*, po francuzku *Cimeterre*, są to pałasze krzywe, u nas *Damascenami* zwane, pochodzące od Saracenów.

Między różnemi nazwami broni, stron. 52, znajduję wyrazy: *kiścień*, które narzędzie, nie jest orężem ani siecznym ani kolnym, ale z dawna używanym, obecnie nie do boju, ale do rozboju lub dla obrony osobistéj — czytam wyraz *bett*, ale nie znajduję wyrazu *grot*, który mało-co różni się od poprzedniego. Coby zaś znaczył wyraz *Funda?* nie wiem; w Lindem tego wyrazu nie znajduję; czyby to nie była *Proca?* ktòra po francuzku zowie się *Fronde*.

Co Autor, stron. 56, wspomina „o ćwiczeniach Azyatów z bronią do uwierzenia trudnych" to ja naocznie po części widziałem u Mameluków gwardyi Napoleona, między którymi było jeszcze kilku prawdziwych Mameluków; widziałem między nimi oficera nazwiskiem Elias, herkulesowéj postaci i siły, wielkiego przyjaciela Polaków. Ten nam pokazywał jak się jednemu pieszemu bronić krzywym pałaszem, to jest damasceną turecką, przeciwko napaści kilku zaczepników. Sekret był w tém, żeby zawsze starać się plecy oprzeć o mur, a ile możności szukać kąta; tam Elias przysiadając w kuczki, tak się robił małym, że prawie całkiem obłąkiem broni się okrywał, unikając cięcia przeciwników; upatrywał zaś sposobności pociągnąć zręcznie damasceną po nogach napastników, co dokazawszy, przenosił się, skokiem niepojętym prawie, skokiem, iż tak powiem, konika polnego do drugiego kąta izby lub muru, i tak ciągle przeskakując z miejsca na miejsce, póki wszyst-

kich napastników po nogach nie poranił, albo pomocy się nie doczekał... Do tego dodać należy, że Turcy swojemi krzywemi pałaszami, ostremi jak brzytew, nigdy nie rąbią, ale pociągają jak smyczkiem, i w ten sposób głowy od jednego razu zdejmują.

Przy wyrazie *Bułat*, str. 47, jest do uważenia, że według Lindego, ten wyraz znaczy w Moskwie *Stal*, pytanie, czy Rosyanie dostali tego wyrażenia jako stal i jako oręż, od Tatarów, niegdyś ich panów?

Co Autor mówi, stron. 69, że „każdy szlachcic miewał dwie szable, jednę do stroju, drugą do bitwy, i że ten zwyczaj trwał jeszcze do czasów Stanisława Augusta“ na to jest do powiedzenia, że ten zwyczaj nietylko w Polsce, ale wszędzie istniał i istnieje. Rycerze mieli giermków co broń za nimi nosili, a do dziśdnia nie ma oficera, zwłaszcza w konnicy, któryby nie miał jednego pałasza lekkiego do pokoju, a drugi ciężki do służby i boju.

Najciekawszym rozdziałem dzieła p. Łepkowskiego, jest opisanie zbiorów broni i wyobrażenie onéj w rycinach. Między zbiorami, nie czytamy Kórnickiego własności p. Tytusa Działyńskiego; co zaś do rycin, lubo tych jest numerów 34, sądzę, że tym przedmiotem powinni się najwięcéj zająć lubownicy polskich pamiątek i pomagać Autorowi do uzupełnienia wyobrażeń wszelkich orężów, jakie się w krajach polskich porozrzucane nachodzą.

Dodać mi jeszcze wypada, że szablę na stron. 79 że znakiem zadziwienia, jakoby była z wieku XII. przytoczoną; ja kupiłem w Izmaiłowie dla jenerała Wincentego Krasińskiego, i słowa cytowane w języku francuzkim są moje własne. Po tak długim przeciągu czasu, bo od r. 1828, nie pamiętam napisów, prócz słowa greckiego *Nike;* ale to wiem i potwierdzić mogę, że ta broń jest

znakomitą, i dla tego nabyłem ją z polecenia jenerała, którego jest własnością.

Zaś do stron. 81 nadmienić muszę, że Napoleon i oficerowie francuzcy, przywiózłszy z Egiptu bardzo wiele szabel, damascen, wschodnich krzywych, w pochwach nie metalowych; nosili je tamecznym zwyczajem, na sznurkach jedwabnych z prawego ramienia na bok lewy zwieszone, tak wielu i polskich oficerów nosiło; między innymi, ja sam tak nosiłem pałasz angielski, cudny brzeszczot, który umyślnie dla mnie kazał w Anglii najstaranniéj zrobić książe Kumberland, późniéj król hannowerski.

Jakiego pochodzenia jest *Tasak?* czy tenże przystoi broni jakiéj używają, piechota, artylerya piesza, pijoniery &c. nie jestem w stanie orzekać.

Oddając hołd szacunku pamięci Piotra Aignera, dawnego Kościuszkowskiego żołnierza i szanownego Architekta; sądzę być w stanie wyrzec: że książka jego o kosach i pikach, wydana w r. 1794, przedrukowana w r. 1830, nie jednego w błąd wprowadziła. Dzielna śmiałość i siła fizyczna, mogą i dziś, broni piechoty siecznéj i konnéj, dać przewagę... Świadkami są natarcia na bagnety. Ale zbrojenie zastępów w kosy i piki, żeby je wprowadzać do boju większego, gdzie liczne działa i broń palna pieszego ma nieprzyjaciela, są taktycznie czynne; należy do niebezpiecznych utopii.

Wszelkie zbrojenie w kosy i piki, nowo zaciągających się zastępów, tę ma korzyść, że nowy zaciążnik uczy się porządku, szyku i chodu (marszu), nauki głównéj dla piechoty — a tak przysposobiony, może już z pożytkiem zapełniać w szeregach regularnych, ubytek żołnierzy, jaki zrządzają *codziennie* choroby, a bój *kiedy się zdarzy.*

Nie mam pod ręką dziełka szanownego Aignera; dobry ten ziomek, zagrzany był zapewne przykładem Racławic,

i pisał o pikach i kosach; ale nie wszędzie są Skalmierzaki, i nie zawsze Racławice.

Tyle moich uwag na prędce, pobieżnie, z pamięci zebranych; to wszystko dowodzi, że przedmiot którym się trudni p. Łepkowski, jest w dziedzinie Literatury naszej nowy, tém większą zasługą Autora, tém więcéj powinni Rodacy, według Jego własnego życzenia, wspierać Go zasobem wiadomości czerpanych, mianowicie w zbiorach broni, tak krajowych jak obcych.

Za przykładem Autora, kładę i ja to dorywkowe pióro, czekając z upragnieniem, obfitszych i więcéj szczegółowych objaśnień Ziomków, w zamiarze rozszerzenia téj tak zajmującéj rozprawy o broni siecznéj i przysposobienia zapasów do historyi innych broni narodowych.

Pisałem w Siedliszowicach w miesiącu wrześniu 1857.

Józef Załuski.

BADANIE HISTORYCZNE

podania gminnego

O SMOCZÉJ JAMIE

W KRAKOWIE.

Identitas est mater societatis.
Kudłubek.

Legenda niemoże przypuścić żadnéj rozprawy ani krytyki, jeżeli osnutą jest na religii, na wierze przodków, bo typ ten religijności odsuwa od siebie wszelkie wymagania rozumu i filozofii.

Legenda,— podanie, są powiększéj części opowiadaniem wymarzonem w wyobraźni ludu,— przedstawiającem nago, lub pod pewnemi symbolicznemi kształtami wydarzenia przywiązane do czynu jednéj osoby lub też całego narodu.

Podanie osnute na wypadkach dziejowych, w którego całéj osnowie przebija się treść współczesnych mu zdarzeń historyi,— niewątpliwie w sobie mieścić musi pewną myśl, która jakkolwiek często skalana i nadpsuta, odniesiona do współczesnych wypadków, rzucić może światło na zamroczoną przeszłość dziejową, może wykazać usposobienie ludu, moralne jego uczucia, może zapełnić nie jednę z tych białych kart historyi, każdego Narodu.

Utwory te ludowe nie są zmuszone ograniczać się zwykłemi granicami prawdopodobieństwa, nawet możliwość niemoże ścieśniać ich granic, bo to co dziś za nie możliwe, za nie istniejące poczytujemy, to przed tysiącem lat, przy owoczesnéj ciemnocie ludu, przepełnionéj zabobonami nietylko za prawdopodobne, ale za rzeczywiście istniejące łatwo uznanem być mogło. Wieki ówczesne, charakter narodowy, każdemu niezwyczajnemu zdarzeniu nadawał piętno nadzwyczajności i cudowności; wszelkie wypadki i głośniejsze wydarzenia, przedstawiano i udzielano sobie allegorycznie, pod pewnemi kształtami i figurami, które najczęściéj fantazya tworzyła. Ileż to nie dotrwało do naszych czasów takich podań gminnych i baśni?— a im więcéj sięgać będziemy w przeszłość początku dziejów każdego Narodu, to tem więcéj podania te znajdziemy oryginalniejszemi, fantastycznemi i urojonemi. Tak np. te zatrważające podania o Wielkoludach, Wyrwidębach, Waligórach malują nam tylko owoczesny organizm człowieka, jego wysoką postawę, olbrzymią siłę, którą późniejsze pokolenia odziedziczywszy tylko w tradycyi, przedstawiły nam jako coś nadludzkiego i nadziemskiego.

Podania te i legendy zapełniają czasy tworzenia się i powstawania każdego Narodu. Pierwsze dzieje nasze, jak również i innych Narodów pokryte są grubą pomroką niewiadomości, są one zestawieniem samych pra-

wie historycznych podań, które przechodząc z ust do ust, z pokolenia do pokolenia, dotrwały do naszych czasów, albo też w piśmiennych pomnikach dochowane stały się udziałem naszéj wiadomości. Wiek tworzenia się Chrześciaństwa, walka z upadającem bałwochwalstwem nastręczyły niewyczerpaną treść do tworzenia podań i legend. Znajdujemy je już spisane w pierwszych kronikach doszłych do naszych czasów, i jakże tylko odżałować trudno, że nie posiadamy kronik wcześniejszych nad wiek 11ty, bo ich pisarze im bliżsi byliby onych czasów, tem z większą dokładnością byliby nam je podali', bo czas niszczy wszystko, nawet pamięć ludów, a dowodem tego nasze podania, które zaledwie w urywkach pozostały, i słabym odgłosem doszły do naszych uszu, jak to podania o Krakusie, Wandzie, Popielu, Libussie, Borzywoju I księciu czeskim, chrześciańskim.

Te to zadziwiające powieści miały na celu pewnie zajęcie umysłu łatwowiernego a nieoświeconego ludu, bo do przekonania Narodu którego oświata mniej owionęła, który na drodze cywilizacyi wychodzić dopiero zaczyna z barbarzyństwa i ciemnoty, łatwiej przylgnie to co jest obcem, co zastrasza jego umysł, lub co przechodzi sferę jego wiadomości nabytych. Leży to już w naturze człowieka, że lubi to co jest zadziwiającem, bo człowiek marzy często o kształtach nadnaturalnych, których rozum prosty i niewykształcony wytłumaczyć sobie niemoże, a jego bujna imaginacya tworzy, zestawia, układa sobie figury, symbole, podania bajeczne i te allegorye, które uświęcają Wiarę i Religią wszystkich Narodów.

Jednem z najdawniejszych takich podań, bo sięgającem IX wieku jest baśń o Smoku gnieżdżącym się w okolicach Krakowa. Jeżeli weźmiemy na uwagę, że podanie to przetrwało już tyle wieków, że we wszyst-

kich naszych kronikarzach przybrało kształt rzeczywistości; że miejscowość i utwory natury, jego wiarogodność potwierdzać się zdają, to przyznać musimy, że podanie to, jakkolwiek poetycznie wystawione, musi w sobie zawierać pewne historyczne znaczenie, którego odgadnienie będzie przedmiotem niniejszego badania.

W południowéj części góry Wawelem zwanéj, od strony Wisły, po pod wznoszącym się zamkiem w Krakowie, znajduje się po dziś dzień wielki otwór, prowadzący do znajdującego się pod skałą wydrążenia. Wydrążenie to nie jest dziełem ręki ludzkiéj, powstać ono zapewnie musiało w skutek działania sił podziemnych, które tak często wstrząsały i przeobrażały twardą skorupę naszéj ziemi. Wydrążenie to jest kilkaset kroków długie, ciągnie się w kształcie wielkiego kurytarza zgiętego w podkowę, w ciągu swoim rozszerza się ono w jednem miejscu i tworzy znaczniejszy obszar, w kształcie wielkiéj sali, mając wierzch jakby sklepiony, składający się prawie z samych odcinków kół wklęsłych [1]).

Wydrążenie to miało być schronieniem osławionego smoka, kamieniem węgielnym Krakowa, a zabicie tego potworu, jako najważniejsze zdarzenie pod panowaniem księcia Krakusa najpierwsi kronikarze nasi wraz z naszym Kadłubkiem [2]) opisują w ten sposób: iż książe Krakus okrutnego smoka (Kromer go Holophagiem, Solinus Boą nazywa) w jaskini góry Wawel, na któréj Zamek Krakowski stoi, legowisko swe mającego i wszystkie okolice pożeraniem bydła i ludzi pustoszącego, (za namową niejakiego Szewca Skuby) sztuką i tym

---

[1]) Wydrążenie to od lat kilkunastu znów odkopano, lecz z powodu iż niewywieziono z niego wszystkiéj ziemi, nie można było zbadać jak daleko się ono rozciąga.

[2]) Wincenty Kadłubek, jest to raczéj Mateusz Cholewa Biskup Krakowski w Epist. VI. p. 608, przy Długosza edycyi Lipskiéj.

przemysłem zatracił, iż mięsa bydlęce smołą, siarką i żagwią zapaloną natkane, na pożarcie rzucić mu w pieczarę kazał, i tak w trzewach ogień zajęty, wnętrzności wszystkie Smokowi temu wypalił, a Wincenty Kadłubek dodaje nadto że od krakania kruków, na pożarcie zabitego smoka zbiegłych, Kraków miano swoje otrzymał.

Naruszewicz w początkowéj swéj historyi Narodu Polskiego, utrzymuje że powieść ta o Smoku, przepisana jest z dziejów duńskich Saxona Gramatyka. Saxo bowiem wystawia pod panowaniem duńskiém króla Frotona IV błędnego rycerza Sterkater zwanego, walczącego z rozbójnikiem Wizinem, i powalającego go w Skale Anafial zwanéj.

Oto są słowa Saxona Gramatyka [3]).

„Wielkiéj chluby i sławy rycerz gladiator, imieniem Wizin w ruskiéj skale którą się Anafiał zwała mieszkając, okoliczne prowincye, wszelkim pokrzywdzenia rodzajem uciemiężał. On wszelki oręż samem wejrzeniem tępił — dla czego rozumiejąc się być bezpiecznym od wszelkich razów, do takiéj przyszedł zuchwałości, że nawet najuczciwsze kobiety w oczach mężów porywał. — Uwiadomiony o takim złoczyńcy Sterkater, udał się na Ruś dla jego zgładzenia — a że mu nic trudnego nie było w poskromieniu nieprzyjaciół, wyzwawszy Wizyna na pojedynek, fortelem go zabił, — żeby albowiem czarownik ten żelaza niezobaczył, lekką skórą miecz odział — a tak Wizyna od śmierci i czary nie zachowały.“

Naruszewicz twierdzi, że Kadłubek chcąc dodać blasku panowaniu Krakusa, zwycięztwo to osobie jego przypisał — popiera on to twierdzenie podobieństwu nazwisk Krota i Frota, — a niezgodność wyrazów Wawel i Anafial, niewyczytaniu dwóch pierwszych wyrazów, i odmia-

[3]) Saxo Gramm. Edit. Steph. Ks. VI. p. 105.

nie litery *w* w *f* przypisać usiłuje — Zarzuca nakoniec Kadłubkowi iż jest często allegorycznym, i że mógł wziąść smoka za Awarów, państwa słowiańskie pożerających, których dopiero pierwszy Słowianów wybawca Samo Frank wyswobodził.

Naruszewicz wolał przypuszczać brak wszelkiéj przeszłości krajowej, jak wierzyć z Kadłubkiem że „podobieństwa są warunkiem historyi“ (Idenlitas est mater societatis Kadł.) — Dziwne i nie do wytłumaczenia jestto zadawanie sobie pracy Naruszewicza. — Tak poważny krytyk jak on, wolał przecież kłaść rzeczy mniéj do prawdy podobne, — na miejsce więcéj podobnych, niż przyznać że choć jaka część podania krajowego jest prawdziwą. — Nie miał on na celu, i nie silił się na udowodnienie tego, iż podany szczegół jest bajką, lecz dochodził tylko przyczyny powstania téj bajki. — Nie odpowiedział więc Naruszewicz właściwemu celowi, bo nie pokusił się porównać podanie to z innemi jemu podobnemi, by za pomocą analizy dojść do pierwiastkowego jego wątka — lecz osiągnąć pomyślny skutek na drodze takiego badania jest niełatwo, bo niemając dokładnie spisanych podań ludu, niemożna bez zapatrzenia się na ich całość, jedno szczegółowe podanie należycie odgadnąć. — Niektóre poszukiwania dzisiejszych zbieraczy Klechd za pomocą analizy pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem. — I tak X. Wagilewicz wykazał, iż lud Ruski Hana Tatarskiego oblókł w postać czarta, i utworzył klechdę o dziwnym potworze ruską trapiącym ziemię.

Podanie to nasze o smoku Krakusa, w Polszcze jest jedynem. — W całéj pierwiastkowéj bajecznéj historyi po raz tylko jeden pojawił się smok, i to nad brzegami Wisly. — W religii innych Słowian gra on znaczną rolę — a litewska kraina Kuronia, pełna dziwów, uchodząca za siedlisko guślarzy i czarowników, czciła smo

ków i stawiała im świątynie, w której cześć boską odbierali. — Pieśni i Klechdy Chrobatów pełne są jeszcze strachu i uwielbienia dla tego okrutnego potworu. — Słowianie Polacy w pogaństwie czczą tylko gady i płazy — a Litwini smoki i poczwary, lubo nawet do nich obce przywięzywali znaczenie — Dla tego to smok z góry Wawelu, i smok używany za herb jednéj polskiéj rodziny — są obcem wtrętem, bo nie mają żadnego związku z polskiem pogaństwem — bo się nie odbiły w żadném inném podaniu — istnieją odrębnie, nieodpowiednio pojęciu i wyobraźni naszego narodu.

Gdy więc zjawienie się smoka u nas, tak jest szczegółowém i rzadkiém, iż właściwe jego znaczenie z dziejów naszych trudno odgadnąć by przyszło — dla tego musimy przebiedz historyą smoka jakiéj doświadczał u starożytnych i średniowiecznych ludów — i wykazawszy charakter jaki mu bieg czasu nadawał, odnieść go z uwzględnieniem miejsca, czasu i okoliczności do nadwiślańskiego potworu.

Smok panuje w wszechświecie pod trzema kształtami — już to jako duch opiekuńczy dobrego lub złego — to znów jako godło baczności i czynności — a nakoniec jako uosobiciel odszczepieństwa i herezyi — Pierwszy zjawia się w starożytnym świecie u Greków i Rzymian — następnego wielbią ludy pochodzenia germańskiego — a ostatni jest wynikiem powstającego światła wiary chrześciańskiéj.

W świecie starożytnym każdy człowiek, równie jak i każden naród, wydarzenie dobre lub złe, powodzenie lub klęskę, któréj początku pochodzenia bezpośrednio dociec nie mógł, przypisywał działaniu niewidzialnéj istoty, — którą w miarę usposobienia swego zmysłowego, w różnolite przybierał kształty. — Dla tego też każda czynność, każde działanie ludzkie, miało opiekuńcze swe bóstwo. — Mars wiódł w pole walki — Vulkan kuł

pioruny i oręże — a Cerera zbierała z niwów kłosy... i dla tego starożytni uznawali nad dwiema przeciwnemi sobie stronami życia ludzkiego, działalność ducha opiekuńczego dobrego, lub złego. — Wszystkie narody duch opiekuńczy złego wystawiały sobie jako istotę okropną, poziomą, żyjącą i gnieżdżącą się na naszéj ziemi — nawiedzającą i trapiącą ludzi. — Na jakie tylko najobrzydliwsze i najokrutniejsze kształty, wyobraźnia zdobyć się mogła, to takiemi przywdziewała owego ducha złego. — Lecz jakież przeciwieństwo z pojęciem innych narodów przedstawia nam starożytny świat Hellenów — który smokowi zupełnie przeciwne nadawał znaczenie — zwano go bowiem „αγασοθαιμων“ (duch opiekuńczy dobrego) i jako taki poświęcony był bożkowi Eskulapiuszowi — a Egipcyanie i Fenicyanie czcili go jako bóstwo litości.

Smoki w starożytności nie mają jednakowéj i stałéj cechy — bo napotykamy ich wyobrażających dobre lub złe, zarówno, to znów jako stróżów bogactw, i jako godła wojskowe. — Dawna mytologia jest jasnym tego dowodem. — Dość wspomnieć owych sławnych smoków Eulida i Anchizesa. — Ceres i Medea wozem zaprzężonym dwoma smokami, używali nadpowietrznéj przejażdżki. — Bożek Janus przedstawiany był obok gryzącego sobie ogon smoka. — Cadmus i Harmonia przemienieni zostali w smoków za to, iż chcąc zrobić na złość Marsowi, zabili ulubionego smoka strzegącego fontanny w Castalii [4]).

Rzymianie zaćmienie ciała niebieskiego tłumaczyli sobie tym, iż księżyc walczy przeciw smokowi [5]).

---

[4]) Aug. Van Staveren, Auctores Mythographici latini p. 15. 27, 28.

[5]) Dom. Martin — De la Religion des Gaulois. p. 116 — 120, (Amsterdam 1701).

Smok walczył także przeciw słoniowi, i żeby go tym łatwiéj pokonać mógł, wyssał mu wszystkę krew przez oczy i uszy — lecz słoń ubytkiem krwi osłabiony, przewrócił się na smoka, i ciężarem swym go zagniótł [6]).

Scytowie, Persowie i Partowie przyjęli smoka do oznak wojskowych — a jeden z rzymskich legionów, nosił jego wyobrażenie na dzirycie utkwione jako znak wojskowy— Smok ten okryty był purpurą i siercią, z głową metalową a rozwartym pyskiem, przez który wiatr wiejąc poruszał jego językiem i ogonem, które różnobarwnemi farbami malowano. — Miał on sprawiać widok okropny. Dakowie należeli do liczby tych narodów, używających smoka jako symbol wojny i czujności, które wyszedłszy z Indyi, w różnych czasu epokach rzucały się na Europę — i oni to zapewne zaszczepić musieli pomiędzy ludami germańskiego pochodzenia, to godło wojny i czujności, które sobie późniejsze plemiona tak mile przyswoiły.

Porównywając smoków w mitologii greckiéj i rzymskiéj, i w późniejszych wiekach u Germanów pod postacią stróżów bogactw zjawiających się, — jakże trudno zaprzeczyć wzajemnego ich podobieństwa, i związku co do ich znaczenia. — W starożytności strzeże smok sławnego runa złotego, o którego zdobycie tak walecznie bili się Argonauci — u Germanów najrozgłośniéj rozniosła sława pamięć stróża nibelungskich skarbów.

P. Simmerock w sławnym poemacie Nibelungów, przed lat kilkunastu w Berlinie wydanym, przedstawia smoka w kształcie węża skrzydlatego „strzeże on pod Trachen-stein nibelungskie skarby. — Po upływie roku

---

[6]) Płyn któren w medycynie znany jest pod nazwą krwi smoka (Drachenblut) miał powstać z połączenia krwi smoka z krwią słonia. — Krew ta smoka jest właściwie sokiem lub żywicą drzewa smokiem nazwanego, którego w farmacyi używają.

i dnia jednego, smok przemienia się w pięknego młodzieńca, i czyni młodą dziewicę, niewolnicą swych wdzięków. — W chwili gdy ją porywa, wraca do pierwotnego stanu, parskać zaczyna ogniem i ....“ [7]).

W historyi téj Nibelungów napotykamy nieustraszonego Siegfrieda zabijającego smoka, stróża Nibelungskich bogactw — w krwi zabitego potworu kąpie się ów zwycięzca, rycerz, i przeto nadaje ciału swemu nietykalność. — Strzała i miecz nieczepia się więcéj jego osoby — lecz na nieszczęście, podobnie jak ów starogrecki Achilles, skąpany w rzece Styxie, miał śmiertelną piętę, tak i nasz Siegfried był śmiertelnym, bo krew smocza nie była dosięgła jednego miejsca między ramionami — w to właśnie miejsce uderza go Hagen i śmierć zadaje [8]).

Najdawniejszy bezwątpienia wątek podania o skarbach smoka, jako Saga Narvelowa, sięga czasów starego poematu anglo-saksońskiego „Boewulf“ — W nim wystawiony jest smok pod nazwą Grendel, jako stary złodziéj, kradnący po zapadłym zmierzchu, i wracający do swéj siedziby na wyniosłą górę — płonie on cały w ogniu — jestto smok nocny, co chodzi cały nagi, co strzeże złota wieśniaków [9]).

Ileż to te podania o Herkulesie, Jasonie, Perseuszu, nie mają podobieństwa do tych Sag o Siegfriedzie i Boewulfie?....

Jeszcze jedno podanie z dziejów Tyrolu wyjęte, a uzupełnim obraz smoka, w postaci stróża skarbów. — Między szacownemi relikwiami zachowywanemi w klasztorze Wita niedaleko Inszpruku, niejaki Faber znalazł

---

[7]) Grimm-Deutsche Mythologie p. 514.

[8]) Skała na któréj utrzymywano, że była placem zapasów ze smokiem, leży nad Renem, między wyniosłościami gór Siebengebirge, i nosi do dziś dnia nazwę Drachenfels (smocza skała) Lord Byron w głośnym poemacie Child-Harold uwiecznił jéj pamięć.

[9]) Grimm-Deutsche Mythologie p. 544.

w roku 1484 język smoka na trzy stopy długi, — a którego historya miała być następująca:

W czasach kiedy kraje te zamieszkane były przez Olbrzymów; jeden z tychże posłyszawszy że istnieje w Alpach dolina rodząca złote jabłka, lecz strzeżona przez okrutne zwierzęta, poświęciwszy się na wszystko, wybrał się ku niéj w drogę. — Na czele kilku odważnych ludzi, pokonał broniące mu wstępu zwierzęta — wszedł do cudownéj doliny, zabił strzegącego ją smoka i w istocie znalazł miejsce zamknięte srebrnym płotem,— a w niem złote z jabłkami jabłonie. — Na znak zwycięztwa tego (które symbolicznie odkrycie tyrolskich kruszcowych kopalń oznacza), olbrzym ten ofiarował język zabitego smoka, panującym w Tyrolu [10]).

W ogólności u ludu germańskiego, wiara w skarby w łonie ziemi ukryte, jest powszechną — strzegą ich smoki jako zwierzęta od natury obdarzone tak doskonałym wzrokiem iż mogły od razu przewidzieć wszelkie niebezpieczeństwa [11]) lub inne dzikie zwierzęta, a zwyciężenie smoka pociąga zawsze za sobą odkrycie skarbów, których on jest stróżem.

Lecz smok u Germanów zjawia się równie często jako godło wojskowe. — Pojawia się on także na chorągwiach Saksonów, od czasów walecznego Witykinda — Lew i smok są to ich wojenne bożyszcza [12]).

W ludowych pieśniach Kambrynów, starożytnego plemienia Anglii, sztandar Anglików i Saxonów znany jest wpostaci i pod nazwą Smoka białego — gdy przeciwnie u Kymrysów ich nieprzyjaciół, smok czerwony jako godło panuje [13]).

---

[10]) Anzeiger für Deutschekunde u. Vorzeit p. 585 A. 1838.

[11]) Mone-Geschichte der Deutschen Heldensagen p. 25.

[12]) Pertz V. 442.

[13]) A. Thiery—Histoire de la Conquête de l'Angleterre (Bruxelles 1839) pag. 34.

W Anglii od czasu ustalenia monarchii, smok uważany był, jako symbol dynastyi, dla tego w przeciągu drugich sześciu wieków, noszonym był zwykle przed osobą Króla, gdy się na wojnę wyprawiał.

Frankowie i sąsiednie im ludy przyjęli także smoka do swych chorągwi i herbów. — Osoby bowiem Roberta de Bethune hr. Flandryi, Jana Luxemburgskiego, króla czeskiego, Jana hr. Namur i Jana księcia Brabantu, widzimy wyrznięte na pieczęciach obok stojących nich smoków [14]).

Duńczycy przody swych okrętów (rostra), również w allegoryczne przybierali kształty. — Okręt króla duńskiego Swena około r. 1004 był w kształcie węża zbudowany, głowa jego sterczała przy przodku okrętu, a ogon zakręcał się na jego końcu — i z téj to przyczyny zwano go wielkim Smokiem [15]).

Przeciwnie od czasu zaprowadzenia Wiary chrześciańskiéj, smok uważany jest jako duch złego. — W średniowiecznych czasach podania bajeczne chrześciańskie ciągle się mieszały z podaniami bajecznemi germańskiemi, a smok stał się wyobrażeniem odszczepieństwa i herezyi w legendach pospólstwa, i w rzeczach odnoszących się do dogmatów religijnych. — I tak np. w Kościele Panny Maryi w Termonde (Belgija), który zdaje się być najdaléj w 12 wieku wystawionym, znajduje się chrzcielnica, na któréj wyrzeźbionych jest trzech smoków, otaczających baranka bożego — nieomylnie przedstawiają oni złych duchów, i wystawieni są dla okazania sprzeczności z dobrocią i łagodnością wiary Chrześciańskiéj [16]).

Po zaprowadzeniu Religii chrześciańskiéj, smok był uważany jako symbol złości, odszczepieństwa i herezyi,

---

[14]) **O. Vredius—Genealogie des Comtes de Flandre (Bruges 1642).**
[15]) **A. Thiery—Histoire de la Conquête de l' Angleterre p. 47.**
[16]) **Messager des Sciences et des Arts VI 328 Annèe 1838.**

bez różnicy na to w jakich się kształtach przedstawiał. To też znajdujemy go wplątanego w historyę wielkiéj liczby Świętych w pierwszych wiekach chrześciaństwa żyjących.

Dojść przejrzeć Bollandi „Acta Sanctorum", a dowiemy się, że:

Św. Seweryn wypędza ducha złego, który mu się w postaci smoka zjawił.

Św. Szymon Stylyiski przywraca wźrok ślepemu smokowi. — Św. Eudoxią ściganą od nieprzyjaciół oswobadza smok, których zaraźliwém swém oddechem odgania i tychże o śmierć przyprawia.

Św. Marcelli zabija smoka przestraszającego Rzym.

Św. Teodor zwycięża okropnego smoka. — Gdy zwłoki tego świętego przeniesiono do Wenecyi, to wystawiono na cześć jego na placu św. Marka posąg, gdzie był wystawiony jako Rycerz zabijający smoka.

Św. Paweł zwycięża smoka niszczącego okoliczne dziedziny.

Św. Gerwazy odniósł zwycięztwo nad siedmiogłównym smokiem, nawiedzającym jednę z pobliskich wsi Paryża. — Obwiązał mu stułę około karku i wrzucił go do studni.

Pojawienie się św. Erazma wygania smoka dopuszczającego się niezliczonych nadużyć.

ŚŚ. Tymoteusz, Maur, Leon Rufin i Porasciusz są również zwycięzcami smoków.

Św. Arnold zwyciężył 5cio głównego smoka.

Św. Marta święconą wodą wypędza smoka pustoszącego brzegi Rodanu.

Św. Magnus uderza batem smoka i zabija go.

Św. Narcyz rozkazuje znanemu sobie djabłu zabić strasznego smoka [17]).

---

[17]) Acta Sanctorum. — Fevr. I. 217. II. 28. — Maj. I. 1. 265

Karol Martel ów pogromca Hunnów, wypędziwszy biskupa Rigoberta z jego rezydencyi w Rheims, i dopuściwszy się mnogich nadużyć i okrucieństw na stanie duchownym, — wyklętym został z kościoła katolickiego. — Po śmierci Karola Martela, utrzymywał św. Euschery biskup że miał przywidzenie, iż widział Karola Martela pokutującego za popełnione grzechy w piekle, i że jest pewnym, że ciało tego wielkiego wojownika niespoczywa już więcéj w grobie. — Dla przekonania się tem pewniejszego o prawdziwości wizyi, udał się wspomniony Biskup, wraz z św. Bonifacym i Fulradem Opatem z St. Denis, arcykanclerzem króla Pepina, do grobów królewskich w St. Denis. — Otworzono trumnę z któréj z wielkim przestrachem obecnych wyszedł smok — i zauważano przytem, że wnętrze grobowca było czarne i okopcone jakby uległo działaniu ognia.

Św. Jerzy ów patron bohaterów i awanturniczych Rycerzy, przedstawia nam się zawsze w postaci uzbrojonego Rycerza na koniu, utapiającego dzidę w wnętrznościach smoka. — Podania o zabitym przez śgo Jerzego smoku spotykamy już to pod postacią Bohatera oswabadzającego Lybiją od smoka okolice miasta Sylenny morowem powietrzem zarażającego, już pod postacią oswobodziciela córki potężnego Króla od smoka napadniętéj. — Podanie to ostatnie tyle ma podobieństwa z podaniem o Andromedzie i Perseuszu, że zdaje się być tém samem tylko w inne przybranem kształty.

Legenda o św. Jerzym w swym czasie tak poetyczna, zdaje się brać swój początek w wyobrażeniach rycerskich średnich wieków, dla tego ani się dziwić można, że powszechnie za prawdziwą uważaną była. —

Juni. I. 70. II. 215, 274. — Juillet III, 461. IV. 378, 406, 412. V 540. VII, 11. etc.

Sposób zaś w jakim św. Jerzego i podobnych mu bohaterów przedstawiają sięga odleglejszych czasów — bo sam nawet Konstantyn W. Cesarz kazał się wymalować w postaci św. Jerzemu podobnéj, to jest jako pogromca smoka. — Czyż to najwidoczniéj nie dowodzi, że pod postacią smoka ukrywa się symbolicznie pokonane pogaństwo i tryumf wiary chrześciańskiéj. — Konstantyn W. sam się tak przedstawił jako pogromca pogaństwa i rozkrzewiciel Wiary. — Dla tego też i najnaturalniéj jego następcy, jak św. Jerzy i inni SS. w tym samym co Konstanty występujący charakterze, — podobnie przedstawiani byli.

Św. Donat żyjący za czasów Teodozyusza W. udał się na prośby tego Cesarza na czele licznego duchowieństwa, do wodotrysku, którego woda zatruta, sprawiała śmierć wszystkim, kto tylko pić się ją odważył. Za zbliżeniem się duchowieństwa powstał wielki szum w wodotrysku, i po chwili wyszedł z wody okrutny smok, i rzucił się na św. Donata. — Nieustraszony ten święty zabił go zaraz na miejscu, a woda wodotrysku stała się czystą, zdrową i do użytku zdolną [18]).

Takiż sam cud przypisują św. Domicyanowi, który mieszkańców miasta Huy (Belgija) od wielkiej klęski uwolnił. — Przesiadujący w wodzie smok zatruł ją do tego stopnia, iż mieszkańcy tego miasta po największéj części już wymarli. — Św. Domicyan udaje się na usilne prośby do wodotrysku — rozkazuje wyjść z wody smokowi, któren wyszedłszy rzucił się w pobliską przepaść, gdzie zniknął. — Od téj chwili woda stała się zdrową, i była skuteczném lekarstwem dla cierpiących [19]). Miasto to posiada jeszcze kapliczkę zbudowaną na cześć św. Domicyana, przy któréj wytryska źródło — a o któ-

---

[18]) Acta Sanctorum. Avril III 765.
[19]) Acta Sanctorum Mai II 147.

rem podanie przechowało się dotychczas w uściech tamtejszych mieszkańców.

Św. Małgorzatę wyobrażają zwykle w towarzystwie smoka — a niektórzy utrzymują, iż ona była ową córką królewską, którą św. Jerzy od okrutnego smoka życiu jéj zagrażającego, bohaterską swą odwagą, oswobodził [20]).

ŚŚ. Michał, Andrzej i Julian również walczyli z okrutnemi smokami, których w końcu stali się zwycięzcami.

Podania te o zwyciężonym smoku tak często się wydarzają, tak jednostajny typ na sobie noszą, że przyznać potrzeba, że jeden i tem sam charakter — jedno i to samo znaczenie mają. — Kronikarze chcąc uświetnić czyny tego lub owego bohatera, chcąc rozgłosić wydarzenie pewne, lub też utrwalić w mniemaniu zabobonnym łatwowierny lud, — wzbudzić postrach i poszanowanie dla tego co szanować winien — wystawiali Władzców kraju, w postaci świętych, przypisywali im podobne tymże czyny, by przez to wzbudzić u gminnego ludu, cześć i poszanowanie dla ludzi, którym rządy kraju w ręce oddane zostały — jestto cechą wieków średnich, że wszyscy znakomitsi Rycerze, odznaczać się musieli bohaterskiemi czynami, które im mniéj do prawdy podobne, bardziej uwielbiane były. — I tak Kronikarze wystawiając władzcę Bairlaimontu, Gilles de Chin oblekli go w szaty św. Jerzego, i przedstawili go nam jako bohatera mordującego około r. 1138, strasznego smoka, któren śmierć i zniszczenie rozpościerał w okolicach Bairlaimontu — Gilles de Chin zabija go w chwili gdy wychodzi z głębokiéj jamy, przy miasteczku Wasme leżącéj, a którą za swe siedlisko sobie obrał. — W mieście Mons corocznie obchodzą dzień ten jako uroczysty — a chcąc jeszcze bardziéj uświetnić

---

[20]) **Acta Sanctorum Avril II 104, 106.**

pamiątkę tego zwycięztwa, przedstawiają smoka otoczonego rycerstwem, symbolicznie walecznego Gilles de Chin oznaczającym [21]).

Łatwo tu widzieć można jakie podobieństwo, i jaki związek legenda o św. Jerzym z podaniem o władzcy Bairlaimontu, posiada. — Celem podania tego nie mogło być nic innego, jak tylko wzbudzenie czci i podziwienia dla Gilles de Chin — któren równie jak św. Jerzy, jako wierny sługa kościoła katolickiego, nad rozkrzewieniem Wiary chrześciańskiéj, utrwaleniem jéj zasad, wzbudzeniem dla niej uszanowania — a wszczepieniem bojaźni i pogardy ku zwyciężonemu pogaństwu pracował — dla tego też to i lud prosty utrzymywał, że św. Jerzy był owym rządzcą Bairlaimontu pod przybraném nazwiskiem Gilles de Chin.

Podanie tak głośne, może najwięcéj rozpowszechnione o smoku gnieżdżącym się na wyspie Rodus, jest również przeobrażeniem podania o św. Jerzym i Gilles de Chin — i niewątpliwie tę samą myśl zawiera co i poprzednie. — Tu rycerz z Zakonu Braci Szpitalnéj Gozon (1332 r.) przydomkiem „od Boga zesłany“ nazwany —przedstawia nam się jako mąż wyobrażający Zakon rycerski. Mnich-Rycerz walczy za Wiarę i religię — bo takie było zadanie zakonu — i tak go też choć symbolicznie jużto jako zwycięzcę smoka na wyspie Rodus to znowu na Malcie, wystawiono.

W dopełnieniu obrazu, a raczej wykazaniu stosunku w jakim się zawsze smok względnie chrześciaństwa objawia, przytoczym jeszcze jedno z Biblii wyjęte, a tak ogólnie znane zdarzenie. — Św. Walenty przybywszy do Antyochii zapomina zapłacić haraczu Seudanowi, który jest winien każden Chrześcianin — Czyn taki pociągał za sobą karę śmierci. — Jeden tylko pozostał

[21]) **Mathieu — Olla Podrida p. 197.**

sposób św. Walentemu, by został przy życiu — to jest iść i walczyć ze strasznym smokiem, strachem całe miasto napełniającym. — Nieustraszony ów Święty wychodzi przeciwko niemu. — Smok rzuca się z całą wściekłością, bijąc skrzydłami i ziejąc ogniem. — Lecz i tu odnosi św. Walenty Namiestnik Chrystusa zwycięztwo nad smokiem, wyobrazicielem zdzierstwa, złości, i herezyi.

Wielu ze smoków doświadczyło prawdziwie znacznego powodzenia. — Francya, Niemcy, Niderlandy są ich kolebką — tam się najczęściéj zjawiają — tam święcą ich pamięć uroczystościami — tam w wielu miejscach w dni krzyżowe obnoszą jego obraz z wielką czcią i ceremoniami [22]). — Ich legendy przepełnione temi potworami. — Każde niemal z miast francuzkich policza wydarzenie ze smokiem, do pierwiastkowéj swéj historyi. Miasto Orlean, Metz, Bordeaux, Reims, Grenoble, długo przechowywały ich pamięć w tradycyach swoich. Miasto Rouen, podobnie jak Kraków założenie swoje odnosi do walki smoka ze św. Romanem, jako jednego z ważniejszych wydarzeń z czasów Klodoweusza. — Smok niszczący tameczne okolice, zagrażający miastu, pada ofiarą poświęcenia się św. Romana. — Święty ten ubrany w szaty kapłańskie, w towarzystwie zbrodniarza na śmierć skazanego, któremu ten tylko jedyny sposób ocalenia życia pozostawionym został — wyprawia się przeciw smokowi, któren strwożony, pozwolił okręcić sobie stułę na około karku. — Wten sposób przyprowadzono jak baranek posłusznego smoka na plac publiczny dzisiejszego miasta Rouen, gdzie w obec całego ludu uroczyście spalonym został. — Nieumiano zaraz uszanować tak wielkiego czynu tego świętego, bo dopiero król Dagobert rozkazał, na pamiątkę wydarze

[22]) Grimm. p. 707.

nia tego cudownego, rokrocznie w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, gdy relikwije św. Romana uroczyście z processyą niesionemi będą, jednego niewolnika lub złoczyńcę na wolność wypuszczać. — Taka to jest historya smoka miasta Rouen, i téj podobne mają inne miasta Francyi.

Wykazawszy tym sposobem znaczenie smoka, jakie mu przypisywały narody pochodzenia Galickiego i Germańskiego — przychodzi koléj zastanowić się nad smokiem, po raz tylko jeden zjawiającym się w pierwszych początkach naszéj historyi.

Smok jak widzieliśmy, różne miał znaczenie — bieg czasu w różne przybierał go kształty. — Smok starożytnych Greków i Rzymian, nie ma żadnego podobieństwa i związku z smokiem Germanów i Gallów — charaktery ich są odrębne i wręcz sobie przeciwne. — Tam jest on usposobieniem dobrego lub złego — jest stróżem bogactw — tu w początkach przybiera on ten sam charakter to jest stróża bogactw, lecz to zbyt rzadko. — Z rozszerzającém się światłem wiary Chrześciańskiéj, uosabia on pokonane pogaństwo — a w późniejszych czasach odszczepieństwo od wiary i herezyą. [23])

---

[23]) Około r. 1397, istniał w Niemczech i we Włoszech zakon rycerski pod nazwą „pokonanego smoka.“ — Rycerze ci na wielkie uroczystości przywdziewali na szyję łańcuch złoty, u którego wisiało wyobrażenie zabitego smoka, z skrzydłami pozwieszanemi, które rozmaitemi farbami malowano. — Inni utrzymują, że Rycerstwo takie, utworzoném zostało około r. 1400 w celu uśmierzenia heretyków w Węgrzech i Czechach, w czasie jak Zygmunt cesarz wyszedł z więzienia. — Inni nakoniec założenie tego zakonu na r. 1418 jako następstwo soboru w Konstancyi przypisują i zaręczają, że skazanie na śmierć Jana Hussa i Hieronima z Pragi, było główną powstania jego przyczyną. Smok zjawiający się w onych czasach, był zawsze godłem zwyciężonéj lub panującéj herezyi. — Lutrzy nawet wyznawcy Hussa i Hieronima z Pragi, podczas długich wo-

Charakter jego jest tak ogólnym i powszechnym, że żadnych prawie nie przedstawia wyjątków, a zdarzony wypadek odniesiony do epoki czasu i okoliczności towarzyszących, łatwo wykazać może prawdę w postaci smoka symbolicznie ukrytą.

Smok w epoce w któréj się u nas zjawia, oznacza najwyraźniéj pogaństwo, a jego zagłada tryumf wiary Chrześciańskiéj — bo wszystkie ludy sąsiednie w epoce téj czasu, to samo nadawały mu znaczenie.

My nie możemy smokowi z nad brzegów Wisły innego nadawać znaczenia, nad to, jakie mu typ narodowy jego i epoka czasu nadają. — Goci którzy przez długi przeciąg czasu osiedlali się nad brzegami Wisły, zostawiając nam jednego plemiennika Krakusa, zostawili nam baśń o smoku przywiązaną do jego osoby — czyn nadzwyczajny, bajeczny — nieodgadniony, jest godłem każdego germańskiego bohatera — bo taką była epoka czasu, takie usposobienie Narodu — nie dziw więc, że i Krakusowi przypisano czyn bajeczny — bo panowanie jego odznaczyć się musiało czynem, na którego oznaczenie, symbolicznie pokonanego smoka użyto.

Krakus musiał być pierwszym księciem polskim chrześciańskim zwolennikiem wiary, a wrogiem pogaństwa — że zaś mógł być nim rzeczywiście, niemaz nic niepodobnego, chociaż wiara Chrześciańska dopiero za Mieczysława I. do Polski wprowadzoną została — bo Chrześciaństwo nierównie pierwéj u nas krzewić się zaczęło, nieraz nikło, i nieraz znowu się pojawiało.

Początek rozkrzewiania się wiary Chrześciańskiéj u nas, różnie różni pisarze oznaczają — jedni jak Bielowski, widzą ślady nauki Chrystusa już w pierwszym wieku po Chrystusie, między naszymi przodkami nad Dunajem

jen, które w Niemczech wzniecali, wyobrażenie smoka nosili na swych chorągwiach.

osiadłymi — drudzy jak Starowolski, twierdzą, że wiara Chrystusa od początku opowiadania ludowi Ewangelii, prosto z Jerozolimy, przed chrztem Mieczysława do nas przyszła — tak mówi on w dziele „Vitae Antistitum Cra„coviensium — Cracoviae 1658.“ — „est in compento, reli„gionem christianam, non primum sub Miecislao in Polonia „coepisse, sed a principio statim promulgati Evangelii „per universam fere Slaviam, seu Sarmatiam, domina„tricis Romae aemulam, per Pontihabitatores, qui Hiero„solimis suum idioma ex ore Petri concionantes, sacra „Pentecostes solennitate audierunt, nostris religionibus „illatam fuisse — sub Miecislao vero qui toti Vandaliae „seu Poloniae tunc imperabat, cultum illius et ritus pu„blico edicto extulisse signa.“ —

Nie rozbierając w niczém twierdzeń ani Starowolskiego, ani p. Bielowskiego, o ile one krytykę wytrzymać mogą — a nawet je pomijając — zaprzeczyć jednak nie możemy, iż przed Mieczysławem i Ziemomysłem istniało w Morawach państwo Światopełka, gdzie dwaj bracia Cyryl i Metody, uczeni Grecy z Saloniki, wiarę Chrześciańską około r. 862 rozkrzewiali. — Państwo to Światopełka, ogarniało i część późniejszéj Polski — część dzisiejszego województwa Sandomirskiego, Krakowskie góry i doliny, do Karpat, do Wisły. — Tu szerzyła się wiara między narodem, a okolice dzisiejszego Krakowa, należały do dyecezyi biskupstwa Metodyuszowego w Bernie.

Jeżeli więc r. 894, jak słusznie utrzymują, przyjmiemy za rok założenia Krakowa, a zatém i za rok powstania bajki o smoku i czynie Krakusa — i jeżeli zważymy, że już od lat 30tu przedtem, wiara Chrześciańska między ludem okolicznym się szerzyła — to możemy przypuścić z pewném prawdopodobieństwem, że Krakus nową dynastyą tworzący, nowe miasto zakładając, i je-

mu nazwisko swe zwyczajem germańskim nadając, wprowadził w świeże jego mury i światło prawdziwéj wiary. [24])

Być może, i tak jest zapewne, że po śmierci Krakusa stłumiło się u nas Chrześciaństwo, i dopiero pod Mieczysławem z całą siłą odżyło — bo ono nieraz nikło, i znowu się pojawiało, i nietylko przed Mieczysławem, lecz i po jego śmierci — jak np. za czasów ucieczki Ryxy i w czasie bezrządu kraju zanim Kazimierz Odnowiciel wrócił — lud burzył kościoły, mordował księży, a bałwochwalstwo choć w części napowrót wracało.

Chrzest Mieczysława był tylko urzędowém przyjęciem wiary przez zwierzchnika kraju, którego mieszkańcy dawno już ją wyznawali. — Mieczysław niemógłby przecież rozkazać ludowi, by wiarę tę przyjął, gdyby nie był lud zasadami jéj przejęty. Wiara bowiem nasza wchodziła dwoma do kraju szlakami — jedna szła z Carogrodu, jéj rozkrzewicielem był Cyryl i Metody, ją wyznawała blisko połowa Polski — druga pochodziła z Rzymu i przychodziła od sąsiednich Niemiec — Poznań był biskupią stolicą téj wiary pod Mieczysławem. Mieczysław znalazł się między narodem, jednę i tę samą wiarę wprawdzie wyznającym, lecz według dwojakiego obrządku, greckiego i rzymskiego — a przerzucając się na stronę religii rzymskiéj, i ją narodowi jako panującą w kraju ogłaszając, uczynił krok, któren niewłaściwie przyjęciem przez naród wiary chrześciańskiéj nazwano.

Zdaniem mojem baśń o smoku Krakusa, roznieśli między ludem naszym, pozostali wraz z księciem pochodzenia swego Goci, którzy wiarę Chrześciańską wyznając, i już w 3cim wieku w styczności z Słowianami

---

[24]) Czyż Postrzyżyny jakie Popiel wyprawiał, nie naprowadzają nas na tęż samą myśl o szerzeniu się Chrześciaństwa?

zostając, [25]) chcąc nadać blasku panowaniu plemiennika swego Krakusa, a raczej chcąc skłonienie się jego ku wierze Chrześciańskiéj, przedstawić ludowi jako czyn wielki i wzniosły, wystawili go tak allegorycznie, budząc postrach przed pogaństwem, wystawionêm w postaci smoka, kraj i ludzi pożerającego — a przywięzując sobie do siebie obcą jego osobę.

Baśń ta o smoku, jedyny pomnik bytności Gotów nad brzegami Wisły, utrwalona w pojęciu nieoświeconego narodu, utworami natury, które się ją potwierdzić zdawały, przetrwała między naszym ludem, z ust do ust przechodząc, przeszło przez wieków trzy — i tym sposobem przeszła ona do naszych kronikarzy, którzy zbierając podania ludu, i to jak sami mówią, co się od ludzi starych dopytać mogli, zestawili niemi pierwotną naszą historyą „dziejami bajecznemi“ nazwaną.

---

[25]) **Wyrazy słowiańskie, które w szczątkach pisma Śgo z przekładu Ulfilasa z 4go wieku, do naszych doszły czasów, są tego dowodem.**

J. Lisiewski.

GRACZE.

(Poemat satyryczny.)

Prawdziwy, czy zmyślony prapraojcze Lechu,
Powiedz, czyli gra w karty pobudza do śmiechu?
A lubo za twych czasów nie grywano w karty,
Ja wzywam cię o zdanie, bo jestem uparty.

Satyra, jeśli ma być dobra i niewinna,
Nikogo nie obrażać, lecz bawić powinna.
Tak twierdzą, co to niby mają rozum bystry,
A twierdzą śmiało, skoro *in verba magistri.*
Oni ci także zdanie najlepsze wypalą,
Wyjęte z Horacego, z Laharpa, z Boalo —
Rzeknijcie więc, panowie, gdy Lech stary milczy...
Lecz i wy coś milczycie — tylko wzrok swój wilczy
Ciskacie na mnie, jakby na nieprzyjaciela,
Ztąd, że z wami występnych zabaw nie podziela?...
Jednakże ja wam wszelkich pomyślności życzę —
A jeśli nie jednego satyrą oćwiczę,

Nie moja będzie wina — wszakże wyście typy,
Na których satyryczne ostrzą się dowcipy.—

Lecz czémże jest satyra? Wierszem dydaktycznym,
Czyli pouczającym — a więc prozaicznym,
I niby, jak to dawniéj mówiono, klasycznym.—
Nie będziem przeto bujać w wyobraźni sferach,
Ale stąpać po ziemi, po kartach, numerach,
I wszystkim, co z szulerką ma istotny związek;
I tak zwolna iść będziem od pnia do gałązek.

Kiedy Chrystus Pan skonał dla zbawienia świata,
U stóp krzyża leżała jego święta szata;
A rzymscy legioniości, ludzie ciemni, prości,
Postawieni na straży, grali o nię w kości.
Pierwsi to byli gracze o rzecz wielką, świętą —
Lecz dziwić się nie trzeba, gdy grają poganie;
Raczéj dziwić się trzeba, kiedy chrześcianie,
Bez wstydu i sumienia, wiodą grę zawziętą.
A nie sama kość, karta lub gałki liczbowe
Grę stanowią — bo według wyroku bożego,
Wszystko, co obliczone na zgubę bliźniego,
Jest grą straszną, zdradziecką. — Więc naprzód losowe
Gry okładać będziemy satyrycznym biczem.

Owóż, zszedłem się zaraz z nielada paniczem.
Nie poznaje mię, biegnie — pewnie do cukierni?
Gdzie tam! wleciał jak strzała do znanéj szulerni.
Ja za nim — a myśl moja była: mój kochany,
Tyś gry uosobieniem *rouge et noir* zwanéj.
Czerwonyś, bo się palisz — a czarna twa dusza,
Tylko widokiem blasku złota się porusza.
Fortuna twém bożyszczem — do niéj się umizgasz,
A cierpiącéj ludzkości urąganiem bryzgasz.—
Lecz dziś jeszcze na zmienność losu się użalisz,
I w ostatniéj rozpaczy w łeb sobie wypalisz.

Lepiéj opuść zawczasu spelunkę latronum,
I udaj się w pokorze do boskiego Tronu.
Nie słuchałeś mię — widzisz, zdradziła cię karta:
Zbladłeś, chwytasz kapelusz i idziesz do — czarta!

Lecz jakimże sposobem grom położyć tamę,
Gdy niemi nawet damy zajmują się same,
I po całych wieczorach toczą bój zażarty,
Walcząc do upadłego francuzkiemi karty?
Nie pomnąc, jak obrzydłą jest każda kobieta,
Gdy ją żądza gry pali. Rzekłbyś, to atleta,
Ale nie córa Ewy! Wtenczas zysku chciwa,
Sapie, świeci oczami jak lokomotywa,
Gdy wieczorem lub w nocy do dworca przybywa.

Aby skarcić skutecznie karcianego lisa,
Nie dość jest Horacego i Juwenalisa
Malowania zdrożności łączyć w sobie dary,
Bo straszniejsze od rzymskich są nasze poczwary.

Szuler, kogo dopadnie, ogrywa niecnota,
A chełpi się bezczelnie, że on patryota!
Już zyskuje, już traci — na pozór stateczny,
Zabiegliwy, wymowny, uprzejmy i grzeczny,
Posiada zaufanie jak człek przyjacielski —
Tymczasem powierzony grosz obywatelski,
Lub grosz sierot, ubogich albo grosz skarbowy,
Nie w napadzie szaleństwa, lecz przytomny, zdrowy,
Przegrywa... a chociaż go czekają kajdanki,
Przecież leży w objęciach fortuny kochanki.
Czasem wcześnie w ucieczce ocalenia szuka;
Lecz rzadko się któremu powiedzie ta sztuka.

A teraz wam opowiem, co mi się raz śniło —
Gdyż radbym, by to wszystkim w pamięci utkwiło.

Pewien niemłody człowiek, i szuler z rzemiosła,
Co to zwykłą ma łódkę z kart, a z palców wiosła,
I tak pływając zręcznie szkopuły omija,
A w cudzą kieszeń, jako do portu zawija:
Dręczył z dawna dom jeden swojemi wizyty.
Gdy wszedł, smutek na twarzach wszystkich był wyryty;
Lecz wzgardę mu okazać, nikt nie miał odwagi,
Choć każdy pragnął zostać wolnym od téj plagi.
Otóż, kiedy z kartami przybliżył się do mnie,
Bym z nich jednę wyciągnął, ozwałem się skromnie,
Lecz głośno: nie gram w karty — cudzego nie żądam,
A swego dać nie myślę. Tu w oczy spoglądam,
I daléj: *gdybym przyjął od wacpana kartę,*
Miałbym czoło, jak wacpan, miedziane, wytarte! —
Szmer powstał, potem wrzawa, struchlały kobiéty;
On jednak nic nie bąknął i poszedł jak zmyty. —
I na jawie skutecznym byłby taki środek,
Ilekroćby podobny zjawił się wyrodek. —

Po takiem wyłuszczeniu śmiertelnego grzechu,
Pytam się, czy gra w karty pobudza do śmiechu?
— „O! nie śmiech, ale zgrozę, oburzenie sprawia,
Jak wszystkie do zagłady wiodące bezprawia...“
Rzekli zacni, i w pomoc wezwali satyrę —
Która zamiast pochwycić bardon albo lirę,
Wzięła bicz i boleśnie szulerom docina:
Bo to macierz surowa, nie płocha dziewczyna. —
Przeciw takiemu wreszcie sroży się satyra,
Co swe zdrowie, majątek i cześć poniewiera —
Albo z ogólnych nieszczęść brudne ciągnie zyski,
Lub przeciw obyczajom knuje tajne spiski,
Lub zdradziecko potwarcze wyrzuca pociski.

Następnie, równie smutną grę weźmiem w obroty:
Bo jeśli los tysiączne wyrządza nam psoty,
Słuszna, byśmy i jego wyświecili cnoty.

Już to najwięcéj złego z Włoch na nas spłynęło:
Skon króla Władysława pod Warną ich dzieło.
A później, kto dostarczył krajowi macochy
W osobie Bony? Jużci dostarczyły Włochy.
Kto sztylety, trucizny, intrygi i spiski
Wprowadził wraz z miękkością w kraj nasz towarzyski?
Tak jest! śmierci Barbary — zmarnienia Augusta,
Nie wynagrodzą nigdy melony, kapusta,
Ani włoskie melodye, ani pędzel włoski,
Ni topole, co zdobią ogrody i wioski. —
Lecz nie na tem się kończą do nich me urazy:
Gdyż jakby na dobitkę moralnéj zarazy,
Pan Lotto z Neapolu, z szatańskim umysłem,
Po wyrafinowaniu głębokiém i ścisłém,
Obdarzył świat tak zwaną loteryą liczbową—
A świat ciemny z radością chwycił tę zabawkę,
I pogańską Fortunę ogłosił królową.
A lubo wszystko dla niéj poświęcił na stawkę,
Wszelako owa ślepa poganka wskrzeszona,
Nie czuła się zupełnie być uszczęśliwiona;
Gdyż nie do niéj wyłącznie swe modły chrześcianie
Zwracali, lecz do Boga, wołając: „*O Panie!*
Dopomóż trafić terno! zmiłuj się nad nami!“
Jak to i dziś usłyszysz własnemi uszami.
Dla tego obrażona, by łatwiéj wywarła
Swą zemstę, z szatanami przymierze zawarła—
A ci kilku osobom wygrać pozwolili,
I przez to wszystkich ciemnych do siebie zwabili.
Biedaki, tłumem idą kupować nadzieję,
Kiedy ona w skrytości z djabłami się śmieje! —
Lecz nadzieją do czasu tylko łudzić można—
Bo gdy po wyczerpaniu zasobów, bezbożna
Myśl przyjdzie, i człowieka całego owładnie,
Człowiek taki naówczas oszukuje, kradnie,
Lub miotany rozpaczą cały świat przeklina,

I najczęściéj się topi lub gardło podrzyna! —
Widziano nawet takich, którzy omyleni
W nadziejach zakupionych, gniewem rozjuszeni,
Obrazy Boga, Świętych na ziemię rzucali,
I, o zgrozo! własnemi nogami deptali.
Tym więc sposobem piekło cel swój osiągnęło:
A ludzie w dobréj wierze wspierają to dzieło...
I nie dziw, bo loterye liczbowe, klassyczne,
Są to u nas choroby już epidemiczne,
Groźniejsze, niźli tyfus, niż febry gastryczne!
Żal się Boże! nadzieja to bardzo mizerna,
By można los poprawić za pomocą terna!
Równie nędzna i godna śmiertelnego ciosu,
Jaka płynąć się zdaje z klassycznego losu —
Który chyba dla tego nazwę tę przybiéra,
Że tego i owego klassycznie obdziera! —

Wszystkie te błędy, włoskie zrodziły pomysły —
A krzewią się i u nas nad brzegami Wisły. —
Tu zaiste przychodzi westchnąć: o człowieku!
Jakżeś ty jeszcze głupi w dziewiętnastym wieku!

Gdzie człowiek, tam i głupstwo.— Uczony Erazmie!
Wszakże pochwała w twoim mieści się sarkazmie,
I dzieło twoje dla mnie powinno być wzorem:
Wybacz więc, że odmiennym puściłem się torem.
W umarłéj mowie Rzymian tyś głupstwo pochwalił;
Ja zaś w mowie ojczystej radbym je powalił
I zdeptał, aby więcéj nie podniosło głowy.
Daléjże więc do dzieła obszar mam gotowy.

Dziś wszystko gry i handlu przedmiotem się stało:
Zdolności, ręce, nogi — nawet całe ciało
Wypuszcza się na sprzedaż albo też w dzierżawę —
Przy czem, oprócz pieniędzy, zyskuje się sławę,

Sławę wprawdzie dwuznaczną, lecz zawsze brzęczącą,
I któréj żadne gromy satyr nie roztrącą.
Bo takiém jest, niestety! dzisiejsze zepsucie,
Jak gdyby już skonało godności uczucie!...
— Co mówisz? ono żyje we fraku — w surducie;
Nawet w lakierowanym przedstawia się bucie —
Tylko badać nie trzeba, kto i czém skalany,
Jeźli według żurnala des modes jest ubrany.
A postać taka bywa zawsze miła, wdzięczna,
Bo dziś głównie popłaca skorupa zewnętrzna!
I dla tego prawdziwéj godności uczucie
Siedzi w kącie, wzgardzone, jakby na pokucie. —

Skończyłeś; więc po tobie znowu mówić zacznę,
A snują mi się różne postacie dziwaczne.
I tyś je nieraz widział. Są to *piękne sztuki*,
Które zkądinąd znowu liczą się na sztuki,
To jest podług ilości: jeden, dwa, trzy, cztéry.—

Zobaczmyż tedy bliżéj te klacze, ogiery:
Wszakże są to, jak mówią: *najczystsze Vollbluty.* —
Tu panowie, dżokeje, bóty i szpicruty
Dają dziś przedstawienie albo widowisko:
I dla tego tak wielkie zewsząd zbiegowisko —
Nawet słychać, pan jeden przyjechał aż z Rygi,
Umyślnie, aby widzieć te końskie intrygi —
Przepraszam, nie intrygi, lecz końskie wyścigi —
Mówię *końskie* — bo każdy niech na to pamięta,
Iż tu głównym przedmiotem nie człek, lecz bydlęta.

Oto, nadzieja kraju, pan licznych folwarków,
Pędzi cwałem do mety na złamanie karków.
Patrzaj! zleciał — lecz powstał i dosiadł na nowo
Ognistego rumaka — a choć śmierć nad głową,

Śmierć wcale niezaszczytna, bez wszelkiéj potrzeby,
Jednakże znów czwałuje, jedynie, ażeby,
Pokazać, że w gonitwie prześcignąć się nie da,
Zakład wygra, i jeszcze raz losowi sprzeda
Swoje zdrowie i życie — jak gdyby to życie
Dało się zabespieczyć równie należycie,
Jak przypadki pożaru albo gradobicie.
I któż teraz nie przyzna, że to gracz szalony?
— Skądże on, może z Litwy?—Nie z Litwy, z Korony
Jakiż z resztą pożytek dla naszego kraju,
Z tego od Anglosasów wziętego zwyczaju?...
Bracie! choćbyś miał członki, siły Herkulesa,
Nie poświęcaj ich nigdy *na takie excessa!*
Popisy te wędrownym zostaw akrobatom,
Skoczkom, błaznom i innym latającym szmatom:
Bo nie takie Bóg pole przeznaczył Sarmatom.

Niegdyś w Wypisach szkolnych czytałem te słowa:
Der Affe ahmet alles nach — a złość gotowa
Z małpami nas połączyć i wyrzec, aż strach!
„*Der Pole und der Affe ahmen alles nach.*“ —

Z jednéj sceny na inną przejście bardzo łatwe:
A gdzie scena, tam zoczysz gapiącą się dziatwę
Starą i młodą. — Dla mnie rzecz to niepojęta,
Czemu ludzie inaczéj nie obchodzą święta,
Tylko koniecznie jakiemś widowiskiem, hecą—
Szczególniéj też gdzie heca, tam gromadnie lecą.
Gdyby to sami żydzi albo same żaki
Tam biegły, sprawiedliwie możnaby wybaczyć;
Lecz nie sam gmin uliczny, bo wykwintne fraki
Szale — słowem *śmietanę możesz tam zobaczyć,*
Lub inaczéj: *wysoko latające ptaki,*
Mniemające, iż przez to będą więcéj znaczyć!
Bo i jakże w salonie z tém się nie popisać,

Że się było, widziało? — Czemu nie kołysać
Wyobraźni tak skłonnéj do wrażeń przyjęcia?
Trzeba przeto tych wrażeń szukać u bydlęcia,
Zwłaszcza, że to nie bydlę, ale *koń uczony*,
Arabski Vollblut. — W takich myślach pogrążony,
Zaszedłem na przedmieście i patrzę... o cuda!
Tu dotąd niewidziana rozparła się buda —
Jak baba, gdy usiądzie széroka, otyła,
Tak ona swym korpusem wielki plac okryła.
Ma nadzieję, iż będzie liczny rój mieściła,
Kiedy się tak wygodnie u nas rozgościła. —
Lecz jakiż jest tej budy cel i przeznaczenie?
Już domyślam się, skoro słyszę koni rżenie —
Zaś cel główny, mieszkańcom przetrząsnąć kieszenie.
To Cyrkus — tu się konne odbywają hece,
A ludzie się gromadzą, i to tak dalece,
Że niech ich Pan Bóg wszystkich ma w swojéj opiece.
O patrzaj! jakie tłumy cisną się do budy,
Wąchać wyziew stajenny i wyciérać brudy...
— „Chodź z nami!“ — Alboż ja pies? Kto się psem być czuje,
Ten niech idzie do budy, i tam wyszczekuje
Pochwały dla hecarzy uwielbienia wrzaskiem,
Aż mu sypną w podziękę w oczy grubym piaskiem.

I cóż to są za ludzie? To konne szulery. —
Lecz gdy w grze téj publiczność bierze udział szczéry
To oni jéj też służą. — Lud chce być bawionym,
Nie pomnąc, że zabawą nie będzie zbawionym! —
Nic tam wreszcie tak bardzo niémasz ciekawego:
Nie rycerze, jak niegdyś z konia Trojańskiego
Sypią się, lecz z pod końskich kopyt wstają kurze...
A oklaski grzmią huczne na dole i w górze! —
Że ten i ów szalenie jeździ, członki łamie,
To się bardzo podoba córeczkom i mamie,

Która, acz niemajętna, wytrzymać nie może,
I na wszystkie igrzyska bierze całą lożę. —

A tam znów, kto tak śmiało, posuwisto kroczy?
Patrz, co za kibić, jakie włosy, jakie oczy —
Jak dwa wielkie brylanty sieją blask uroczy.
Cóż dopiero, gdy wszystkie wdzięki swe roztoczy
Ta powabna osoba! — Otóż, ku nam płynie,
I kłania się jak Gracya. — Powitać boginię!
Czy z Olimpu? — Z półwyspu. Jam solo tancerka.
— A jaka strojna, świéża, jak gdyby z kuferka
Prosto wyjęta — przy tém giętka i sprężysta,
Jak guma elastyczna albo gutta perka. —
Po cóżeś przyszła do mnie? Jam nie jest artysta,
Ani bogacz, lecz tylko biédny moralista.
Daremnieś więc ścisnęła sznurówką żeberka —
Cel chybiony! Wacpanna jesteś téż szulerka.
A choć oklask wywoła twója postać durna,
Zawsze jesteś gliniana, wewnątrz pusta urna!

— Ej, śmiałku! czy wiész, kto to, i jak się nazywa?
To słynna, uwielbiana hiszpanka Oliva...
— Oliwa? więc na funty sprzedaje się sama?
— Nie rozumiész; Oliva, bardzo zacna dama....
— Mylisz się, przyjacielu, to piękność rozbita —
Takie jest moje zdanie w téj mierze, i kwita! —
Lecz wstąpmy do teatru. Towarzyszu miły,
Czy słyszysz, jak klaskają w dłonie z całéj siły?
Jeszcze zewnątrz jesteśmy, a już takie krzyki
Dolatują nas, jakby same uliczniki
Zebrały się, by takie wyprawiać hałasy—
A przecież to nie papry! Są tam rożne klasy
Płci obojga — a męska płeć głównie szaleje. —
Otóż jesteśmy w sali. Gwałtu! co się dzieje!

Sąż to obywatele i obywatelki
Co taką wrzawę robią?... Lękam się o belki,
Bo już trzeszczą. — O patrzaj! jak lecą karmelki,
Kwiaty, olbrzymie wieńce, wiérsze i rubelki —
I gdzieś w górze strzeliły z szampanem butelki.
Ten nawet grosz ostatni wyjął z kamizelki,
I rzucił go na scenę. Inny znów bombelki
Złote, co u kluczyków wiszą jak sardelki —
A znów inny prześliczne cisnął pantofelki.
Słowem, wszyscy w zachwycie. I mój podziw wielki'
Że takiego rodzaju wolny objaw wszelki....

Tu mi znowu przychodzi westchnąć: *o człowieku!*
Jakżeś ty jeszcze głupi w dziewiętnastym wieku!
Stokroć mędrsza od wszystkich ta chytra tancerka;
Ona bowiem nasz pieniądz zgarnie do kuferka —
Zaś wieńce i bukiety wyrzuci jak śmieci,
I śmiejąc się z nas w duszy, daléj w świat poleci!

Przekonałeś się teraz, przyjacielu drogi,
Jaką to grę prowadzą *wyuczone nogi*,
I jakie odbierają *hołdy bałwochwalcze*?
Owóż ja przeciw temu powstaję i walczę.

Chcecie mieć zdrowszą młodzież, uczciwsze kobiéty,
Zabrońcie im bezwstydne odwiedzać balety. —
Nie jeden sypie złoto przedajnéj dziewczynie,
Zamiast dźwignąć ze zwalisk zgorzałe świątynie!

W samą porę tysiączna baletów ofiara
Zjawia się. Jest to młody człowiek — lecz twarz stara,
Każdy, co się mu przyjrzy, że to szuler, powie,
Co na kartę rozpusty postawił swe zdrowie. —
Zdrów był, dopóki w domu ojców jadał hreczki,
Dziś stęka i połyka z merkurym gałeczki.

Ledwie łazi, lecz doktor nic mu nie powiada,
Że mu kości spróchnieją — że zęby postrada! —

Nie na tém wszakże kończę galeryą obrazów:
Swiat mi wzorów dostarczy, a język wyrazów.
Tu polować nie trzeba — *dosyć okiem rzucic,*
By się rozśmiać serdecznie albo się zasmucić.

Obecnie, nieco ciszéj będziemy mówili.
— A to czemu? — Dla tego, iż właśnie w téj chwil i
Dostrzegłem, jako jeden ciekawy Jegomość,
Co to skwapliwie wszelką połyka wiadomość,
Jak wyżeł, kiedy łapie muchy latające,
Albo czapla, gdy chwyta rybki pływające —
Podsunął się pod okno mojego mieszkania,
I niby tam gdzieś patrząc, tu ucha nakłania.
Jest to człowiek z pozoru bardzo miły, grzeczny,
Lecz w gruncie, jak powszechnie twierdzą, niebespieczny:
Bo lubo żadnéj broni przy sobie nie nosi,
Nigdy nie rozkazuje, lecz uprzejmie prosi —
Wszelako, ile razy kogo wziął na oko,
Niezawodnie ugodził i zranił głęboko —
I dla tego téż ludzie, co żarciki łowią,
Już Mesmerem, już znowu myśliwym go zowią.
Jakoż iście moc jego w oczach, w nosie, w słuchu,
Nawet często jak strzelec, czołga się na brzuchu,
By podejść jakiekolwiek ptastwo lub zwierzynę,
Czyli mówiąc po prostu: słówko, wieść, nowinę.
Niczém nie gardzi, wszystko chwyta za czuprynę,
I pakuje do torby, gdzie plotki gromadzi,
I któremi zyskowny handelek prowadzi. —
Winszują, nie zazdroszczą ci, którzy go znają,
I przed nim, jak przed dżumą, domy zamykają. —
Głos powszechny powiada: człowiek ten się wsławił
Tém, że śmiało twarz, plecy, na kartę postawił! —

Wezwany, najfałszywsze gotów dać świadectwo,
Nie dbając, czyli przez to narazi na śledztwo.
Wpadnij mu tylko w oko, a szanowny Judasz
Wszędzie pójdzie za tobą, gdziekolwiek się udasz —
Jakby to był nad nami postawiony włódarz.

Przecież zwolna opuszcza swoje stanowisko —
Lecz niestety! znów inne poczciwe człeczysko
Zbliża się — O, i z ciebie gracz niepospolity!
Lis układny, płaszczykiem prawości okryty.
Raz otwarcie, drugi raz podstępami działasz,
Mianowicie też, kiedy chęcią zysku pałasz —
A przepis w twojém ręku, obosieczny pałasz!

W tém drzwi się otworzyły, i z grzecznym ukłonem
Wszedł i śmiało postąpił jakiś nieznajomy
Mówiąc: „Najznakomitsze obszedłem już domy,
I każdy opuściłem z dość obfitym plonem.
Łaskawego przyjęcia mam przeto nadzieję
Doświadczyć i u Niego...“ tu się wdzięcznie śmieje,
I jakieś tam obrazki rozwijać zaczyna —
— „Proszę spojrzeć; tu chłopiec, tu ładna dziewczyna—
Wszystko zachwycające — same arcydzieła,
Do wykonania których miłość mię natchnęła.
Jest w czém wybrać — a cena zbyt umiarkowana,
By zachęcić nie miała tak zacnego pana,
Który zawsze, jak mówią, sztuki piękne wspierał...“
— W arcydziełach wacpana ja nie będę szperał;
Lecz proszę mi powiedzieć, kto jesteś? — „Artysta...“
Już wiem, co z ogólnego zepsucia korzysta,
Malując samę sprosność. I tyś się ośmielił
Tak poniżyć dar, jaki Stwórca ci udzielił?
Ty nie jesteś artystą, lecz nikczemnym graczem,
I do zepsucia równie czynnym podżegaczem.
Proszę za drzwi, natychmiast! — Tu artysta blady,

Co tchu swe artystyczne pozbierał szkarady,
I wybiegł na ulicę, jak gdyby ścigany. —

Tak trzeba postępować, ziomku mój kochany!
Ze wszystkimi graczami jakiéjkolwiek barwy,
Odpychać ich od siebie i zdzierać z nich larwy! —

Jako Chrystus Pan niegdyś w przysionka obrębie,
Przez który dwa podobne wiodły do świątyni —
Gdy zobaczył tam ludzi, co bydło, gołębie
Sprzedawali zuchwale — cóż wówczas uczyni?
Oto, pełen boleści, oburzenia, zgrozy,
Z najbliższéj budy chwycił w prawą dłoń powrozy,
I rozpędził handlarzy, ich owce i woły,
A lewą powywracał rozstawione stoły
Lichwiarskie, i z powagą zawołał: „Nie czyńcie
Z domu mojego Ojca domu kramarskiego!“
I korząc się, uciekła przelękniona tłuszcza.

Tak i wy w sobie ducha potęgę rozwińcie,
By każdy z was odwagę miał z domu swojego
Wyprosić niegodziwych — bo kto w dom swój wpuszcza
Przyjaciół, zwolenników, służalców szatana,
Ten jego chwałę głosi, nie Chrystusa Pana!
A wy przecież Chrystusa jesteście uczniami —
To niechże wzory Jego żyją między wami!
Nie z powieści rozwiozłych, lecz z żywota księgi
Bierzcie moc, a struchleją piekielne potęgi!
W domu waszym niech będzie tak jako w kościele,
A Pan przyjdzie niechybnie i zrządzi wesele!
Czuwajcież tedy ciągle i bądźcie na straży
Swych własnych namiętności — bo wyrok się waży...
I dla tego, by zmiękczyć zagniewane nieba,
Twarde, surowe życie prowadzić nam trzeba! —

Jakże miłą dla dobrych bywa cnoty ścieżka,
A jak przykre, mniemane światowe słodycze!
To też zwykle u takich tylko Pan Bóg mieszka,
A od złych zasmucone odwraca oblicze! —
Temu przeto, kto gwałci jakimkolwiek czynem
Prawo najświętsze, prawo Chrystusowe,
Słuszna, klątwę w tych słowach wyrzucić na głowę:
„Tyś nie jest ziomkiem naszym, ale poganinem!“

Leszek Moroz.

PRZYGODY PADYSZAHA
I CZTERECH DERWISZÓW.*)

(Powieść tłumaczona z perskiego).

W Imie Allaha Łaskawego Miłosiernego!

W krajach co nad Eufratem, panował król, Azade Becht na imie.

Wiersze. Ziemię orężem podbił, niebiosa zdobył modlitwą. Szah z rodu i z potęgi, ale Derwisz (ubogi) w duszy. A tyle sprawiedliwy, tak miłosierny piastun ludów swoich, że kiedy klęska ich jaka trapiła, wnet w nią uderzał orła skrzydłami i szponą. Gdy z nich którego cierń biedy zadrasnął, dobry pan własną ręką kładł plaster na ranę i goił. A lał szczodrobliwości deszczem na podwładną ziemię, tak żeś na niéj niewidział jeno wdzięczności żniwa i łąki.

---

*) Należącą tu powieść *Derwisz Trzeci* zamieściliśmy już poprzednio w zeszycie lutowym.

Sto tysięcy wiosek i miast w Anatolii, w Syryi i w okolicach, hołdowało jemu. Wszakże przy takiéj potędze i wielkości, na chwilę niezapomniał służb powinnych jenynemu Bogu. Zawsze pokorną twarzą leżał na progu niebieskiego dworu Allaha, czołem pył zmiatał, z posadzki meczetów. Ustawnie jęczał do Boga i błagał o syna, prosił o dziedzica korony i tronu. Albowiem dotąd niemiał następcy ani namiestnika ze krwi swojéj. Rok szedł za rokiem, mijały lata, czterdziesty i pięćdziesiąty życia królewskiego.

Pewnego dnia, wracając z modlitwy, Azade Becht stanął przed zwierciadłem przypatrzyć się piękności swojéj. Ujrzał w brodzie i wąsach kilka włosów siwych bielących się jak szron na czarnoziemiu. Strapiony więc i zamyślony, tak sobie mówi: Biada i szkoda! Stérałeś najlepszą część życia twojego. Wysypałeś skrzynie i skarbce złota. Pozabijałeś tyle wojsk. Dotąd na chwilę nieodetchnąłeś swobodniéj, dotąd ani razu spokojnie nie napiłeś się wody. Teraz, oto już włos siwy, ów zwiastun śmierci, przedziera się w twierdzę żywota twojego i złowrogą wieścią prószy na ciebie jak popiołem trupim. Dziś, jutro, posłańce boscy przyjdą upomnieć się o duszę twoją, anioł śmierci zawoła z pod niebios: *czas ci dopić czary żywota!* I wypędzą cię z dnia białego, chcąc niechcąc pójdziesz do ciemnicy grobu. Nierad będę musiał pożegnać rodzinę i przyjaciół. Ah co za szkoda, jaki żal że niemasz syna, któremubyś oddał koronę twoją i pierścień twój królewski, te co po śmierci twojéj przejdą w ręce wrogów twoich.

Wiersze. Jaka to szkoda że życie więdnieje i że kołowrót wieków nie zatrzyma się w biegu! Mówiłem sobie: gdy mię starość nachyli, ujmę się ręki młodego syna mojego. On się wywiąże z długu ojcu swemu dochowa cało sławy przodków swoich. Życie spróchniało, z pyłem znikły nadzieje moje!

Uderzony ta myślą zamknął się w najgłębsze pokoje pałacu swojego i przez całe trzy doby nie pokazywał się w posłuchalnéj sali, ani się trudnił rzeczą ozdoby i zarządu państwa swojego. Owszem we łzach i płaczu krył się od ludzi. Nieobecność pana spowodowała zamięszania w podwładnych krajach i między przedniejszemi urzędnikami państwa. Lud wiejski i miejski zaczął wpadać na dziwne domysły. Emirowie zatem i ministrowie dworu, na walném zebraniu naradzali się przez trzy dni. Wielki wezyr królestwa, poufały jego szachskiéj mości i w razie potrzeby jego namiestnik na imie *Rouszen Raj* (światły rozum), miał zawsze wolny wstęp do Azade Becht, bo ten go z łaski i dla zaszczytu, zwał ojcem swoim. Otóż uradzili aby posłać Rouszen Raja. Niech mówili pójdzie przed oblicze dobrego szacha i dowie się o powodach co mogło zakłócić pokój duszy pana, niech wróci pocieszyć dobrą wieścią szlachtę i gmin, wielkich i małych, pasterzy i wieśniaków, indyjskich i greckich poddanych Azade Bechta.

Zgodziwszy się na radę przyjaciół, Rouszen Raj udał się drogą wiodącą do celu ich. Odźwierni haremu i marszałkowie dworscy, wiedząc iż nieraz uprzednio wolno mu było widzieć szaha sam na sam, nieśmieli go zatrzymać. Gdy już stał u drzwi, dali znać królowi i król kazał mu odemnąć. Dostąpiwszy zaszczytu obecności, wielki wezyr ucałował podłogę i zaczął od modlitwy za trwałość potęgi i panowania. Otworzył usta i lał słowiczéj słodkości pochwały.

Wiersze. Szahu!— Życie twoje niech mija po tysiączne lata. Świat szczęśliwy pod opieką twoją niech przetrwa tysiące wieków, których rok każdy niech ma tysiąc miesięcy, każdy miesiąc tysiąc dni, każdy dzień tysiąc godzin, a każda godzina tysiąc lat! Mocarzu, czem się dzieje, że kwiaty i jagody lica twojego zrosiłeś wodą różanną? Żeś gwiazdy rozproszył po powierz-

chni słońca? Tysiące oczu płaczą od żądzy widoku twojego, ale ty czemuś podobny do deszczowéj chmury. Jaką masz troskę? O bodajeś żył bez smutku. Czego ci mało? O bodajeś płużył w obfitości.

Królu królów! Tęsknota twoja, da Bóg, w radość się obróci. Co jest powodem niedoli twojéj?

Azade Becht znowu zalawszy się łzami rzekł, Ojcze mój!

Wiersze. Jak rozweselić duszę strapioną? Jak władać własną wolą gdy ją biada owładała? —

Jak tu nie trapić się, jak pazurami bólu nierozdzierać piersi rozżalonéj, jak nie sypać popiołu pokutnika na nieszczęsną głowę moją, gdy oto już tyle czasu minęło, tyle się życia drogiego strwoniło na nic. Skarby wysypałem na utrzymanie wojska. Krwią i potem zdobyłem władzę nad państwami mojemi. Wrogów starłem, zwyciężyłem. Nagromadziłem bogactw, pobudowałem miast tyle. I wszystko to dziś jutro porzucić oddać kto wie komu? Bo nie mam dziecięcia, nie mam następcy krwi mojéj coby prawie owładał koroną i tronem moim i zasiadł na królewskim dywanie moim. Lękam się aby to wszystko nie przyszło znów do rąk wrogów.

Rouszen Raj usłyszawszy rzecz taką z ust padyszaha, westchnął, a otworzywszy drzwi skarbca klejnotów dobréj rady i pociechy, rzekł: Żyj długo a wróg twój niech schnie i umiera patrząc na szczęście państw twoich! Marzenia twoje są to poszepty szatańskie, czarna niewdzięczność Bogu przenajświętszemu za dobrodziejstwa któremi cię obdarzył. Ludzie mądrzy powiadają że:

Wiersze: Dziękczynienie za łaskę skarbi nowe łaski, niewdzięczność wytrąca je z ręku.

Padyszahu! Niepamięć na otrzymane dobrodziejstwa i niewypłata długu powinnéj wdzięczności allahowi, plami sławę człowieka. Nie czyń tak nie czyń, bo mężowie prawi nie czynią tego.

Nikt lepiéj od ciebie, królu, i dobroczyńco nasz nie wie że świat znikomy, i życie prędzéj później nas zdradzą. Żeś nie miał dotąd syna, coby po tobie zasiadł na tronie i nosił twój pierścień, nieprzeto już tracić nadzieję że go mieć nie będziesz. Nie truj żalem słodyczy krótkiego życia.

Wiersze. Parę dni żywota, te dwa dary boże, spożyj jak gdyby były dniem jednym.

A jeżeli pragniesz mieć syna, Bóg miłosierny. Oczyść i przygotuj serce do rozmowy z aniołami niebios. O północy, na świtanie, wcześniéj i później wołaj do króla królów, do Pana zastępów. Do spółki w modlitwie twojéj wezwij wieśniaków i słabych i biednych, domięszaj im słuszność i sprawiedliwość; rozsyp hojne jałmużny ubogim i derwiszom, niech i oni niosą prośbę twoję przed tron niebieskiego szafarza łask wszelakich, niech się modlą na intencyą twoją. Więźniów i skazanych każ uwolnić, niech proszą Boga aby cię zachował zdrowo i cało i dał ci syna dla przesłania do potomności nasienia rodu twojego.

Wiersze. O świcie słowik, z wierzchołka wysokich cyprysów, mówił: ponieważ łąki napełniły się kwiatami, więcże i ty napełniaj puhar winem; rozskoszy dnia dzisiejszego nie odkładaj do jutra; podczaszy, wina, héj wina! Nikt nie wie o jutrze. Rozbij namiot u stóp cyprysów, póki niebo pogodne, póki rumiana róża, z pod pączka uśmiecha się, jak beduinka z pod namiotu.

Temi i temu podobnemi przestrogami, Wezyr, pan mądréj rady, wymowny, ścierał powoli rdzę smutku ze zwierciadła błogiéj duszy Azade Bechta. A ten go chwalił i pytał o zdrowie ministrów dworu i innych. Na co Rouszen Raj, ucałowawszy podłogę służb powinnych panu, odpowiedział: wszyscy oni zajęci modłami aby nam niebo przedłużyło opiekę błogiéj władzy twojéj, i aby nakoniec przysłało im ów dzień pożądany w którymby

mogli ucałować pył stopy twojéj i tym sposobem orzeźwić serca strapione nieobecnością twoją.

Padyszah rzekł: Da Bóg najświętszy, jutro, we dwie godziny po wschodzie słońca, zbiorę was wszystkich w posłuchalnéj komnacie i przemówię stósownie.

Rouszen Raj, otworzył usta do nowych dzięk i pochwał i tym dwuwierszem zapieczętował je:

Dopokąd świat stoi, trwaj na świecie, zdala od ciosów ręki zawistnego losu!

Otrzymawszy pozwolenie odejść, wrócił z dobrą wieścią, opowiedział wszystko swoim towarzyszom i kazał woźnemu powtórzyć ludowi po ulicach i bazarach. Po czem się rozeszli wszyscy do domów swoich. Azade Becht, przeprosiwszy majestat allaha, wrócił do dawnéj pogody umysłu i otrząsł się z pyłu gryzących urojeń. Emirowie i wojskowi pospieszyli zająć każdy swoje stanowisko, bo każdy poczuł że pan, podawnemu, łamał i wiązał wielki łańcuch sprawy narodowéj.

Zajęty tak rzeczą powszechną, Padyszah zapomniał już był że beździetny, aż oto, pewnego dnia, przeczytał w książce że: jeżeli komu niedola, czy smutek czy ból, czy jaka bieda staną na wstręcie, niech się uda na mogilnik i za dusze zmarłych tam, odmówi pierwszą suratę koranu, wtedy uczuje żal, a skruszonemu sercu Bóg da pociechę i troska zniknie. Podobnież, ile razy kto rozraduje się i rozweseli nazbyt, bez widocznéj przyczyny, niech idzie na mogilnik zbudować się przykładami działań i potęgi stworzyciela życia i śmierci. Niech sobie przypomni że oto owi co dzisiaj już w grobach, zapewne pierwèj odemnie byli panami wielkości i szczęścia. Mieli i wiarę i skarby znikomego świata. Jak ty, może lepiéj niż ty, żyli, użyli, cieszyli się i radowali, aż nakoniec musieli od tego wszystkiego wesela oderwać serca i nagromadzone dostatki zostawić wrogom swoim i po rozłące z drogiem życiem złożyć głowę pod

piaskiem. Za pomocą takich rozmyślań, radość niewczesna, zdradliwe sidło szatana, zniknie. Albowiem wielcy mędrcowie powiedzieli że:

Wiersze. Na każdą weselszą piosnkę kuropatwy, jest dwieście szponów sokolich; z tyłu za każdym uśmiechem, dwieście płaczów czyha.

Azade Becht poczuł chętkę odwiedzić mogiły prawowiernych nieboszczyków. Wszakże pomyślał sobie: jeżeli w dzień pójdę na mogilnik, trzeba się będzie przeciskać przez tłumy wielbłądów i żołnierzy. Lepiéj więc, gdy noc zgasi dzienne światło, będziesz mógł swobodniéj i oczywiściéj przypatrzyć się śladom sprawy bożéj, i palcem wyroku boskiego otworzyć węzeł trosk twoich. Więc cierpliwie doczekał się nocy, i kiedy już ludzie gotowali się do spoczynku, przebrał się w inne suknie, wziął garść *dinarów* (dukaty) i wyszedł z pałacu w stronę cmentarza miejskiego.

Wraz przy pierwszych grobach, odmówił wspomnianą modlitwę koranu. Prosił Boga o uwolnienie jeńców więzienia ziemi. Tak szedł daléj i daléj aż do końca mogił, gdzie, w kapliczce otwartéj na cztery strony, ujrzał palącą się lampę. Pomyślał sobie: zapewne tam jakiś podróżny, nocuje myśląc o dalekiéj ojczyznie swojéj. Lub jaki włóczęga bez przytułku, albo może pobożny derwisz stroniący oczu natrętnych widzów. Ktożkolwiek bądź, należy on do ludzi żyjących w Bogu, do świętych pańskich.

Aby się przekonać, podchodzi pod samą kaplicę. Na podłodze jéj, na rozesłanych skórach tygrysich, siedziało czterech ludzi, niby cztery ptaki o połamanych skrzydłach. Twarze widocznie smutne, cierpiące; łokcie rąk na kolanach, a czoła na ręku oparte; pogrążeni w morzu milczenia i rozmyślania. Na kamieniu grobowca pali się lampa, podobna do serca tułaczów co na cudzéj ziemi płonie ogniem tęschnoty do stron ojczystych, rzucając

odblask przypomnienia na przyjaciół, na rodzinę zostawioną w odległym kraju. Wszakże pomimo znużenia i niewygód napiętnowanych na licu każdego, z pierwszego wejrzenia widno że to mężowie nie lada, starzy doświadczeniem, i że wiele świata widzieli. Na widok ich padyszah przypomniał sobie ową gazel poety:

Wiersze. Zakątkiem Derwiszów jest sad rajski rozkoszny, na najwyższém piętrze niebios; najzaszczytniejszą służbą, jest służyć derwiszom. Owego szczerozłota cel trudów alchemika, nie znajdziesz jeno w metalu serdecznéj rozmowy z derwiszami. Cel żądzy królów, klejnot o który mocarze modlą się Bogu, widny w źwierciedle piękności derwiszów. Skarby Krezusa *(Karun)*, o których bają poeci, nieistnieją rzeczywiście, jeno w szlachetnéj dumie derwisza. Talisman cudów szczęścia, co go nabożniś szuka w celi pustelniczéj, leży, na dnie wspaniałéj duszy derwiszów.

Więc trzeba mi zalecić im służby moje pokorne. Poproszę ich o westchnienie gorące, o modlitwę strzelistą. Może pod błogosławionym wpływem ich oddechu, nadzieje moje zmartwychwstaną. Azade Becht już biegł z prośbą, gdy ujrzał że jeden z liczby tych czterech derwiszów, kichnąwszy, obudził się z marzenia i zaczął dziękować Bogu. Towarzysze jego odezwali się: *Błogosław Boże* *), za co im podziękował słowami: *Prowadź was Boże drogą prawą.* Jeden z derwiszów, powstawszy poprawił lampy i znowu usiadł na dawném miejscu.

Azade Becht rzekł sam do siebie: W podobnéj chwili ludzie się nie tają owszem każdy się spowiada z najskrytszych myśli. Przysiadł więc pod ścianą zwracając ku nim ucho i oko, aby się przekonać jak czynią i co mówią.

---

*) Kichnięcie jest ostrzeżeniem o bliskiem nieszczęściu, dla tego na wschodzie kto kichnął powinien modlić się i milczeć chwil kilka.

Jeden z derwiszów zapytał: Bracia, błogosławmy téj, może jedynéj, nocy co nas tu złączyła. Nas tu jest czterech. Każdy ogorzał pod innéni niebem; każdy ucieka z ojczyzny ścigany rózgą nielitościwego losu. Doznawszy tyle wycierpiawszy tyle jak waryat Medżnun, przebiegliśmy pustynie i góry, jak potok wezbrany, niespoczęliśmy, nie zatrzymali nigdzie. Aż dzisiaj ledwie potykamy się tu i nie wiemy azali jutro, krążące nam nad głowami niebo *) jakiego figla wywinie? Jaką nam nową klęskę nadarzy obrzydliwa baba. Lepiéj więc będzie, gdy korzystając z błogiéj chwili, przepędzimy noc na opowiadaniu przygód swoich. A jutro zobaczemy jaką nam barwą zaiskrzy się niebo

Derwiszowie inni zawołali jednym głosem: Bracie mądrześ nam doradził. Zacznij od opowiadania własnych kolei. Tylkoż idź drogą szczerości i prawdy. W zakonie naszym kłamstwo jest zbrodnią.

DERWISZ PIERWSZY.

Wyzwany tak derwisz, z sercem ranioném, ale pełném uczuć miłości i braterstwa, przysiadłszy na piętach swoich, zaczął płakać jak chmura wiosenna nad niedolą serca swojego. Potem, istny słowik (papuga) jął miłą wymową opowiadać.

Wiersze. Drużbo droga kochana, poczęta i zrodzona w miłości. Usta wasze wypiły gorycz cierpienia, pierś wasza trącała o skałę niedoli. Głowa moja pełna burzli-

*) Persowie nazywają los rozmaicie: niebem, kołowrotom, starą wiedzmą złośnikiem etc. i rądzi go przeklinają przypisując mu wszystkie biedy spadające na człowieka. Sądzę że to zabytki zoroastrowych pojęć o Ahrimanie.

wych marzeń o jéj czarnym warkoczu. Serce moje wrze, gore miłością dla niéj. Strzała jéj rzęsów utkwiła w duszy mojéj. We dnie, w nocy, tarzam się we krwi mojéj. Jakże wam opowiem dzieje rozłąki z kochanką, gdy oddalonemu od niéj serce się pęka z bólu.

Bracia derwiszowie! — Ja, co tu dzisiaj w siermiędze żebraka przemawiam do was, jestem rodem z Jemenu. Ojciec mój, Chodża-Ahmed na imie, był kupcem. Miał dostatkiem pieniędzy, sług wiele. Słynął wielkim rozumem i uczciwością. Kupcy jemeńscy zasięgali rady jego w każdéj ważniejszéj sprawie i czynili co im powiadał. Jednego tylko miał syna, to jest mnie, i jednę córkę, którą jeszcze za życia swego, wydał za mąż. Wedle zwyczaju ludzi bogatych odesłał ją z należną wyprawą i wianem. W czternastym roku życia, mój ojciec przeniósł się do wieczności. Zbiegli się tłumnie sąsiedzi, krewni, przyjaciele, towarzyszyć ostatnim posługom, ciało umyto, zawinięto w śmiertelną koszulę, pogrzebiono sposobem najprzyzwoitszym. Przez cały tydzień obchodziliśmy stypę po stracie rodzica. Po tém krewni moi i drużba, każdy odszedł drogą swoją. Wtedy, zostawiony sobie, zacząłem czuć prawdziwie silnie śmierć ojca mojego. Sam bez powiernika, siedziałem w kącie wielkiego pustego domu, jak na cudzynie. Drzwi radości i używania zamknąłem przed twarzą moją. Płakałem i ubolewałem samotny. Dotąd albowiem nie miałem ani jednego przyjaciela.

Tak w płaczu i bólu minęło trzy dni. Rospustnicy, wilki w skórze baranka, na których niezbywało w mieście, przywykli karmić się cudzym obiadem, i nosić nie swoje suknie, usłyszawszy, że Chodża Ahmed umarł i zostawił młodego syna, chłopca bez doświadczenia, zaziérać zaczęli do mojego domu. Odźwiernemu mówili: „chcemy widzieć panicza.“ Usłyszawszy to odpowiedziałem, że mogą wejść. Każdy przychodząc siadał po-

ważnie, z zasmuconą twarzą, płakał i tym sposobem spolił się i znajomił ze mną. Po godzinie gry takiéj zaczynali odzywać się z radami. Mówili, drogie paniątko:

Wiersz. Ktokolwiek na świat przybywa, musi na koniec odejść. Na wieki wieków nikt nie pozostał na świecie. Śmierć ojca i matki jest dziedzictwem naszém po ojcu Adamie.

Wiersz. Jeden tylko Stwórca wszechrzeczy żyje wieczyście. Płacz dla nikogo nie niesie korzyści.

Bóg ciebie niech zachowa przy życiu. Modlitwą dowiedziesz duchowi ojca, żeś o nim nie zapomniał a jałmużnami uradujesz go.

Bracia derwisze! Sądziłem, że ich mowy nie miały zguby mojéj na celu, słuchałem ich słów i niepozwalałem im odejść. Nakoniec wszyscy i każdy z nich, tą lub ową zdradą i ponętami oszukali mię. Aż nareszcie tak mię przyzwyczaili do zabaw i nieprawych rozrywek żem na chwilę nie był przy moim rozumie. Ciągłe wędrówki i schadzki po sadach i łąkach, w towarzystwie wdziękiń różolicych i kwitnącéj młodzieży. Wesoły pijany tarzając się po kwiatach, przysłuchiwałem się harmonijnéj muzyce i śpiewom artystów i artystek. Tak przez długie trzy lata trwoniłem życie i majątek. Zostawione mi przez ojca 40,000 tumanow *) poszły na korzyść bliższych i dalszych przyjaciół. Ostatek słudzy moi i domowi rozkradli; każdy z nich brał ile chciał i uciekał bez powrotu.

Po trzech latach, straciwszy wszystko co miałem, przyszło do tego, żem z odzieży, pozostał o jednym płaszczu na grzbiecie, i jedynéj czapce na głowie a i na to trzeba było poszukać kupca, aby się obronić od głodu. Dobrze to Szejch Seadi powiedział że:

---

*) Fr. 180,000.

Wiersz. Głupiec, co w dzień jasny stawi jarzące świece, skończy na tém, że w nocy nie będzie miał oleju do lampy.

Koniec końców, trzy doby przesiedziałem w kącie meczetu nieśmiejąc twarzy pokazać ludziom. Na czwarty dzień niestało mi cierpliwości. Wojsko głodu wtargnęło zbrojnie w warownię wstrzemięźliwości mojej i zniszczyło węgielny kamień cierpliwości filozofii mojéj. Wyszedłszy z meczetu, z razu sam nie wiedziałem co tu począć, gdzie się udać? Wpadłem na myśl zajrzeć do domu siostry mojéj.

O derwiszowie! Podziśdzień płonę od wstydu. Gdy przedtem jeszcze tylekroć razy, siostra przysyłała do mnie, błagając: bracie mój, po ojcu i matce tyś mi tylko pozostał w jedyną pamiątkę po nich. Chcę widzieć ciebie. A ty całe życie, ty dni i noce twoje z kochanką i szklanką przepędzasz. Nigdy nie jesteś sam jeden, abym do ciebie przyszła. Jakaby radość, gdybyś choć raz kiedyś raczył nas odwiedzić i biedną siostrę twoję przytulić, osuszyć oczy sieroty spłakane po stracie ojca.

Wiersz. Przyjdź pożądany oczom moim, pragnę ciebie. Zlituj się, rozłąka z tobą męczy mię i trapi.

Mnie wcale co innego śpiewały bajaderki moje, anim chciał pomyśleć, że mam siostrę. A teraz oto nikczemnie, lichy żebrak zapukałem do drzwi jéj. Jak tylko usłyszała imie moje, wybiegła do mnie i od pierwszego rzutu oka zgadła wszystko. Z jękiem rozpaczy rozerwała szaty na sobie, darła twarz, biła w piersi, targała warkocze swoje. I ja rzewnie zacząłem płakać. Dobra siostra rzuciła mi się na szyję całując i ciesząc. Pomieściła mię w najlepszej izbie domu. Przyniosła jeść, odziała mię w nowe suknie.

Tak kilka dni gościłem u niéj. Rozsądna, dobra, śród rozmowy pewnego wieczora, rzekła mi: Bracie kochany

wiem że mężczyźni nie lubią siedzieć w domu bezczynnie. Ja radabym duszą moją podzielić się z tobą. Wiem że potem co cię w tém mieście spotkało, nie miło ci mieszkać tu. Więc oddal się na czas jakiś. Podróżuj, skosztuj chłodu i ciepła, doli i niedoli losów. Niedobrzy przyjaciele prędko zapomną ciebie, poszukają nowych znajomości i znajdą bogatszych od nas, wszystko pójdzie w niepamięć. A kiedy wrócisz, Bóg miłosierny nastręczy tobie zatrudnienie i znowu zasłużysz na dobre imie. Podróże kupca bogacą. Ludzie widząc, że przyjeżdżasz z zagranicy, pomyślą sobie żeś dorobił się majątku, a teraz zową ciebie próżniakiem i marnotrawnikiem. „Ależ skąd pieniądze na drogę?“ zapytałem. W odpowiedź dobyła natychmiast kieskę z 50 złotych tumanów i położywszy ją przedemną, rzekła: drogi bracie, mogłabym dać i więcéj, ale się lękam że strwonisz. Na teraz dosyć, a gdybyś nie umiał przestać na tem, to wierz mi, że i 40,000 tumanów ci niewystarczy. Właśnie słyszałam dzisiaj, że wielu kupców wyjeżdża do Syryi (Damaszku). Kup sobie za te pieniądze tutejszych towarów, poufaj je jakiemu uczciwemu Mekkari *), dla oddania w Syryi, dokąd i sam za karawaną pośpieszysz.

Podobała mi się rada siostry. Nazajutrz zająłem się przygotowaniami do podróży. W przeciągu tygodnia, nakupiłem towarów i dopytałem się Mekkarego, człowieka nieposzlakowanéj wziętości, a po odjeździe karawany pośpieszyłem, wślad za nią. Ale nim to nastąpiło, siostra moja co wieczór zasilała mię zdrowemi radami, i ja sam mądry doświadczeniem, szczerze brzydziłem się dawnym trybem życia i spółrospustnikam

---

*) *Mekkari* właściciel wielbłądów kupieckiéj karawany, entepreneur. Mieszkańce Azyi średniéj nazywają Mekkarie targi coroczne w niżnym Nowogrodzie.

mojemi. Jedynastego dnia, siostra darowała mi konia z rzędem, zapasy na drogę, nowy zasiłek pieniężny na drobne wydatki i parę sukien. Pożegnawszy ją, jeden puściłem się w drogę.

W drodze nic godnego uwagi niezdarzyło się. Dojeżdżając już, o pięć fersechów od Damaszku, znudzonemu długą jazdą i niewczasami, zachciało mi się skończyć je co najprzód i dostać się już do miasta. Pomyślałem sobie, nie zatrzymam się na tym ostatnim noclegu, ale chłodem nocy pojadę daléj i odpocznę w Damaszku. Koń dobry niosł mię prędko, o północy przybyłem przed wrota miejskie, pozamykane jeszcze i puste. Była to noc,

Wiersze. Blaskiem pełni księżycowej jasna jak dzień biały i ozdobiona rzęśniejącemi lampami gwiazd! Noc z obliczem umytém różanną wodą poranku, czysta jak żwierciadło słońca porankowego. Miła oczom jak ozdoby wdzięków kochanki, darząca radością jak marzenia zakochanego. Z czołem weselszém niż uścisk pijanych miłością i rozkoszniejsza od przechadzki w kwietnikach wiosny. Kiedy bez trudu najemników, Architekt Pański budował noc, umieścił zamiast gliny, piżmo i czystą kamforę, skropiwszy je rosą ziół wonnych, łzami kwiatów wieczornych. Gliną tą wytynkował sufit świata. Polewał je wonią fiołków, niby dach namiotu oblubienicy, zrosił różanną wodą, niby łoże panny młodej. Aż nazbyt jaśniały blaskiem niebieskiego świata Architekt je przysłonił cieniem dywanu tkanego z księżycowych promieni. I wszechświat promienił się, na ziemi kwiatami, na widnokręgu lampami gwiazd. Powietrze eufratowe i kwiaty uperlone srebrem księżyca, ścierały z oczu ludzi makowy balsam snu. Świeże oddechy wody wiatr niesie po oświetlonéj fali. Precz smutku i niedolo, dzisiaj noc powiła szczęście! —

Pod wpływem takiéj nocy, siedząc nad brzegiem rowu opasującego wały miejskie przypatrywałem się ich wieżom i strzelnicom i ścianom niebotycznym, urągającym czasowi i przeznaczeniu.

Wiersz. Nad kamieniami sterczały kamienie, bodąc hardemi rogami w niebo.

W tém patrzę aż oto ktoś stanąwszy na wierzchołku jednéj wieży, spuszcza na powrozie jakąś skrzynię, która jak tylko stanęła na ziemi, i on sam zszedł na dół i zniknął. Pomyślałem sobie: zapewne musi to być herszt łotrów. Okradłszy skarbiec pański, albo sklep kupca, złożył swój obłow u wrót miasta i teraz szuka towarzysza aby pomógł mu do dźwigania ciężaru.

Mija godzina on nie pokazuje się. Przyszło mi na myśl: korzystaj z chwili i bierz co ci los nastręczył! Bóg miłosierny znowu ci daje dostatki bez trudu i starań; więc dalejże mażyć i roić o szczęśliwej przyszłości. Chuć i łakomstwo zamąciły mi duszę i uległem zdradliwéj pokusie. Dobrze to powiedziano że:

Wiersz. Krew wypijesz, gdy pragniesz chleba cudzego. Rany moje są sprawą namiętności moich. Trudy moje owocem pożądliwości mojéj. Chuć jest sidłem najdzielniejszych ludzi; chuć przyczyną tysiącznych boleści. Biada sercu nikczemnika, próżne i pokurczone w węzły jak trzcina. Błogo mężowi serca, który mężnie skruszywszy łańcuch żądzy, wybije się na swobodę, wolen trosk i trudów. Gdy niechcesz mieć twarzy zżółkłéj, wyzuj się raz nazawsze z chuci nieczystych. Niezazdrość rospustnikom ich niecnych rozkoszy, ani na oślep rzucaj się na pastwę rozpaczy. Jeśli masz w głowie odrobinę rozsądku, te rady mędrców połykaj uchem twojém. Żądzą, starzeją przed czasem i żółkną twarze. Jeżeliś mąż, urwij łeb hydrze pożądliwości. Przestań na swojém i bądź panem siebie, abyś nie runął w przepaść zguby.

Ale, o bracia derwisze, pono że przed wiekami pióro przeznaczenia napisało *biada* na karcie losów moich!— A gdzież śmiertelny co się zdołał oprzeć wyrokowi zrządzeń Bożych?

Wiersz. Gdy przeznaczenie z łuku swojego wypuści strzałę na kogo, nie nadaje mu tarcza rozumu. Przeznaczenie jest ręką o czterech palcach. Zapragnie-li twojej zguby? dwa palce położy ci na oczach, dwa do uszu; jeden na usta i powié milcz!

Ah tak jest, tak niestety; pchnięty mojém przeznaczeniem i moją żądzą bogactw świata, przechodzę przez most rowu i ostrożnie, ukradkiem zbliżam się do skrzyni. Strach mię ogarnął na myśl, że może gdzie w pobliżu jaki opryszek czatuje. Więc rzeźko a żwawo, chwytam na plecy skrzynię i modląc się ustami a zysku pragnąc duszą, uciekam co sił do zwalisk jakiejś staréj budowy, sterczących zdala od drogi karawan. Otwieram skrzynię, patrzę i cóż?

Wiersz. Ujrzałem cyprys (t. j. młodą i piękną kobietę) zbroczony krwią, błotem skalany. Albo pawia kraśnopiórego z poderzniętą szyją.

Widok ten okropny tyle mię przeraził, że wodze rozsądku z rąk mi wypadły. O niedaj mi Boże nigdy nic podobnego ujrzeć!

Wiersz. Śliczna dziewiczka, z twarzą jak księżyc. Warkocz jéj jak piżmo czarne.

Kibić jéj niby dusza świata, czy świat duszy. Piersi, cudo piękności, ranione żelazem. Dwie plecionki trefionego starannie warkocza, zmoczone we krwi. Na twarzy, tylko co przygaszony rumieniec, niknął pod szafranową bladością śmierci. Oczy, tylko co przestawszy patrzeć na kwiaty świata, przysłonione powieką. Sądziłem, że przed chwilą skonała.

O bracia derwisze! kto inny uciekłby przerażony po-

dobnem zjawiskiem. Ja niemogłem oderwać się od widoku takich włosów, takiéj twarzy.

Wiersze. Zniknąłem przed jej twarzą jak tęcza przed słońcem. W sercu mojem jak w jéj warkoczu, nieład i wicher.

Zdumiony nadludzką krasą téj gwiazdy sfer piękności i szczęścia, nie mogłem pojąć czemu i zkąd ją tak smutny koniec spotkał? — Przeklinałem, z całéj duszy okrutną rękę i kamienne serce co się targnęły na złamanie życia tego cyprysu pieszczot i wdzięków. Rzewnemi łzami zalewałem się. Aż oto, nagle wdziękini moja przebudziła się z omdlenia, usłyszawszy żale i skargi moje podniosła głos: Kochanku niewierny! tyranie bez litości! okrutniku! Więc tak mi odpłacasz miłość moją i dobrodziejstwa moje? Rzuciłeś na wiatr sławę i imie moje. Zabójco zapomniałeś wszystkiego dobra com uczyniła tobie. W zaczątku i młodości mojéj zgasiłeś pochodnię życia mojego.

Wiersz. Skalałeś niepokalaną dotąd cześć moję. Nikczemniku, spojrz przypomnij, kto ty, a kto ja?

Prawdę powiedzieli mędrkowie że:

Wiersz. Gdyby nawet deszcz padał wodą życia, nigdy wierzbowa gałąź nie da ci owocu na pokarm.

Osyp dobrodziejstwami złośnika, a pewno złem ci wywdzięczy się, trucizną ciebie napoi. Stósownie do przysłowia:

Wiersz. Niecnocie łaskę wyświadczyć, jest tyleż niesprawiedliwie, jak karać cnotliwych.

O Derwiszowie! zdumiony, zdziwiony, uderzony i jéj nadludzką pięknością i jéj skargami brzmiącemi słodko, postradałem ostatek rozsądku i przytomność umysłu mego. Odpowiedziały jéj najprzód oczy moje łez wylewem, a potém usta moje: Bodajem oślepł raczéj, niż patrzeć na te męki twoje! — Bodaj mi rękę ucięto pierwéj, niż-

bym ją podniósł na ciebie! Niechaj mi serce pęknie w chwili pomysłu przeciwnego woli twojéj!

Tu pani moja podniosła głowę, i zdziwiona widokiem nieznajoméj sobie osoby, spytała:

Kto ty? Dlaczegoś tak zdumiony? Skąd ci przyszło zapłakać nad niedolą moją?...

Rzekłem: o daj mi Boże umrzeć za ciebie.

Wiersz. Ja cudzoziemiec, siérota, bez szczęścia i bez potęgi. Jeniec piękności twojéj, tonący w morzu zadziwienia. Ostatni skarb mój, serce, już nie do mnie należy; ty jego panią, ja samotny jak rozbit na wzburzoném morzu.

Królewno wdzięków! Ja arab, rodem z Jemenu; ale ty powiedz mi, jakiego gaju jesteś cyprysem? jakiéj biesiady świecą? Gdzie i kto ten morderca, co zapomniawszy na Boga, śmiał zbrodniczą rękę podnieść na ciebie?...

Westchnąwszy z głębi serca, zaczęła tak mówić:

Wiersz. Serce moje tak przepełnione boleścią, że gdybym rękę od oczu odjęła, łzy moje aż na kolana luną. Nie powiem ci bólu serca mojego. Lękam się, że nie znajdziesz lekarstwa na chorobę moją.

Młodzieńcze, pogrzeb mię pod temi zwaliskami. Zapomnij, żeś kiedykolwiek mię widział. Nigdzie nikomu o mnie nie wspominaj. Zmyj z karty pamięci twojéj obraz mojéj postaci. — Dobij mię i pomóż mi prędzéj skonać, a Bóg tobie nagrodzi.

To powiedziawszy, znowu omdlała. Nie wiedziałem co począć i jak sobie dać rady. To rozum wskazywał mi drogę ucieczki, to miłość krępowała mi nogi. Nakoniec rzekłem sobie w sercu: dopóki własną nienałożysz głową, dopóty imienia twego nie zapiszą w księdze prawdziwych kochanków.

Wiersz. Stąpaj silną a twardą nogą po szlaku miłości, jeżeliś prawy a nie namiętny tylko.

A że Sułtan miłości zdobył już twierdzę serca mojego, postanowiłem sobie bądź co bądź, zanieść wdzięknię do miasta, i postarać się o jéj wyzdrowienie. Kto wié, może Bóg mi pomoże wrócić ją do życia, i tym sposobem pokój darować sercu mojemu. Więc z wolna i ostrożnie, przekonawszy się że jeszcze oddycha, czekałem aż dzień zabłyśnie. Dzięki Bogu zaczęło świtać. Otwarto bramę miasta. Ujrzałem wieśniaków jadących na targ, i tłum miejski zaczął się szerzyć i zwiększać. Z wielką trudnością przywiązawszy skrzynię na siodło konia mojego, przesiedziałem resztę świtania w zwaliskach, a kiedy się rozwidniało, wjechałem do miasta. Tylko żem nie wiedział dokąd obrócić kroki i gdzie sobie znaleść mieszkanie.

Nakoniec tchnienie poranku oblało ziemię promieniami słońca. Lękałem się oczu ludzkich, aby nie dopatrzyły mojéj tajemnicy. Los mię doprowadził do bazaru. Z serca posłałem gorącą modlitwę ku Bogu, kryjącemu ułomności nasze, i natychmiast z prawéj strony, ujrzałem karawanseraj. Drzwi jego otworzyły się przedemną. Uradowałem się bardzo. Zawoławszy serajdara, *) kazałem sobie dać pokoik osobny i zaniosłem tam skrzynię. Wcisnąłem garść złota w dłoń serajdara i poleciłem dopatrywać konia mojego, a sam znowu do mego pokoiku. Oznaki życia jéj nie znikły, owszem coraz lepszemi nadziejami ucieszony, dobyłem ją ze skrzyni i złożyłem na dywanie; potèm, zamknąwszy drzwi za sobą, wybiegłem z karawanseraju dopytać się lekarza.

Szczęściem szukałem nie długo. Lekarz siedział w kramie swoim, twarz miał uczciwą i poważną. Przy nim kilku młodzieńców, jego uczniowie, zajęci byli przygotowaniem leków, plastrów, ziół etc. Wchodzę, witam grzecznie. Lekarz uczciwie odkłoniwszy się, za-

---

*) *Serajdar* gospodarz karawanseraju,

pytał: Czém ci mogę służyć dziecko moje? — Rzekłem: mam w domu osobę ranioną, nie mogę tu jéj przyprowadzić. Racz dobry panie pofatygować się do nas i opatrzyć jéj rany. Nie zaniecham hojnie i przyzwoicie nagrodzić trud łaskawy.

Zgodził się odrazu. Przychodzimy. Około godziny, bardzo zdziwiony i zamyślony, egzaminował ranę, słuchał uderzeń pulsu. Nareszcie nagle się odwrócił, i tak mię trzasnął w policzek, że póki żyję, nie zapomnę jak mi smakował; aż w sercu mi zabolało. Pierwszą myślą moją było, że poznał moją pięknolicę i dla tego mię uderzył. Już, pomyślałem, wszystko stracone, i przygotowałem się na najgorsze.

Lekarz zawołał: tyranie, kamienne serce, jak śmiałeś tę różę piękności tak okropnie sponiewierać? W odpowiedź, pocałowałem go w rękę prawą i lewą, ująłem koniec poły jego, i z boleścią rzekłem: Doktorze, Bóg mi świadkiem, żem nie winien téj zbrodni, ani ran tych. Owszem, cierpię więcéj niż ktokolwiek. Ta nieszczęśliwa jest siostrą moją, urodziła się w Jemenie. Nasi ojciec, matka i krewni, jechali z nami na pielgrzymkę do Jeruzalem. Na pustyni, śród nocy, rozbójnicy nas opadli. Większą część pielgrzymów zabili, trupy z odciętemi głowami muszą jeszcze tam leżeć bez pogrzebu. Co do mnie, uniosłem zlęknioną duszę moję, dzięki rączości konia.

Wiersz. Ucieczka w chwili niebezpieczeństwa grożącego duszy, lepsza od nierozsądnéj bohatérów zuchwałości.

Zbójce znużeni mordami i łupieżą, zebrali nagromadzoną zdobycz i odjechali. Wtedy ze zbolałém sercem i ledwie żywy od strachu, wróciłem na pobojowisko. Ach co za widok! Wszyscy krewni moi pomordowani, na ziemi zbroczonéj krwią ich, bez tchu, bez życia, rzuceni na pastwę orłom pustyni. Tak zostawszy sam

jeden, usłyszałem jęk na stronie. Przybiegam, i pomiędzy trupami widzę siostrę własną. Oddychała jeszcze. Złożyłem głowę jéj na kolanach moich, oblewając łzami, aż, dzięki Bogu otworzyła oczy i przemówiła:

Wiersz. Pomóż mi, to czas pomocy, nie czas narzekań i żalu.

Przekonawszy się że ona tylko żyje z liczby innych krewnych i towarzyszy pielgrzymki, a przytém widząc próżną skrzynię, ułożyłem w nią siostrę moję, i czuwając aż do świtu, dopadłem nareszcie wrót Damaszku. Teraz jedyna moja nadzieja w tobie. Pomóż mi do zachowania tèj pamiątki po rodzicach naszych!

Czcigodny starzec uwierzył kłamstwu, rzekł: Dziecko moje! ktokolwiek się poważy jéj dotknąć, krew jéj spadnie na głowę jego, odpowié Bogu i ludziom. Ja nie mogę jéj leczyć bez zezwolenia rządzcy Damaszku. To powiedziawszy odszedł.

Zamyślony i roztargniony siedziałem przy niéj, całując ręce i nogi najdroższéj, oblewając je łzami. Zniecierpliwiony, znowu wyszedłem szukać pomocy, w nadziei że znajdę innego chirurga co się ulituje i opatrzy jéj rany, bez rozkazu i pozwolenia rządzcy. Ale zaledwiem wyszedł, wnet usłyszałem gwar radośny, dzwonki wielbłądów i głos wielbłądników. Pierwszą spotkaną osobą, był ów mekkari, któremu zwierzyłem towary moje.

Bracia Derwisze! Ponieważ nie miałem czego od ludzi spodziewać się, i nikt mię nie chciał ratować, Bóg przenajświętszy rozwiązał trudności i przybył mi w pomoc.

Wiersz. Dobre wieści, o serce, Messyasz leczący tchnieniem, przyszedł, *) z jego ust błogosławionych tchnie zapach braterstwa.

---

*) *Mesich* mesyasz t. j. Chrystus, który tchnieniem swojém wracał umarłych do życia..

Jak tylko mię ujrzał, nazwał mię po imieniu, i spytał, gdzie twój magazyn? Wskazałem drzwi mego pokoiku i poszedłem szukać mojego doktora, ciesząc się i spiesząc. Wchodzę do jego sklepu, pokazuję mu rejestr tylko co przywiezionych towarów moich i mówię: mężu prawowierny, oto ile mam wyrobów jemeńskich. Wszystko ci oddane i natychmiast, pod warunkiem, że zapłacisz wielbłądników za przewóz i bez dalszéj zwłoki zajmiesz się leczeniem choréj, dopóki oddycha. Lekarz zabrawszy z sobą potrzebne leki i narzędzia, przyszedł do karawanseraju. Widok towarów przed mojemi drzwiami, wzbudził w nim zaufanie. Kazał sobie dać rądel. Nagrzał wody. Starannie obmył ciało i krew leżącéj bez ruchu, oczyścił piasek, rany jedne zaszył, drugie obwinął, inne plastrami zalepił i rzekł:

Ja tu będę przychodził dwa razy na dzień, dla opatrzenia i odmiany plastrów. Ty nad nią czuwaj dzień i noc aby spokojnie leżała. Nie pozwalaj jéj wstawać ani się ruszać, aby szwu rany nie rozerwała. Za napój dasz jéj kiedy niekiedy wody kwiatów wierzbowych. *) Broń cię Boże nie zapomnij tych przestróg na chwilę, a czuwaj!

To powiedziawszy, odszedł. Ja siedziałem jak przykuty do poduszki. Dzień i noc opasany troskliwości pasem, dozierałem choréj kochanki oczyma serca i duszy. Sen mię odbiegł, nie skłaniałem głowy, jeno ażeby czasem zapłakać nad cierpieniami jéj i ulżyć sobie samemu, i łzami ochłodzić ogień palący pierś moję. Ileż to modlitw posłałem przed tron Niebieskiego Lekarza bólów i kalectw ludzkości! Wierny obietnicy swojéj, doktor dwa razy na dzień przychodził i odświeżał pla-

---

*) **Woda kwiatów wierzbowych *araki bidmiszk*, ulubiony napój Persów, który otrzymują z kwiatów wierzby pędzonych na alembik, jak woda różąna.**

stry na srebrném ciele jéj. Po dziesięciu dniach, zacząłem wierzyć w możność jéj wyzdrowienia. Słabość zmniejszała się, siły wracały, tak, że dnia dwudziestego większa część ran zagoiła się. Odtąd co dzień szło lepiéj. Mój aniołek widocznie rzeźwiał i piękniał, a moje biedne serce silniéj i silniéj doń lgnęło, tak że z jednéj miłości zrobiło się ich tysiąc. Do tego stopnia iż co chwila chciałem, jak ów zakochany Medżnun, rozedrzeć szaty na sobie i biedz w góry i pustynie.

Ona, księżyc niebios doskonałości, widząc jak starannie czuwam nad nią, jak jéj służę i żem roztargniony, zrazu sądziła że nie mam czém zapłacić wydatków spowodowanych jéj chorobą. Łaskawie raczyła uśmiechnąć się i rzekła:

„Mój drogi przyjacielu, nie łam sobie głowy nad sposobami zapłacenia długu naszego. Daj mi pióro, kałamarz i trochę papieru.“ — Płacząc z radości i jak zawsze rostargniony, pobiegłem zadosyć uczynić jéj życzeniu. Papier i resztę przyniosłem i położyłem przy niéj na ziemi. Napisała bilecik, i oddając mi rzekła:

„Na placu gdzie się krzyżują cztery główne ulice miasta, znajdziesz sklep jubilera. Zobaczysz tam kupca takiéj a takiéj postaci. Oddaj mu tę kartkę, weź co ci da i przynieś tu.“

Zajęty mojemi strapieniami, ani zajrzałem co tam napisała, tylko pobiegłem oddać kartkę wedle adresu. Kupiec, jak tylko spojrzał na pismo, pocałował je, przytulił do oczu i wziąwszy mię z szacunkiem pod rękę, poprowadził do domu swojego. Gdyśmy weszli do wspaniałéj sali, posadził mię naprzeciw drzwi, *) a sam poszedł do pokojów haremu swego. Po godzinie wrócił, za nim szedł służący niósł półmisek z nakrywką w poszewce złotolitéj. Jubiler, wyrazami człowieka dobrze

*) To jest na najzaszczytniejszém miejscu.

wychowanego, zaczął od przeprosin, że tak długo czekałem. Potém rzekł słudze: „idź za tym młodzieńcem, a wrócisz, skąd każe wrócić.“

Sądząc że w półmisku była jakaś potrawa, bardzom się zafrasował i z niesmakiem pomyślałem sobie: otóż udało ci się, z deszczu pod rynnę, złowrogi los twój i nieprzyjazna gwiazda pod którąś się urodził, kazały ci żebrać o łyżkę strawy u ludzi nikczemnych. Łajałem tedy i kląłem los mój czarny, prozą i wierszem:

Wiersz. Wróg losu mojego poniewiera mną i pomiata. Niebo, czego ty jeszcze więcéj chcesz odemnie? Albo dywan ziemi wyciągnij z pod nóg moich, albo krąg niebios zrzuć na głowę moją!

Przyszedłszy do karawanseraju, kazałem słudze: postaw to przede drzwiami magazynu mojego i odejdź Otarłem z łez oczy i zagniewany chwyciłem półmisek aby go wnieść do izby. Bardzo mi ciężył na ręku więc się dziwiłem myśląc coby to takiego było?

Przyniosłem tedy i postawiłem przed moją wdziękinią. Mile mi podziękowała i patrząc na zawinięcie rzekła: „Otwórz, zobaczę co też ten nic dobrego łotr mi tu przysłał?“ Grzeczne jéj obejście się ze mną i nie grzeczne *nic dobrego łotr*, zdziwiło mię. Otworzywszy poszewkę, ujrzałem głęboki półmisek z nakrywką ulaną ze srebra. Podjąłem nakrywkę i zewsząd posypały się na poszewkę denary złote i srebrne. Zdumiony pomyślałem: musi ona należeć do jakiéjś bogatéj rodziny. Jubiler nie dałby inaczéj tyle złota i srebra, na jeden świstek papieru bez pieczęci i podpisu. Co dziwniejsza, iż ani mię zapytała o zdrowie jego i mnie dziękuje a jego łaje.

Wdziękini moja powtórnie a jeszcze grubiéj połajawszy dobrego i grzecznego jubilera, rzekła mi:

„Weź to na drobne wydatki twoje. Przestań się trapić i bądź weselszy. Wiem ja żeś stracił wszystko co

miałeś dla uratowania życia mojego. Do dnia zmartwychwstania będę ci wdzięczną za to coś dla mnie uczynił. Odsłużę tobie jeśli dożyję, i jeżeli Bóg raczy oddalić godzinę zgonu mojego, hojnie zapłacę dobrém za dobro."

Rzuciłem się jéj do nóg, korząc i dziękując.

Wiersz. Panie Boże, oddal od niéj złe przygody świata; ja tylko pragnę spoczywać pod cieniem łask twoich, nic więcéj.

Rzekła: weź te pieniądze, kup rzeczy dobrych do jedzenia a przynieś prędzéj, bom już głodna. Kupiłem więc i przyniosłem owoców, chleba i pieczywa. Jedliśmy razem. Potém rzekła, nazywając mię po imieniu: chcę ażebyś przez dni kilka stósował się we wszystkiém do woli mojéj i nie robił nic przeciwnego temu co ci powiem.

Rzekłem:

Wiersz. Wszystko co powiesz, wszystko co rozkażesz, spełnię ochoczo, boś ty Pani moja.

Rzekła: „natychmiast idź do bazaru i kup sobie parę sukien przyzwoitych ludziom dostatnim." Postrzegłszy że zamyśliłem się, dodała: „mówiłam ci, żebyś mię słuchał we wszystkiém co ci powiem. Jeżeli nadal podobnie będzie, to bardzo się na ciebie urażę." Trudno było zaprzeczyć. Wszystko to mówiła tonem takiéj przyjaźni, takiéj szczerości i takiéj prawdy, że chętnie poddałem się jéj roskazom i przyjąłem dobrowolnie służbę. Więc skoczywszy z miejsca, po chwili wracałem już z kompletną garderobą. Chciała wszystkiemu sama się przypatrzyć. Co bogatszego odłożyła osobno, co średniego, kazała mi natychmiast pójść odmienić. Tak posyłała mię kilkakroć raz po razu na bazar, aż wszystkie stroje wybrałem wedle jéj upodobania.

Potém, na roskaz téj jedynéj na świecie, poszedłszy do wanny, odziałem się w nowe suknie. Jak tylko

wróciłem, otworzyła ramiona, pocałowała mię w czoło, przytuliła do piersi i posadziła przy sobie. Od zbytku radości płakałem jak dziecko. Ona, rękawem łaski ocierała mi łzy z jagód.

O derwiszowie, jedyną chwilą najwyższéj roskoszy w mém życiu, była owa chwila. Tyle mi lubości świadczyła, że straciwszy serce i wiarę, chciałem umrzeć u nóg jéj, zmienić się w ziemię po któréj ona stąpała. Potém mi rzekła:

Słuchaj, trzeba ażebyś przez kilka dni chodził do kawiarni, dla zaznajomienia się tam z architektami. Powiedz im, że chcesz kupić sobie ogród i dom przyzwoity. Jak ci to znajdą i pokażą, gdy zobaczysz i upodobasz, powiedz im niech ci odrysują plan wszystkiego. Przyniesiesz tu, chcę sama zobaczyć. Nie możemy na zawsze pozostać w karawanseraju.

Rzekłem jéj: prawdę mówisz. Z duszy i serca wypełnię rozkazy twoje.

Potém co ranek, niechętnie odchodziłem od niéj. Przez cały miesiąc uczęszczałem domy zajezdne derwiszów, to jest kawiarnie. Nudziłem się tam okropnie, bo zanim trzeba było powrócić do mojéj rożolicéj, zdawało się że długi rok mijał. Aż nakoniec jakiś pan przedawał pałac swój. Pieszczotka moja podobała plan, kupiłem za 1,000 tumanów. Potém słoneczko moje chciało mieć zasłonę. Kupiłem i przyniosłem. Cyprys kibici osłoniwszy zasłoną, zdawała mi się być świecą w napół przejrzystéj latarni.

Z roskazu jéj dawszy garść złota odźwiernemu karawanseraju, poleciłem mu przenieść ubogie meble moje do owego pałacu. Ona też tam przybyła niebawem. Obeszła go do koła przezierając wszystkie szczegóły budowy i ważąc je na szali rozsądku. Wybrawszy sobie pokój, usłała go dywanami, i siadłszy rzekła mi:

Mój drogi, i ja też muszę przyzwoicie się odziać.

Rzekłem: prawdę mówisz, i chciałem już iść do bazaru kupić dla niéj suknie.

Rzekła: udaj się do *kajsarii*, *) znajdziesz tam sklepy futer i tandetników królewskich. Kup mi suknie książęce, tam i łatwiéj i lepiéj i prędzéj uszyją i przygotują.

Rzekłem:

Wiersz. Jak odzież ziemskiego świata może być godną kibici twojéj? Chyba że ci sukienki tkane z promieni, przyniosę z raju.

Wszakże usłucham z duszy, i pójdę wszędzie gdzie roskażesz. Rad z siebie i ze wszystkich, pobiegłem do królewskich sklepów, znajomych pod imieniem *cesarskie* (kajsarïe). W środku ujrzałem tam sklep ogromny, na suficie złota i lazuru obfitość i także na ścianach. Pod wspaniałemi galeryami, wisiały jedwabie i futra, sobole, kuny, gronostaje, złotogłów, bławaty, atłas, moirée, lisy morskie (sybirskie) i mnóstwo innych drogich towarów piętrzących się jedne nad drugiemi. W kącie sklepu młodzieniec lat 22, z twarzą jak słońce z włosami barwy i zapachu piżma. Rzekłbyś więź kwiatów. Na rumianych wiosną jagodach, tylko co wysypany puszek młodości kreślił posadę dla przyszłéj brody i wąsów. Ślicznie ubrany, siedział na dywanie uczciwości, opierając się na poduszce tkanéj złotem. Słudzy chędogo odziani, grecy, chińczycy, murzyni, każdy opasany galonem, zwracał oczy i uszy ku młodzieńcowi.

Wiersz. Szczęśliwi słudzy których służbę on przyjął. Błogo tym co mogą z duszy, z serca poddać się takiemu panu. Mądrzy którym się uda całować nogę jego i wesoło otoczyć go posłusznem gronem.

Nakarmiwszy oczy moje widokiem jego wdzięku i dostatków, zdumiony powagą młodzieńca zbliżyłem się

---

*) *Kajsarïe* zowie się najpiękniejsza część sklepów, zwykle pośrodku karawanseraju, gdzie są sklepy najbogatszych kupców miasta.

uczciwie. Pokłon mój oddał mi pokłonem i wskazał na krzesło mahoniowe. Siadłem i milczałem nie mając odwagi otworzyć ust. Młodzieniec gościnnie i bardzo łaskawie zaczął sypać wyrazami dziwnéj słodyczy. Zaczął od pytania o mojem zdrowiu jak gdybyśmy się już od dawnych lat znali i kochali z sobą. Po grzecznostkach rzekł: czém każesz sobie usłużyć, mów bracie? Rzekłem: Mam *tajemnicę zakrytą* *), dla któréj chciałbym tu kupić suknie.

Skinął i natychmiast rzeźko, żwawo, służący pobiegli otworzyć wiele zawinięć i kartonów. Nieśli mi próbki rozmaitych materyj droższych tańszych i średnich. Te co mi się podobały odłożyłem w stronę. Natychmiast ułożono je porządnie zawinięto i położono przedemną na ziemi. Poczém słudzy rozeszli się każdy w swoją stronę. Podobał mi się bardzo ten porządek.

Młodzieniec rzekł: Bracie, możemyż tobie służyć czém innémf? Podziękowałem pytając wiele za towary winienem? Rzekł 30 tumanów. Wstyd mi było targować się. Zaliczyłem więc 30 złotych tumanów i dałem dukata w podarunku słudze. Uważałem że młodzieniec dziwił się trybowi mojego kupowania i gniewnie pozierał. Trzeba bowiem wam wiedzieć, że kupcy zwyczajni, jeżeli np. ocenią towar swój dziesięć złotych, po wielu targach i sporach oddadzą za sześć, a nikt im więcéj nad siedm nigdy niedaje.

Bracia derwisze! Młodzieniec ten po dlugim namyśle, zapytał mię: bracie mój, zkąd jesteś rodem? Odpowiedziałem: z ziemi jemeńskiéj. Rzekł mi: bracie mój, życzyłbym sobie dzisiejszy wieczór, na służbach twoich w dzień przemienić **). Ja tedy wymykając się przezedrzwi ekskuzy, rzekłem: palmo owocowa ogrodzie grze-

---

*) To jest *kobiétę* którèj niechcę powiedzieć imienia.

**) To jest przyjdź do mnie wieczorem.

czności! Bóg zdarzy zręczność skorzystania z tak miłéj okoliczności. Ale teraz niemogę. Mam u siebie tajemnicę zakrytą. Dotąd w tém mieście nieznamy nikogo. Dla tego niemogę ją jedną w domu zostawić. Jeśli Bóg zechce i będziemy żywi, ośmielę się was kiedyś pomęczyć obecnością moją. Rzekł: bracie mój, nieszukając dalszych wymówek, musisz tego wieczora ciemnotę mojéj chatki oświecić promieniem twojéj obecności. Zaczął prosić, nalegać i zaklinać mię na wszystko, tak że przyrzekłem i zabrawszy kupno spieszyłem do domu.

Przychodzę, pukam do drzwi. Jedyna w życiu moja otwiera, chwyta z rąk moich zawinięcie i wesolutko bieży, rozwięzuje, przypatruje się chwali. Na zapytanie o cenach, opowiedziałem jéj wszystkie szczegóły mojego spotkania się i rozmowy z młodym kupcem. Skończyłem na wyznaniu że danéj mu obietnicy niedotrzymam bo wolę zostać z nią w domu. Rzekła mi: Jeżeli szukasz woli serca mojego, trzeba pójść i dotrzymać słowa. Nierzetelność jest brzydką wadą, szczególniéj dla mężczyzny, i przeciwną rozkazom Allaha.

Rzekłem: duszo mojego życia. Ja twój sługa, ale tylko twój, co mi do innych, ani chcę wiedzieć czy są na świecie. Rzekła: jeźli chcesz mi się podobać, dotrzymaj twojéj obietnicy, nielubię kłamców. Nielękaj się zostawić mnie samą.

Tak spieraliśmy się z sobą aż do zachodu słońca. Pieszczotka moja nalegała. Nareszcie przysięgła, że jeśli nie pójdę zagniewa się na mnie.

O derwiszowie, w religii zakochanych, zadosyćuczynienie woli kochanki jest obowiązkiem niezbędnym, cnotą teologalną. Z sercem zamąconem boleścią, przyszedłem do Kajsarii. Sklep już był zamknięty, ale u drzwi mój młody kupiec siedział na krześle i czekał na mnie. Jak tylko mię ujrzał, wstał z szacunkiem i dziękował za cześć mu zrobioną. Ręka w ręku poszliśmy

do jego domu. Co za dom, istny raj! Ogrody wzniosłe, pałace bardzo piękne pokoje wysłane królewskiemi kobiercami. Narzędzia użycia i zabawy stały w pogotowiu. Na dywanach rozesłanych pod galeryą, u brzegu krynicy, konserwy różnych owoców, kurczęta pieczone, przysmaki. Po środku, na sofie porozrzucane aksamitne poduszki do siedzenia i leżenia.

Młodzieniec natychmiast zdjął suknię swoją, rękawy koszuli zakasał aż po łokcie, obnażył szyję i jakby niemiał służących, sam zaczął mi służyć. Ustawiał świéce zamknięte w muślinowych latarniach, od wiatru. Przypatrywałem się niewieściéj białości rąk i szyi jego.

Ja także musiałem się rozebrać i rozkosznie wyciągnąć się na sofie. Wziął pięknie brylantowaną butelkę, nalał kryształowy kielich wypił do mnie, napoił mię i przy mnie usiadł. Rozmowa mile poufała żywiéj i żywiéj szła. Po spełnieniu kilku kielichów, zawrzało w mózgu. Cztery bajaderki pięknie odziane, powabnéj powierzchowności, weszły każda z innym instrumentem, usiadły na krawędzi kobierców. Młodzieniec mój powstał, napoił ich dobrém winem i zagrzał w nich ochotę do muzyki. Zaprawdę były to wszystko artystki obdarzone pięknym głosem i grały po mistrzowsku, tak, iż słysząc je, ptaki zatrzymywały swój lot w powietrzu. Najsławniejsze kompozycye starszych i nowszych wirtuozów, jedną po drugiéj wykonywały doskonale, prowadząc duszę słuchacza śpiewem i dźwiękiem, od tęsknoty do radości, od cierpienia do niewypowiedzianéj lubości wlewającéj się przez ucho do serca. Zakochany czułem potęgę muzyki i duchem byłem w objęciu kochania mego. Szczególnie im się udała następna piosnka, z akompaniamentem skrzypcy i bębenka.

Wiersze. I cóż milszego nad rozmowę w ogrodzie wiosennym? Podczaszy, wina léj wina, zkąd ci ta opieszałość? Chwytaj wesołą chwilę, to dar boży dla ciebie.

Nikt nie wie na czem przyszłość się skończy. Cóż znaczy woda nieśmiertelności, co znaczą rajskie ogrody? pierwsza jest winem szyrazkiéj winnicy, drugie są przechadzką po trawie i kwiatach nad zdrojem przezroczystym. Życie nasze wisi na włosku; pamiętaj o tém i troszcz się o siebie nie o losu koleje. *Wino* i *wina* dźwiękiem podobne do siebie: pierwsze nam Bóg dał, więc i drugą przebaczy. Niebo milczy choć wie co się dzieje w skrytościach serca naszego, i ty, nieszczery motto, stul usta złośliwe. Świętoszek chce wody ze źródeł raju, Hafiz żąda wina. Xięża-li, poeci-li lepiéj wiedzą czego Bóg chce?—

O derwiszowie! Pijany radością młodego gospodarza, i wytwornemi jego winami, i urokiem muzyki i pięknością bajaderek, anielskiéj postaci, straciłem rozum i pamięć. Jedyna tylko myśl o kochance mojéj została ze mną; chciałem, pomimo późnéj już nocy, wrócić do karawanseraju, spocząć przy skarbie wesela i życia mojego. Młodzieńcowi łzy rzuciły się z oczu. Na taki dowód przyjaźni, ucałowałem go, ustami ścierałem rosę łez z rumianych jagód, ucałowałem czoło i spytałem o przyczynę żalu.

Wiersz. Bez wina piękni nie mają śmiałości. Mądry to był mąż co wynalazł rozmowę przy szklance, dobroczyńca ludzkości. Młodzieniec milczał, potem obudzony z długiego zamyślenia, rzekł: „Szlachetny człowiek nie lęka się odkryć przyjacielowi skrytości swoje. Odtąd bądź świadkiem najpoufalszych rozmów moich.“ Niewiedziałem co te wyrazy miały znaczyć i gdym zamyślony szukał słowa zagadki, młodzieniec wstał i zniknął w jednėm ze skrzydeł pałacu.

Niebawem wrócił. Za nim szła nadzwyczajnéj piękności kobieta. Istna huri niebieska. Odblask jéj wdzięków padł na twarze współbiesiadników naszych i wszystko w nowém stanęło świetle. Co do mnie, od pierwszego na nią rzutu oka, omal nieomdlałem. Młodzieniec skinął

Huri napełniła puhar i podała mi. Puhar jednym haustem wychyliłem do dna, ucałowałem rękę dawczyni Huri, rzekłbyś spadająca gwiazda, nagle usiadła przy mnie. Po godzinie dowcipnéj, miłéj z nią rozmowy, młodzieniec rzekł. Dilaramo *) serce moje, gdybyś ty raczyła ucieszyć mnie i brata mojego choć jedną piosenką? —

Kazała sobie podać gitarę i siadłszy nieco opodal, na krawędzi kobierca, oparłszy gitarę na kolanach, różowemi paluszkami dotknęła strun. Każda jéj nuta rozkosznie szczypała mię za serce. Ale kiedy harmonijny powiew jéj głosu wionął po strunach i zlały się dźwięki ze śpiewem, rzekłbyś że świecące nad nami gwiazdy schodziły po promieniach całować ręce i usta naszéj Huri. Pamiętam jeszcze tę zwrotkę jéj piosenki:

Wiersz. Chociaż to wino leje nam wesele, i wietrzyk chłodzi nas westchnieniem róży, nie pijcie przy dźwięku gitary, bo bystre oczy szpiega policyi patrzą na was.

Na taką odezwę ust takich, puhary zadzwoniły znowu. Piliśmy tyle, że opadłem na siłach. Młodzieniec widząc żem się upił, zaprowadził mię do osobnéj izby i położył na rozkosznéj pościeli. Fala wina porwała mię i pogrążyła na głąb snu. Obudziłem się gdy już rozświtało. Otwarłszy oczy ujrzałem mego gospodarza, z ową najpiękniejszą huryską raju, siedzieli u nóg moich. Drzwi były zamknięte, obrus nakryty łakociami; butelki, puhary, rozmowa miła, świat młodości.

Uczucie przyzwoitości szepnęło mi: jakto nie grzecznie że leżę a oni u nóg moich bawią się. Skoczyłem więc, jak sprężyna, usiadłem przed nimi. Młodzieniec mię ścisnął a Dilarama, z wielką uczciwością podała mi pełną czarę. Znowu wychyliłem do dna. Gościnność ich i przyjacielskie przyjęcie były do nieopisania. Wypiliśmy tyle że nie mogłem nóg od głowy rozróżnić. Tak cały dzień

*) *Pokój serca.*

i noc i nazajutrz przeszły na piciu i biesiadowaniu. Czwartéj z porządku nocy, znużony zasnąłem głęboko i nieobudziłem się aż w północ. Wtedy, aż wtedy, myśl o samotności kochanki mojéj, opiekuńczego anioła mego, staje mi na myśli. Ona tam sama jedna! krwawe łzy polały mi się z oczu. Niewdzięczny, mówiłem sobie, cóżeś uczynił? jakąż klęskę ściągnąłeś na siebie? Oto trzy doby jakeś w tym domu zagrząsł w rozpuście a niewiesz co się z owém niewiniątkiem tam dzieje. Gorzko wyrzucałem sobie nikczemność moję... W tém znowu Dilarama z młodzieńcem przyszła, zaczęli się z sobą jak za zwyczaj bawić. Udałem że spię i niezważam na nich. Czekali na mnie aż do poranku, ale niedałem znaku życia. Młodzieniec rzekł: wstań, odejdźmy. Niegodzi się dłużéj uprzykrzać się gościowi. Ręka w ręce wyszli, a ja, korzystając z chwili, zeskakuję z łoża, każę sobie przynieść odzienie. Ubrawszy się, poszedłem do wanny, wykąpałem się, wymyłem i pobiegłem co rychléj do domu.

W drodze mówiłem sobie: Ma prawo gniewać się na mnie. Cóż jéj powiem, jakiemi słowy ją przeproszę? Jak nie umrzeć od wstydu? Widzę jak wszystkie starania i trudy twoje i długie kłopoty, bez owocu, zmarnowane stracone jednym ruchem niewczesnym. Biada, biada! —

Przyszedłszy, zapukałem do drzwi domu mojego. Wyrwiduszka otworzyła i, widząc żem zmięszany uśmiechnęła się. Jak stałem do nóg jéj upadłem całowałem je skarżąc się i prosząc o przebaczenie.

Rzekła mi: Czego tak się trwożysz, nie ma w tém nic złego. Poszedłeś tam na moją prośbę. Wiadomo że wejście do domu cudzego zależy od ciebie, ale wyjście od gospodarza. Jeżeli kto tu winien, to ja tylko nie zaś ty.

Takiemi i temu podobnemi słowami ośmieliła mnie. Potem zapytała: No, a teraz że opowiedz mi co tam widziałeś w przeciągu tych kilku dni? co słyszałeś? —

Zacząłem tedy opisywać wszystkie dobre przymioty i gościnność młodzieńca i kochanki jego; jak się bawią i używają, i nie opuściwszy żadnego szczegółu opowiedziałem wszystko com widział i słyszał u nich.

Rzekła mi: wieszli ty o tém że rozpustnicy, biegli w rzemiośle oszustowstwa, mają chleb u nich zjedzony, za dług pożyczony brzuchowi jedzącego?

Aha, pomyślałem, otóż i masz. Pod przenośnią przymawia mi: wiedząc żeś nie w stanie im' oddać podobną gościnność, dla czego zgodziłeś się bawić się tam przez trzy doby? — Więc spuszczając głowę od wstydu rzekłem: Łaskawa pani! mów bez ogródek, po co te przenośnie, ja i bez tego umieram ze wstydu. Odpowiedziała: Mój drogi, ja dla ciebie mam tylko jedno serce i jedne usta, nie sądź ażebym mówiła inaczéj niż myślę. Celem moim było dać ci do zrozumienia że powinieneś starać się im oddać wety za wety. Nie czekaj dłużéj i dzisiaj, tegoż wieczora zaproś go na wieczerzę do nas.

Ze łzami w oczach rzekłem jéj: Duszo, życie moje, jażem cię prosiłem już o przebaczenie za winę i za słabość moją. Po co te urągania?

Ale Bogiem się świadczę, rzekła, że nie chcę bynajmniéj wymawiać ani urągać tobie. Chcę tylko abyś nie rumienił się łask tego młodzieńca.

Rzekłem: Dajmy i na to że nieurągasz. Lecz dzięki Bogu, ściany i sufity i podłogi domu naszego nagie, i nawet nietyle przestrone abyśmy tu wyprawiali biesiady i gody.

Uśmiechnęła się i rzekła: Od dnia pierwszego mówiłam tobie: nietroszcz się o nic i nie lękaj się niczego. Więc nadzieja w Bogu. Idź tylko i przyprowadź go tu na wieczór. O reszcie nie myśl.

Po długich sporach przekonałem się że nie ustąpi swojego. Skończyła pogróżką: przysięgam że jeśli go tu wieczorem dzisiaj nie przyprowadzisz zagniewam się

nie na żart. Co tu począć? Szepnąłem sobie: muszę ją pocieszyć ślepem posłuszeństwem. Zadumany poszedłem do Kajsaryi, tak przemyślając w drodze: ponieważ uciekłeś od nich niepożegnawszy się, więc idź tam niby dla przeproszenia za niegrzeczność; a potem zaproś go, półgębkiem, nie na seryo, tak ażeby nie zgodził się. Udam żem waryat.

Zaledwie się zbliżyłem do sklepu, młodzieniec skoczył z miejsca, przyjacielsko uścisnął mię, i wprowadziwszy na swój dywan, posadził mię obok siebie, pytając czym zdrów. Zacząłem przepraszać za grubijaństwo moje. Rozmowa się zagrzała. Na jego skinienie służący przyniósł dzban z porcelany chińskiéj, nakryty srebrnym kapturkiem i miskę złotą.

Młodzieniec najprzód sam wypił a potem dał mnie. Sądząc że to woda, a przytem nie zupełnie jeszcze wytrzeźwiony, chwyciwszy ustami brzeg dzbanu, wypiłem. Poczułem że to szerbet bardzo smakowity i miłego zapachu. „Co to takiego?“ Spytałem — Rzekł mi: to napój dla otrzeźwienia się, chłodzący krew i krzepiący serce. Wynalazcą tego kordyału jest mój doktor, robi go z esencyi sandału z soku cytryny, cukru i ambry.

Jakoż istotnie, po chwili, czułem się innym człowiekiem. Więc powtórnie łyknąłem i jeszcze i jeszcze, aż mi się rozjaśniło w duszy i, pijany, zuchwały zapomniałem że w domu nie mam czem go przyjąć. Owszem zachciało mi się uraczyć tak miłego gościa. Zawołałem: Bracie, ja twój sługa i podnóżek. Nie odmawiaj mi szczęścia, a promieniem oczu twoich rozjaśnij noc w domku moim; uszlachetnij go śladem błogich stóp swoich. Niedałem mu nawet czasu do namysłu, błagałem, prosiłem aż się zgodził i rzekł: Bracie! duszo méj duszy, Niech i tak będzie. Byleby to sprawiło ci przyjemność, brat nieodstąpi brata. Tak doczekaliśmy się wieczora. Ale gdy przyszło wstawać, znów byłem pod hełmem,

tak że trudno mi było władać nogami. Młodzieniec ujął mię silnie pod rękę: szedłem opierając się na nim. Świeże powietrze i przechadzka orzeźwiły mię. Zbliżając się do mego domu otrzeźwiałem nagle na myśl: czemże ja poczęstuję takiego gościa, zkąd dostać rzeczy wartych ust i oczu jego? — Strach mię mroził i serce zadrżało. Młodzieniec sądził że to paroxyzm pijaństwa i trzymał mię silnie. Ja zaś chciałem z rąk mu wyśliznąć się, w nadziei że, pod płaszczem nocy, ucieknę i raz na zawsze zerwę tę niewygodną znajomość. Mówił mi: bracie, upamiętaj się, upadniesz na ulicy, fe, wstydź się. Ciągnął mię daléj i daléj aż przyszliśmy na aleję prowadzącą do mego domu.

Patrzę, aleja nasza czyściutko wymieciona, wodą polana. Mnóstwo ludzi jakby czekających na kogo. Z obustron mistrzowie ceremonii, marszałkowie dworu, dworzanie, słudzy. Rzekłem: musiałeś się pomylić, zbiliśmy się z drogi i błądzim. Przecieram oczy wpatruję się: tak jest, to moja ulica, mój dom. Tłum widząc nas rozstąpił się i, jak na sług przystało jedni szykowali się w rząd i kłaniali, drudzy szli za nami.

Na progu wrot stał gulam *) Indyanin, pięknéj postaci, bogato ubrany. Za nim na dziedzińcu, dworzanie. Jeden z nich niósł brylantowaną tacę zastawioną likierami, drugi konfitury i przysmaki w złotym półmisku. Skłoniwszy się nam, podali. Zdziwiony i nieprzytomny minąłem ich, ale towarzysz mój wypił kielich, wybornego, jak mi mówił, wina.

Wchodzimy do domu. I cóż tam widzimy? Oto raj, ozdobiony blaskiem świec, promieniami lamp różnobarwych, rzęśnieniem kandelabrów i latarni. Światło jak śród dnia. W wazonach złotych i srebrnych, pełno kwiatów. Palmy z krzyształu, a pod każdą palmą w prze-

---

*) *Gulam* służący, pokojowy.

zroczystych karafkach pełnych rubinowéj barwy wino. Wszystko to ustawiono z gustem i dowcipem. Jarzące świece w krzyształowych lichtarzach płoną. Do koła ptaki śpiewające i inne, kolibry, papugi, słowiki, synogarlice, bażanty, wilgi, sławne pięknością, głosu lub pierza, w klatkach wiszących z gałęzi drzew, cyprysu, cisu, wiązu, jodłowca, bukszpanu. Bijące zewsząd światło i zapachy, budziły te ptaki kwilące chórem. Ich wrzawa i szczebiot ożywiały scenę rozkoszy, a wyżéj, w pokojach, do których weszliśmy, podłogi pozaścielane królewskiemi dywanami. Na nich obrusy z atłasu i złotogłowu, naczynia, porcelany, napełnione rozlicznemi darami bożemi, wina wytworne, krzyształy różnych kształtów, talerze złote i srebrne i emalia ozdobiona drogiemi kamieniami. Wszystko jak oblane hojnie lejącem się światłem. Reszta mebli podobnież bogata. Tłum służących stósownie do takiego przepychu odziany. Ich włosy starannie utrefione, jak więzie kwiatów hyacyntu, spadały aż na ramiona. Paziowie zręczni, śpiewacy z pięknym głosem, muzycy i bajaderki wyrwiduszki (*dilruba*); wszystkie piękne, zgrabne, wystrojone, z oczu im patrzy wesołość i chęć do zabaw. Wszakże skromne, dobrze wychowane, siedzą na krawędzi dywanów *) czekając rozkazu pana. Gdziem rzucił oczyma, wszędzie stali rzędem paziowie, dworzanie w złotych kołpakach, w pasach osypanych dyamentami; krajczy i szatni gotowi na zawołanie.

Młody mój kupiec ujrzawszy taką wystawę przepychu i wspaniałości, zdumiał i zawstydził się. Zmięszanie moje było jeszcze większém, dlatego że wychodząc z domu, nic tam podobnego nie widziałem. Posadziwszy go na pierwszém miejscu przywitałem stósownem przemówieniem, i natychmiast pobiegłem do pokojów haremu zo-

---

*) To jest zdala od gospodarza i zaproszonych gości.

boczyć co się działo z moją perłą jedyną. Szukam tu i owdzie i nigdzie jéj nie znajduję. Mówię sobie: musi to być snu złudzenie, mara wyobraźni, coś naksztalt *sirabu* (mirage) udającego wodę na piaskach pustyni. Niespokojny i jak cierpiący zawrót głowy, wychodzę z pałacu ku oficynom i folwarkowi. Obiegłem wszystkie zakątki i przeszło 33 altan i budów, wartych dworu królewskiego, a których dotąd nie widziałem nigdy. Zwiedziłem skarbiec, izbę składu kobierców i namiotów, kredens i bufet, i spiżarnie i inne. Nakoniec wpadam jak waryat do kuchni. Tam kucharze i kucharki umiejętne, czynnie zajęte przygotowaniem różnych potraw. Wszystko w wielkim porządku i ochędostwie, ale nigdzie ani śladu mojéj perły jedynéj.

Jak tu ją znaleść? — Wgłębi kuchni, przy kupie rozpalonych węgli, których odblask zwrócił uwagę i kroki moje ujrzałem stos zwierzyny i danielka, wszystkie już na rożnach dopiekały się, kurząc mile pachnącym dymem. Były to gotujące się dla nas pieczywa wybornie przyprawione. Przy nich, marszcząca się od zbytniego skwaru żarzewia, na starych szmatach gałganów, zgarbiona, siedziała perła droga, najdroższa moja w życiu, pilnując pieczyst, niby ostatnia z kuchcików! — Jakem tylko ją ujrzał: buch jej do nóg jak długi i dalejże całować kochane nożki i rączęta, i pytać: na miłość Boga żywego, powiedz mi co to wszystko ma znaczyć? Targnęła mię za ucho, że aż zabolało, i rzekła:

Młokosie! Alboż to grzecznie zostawić gościa i tułać się niewiedzieć gdzie i poco?

Rzekłem: o nich się stanę piaskiem pod podeszwą trzewików twoich! Oddalonemu od ciebie, rażonemu tylu niepojętemi zjawiskami, rozum szaleje; co za dziw, żem nie zwaryował?

Uśmiechnęła się i rzekła: Nieczas nam rozprawiać. O tém potém. A teraz śpiesz się do jedynego gościa

i jeżeli chcesz mi się podobać, baw go jak możesz najmiléj. Pamiętaj, ażebyś uiścił się z długu gościnności po pańsku i jak przystało na magnata szlachetnie urodzonego. Nieszczędź podarunków, pieniędzy, szat honorowych i nagród. W razie nieposłuszeństwa albo krnąbrności sług, bij, wiąż ich, roskazuj, niezapomnij na chwilę żeś tu panem i mężem wielkiéj ręki! Broń cię Boże, abyś się upokorzył przed którym z dworzan twoich, albo wyobrażał sobie żeś ty ich sługą, albo się zachwiał w duszy, na myśl dziwaczną, że niemasz prawa im rozkazywać. Postaraj się także, jeśli można, aby twój gość młody sprowadził tu kochankę swoję. Inaczéj prędko się znudzi. Z nią lepiéj zasmakuje sobie w wygodach i przepychu gościnności twojéj. Spiesz się a śmiało i po pańsku!

O derwiszowie! Bez wszelakiéj wiedzy o rzeczywistych przyczynach doli mojéj, ale przekonany, że to co widzę nie jest złudzeniem, szczęśliwy i wesoły podziękowałem Bogu i pobiegłem do biesiadnej sali, a siadłszy przy gościu trzeba było uczynić wedle rady poetów:

Wiersz. Losie nieśmiéj mi się krzywić, bo mi w głowie wrą wino i wesele!

Śród radośnéj rozmowy rzekłem do gościa. Bądź tu jak we własnym domu. Nawet chciałbym, ażeby owa jedyna twoja, ta *Kybla* *) serca i duszy, zaszczyciła nas obecnością swoją. Rozmowom jéj z tobą nikt nieprzeszkodzi.

Młodzieniec posłał natychmiast jednego ze sług swoich po kochankę. Kazałem kilku dworzanom towarzyszyć mu. Niebawem przybyła. Zapaliliśmy się ogniem wesela i rozkoszy. Umarliśmy dla trosk światowych a całe życie nasze przeszło w oczy i uszy i w uczucie na-

---

*) Świątynia Mekki, punkt do którego modlący się muzułmanin powinien obrócić się.

sze. Tak minęły trzy doby, dzięki szczodrobliwości mojéj wdziękini. Podobną téj mojéj ucztę nigdy nigdy nie widział. Co chwila wszystko co nas otaczało zdawało się językiem swoim mówić: szczęście! szczęście!

Pewnego czasu, obudzam się ze snu pijaństwa. Słońce już się było podniosło na wysokość dwóch włoczni*). Zrywam się z miejsca, ale gdzie tylko wźrok zwrócę, niewidzę w domu nikogo. Po tylu służących, meblach, ozdobach, niezostało ani śladu. Zdumiony, boso bieżę tu i owdzie. Pod węgłem w ciemnym kącie ujrzałem coś zawiniętego, jak trąbka pargaminu, w starym szmacie kobierca. Otwieram i — oby oczy żadnego z widzących nie widziały nic podobnego! — postrzegam trupy owego młodzieńca i kochanki; głowy ich ucięte; ciała zbroczone posoką. Przerażony krzyknąłem i padłem jak nieżywy.

Wróciwszy do zmysłów, niewiedziałem jak się wycofać z téj otchłani nieszczęścia. Co tém trudniej, iż sam byłem zakochany do szaleństwa. Od dnia przybycia mojego do Damaszku, po òwdzień, tyle dziwnych rzeczy widziałem, że komu innemu aniby się przed oczy wyobraźni nasunęły. Każda z nich wraziła się w serce moje, tak że niejeden, na mojém miejscu jużby dawno oszalał. Ja wszakże niestraciłem władzy rozsądku. Tylko zdziwiony, wołając, płacząc biegałem tędy owędy.

W tém postrzegam, że ktoś z ulicy wszedł do domu, i zbliża się ku mnie. Pomyślałem sobie, że to musi być który ze służących naszych i że mu trzeba dobrze natrzeć uszu, aby nierozgadywał co się tu stało. Więc skryłem się do ogrodu, i przedzierając się ostrożnie przez zarośle dobrałem się do drzwi i zaryglowałem je

---

*) **Zegarki dotąd na wschodzie nie upowszechnione. Czas mierzy się wysokością względną słońca nad horyzontem i doświadczone oczy nie mylą się, byleby dzień był niepochmurny a słońce widne.**

starannie. Potem zbliżywszy się powoléj, porwałem go i rzuciłem na ziemię. Wpatruję się lepiej i poznaję, że to pacholę co nam usługiwało przez te ostatnie trzy doby.

Rzekłem: Łotrze, gdzie ta czarownica przebrzydła? A ty gdzie wałęsasz się i pocoś tu przyszedł? odpowiedział: Czemu ty łajesz panię? Ona bardzo się smuci po tobie, a ty jéj złorzeczysz jak wróg jaki. Gdzież pani? spytałem. Co robi? — Rzekł mi: chodź za mną a zobaczysz. Zaprowadzę ciebie do niéj.

Na tak dobrą wieść, ożywiony nadzieją zobaczenia kochanki, zapomniałem o reszcie. Szedłem za pacholęciem niewiedząc co robię i gdzie idę. Nielękaj się mówiło pacholę, co komu z nas do tego. Szliśmy długo aż wynurzyliśmy się na jakiś plac, otoczony wysokiemi ścianami. Wspaniałe drzwi świadczyły, że należą do zamożnego domu. Na przeciwległéj stronie, były wrota prowadzące do meczetu, a przed niemi sadzawka biegącéj wody i cieniste drzewa.

Pacholę zostawiwszy mnie pod drzewami, weszło do owego domu. Po chwili, wyszedł z niém eunuch, stali na progu, a służący jakiś zbliżył się do mnie i rzekł: doczekaj do wieczora w tym meczecie, a z przyjściem nocy, przyjdziesz na prog drzwi, zkąd ciebie eunuch zaprowadzi do księżny pani.

Bracia derwisze! Z sercem roztargnionem i z oczyma łzy rozsiewającemi, zalazłem w kąt meczetu i aż do wieczora stroniłem od ludzi. O czwartéj godzinie po zachodzie słońca, gdy już na ulicach zgiełk się zmniejszył, udałem się do drzwi. Rzęsami mojemi zmiatałem pył z progu kochanki, odmawiając tę zwrotkę stosowną do stanu duszy mojej:

Wiersz. Woli naszéj głową jest prog świątyni majestatu bożego. Dola i niedola spadające na nasze głowy są skutkiem woli Boga miłości.

Po chwili pokazał się eunuch i prowadził mię wewnątrz. Ujrzałem ogród bardzo obszerny, pełen krzewów i ozdobiony drzewami owocowemi, różami bez cierni, i płynącym przez środek zdrojem. Brzegi zdroju zasłane dywanikami jedwabnemi do siedzenia. Jarzące kamforowéj białości świéce w lichtarzach złotych i srebrnych stały przed dywanami. Na wezwanie eunucha, abym usiadł, nieczekając usiadłem, wyglądając okiem i sercem z któréj-li strony owe niebo szacunku i godności wejdzie. Aż oto, ów miesiąc mój w pełni, otoczony promieniami wdzięku i cześci, pokazał się, z twarzą jak słońce świata. Warkocz jéj barwy piżmowéj trefił się w tysiączne kółka i w pełne lubej kokieteryi plecionki. Bogatej ubiory osłaniały ją; na głowie diadem brylantowy pod kitką grającą wszystkiemi barwami tęczy.

Poważnie się chwiejąc i ciągnąc za sobą ogon złotolitego płaszcza przybyła. Wzrokiem łaskawym ku mnie pozierała. Zapytawszy o mojém zdrowiu, cukrowemi słowami sypała, niby solą, na zranione serce moje. Ja silniej niż kiedykolwiek zakochany, urzeczony, pijany jej wdziękami, niemiałem siły przemówić. Ona coraz łaskawsza, coraz milsza, mówiła: Przewiniłam ci wiele, dobroć mi twoja przebaczy winy moje. Przyczyniłam ci dużo cierpień i trudów, długo i ciężko aby mi się podobać. Od dnia w którym zobaczyłeś mię, jedna ci chwila nieminęła spokojnie. Mam w Bogu nadzieję, że żadna niedola cię nieutrapi a Bóg najwyższy nagrodzi dobroć twoję. A że kapitał przywieziony przez ciebie z Jemenu, straciłeś dla mnie, i na wyleczenie moje, przyjmij w zamian tę trochę złota na wydatki podróżne i niech cię zuchwałość moja nie obraża. Niezapominaj mię w modlitwach twoich.

Tu skinęła na eunucha, który postawił przedemną dwa worki złota na ziemi. Poczém mówiła dalej. Daj-

cie mu konia, niech téj nocy wyjedzie, bo dalszy pobyt jego w Damaszku nie nada mu. To mówiąc wstała. Ja widząc, że tracę najdroższe dobro moje, rzuciłem się za odchodzącą i ująwszy się brzegu jéj szaty zawołałem:

Wiersz. Cyprysie wiatrem chwiany, dla wiosny niesiesz pieszczoty twoje, a twój kochanek co chwila stokroć się modli choćby o jedną pieszczotę.

Gdybyś raczyła wysłuchać parę ostatnich słów umierającego, strapionego po tobie, Bóg ci sowicie odda tę jałmużnę.

Uśmiechnęła się i stanęła, mówiąc: Jakież to te parę słów? powiedz.

Rzekłem: Skarbcu pieszczot, żyj długo i błogo, ale racz przypomnieć sobie, że owéj pierwszéj nocy mówiłaś mi: dobij mnię, pogrzeb w tych zwaliskach, a nikomu niewspominaj o téj tajemnicy. Otóż, gdybym ja wtedy usłuchał ciebie, teraz by już kwiaty rosły na grobie twoim. Dzisiaj, ponieważ raczyłeś dać ucha słowom testamentu mojego, nagródź mi inaczéj niedołężne usługi moje.

Cóż mam uczynić? spytała.

Rzekłem: władczyni życia wiecznego! Mnie żyć bez ciebie jest grzechem śmiertelnym. Zrób jedno z dwojga: albo mię policz w poczet najwierniejszych niewolników, sług twoich, albo każ z nich któremu niech mię zabije i raz na zawsze uwolni od cierpień i niedoli. Niech mię pogrzebią blisko miejsca przechadzek twoich. Może tam kiedy, promyk obecności twojéj przyniesie mi do grobu iskierkę spokoju.

Wiersz. Albo coś musisz obmyślić dla strapionego serca mojego; albo mię zabij, masz do wyboru. — Słowem ja dłużéj cierpieć niezdołam. Jedno z tego dwojga musisz uczynić.

Usłyszawszy to, uśmiechnęła się, i rzekła: Poco się

męczysz próżnemi słowy. Temu co ci leży na sercu, ja ulżyć nie mogę. Rozsądek ludzi rozumnych temu zaprzecza.

Rzekłem: więcże racz mi objaśnić co znaczyły te wszystkie osobliwsze przygody i dziwniejszy jeszcze koniec ich? Niech mi przynajmniej ten ciężar spadnie z serca.

Rzekła: I tego niewypada mi uczynić. Mówić o tem niedobrze i nietrzeba.

To powiedziawszy odeszła. Na próżno chciałem mówić daléj. Eunuch haremu i odaliski służące zabroniły mi. Pieszczota serca mojego odeszła, a oni wypchnęli mię z haremu i kazali wziąść konia i złoto i natychmiast wyjechać z miasta. Nieprzyjąłem. Z sercem spaloném, z oczami we łzach i z duszą rozwaloną, poszedłem zamieszkać w kątku owego meczetu. A tak mi ciężko było na sercu, żem na nikogo niebaczył. We dnie siedziałem w zakątku moim, stulone usta bez żalu, bez skargi. W nocy czuwałem aż do dnia, niżąc perły łez moich na igiełkę rzęsów i pieśń żałoby nóciłem sobie.

Przez sześć miesięcy tak przebolałem. Na siódmym zachorowałem od smutku, a tak byłem osłabł, zmizerniał i wycięczał, że każdy co mię widział miał mnie za straconego. Po czterdziestu dniach zdrowie moje pogorszyło się do tego stopnia, że przez całe trzy doby niewracałem z omdlenia. Pobożniejsi ludzie, przychodząc do meczetu, zatrzymywali się przed mojem łożem i litowali się młodości i cierpień moich.

Traf zdarzył, że pewnego dnia, eunuch jéj haremu, wiedzący dobrze szczegóły ostatniego widzenia się jéj ze mną, przychodzi do meczetu i widzi grupę ludzi stojących nad mojem łożem. Był to człowiek bystrych oczu, poznał mię od razu, domyślił się o co rzecz idzie. Przez litość, wróciwszy do haremu księżnéj, opowiedział

téj królowéj mocarstwa piękności co się działo z najwierniejszym jéj poddanym. Dobre jéj serce zabolało nad mojém. Natychmiast każe temuż eunuchowi: Idź i nie odstępuj na chwilę poduszki chorego; jeśli z tej dziedziny nicości przejdzie do pałacu wiecznie trwałych rozkoszy, oddaj mu wszystkie ostatnie posługi. Zawiń w całun, każ sporządzić trumnę i w nocy pogrześć w ogrodzie haremu, pod tym a tym cyprysem, ale tak ażeby o tém nikt nie wiedział. Chcę spełnić ostatnię wolę jego. Gdyby zaś dożył do wieczora, w nocy przenieś go do swego mieszkania, może się nam poszczęści i wyléczemy go. W każdym razie chciałabym go widzieć przed zgonem i prosić, aby mi przebaczył.

Eunuch posłuszny pani swojéj, czuwał odtąd nademną. Przez cały dzień dawał mi pić jakiś otrzeźwiający szerbet. W nocy przeniósł mię do swego mieszkania. Widok mój wzruszył ją. Sama zajęła się staraniami i posługą przy chorym. Nietrudno było jéj domyślić się, że słabość moja, niepochodząca z żadnéj wady w ciele minie za pomocą napojów wzmacniających i pokarmów lekkich.

Wielkaż to była radość, gdy po czterech dobach takiego leczenia, wróciłem do zmysłów i otworzywszy oczy, ujrzałem przy poduszce Zulejchę moję z zapłakanemi oczyma, własnemi rękami lejącą szerbet, kroplę po kropli do ust moich.

Bracia derwisze! gdy po upłynieniu siedmiu miesięcy, otworzyłem moje zlęknione i zbolałe, długiém jéj niewidzeniem oczy, orzeźwiły się one widokiem pożądanym i źródło łez ich znowu się odkryło. Ale już płakałem nie sam jeden. Ona także uroniła kilka pereł litości i cieszyła stroskaną duszę moją. Łatwo domyślicie się, że ożywiony jéj pieszczotami, prędko pozbyłem się reszty słabości. Znowu żyć zapragnąłem i co dzień byłem zdrowszy na ciele i na umyśle. Po dwudziestu dniach

konwalescencyi, wróciłem nakoniec do normalnego stanu. Przez cały ten przeciąg czasu, wszystkie nocy, od wieczora do ranku, ów miesiąc promienny miłością nie odstępywał mię.

Pewnéj nocy, śród dowodów łask i dobroci, rzekła do mnie: przyznaj się, czegobyś życzył sobie, dla uspokojenia twego serca i odzyskania zupełnéj pogody duszy? Rzekłem: celem moim jest rzucić duszę moją pod nogi twoje, na ofiarę tobie, i ocierać łzy oczu moich piaskiem, po którym chodzą błogie stopy twoje. Od dnia w którym zacząłem ci służyć, do dnia rozłąki, widziałem tyle, słyszałem tyle, że nie potrafię się wywikłać z dręczących mię domysłów i niepewności. Usłyszawszy to, westchnęła głęboko i rzekła: cóż pocznę. Masz wielkie prawa do wdzięczności mojéj. Trwożę się nieraz myślą, że w dzień sądu przed Bogiem odpowiem ciężko za niezapłatę długu należnego ci odemnie. Chciałabym aby tajemnica moja umarła zemną. Ale że ty zużyłeś część czasu twojego dla mnie, muszę także chcąc niechcąc zaspokoić żądanie twoje.

Młodzieńcze, wiedz że jestem córką króla Syryi. Ojciec mój nie miał więcéj dzieci, i dla tego mnie jedynaczkę, bardzo pokochał. Od pierwszéj młodości mojéj, starałam się użyć życia. Nie było dnia, gdzieby się obeszło bez wina i muzyki. Zawsze w towarzystwie przyjaciołek różolicych, panienek krwi książęcéj i szlacheckiéj miasta Damaszku, wszystko pięknych i starannie wychowanych, bawiłyśmy wesoło całe miesiące i lata. Miałam wiele śpiewaczek, tancerek i wszystkiego co do wygód i wesołości potrzebne. Skarbce pełne złota, kuchnia wytworna, wina najdelikatniejsze, w pogotowiu i na zawołanie. Mile pędziłyśmy życie, ani myśląc o krzywych drogach złowrogiego losu. Jego to sprawą, zaskoczyły nas dni miesiąca *Zilhadż*, *) dni święcone

*) Miesiąc w którym pielgrzymowie modlą się w Mekce.

wstrzemięźliwością. Bóg i ludzie radzili nam zaprzestać pijanych pochulanek, przynajmniej przez dni dziesięć. Ale młodym i zapalonym głowom nie do tego. Biesiadowałam jak zawsze, zawsze w ruchu, ręce drżały do gitary, nogi drgały do tańca.

Wiersz. Ach taki stan duszy niech nawiedza tylko nieprzyjaciół twoich.

Nauczycielem moim był eunuch, stróż haremu. Widząc mię odurzoną winem i prawie pijaną, poradził mi zażyć trochę *kokenaru*, *) speciał który mój filut staruszek sam codziennie zażywał. Mówił mi, że to orzeźwia i niszczy ból głowy zmordowanéj niewywczasem. Nie wiedziałam jeszcze co to takiego kokenar. Rzekłam: każ mi to przynieść. Rzekł: to się nie przynosi, trzeba pójść do sklepu robiących kokenar i tam go jeść, do domu nie dają. Dotąd nie wiem dla czego eunuch dał mi tę radę, widno że przeznaczenie tak chciało. Odpowiedziałam, że mnie chodzić do podobnych sklepów nieprzyzwoicie, każ kupić i przynieść. Eunuch poszedł, i po godzinie wrócił z jakimś chłopczykiem łysym, mającym lat ośm czy dziewięć, w łachmanach zbrukanych sokiem kokenarowym, w szlafmycy wojłokowéj, w spodeńkach błękitnych krótkich, w dziurawém obuwiu; w ręku miał dzbanek kokenaru.

Od pierwszego rzutu oka na tę potworkę, uczułam wstręt; czemuś tu przyprowadził tego brudala? spytałam. Eunuch uśmiechnął się i rzekł: księżniczko pani, nie dobrze jest sądzić z pozoru i poniewierać; my wszyscy służymy jednemu dworowi, wszyscyśmy niewolnicy jednego króla. — Uwaga ta zrobiła na mnie wrażenie.

Krótko mówiąc, kokenar wlano do czary, eunuch był podczaszym, dał najprzód napić się każdéj z panienek

---

*) *Kokenar* robi się z makówek stłuczonych na miazgę i zaprawionych w kształcie pigułek, ciasta, olejku etc.

haremu, a potém i mnie. Po chwili poczułam że mi istotnie rzeźwiéj, ból głowy zmniejszał, w umyśle rozweseliło się. Na dziedzińcu dziewczęta otoczyły łysą główkę, jak wrony, szydziły z chłopaka, szczypały, męczyły go, a on się skarżył i wrzeszczał w całe gardło. Na zapytanie co znaczy wrzask ten? eunuch mi rzekł: łysek to kuty na cztery nogi, umie bawić i śmieszyć i nad lata swoje dowcipny a przezorny, jak nikt w Damaszku.

Kazałam go wprowadzić do mego pokoju. Zaczęli rozmowę: Eunuch pytał, łysek swoim słodko kwaśnym językiem odcinał się, zawsze ze szkodą eunucha, którego kosztem śmiałyśmy się do rozpuku. W nagrodę kazałam mu dzbanek wypróżniony z kokenaru napełnić miedziakami i odprawić, z rozkazem, aby nazajutrz znowu przyszedł.

Tak wszystkie dni *święta pielgrzymów* przepędziłyśmy na słuchaniu powiastek łyska i pijąc kokenar, który zrazu rzeźwił, a potém odurzał i upajał gorzéj niż wino. Łysek w ostatni dzień odszedł ze dzbankiem pełnym dukatów. Po poście takim i wstrzemięźliwości kokenarowéj, nastąpił karnawał uciech i wina, którém trzeźwiłyśmy się od skutków kokenaru. Wszakże zatęskniłam do rozmowy łyska, więc postanowiono aby znowu co ranek przynosił kokenar. Tak minęło całe pół roku. Nieraz poiłyśmy łyska winem, a gdy się upił, jeszcze był pocieszniejszy i jeszcze więcéj męczony przez nas. Widząc że nie zmieniał swoich łachmanów brudnych, i sądząc iż nie dosyć mu w haremie dawanych pieniędzy, kazàłam co dzień napełniać dzbanek dukatami.

Minęło innych sześć miesięcy, a łysek przychodził zawsze w tych samych łachmanach. Raz tedy spytałam, czemu nie zmienisz twoich łachmanów? Tyleś już dostał odemnie pieniędzy, coś zrobił z niemi? — Zapłakał i rzekł: księżno, żyj długo a błogo! Pieniądze zabiera

mój patron. Ja sierota, nie mam nikogo, patron mię najmuje za tysiąc groszy na rok i karmi mię. Łachmany dał mnie kto inny, to jałmużna.

Oburzyła mię nieludzkość i niesprawiedliwość patrona. Zapytałam: możesz-li sam robić kokenar. Rzekł: mogę. Kazałam więc eunuchowi ażeby dał mu pomieszkanie u siebie, i wszystkie rzeczy potrzebne do robienia kokenaru. Ubrano go w porządną sukienkę, czesano co dzień, jakoż głowa oswobodzona z parchów, porosła pięknym włosem. Chłopiec zasmakował w ochędostwie, zaczął odziewać się bogato, pił najlepsze wina i jadł najdelikatniejsze potrawy kuchni haremu. Słowem, rósł duszą i ciałem. Piękny, dowcipny, zręczny i miły, stał się ozdobą pierwszych towarzystw miasta; wszyscy pragnęli jego rozmowy i obecności. Przyszło do tego, że żądza widzenia go, stała się niezbędną potrzebą duszy mojéj. Sułtan miłości zamieszkał w sercu mojém. Chwila w któréj go nie widziałam, stawała się chwilą niewypowiedzianéj męki; bez blasku jego piękności i rozmowy, serce moje drżało w ciasnych zakątkach piersi, a rozum z głowy leciał precz za drzwi, łzy płynęły. A kiedy go widziałam, ręce i nogi mi się trzęsły, rumieniec twarzy mojéj żółkniał, nos cieniał i zwężał się. Widzowie nawet najmniéj domyślni, nie wątpili o sile miłości mojéj dla niego.

Tak jest, trzy lata grałam z nim w niebezpieczną grę miłości, i siałam ziarno kochania na roli piersi mojéj. Po trzech latach, gdy chłopiec podrósł, niańka moja i bliższe sługi zabroniły mu przychodzić do mnie przy ludziach. Pozwolono nam widywać się ale ukradkiem. Polecono mu pewne obowiązki służby zewnętrznéj haremu. Zrobiony jednym z pierwszych urzędników dworu mojego, bogacił się. Kazałam mu kupić za 2,000 tumanów batystów, perkali etc. i nająć mu sklep dla sprzedaży tych towarów. Postanowiłam go strażnikiem

futer i szat królewskich. Szanowano go i lękano się. Dostawę sukien i materyj dla dworu ojca mojego, poruczono jemu. W sąsiedztwie haremu mojego kupiłam mu dom. Służący, niewolnice, meble, kobierce i inne temu podobne potrzeby gospodarstwa, wszystko sama wybrałam i darowałam mu. Podziemne przejście łączyło kurytarzem dom jego z haremem moim. Za pomocą téj tajemnéj komunikacyi, co noc gdy wszyscy już spali, widywaliśmy się. Trzech tylko powierników miałam, niańkę, córkę jéj, i nauczyciela mojego. Oni tylko wiedzieli, że noce moje aż do poranku przepędzałam w towarzystwie jego.

Opętawszy mię w sidła miłości swojéj, sam dziwnie się hamował. Ile razy śród żywszéj rozmowy i zabawy spotkały się ręce nasze, on spuszczał tchórzliwie oczy i oblewał się potem wstydu, i jak ostatni z niewolników, korzył się jak najobyczajniéj. — Pewnéj nocy, widząc ten kwiat ogrodu skromności w całym rozwoju kras wiosennych, ale nieco zwiędniały smutkiem, zapytałam o przyczynę smutku. Rzekł mi: jest tu w mieście do kupienia sad, tyle piękny że nic podobnego nie znajdziesz w całéj Syryi; położenie, obfitość wesołych przechadzek, powietrze zdrowe, widoki cudowne, i to wszystko za tysiąc tylko tumanów, choć niezawodnie trzy razy więcéj warte. Ale cóż, kiedy nie mam gotowych pieniędzy!

Wiedziałam ja bardzo dokładnie, że miał u siebie do 12,000 tumanów. Wszakże nie śmiałam go ani smucić, ani zawstydzić, owszem, kazałam nazajutrz wyliczyć z kasy mojéj żądane pieniądze. Kupił sad i pewnéj nocy poprowadził mię pokazać go.

W istocie był to ogród jak raj. Pośrodku wznosiła się wielka wysoka altana, mająca do koła kwietniki różnobarwe, przerznięte strumykami słodkiéj płynącéj

wody. Długoby się rozwodzić nad tém siedliskiem rozkoszy i coraz nowych uciech.

Celem jedynym życia mojego było, podobać się jemu i słuchać go we wszystkiém, tak, iż rzekłbyś, że bez dozwolenia jego, nie śmiałam napić się wody. Widzieć go zadowolnionym, było największą radością serca mego. Po niejakim czasie, pewnego wieczora, dostrzegłam na jego czole ślad troski. Na zapytanie czego się smucił, odpowiedział mi: przedają tu bajaderkę turczynkę, umié śpiewać i doskonale gra na gitarze. Zna wybornie muzykę i obdarzona bardzo pięknym głosem. Do tych wszystkich zalet, łączy nielada znajomość służby. Byłaby z niéj, o czém nie wątpię, przedziwna pokojówka dla zabawy twojéj i posługi, księżno; jeżeli mi raczysz pozwolić, kupię ją.

Ponieważ wiedziałam że serce jego skłoniło się do niéj zgodziłam się. Na zapytanie wiele kosztuje? powiedział mi: 200 tumanów. Zapłaciłam i to natychmiast, i kazałam ją przyjąć do haremu.

Zaraz po kupieniu bajaderki, wziął ją do własnego domu, gdzie ją znalazłam przyszedłszy w nocy. Rzeczywiście, była to dziewczyna ze wszech względów zdolna i bardzo zręczna. Obdarzyłam ją mnóstwem klejnotów i ozdób kobiecych. Kilka nocy uprzyjemniła nam talentami swojemi. Po tygodniu, pewnego wieczora, w którym z kolei on miał przyjść do haremu, czekam i czekam, nie pokazuje się. Posełam niańkę z zapytaniem o zwłokę. Posłanka przynosi mi następną odpowiedź: księżna niech mi raczy przebaczyć, że tego wieczora głowa mię boli. Nie mogę siedzieć (bawić się).

Jak tylko usłyszałam że niedomaga, sama pobiegłam go odwiedzić. Przybyłam właśnie w tę chwilę, gdy oparłszy głowę na łonie bajaderki, rospływał się w widoku wdzięków jéj twarzy. Spojrzawszy mu w oczy, odgadłam że bardzo zakochany. Jakkolwiek duma i za-

zdrość mną owładały i zimny dreszcz przebiegał mi po ręku i nogach, umiałam panować nad sobą.

Jak tylko mię postrzegli, oboje skoczyli z miejsca i usiedli każde w osobném zakątku. Udałam żem nic nie widziała ani dbała o to. Po dawnemu obsypałam go łaskami, pytając się o zdrowie. Udawał że chory. Stękał i kręcił się, jakby miał kolki.

Krótko mówiąc, odtąd stał się wcale innym niż pierwéj. Unikał rozmowy poufałéj ze mną. We dnie i mnie saméj nieprzyzwoicie było szukać jego obecności, wszędzie czułam potrzebę wylania się, przecierpiałam do wieczora. Otóż mija kilka godzin, młodzieńca nie masz. Posełam po niego. Mówią mi, że nie ma go w domu.

Ogień zawiści zagorzał się w piersi mojéj. Rzuciłam się na łoże, niby do snu, nie wołając na żadną ze służących; a gdy one i niańka usnęły, cichutko zeskoczywszy, do domu jego pobiegłam. Biorę na stronę jedną z pokojówek jego i każę sobie opowiedzieć wszystko. Rzekła mi: Bardzo się rozmiłował w bajaderce; a że lęka się ciebie królewno, więc oboje poszli do sadu, ażeby bez trwogi w sercu, i bez roztargnienia w umyśle porozmawiać sobie.

Na taką wieść zapaliłam się. Ztamtąd, sama jedna, pełna ognia gniewu i czarnych myśli, szłam do sadu. Przychodzę i widzę że zamknięte wrota. Z wielkim trudem przełażę przez ścianę i spuszczam się.

Była to noc doskonale światła. Miesiąc w pełni wskazywał wszystko jak śród dnia białego. Wchodzę pospieszam do altany i znajduję obojgu pijanych, w jednéj koszuli, i jak cukier i mléko, zlanych w jedną słodycz, w jeden pocałunek.

Podobna do waryatki, przyczaiłam się pod krzewem róż, usta bez mowy, nogi bez szelestu.

Tymczasem oni, zmęczeni rozkoszą, siadają przeciw siebie, biorą butelki i czarę. Przypadkiem, dziewczyna

spojrzała w moją stronę. Niemogąc daléj pohamować się zaśpiewałam następną piosnkę.

Wiersze. I cóżem uczyniła że niebo wciąż mię pali; że śmierć bez ustanku, we dnie i w nocy, goni za mną. Gdzież czarniejsza niedola nad tę, że moja lampa oświeca cudzą biesiadę.

Chłopiec i dziewczyna poznawszy głos mój upuścili z rąk puchary. Ona, wyciągnąwszy ramiona ku niemu, zawołała: Ty masz swojego męża, do czegóż więc te miłostki i poco napróżno i siebie samą i mnie męczysz? On odwróciwszy się, ujrzał mię i rzekł: księżno, niech Bóg cię chowa w swojéj pieczy. Ty nieśpisz. Azaliś nam przedała konia lub wielbłądy alboś mię kupiła sobie na wieczną niewolę, że oto porzuciłem dom mój a ty mię nieporzucasz?

Rzekłam: Tak jest, niecnoto; co to ma wszystko znaczyć? Azaliż i mnie także niewolno przypatrzyć się waszéj biesiadzie? Rzekł: serce twoje nie znajdzie spoczynku, dopokąd mię śmierć nieuwolni z rąk twoich! Tu bajaderka chytra jątrzyła go i szyderstwem i śmieszkami, Zagniewany dobył z pod płaszcza sztylet, co kupiwszy za wielką summę darowałam mu była na pamiątkę i chciał się przebić. Rzuciłam się, chwytam go za rękę i tuląc twarz do nóg jego, wołam: „Ja niech padnę ofiarą tobie, zabij mię! Ja raczéj umrę!...“

Rozogniony winem i gniewem, bił mię sztyletem po grzbiecie, po ramionach, po bokach aż omdlałam... Daléj już niewiem co się ze mną stało. Pamiętam tylko żem się obudziła w skrzyni i że ty byłeś przy mnie. Zapewne, gdyż ogród ich przytyka do miejskiéj ściany, zapewne zamknęli mię do skrzyni, ażeby wrzucić do rowu, i uniknąć wszelkiego podejrzenia. Ponieważ zostawało jeszcze mi z życia zakreślonego ręką przeznaczenia, skrzynia uwięzła w miękkim piasku, ty przybyłeś i stałeś się zbawcą żywota mego.

Rzekłem: Pieszczoto rajska, powiedz mi kto był ów klejnotnik co to ci przysłał misę dukatów, i którego łajałaś za oczyma?

Rzekła: to przedawca kokenaru, ów co to zbogacił się pieniądzmi dawanemi łysakowi w moim haremie.

Spytałem: a też meble, ci służący i ten przepych zkąd i jak improwizowałaś w domu moim i gdzie to się potem podziało o północy?

Odpowiedziała: To wszystko należało do ojca mojego.

Rzekłem: a cóż powiedziałaś jemu dla usprawiedliwienia swojéj nieobecności? Wyzdrowienie twoje wzięło ci siedm miesięcy czasu, czémże więc stało się że ojciec twój nie szukał gdzieś zniknęła?

Rzekła: Zwyczaj chce ażeby królowie (paszowie) Syryi co roku przez sześć miesięcy objeżdżali podwładne miasta prowincyi swojéj, a przez drugie sześć siedzieli w stolicy, Damaszku. Otóż los zdarzył iż właśnie podczas nieobecności ojca mojego w mieście, ja zniknęłam. Strwożona matka moja, a przytém rozumna i ostrożna, potajemnie się dopytywała o mnie, powiernicy nie rozgłaszali. Kiedy ty poszedłeś aby łotra niewdzięcznika zaprosić w gościnę, ja prędko, okrywszy się zasłoną, pobiegłam do matki. Uszczęśliwiona że mię widzi w dobrém zdrowiu, zaczęła była mię upominać i dopytywać się. Odpowiedziałam: matko, Bóg mi świadkiem że nic niegodnego w istocie nieuczyniłam; ale nieobecność od woli mojéj niezależała. Los mię udręczył, lecz serce moje niewinne i Bogu niech będzie chwała, że imienia mojego niesponiewierałam. Matka nieprzyjęła tych ogólników. Wszakże po długim namyśle uznała konieczność ostrożności i naocznie przekonawszy się żem była panienką niewinną ucieszyła się bardzo. Wówczas upadłam jéj do nóg, i zaczęłam błagać usilnie aby pozwoliła mi jeszcze trzy dni swobody. Mówiłam jéj: mam do skończenia kilka ważniejszych rzeczy. Da Bóg, po upły-

nieniu trzech dni, porzucę dotychczasowy tryb życia i wtedy opowiem ci szczegóły przygód minionych dni moich.

Matka kochała mię bardzo. Przytem wdzięczną była Bogu za to że mię cało zachował, a mnie za to żem nie skalała cześci imienia rodziny naszéj. Sama więc kazała z trzydziestu trzech domów znieść do twojego to wszystko co tam widziałeś. Celem mym było abyś odwdzięczył za trzy dni gościny twojéj u łotra. Śród czwartéj nocy, w zamian za krew moję, zabiłam obu, to jest łysaka kokenarczyka i jego bajaderkę, bo już wiesz dobrze że on i ona mię zabijali a nie kto inny.

Tejże saméj nocy wszystkie sprzęty odniesiono na należne im miejsca. Ja także wróciłam na mieszkanie do domu matki i opowiedziałem jéj wszystko. Bardzo się ucieszyła mojém postępowaniem. Wszakże serce mnie bolało myśląc o tobie. Dla tego to pomieściłam cię w moim domu.

Powieść tę paszanki zamknąłem hołdem powinnym jéj cnocie i wytrwałości.

Bracia derwisze! Ona mówiąc płakała i ja także towarzyszyłem łzami mojemi. Po dokończeniu opowiadania przygód tych osobliwszych, sama zapytała? No, a teraz czyś rad ze mnie? Rzekłem: o ty, słońce nieba wierności! Duch mój rozradował się że nauczona doświadczeniem, sama masz serce kochające i umiesz zrozumieć serce kochającego. Wiesz jego cenę. Po długiem zamyśleniu się widząc moją słabość i niedolę, rubin cukrowy ust jéj zadzwonił tę piosnkę:

Wiersz. Myśmy serce i oczy rzucili do potopu biady, niech więc przyjdzie i potok zniszczenia, niech wyrwie dom z posady! Ten komu w dzień stworzenia napisano: *będziesz tułać się i cierpieć,* niespocznie ani pod dachem meczetu ani na niwie rolnika.

Innej mi niema rady jak znowu narazić na niebezpieczeństwo sławę moję, czyniąc gwoli tobie. Prawdę mówiąc niezbywa mi na ochocie; lecz w takim razie, trzebaby opuścić ojczyznę i tułać się po świecie, niemyśląc jeno o pozyskaniu serca twojego. Jeżeli więc tak mi zakreśliło już pióro przeznaczenia, raduj się w duszy a czekaj sposobnéj chwili, aż zobaczemy co Bóg nastręczy.

O derwiszowie! uszczęśliwiony temi nadziejami, mieszkałem przez jakiś czas u eunucha. Otóż los zdarzył żem pewnéj nocy, niemogąc zasnąć i siedząc na drodze oczekiwania, ujrzał zgadnijcie co? oto ów cyprys wierności, skryty w ciemności jak woda życia óto owa jedyna w życiu nadzieja moja, wychodzi ze drzwi haremu, odziana w zbroi, orężnie, niby na wojnę i mówi mi: wstawaj, korzystajmy z chwili a chwytajmy ją zanim z rąk się umknie!

Wyskoczyłem z łoża, i biegłem za nią, jak cień jéj. Idzie do stajni królewskiéj, siodła dwie klacze syryjskiego stada, wyprowadza i daje mi jedną z nich a także dwa worki pełne złota i zupełne uzbrojenie dla mnie. Co prędzej odziałem się w zbroję i oręże. O świcie wyjeżdżamy z miasta. Przez całą dobę pędziliśmy jak koń wyskoczy, goniąc po pustyniach i bezdrożach. Dwa razy tylko zsiedliśmy z koni dla popasania klaczy. Sami posililiśmy się pieczenią źwierzyny i usnąwszy chwilę, znów czwałujemy dalej i dalej.

Podczas podróży, kilka razy mówiła mi: widzisz oto imie, sławę, majątek i ojczyznę moję złożyłam na twojéj głowie. Ażaliż i ty, podobnie owemu złoczyńcy, niedochowasz mi wiary? Będziesz-li stał wiernie na drodze przymierza miłości.

Kląłem się że do grobu służyć jéj będę. Na koniec po miesiącu podróży naszéj, śród nocy, dopadliśmy

okropnej pustyni. Pędziliśmy daléj i daléj, aż do chwili w któréj trzeba było dać przekąskę koniom. Upał tak był nieznośny, że traciliśmy władzę ruchu dalszego. Znużone długą jazdą konie ustały. Ujrzeliśmy wielką rzekę w poprzek drogi naszéj. Nie było brodu dla przeprawy. Stare gałęziste drzewo wznosiło się na brzegu rzeki. Prosiłem moją najwierniejszą, aby na chwilę spoczęła pod cieniem drzewa, a sam czwałowałem niżéj i wyżéj rzeki dla znalezienia brodu i nareszcie go znalazłem. Gdy ucieszony dobrym skutkiem poszukiwań moich, wróciłem pod drzewo, niestety, mego cyprysu piękności nie ujrzałem tam! napróżno tu i owdzie biegałem, ani śladu jej nigdzie! Sądziłem, że może zbój jaki przybywszy podczas nieobecności mojéj wrócił ze szczęściem mojém do Damaszku. Przeodziawszy się więc w inną odzież, po długiej podróży przybywam do stolicy Syryi, ale i tam zgoła nic niewiedziano o niéj. Tak szukając mojéj księżycolicéj, po wszystkich krajach i miastach, dopytywałem się o nią, lecz nigdzie ani śladu nie widziałem ani wieści nie zasłyszałem. Więc rzekłem w duszy: o serce, w dowód wierności twojéj, powinieneś raczéj się zabić niż się splamić niesławą, żeś niedochował jej uczuć miłości najstalszéj. Los zaprowadził mię pod jakąś górę. Dopadam jéj wierzchołku chcąc rzucić się w przepaść w imie nadziei wiecznego życia, śmiercią zakończyć niewolę moję, i wiernie oddać duszę moję dla tej bez któréj żyć dłużéj nie mogłem.

Na górze ujrzałem starca: rozesławszy dywanik pod drzewem, na brzegu strumyka, bił czołem pokorném powinne pokłony Panu Bogu, i czytał Koran. Ujrzawszy mnie zawołał do siebie pytając zkąd i po co przychodzę? Opowiedziałem mu szczerze przygody moje i prosiłem świętego pustelnika o wskazanie mi kierunku i

drogi prowadzącéj do celu życzeń moich. Mąż niepokalany, na skrzydłach strzelistej modlitwy wzniósł się w dziedzinę przyszłych wypadków i okiem orła bożego ujrzał je. Po długim namyśle, uwdzięczył swe usta uśmiechem błogim i rzekł: szczęśliwy młodzieńcze, rozraduj serce twoje, albowiem to co się straciło niebawem znajdzie się, i ujrzysz ją w zdrowiu i w weselu. Bóg was połączy. Idź do miasta Stambułu. Zbliżenie się owéj chwili dla ciebie poznasz po następnym znaku: W drodze trzej inni derwiszowie złączą się z tobą. Razem z nimi przyjdziesz na dwór padyszaha wielkiego. Władca ten nosi w sercu swojém pewne życzenie zgodne z wolą przedwieczną i Bóg najwyższy najprzód zadosyć uczyni temu życzeniu króla, a potem zadowolni każdego z derwiszów, i ciebie i towarzyszy twoich.

Usłyszawszy tę przepowiednią, śpieszyłem w stronę wskazaną, pełen nadziei i wiary. Dzisiaj zdybałem was towarzysze mili i chwała Bogu pierwszy znak obiecany przez męża bożego okazał się, słowo prorocze nieskłamało. Zobaczymy co jutro los nadarzy, jaką barwą zabłyśnie i z przetaku nieba jaki proch wysypie się na głowy nasze. A teraz szczęść wam Boże. Ja skończyłem powieść moją. Na kogo teraz kolej? niech perłę przygód swoich niże na nitkę opowiadania i niech ją zawiesi, niby złotą zausznicę na uchu braci derwiszów!

Słysząc to Azade Becht uczuł iskrę niebieską w sercu swojém, i spoląc się w duszy z bólem cztérech derwiszów, taką modlitwą westchnął do Boga:

Wiersz. Twórco, który to słyszysz, błogosław modlitwie mojéj: Dobroczyńco wszechświata, zadosyć uczyń potrzebie mojéj! Nic zakrytego nie zatai się przed tobą! Świecie tajemnic i skrytości niezbadanych, Boże

wielki zbaw nas zasługą przeczystej Maryi *); prawdą Alego, owéj świątyni łask niebieskich! Pomóż nędzy sług twoich prawowiernych, przez krew niewinnie wylaną z Husejna króla męczenników twoich.

*) Betul, panienka czysta, westalką. Imie to muzułmani dają naszéj Bogarodzicy i także Fatymie córce swego proroka.

Aleksander Chodźko.

SZKICE PODRÓŻNE.

PIZA.

..Kolej żelazna prowadząca z Florencyi do Pizy ciągnie się wzdłuż rzeki Arno, środkiem rozkosznéj doliny Val d' Arno zwanéj. Tu żyzność klasycznéj ziemi Saturna, wielkiéj zbóż rodzicy, że słów Wirgiliuszowych użyję, w całym ukazuje się blasku. W szybkim przelocie parowego wozu przesuwają się jak w czarnoksięskiej latarni łąki zroszone strumieniami, winnice, oliwnice, morwowe i kasztanowe gaje zieleniące się nad zieleńszym jeszcze kobiercem błoni. Między niemi przełyskuje Arno miękko zapadające w najniższą w klęsłość doliny; a wzgórza jak węzgłowia aksamitne uginając się pod jego wstęgą spływają stoczystemi zarysy na porzecze, po którém topola włoska bieży zieloną koronką na tle modrego nurtu w złocisty piasek oprawnego. Gdzie niegdzie biała willa dosiada pogórka i w oddaleniu perli się na jego czole, lub w gęstwine sadów, gdyby ścigana umyka; tu wioska lub miasteczko narasta gęstemi domami, nad któremi panuje dzwonnica i

wieża ratuszowa, te prababki wszystkich miast włoskich przemawiające zawsze jednym i tym samym dzwonem do zmieniających się pokoleń, którym dawniej na wojnę domową dzwoniły, a którym teraz spokojnie powtarzają Anioł Pański na odpoczynek po gwarliwéj przeszłości; owdzie zamek niedobitek Gwelfów lub Gibelinów, czasem we zmroku pogrozi podróżnemu otłuczonemi blankami i wieżycą swoją, poczerniałą średniowieczności mumją. Cień wieczorny namaszcza mu czoło i jak płaszcz włoski na nim udrapowany pokrywa nędzę ścian jego połatanych bluszczem; rumiany zachód wystrzępia czarną, jego sylwetkę i podbija ją tłem przygasłéj pożogi; rzekłbyś że to stos zwęglony na pogorzelisku, z pod którego jeszcze żar krwawemi pała oblaskami.

Czasem się wzgórza rozstąpią w ramy: w tych ramach na bladém niebie jak na tle z perłowéj macicy na którém ledwo u rąbka trochę karmazynu zostało, spotykają się dwa proste czarne wyostrzone cyprysy, jak dwaj podróżni wzajemnie o drogę się badający w pomroce, lecz oto nad niemi gwiazda wieczorna przebija błękit brylantowem ostrzem swojém; inne gwiazdy zapalają się jedne po drugich; a Arno płynąc w jednym z mleczną drogą kierunku widnieje na poczerniałéj ziemi jak ona na ciemném niebie... Oto Piza!

Nic smutniejszego jak wjazd do tego miasta: rzeka głębsza i szersza niż we Florencyi, przesuwa się powoli jak pogrzebowy orszak między podwójnym szeregiem wysokich i niemych jak groby kamienic; klasztorne milczenie panuje do koła. Zda się że jedna połowa mieszkańców wymarła, a druga wyszła z miasta jak po pogrzebie ze smętarza się rozchodzą. Gród to nie zrujnowany, nie zniszczony, lecz odbieżany: średniowieczna Pompeja nad którą stała się klęska i spełniło się przekleństwo Danta:

Muovansi la Capraja e la Gorgona,
E facian siepe ad Arno in sù la foce,
Si ch'egli anieghi in te ogni persona.

Lecz to przekleństwo spełniło się odwrotnie: zamiast powodzi o którą wołał wieszcz gibeliński, woda się cofnęła od Pizy, bowiem morze ustępując na trzy mile włoskie zostawiło ją z portem na piaskach, całą, świetną, ale opuściałą jak okręt na mieliznie. Jednak wyobraźnia kojarzy te pustki z przekleństwem poety i daje wiarę ziszczeniu jego groźby i skutkowi tego natchnionego gniewu, który wyspami Capraja i Gorgona ciskał na występne miasto, i kazał im zastępować rzece w jéj ujścia i jak rumaka chwytać ją za wodze, aby się cofnęła i wylała; gniewu, który zniecierpliwiony opieszałym wymiarem sprawiedliwości ludzkiéj, podszczał żywioły i chciał spiknąć wyspy, aby ziemia sama bieżała pod stopami zbyt powolnie stąpającemi na zagładę zbrodniczéj Pizy:

Poichè i vicini a te punir son lenti. . .

Pod dwoistym wpływem Dantejskich tercetów i obrazu, który mi stanął przed oczyma, gdym wysiadał z wagonu, patrzałem na Pizę jak na inny Tyr lub Babilon, w który się wjadło niewidomie przekleństwo proroków i rozwlokło się szeroką do koła pustynią. Wysokie pałace powleczone jednostajnym cieniem piętrzyły się nad moją głową; żadne w nich światło nie błyszczało, żaden się szmer nie dawał słyszeć. Tylko wyżéj jeszcze nad niemi — południowe niebo dziwnie wyiskrzone przełyskiwało wszystkiemi swemi gwiazdy: rzekłbyś niezliczone mnóstwo gromnic nad umarłym grodem.

Pierwszy promyk słońca zastał mię stojącego na progu hotelu *del Nettuno* na Lungarno, gdziem przenoco-

wał; niecierpliwy bowiem byłem przypatrzeć się miastu przy blasku dziennym. Pierwszy rzut oka na Pizę przejmuje zdumieniem: Arno obłączysto płynące wrzyna się we dwa rzędy marmurowych pałaców o misternie rzeźbionych facyatach. Przy jednym końcu tego łuku pokazuje się łańcuch sinawych gór przedzielający Lukę od Pizy, a wspomniony w senném widzeniu hrabiego Ugolina:

.....al monte
Perche i Pisan veder Lucca non ponno.

Przy drugim widać śliczny kościołek *Santa-Maria della-Spina*, istne pieścidło gockie o marmurowych mlécznéj białości ościeniach wprawione jak droga emalia w lazur bezchmurnego nieba. Wiecznie czyste i ciepłe powietrze oblewa miasto ogrzewając zimne czoła pałaców i ich podwoje zamknięte jak usta nieboszczyka, i błękit niebieski przenosząc do żwierciadła rzeki.— Tam podczas gdy nurt bieży, gdy południe goręcéj w przezroczach włoskich płonie, na dwóch brzegach Arno widzisz podwójny obraz życia i śmierci.

Na północnéj stronie, gdzie światło słoneczne niedochodzi pustka i milczenie panują pod gankiem wzniosłych kamienic; przeciwnie na południowéj, gdzie karraryjskie facyaty kąpią się we słońcu, spostrzegasz snujące się jak dzienne mary wybladłe postacie chorych, którzy tu przybyli, aby zdrowie odzyskać lub spocząć na téj ziemi ponętnéj dla chrześcianina, bo zmieszanéj za świętą Jerozolimską ziemią od rycerzy pizańskich przywiezioną. Dalèj uderza twe oko długi szereg niezliczonych siedzących na wybrzeżu żebraków. W całych Włoszech, gdzie przecie roją się miriadami, nie widziałem tak licznych, tak starych, tak pokaléczonych i tak okropnie malowniczych. Istny to obraz wieków za

dawne Pizańskie zbytki na żebraninę skazanych; istne godła wszystkich świata chorób tutaj przywiezionych i porzuconych. Ta plugawa drużyna wędzi na słońcu członki od urodzenia nieświadome pracy, i w jakiemś posągowém *far-niente* maże białość marmurów niezdolnemi zupełniejszego poszarpania łachmanami. Straszliwe te dziady i baby z nieopisanym cynizmem roskoszują i wygrzewają się na słońcu, pnąc się jak brudny chwast po marmurach i porfirach krzyżowych wojen pomnikach. Rzekłbyś że to dzisiejszy lud włoski siedzący jak syn marnotrawny pod progiem wielkich swych ojców i wielkiéj swéj przeszłości; że cuda sztuki, jakie podziwiasz, skruszyły bezpotomnie dzielne piersi z których jak z wulkanów ciskały się ku niebu wieżami i ostrołukami, że płód kamienny przyprawił o śmierć rodziców swoich, i że na tych bryłach ręką średniowiecznych Tytanów napiętrzonych, na kątach tych łuków i ostrzach tego dłutowania, pokolenia się wyszarzały, wytarły, zużyły, i zużyte pokutują bezczynnością za ogień Prometeuszów od naddziadów swoich porwany, lub że zaklęte na wieczne ludu żydowskiego świadectwo, stoją pod przeszłością swoją by nam dać jéj miarę, jak te mikroskopiczne postacie ludzkie umieszczane od mierników pod skalą wież lub gór niebotycznych.

Niecierpliwy byłem poznać, owe cztery cuda średniowiecznego budownictwa, Domo czyli katedralny kościół, Chrzcielnicę, *Campo-Santo* czyli smętarz i Wieżę pochyłą, które w najodludniejszéj części miasta wszystkie obok siebie stoją.

Przechodząc przez plac *dei Cavalieri*, przewodnik mój zatrzymał mię ukazując ładny różowo pomalowany pałacyk z zielonemi żaluziami; jest ów własnością kaw. Toscanelli i wznosi się na miejscu, gdzie niegdyś stala sławna wieża Głodu *Torre della Fame*, pamiętna zgonem hrabiego Ugolina della Gherardesca unieśmiertel-

nionego przez Danta. Okropny obraz ze wszechwładném mistrzostwem wprawiony przez wieszcza w sklepienia staréj baszty i rzucony na tło jéj ciemności, ta wąska szczelina przez którą blady księżyc nawiedza zgłodniałych więźniów:

Breve pertuggio dentro della muda.....
M'avea mostrato per lo suo forame
Più lune già.....

epilog téj najstraszliwszéj między tragediami odegrywający się w piekle, wszystko to dziwnie odbija od jaskrawych ścian kamienicy przypiętéj jak karnawałowa maska do średniowiecznych zwalisk i pokrywającéj rubasznym mieszczańskim uśmiechem laokooński wyraz wspomnień, jakie budzą w podróżnym.

Gdybym był panem Toscanellim i posiadał Wieżę Głodu, nie śmiałbym jéj różowo umalować.

Arcybiskup Ruggieri niezdołał wytracić całéj rodziny Ugolina: istnieje ona dotąd we Florencyi, gdzie sam miałem zaszczyt znać panią hrabinę della Gherardesca słynną z piękności swojéj.

Stanąwszy na obszernym katedralnym placu, jednym rzutem oka objąć mogłem wszystkie cztery pomniki. Pierwsze wrażenie, jakiego na ich widok doznaje wędrowiec, przeniesiony z hałaśliwéj Florencyi w to milczące ustronie, zwykł on liczyć do najświeższych i do najpoetyczniejszych.

Niech mi tu będzie wolno powtórzyć moje własne słowa, ujęte na miejscu lubo niestwornie skreślone. Całą zaletą tych słów kilku jest to, iż były szybko spisane ołówkiem na Pizańskiém polu, w obec pomników co je natchnęły. Przepraszam za odcień niekiedy hyperboliczny moich okresów: pisałem w kraju, gdzie się jeszcze nie przyzwyczajono wstydzić wszelkiego uniesienia jak

we Francyi i u nas, i gdzie nikt nie myśli, iż ubliży swéj godności *gentlemana*, jeśli się da złapać na gorącym uczynku uwielbienia i zachwytu.

„Chrzcielnica podobna do olbrzymiéj tiary papiezkiéj, zda się być nie zbudowaną lecz ostrożnie złożoną na zielonéj murawie bujno plac zarastającéj. Cała ona przeźroczysta, wyrabiana, biała jak krzyżmo dziecięcia, które matka drogą obrąbiła koronką. Ręka bowiem pobożnego mistrza, którego nie od nieznanéj dotychczas ziemskiéj ojczyzny, zkąd wyszedł, lecz od niebieskiéj, dokąd wzory haftując na marmurze dążył, zwano *Diotisalvi*, zbaw Cię Boże, ręka ta oplotła swe cudo kamiennym wieńcem, lżejszym od tego, który młoda Włoszka zwykła zawieszać przed Madonną swoją. W marmurze dokoła rozkwitającym w gałęzie, liście i pączki, tkwią miasto drogich klejnotów rozmodlone oblicza świętych i popiersia biskupów. Paryjski to marmur przywieziony z zamorza od chrześciańskich rycerzy Bogu na ofiarę, ojczyźnie na ozdobę, a mistrzom na cuda; zachował ów pod włoskiém niebem ów właściwy sobie atycki rumieniec, którym Helios nasączył kapitele i fryzy Partenonu, jakoby pod greckiém słońcem same opoki rozkwitały w róże. Wyrzezana z niego kazalnica, zdobiąca wnętrze chrzcielnicy, a będąca arcydziełem Mikołaja z Pizy, wskrzesiciela snycerstwa w Europie, staje się różowo-przeźroczystą, gdy promień słoneczny na nią pada.

„Te cztery pomniki Pizańskiego pola, zawierają dla chrześcianina tajemnice pochodzenia i dążenia jego usymbolizowane w nieśmiertelnych z kamienia, złota, farb i mozaiki przenośniach jeniuszu.

„Szczęśliwy tych stron mieszkaniec, ogląda codzień tę chrzcielnicę, to powietrzniejsze od ptasiego gniazdo z marmurowych kwiatów i rószczek uwite, z którego po chrześciańsku rodem będąc wyleciał, i z grzechu pierwo-

rodnego poczwarki wykluł się, podług wieszcza, anielskim motylem *angelica farfalla*. Tuż obok *Campo Santo*, smętarz podobnież marmurami opleciony i umalowany temi jasnemi obrazy, które matki zwykły zawieszać nad kolebką ku rozweseleniu niemowląt, a jeniusz nad grobami ku rozweseleniu zmarłych, gotuje mu miękkie posłanie pod ziół zagonami, na ziemi świętéj na któréj Zbawiciel płakał i krew najdroższą przelał. To krzyżmo i ten całun, jednolite z jednego marmuru, jak tajemnice naszéj wiary z jednéj prawdy, i jak czas poczynający się i czas kończący się z jednéj wieczności, upowijają jednostajną białością dziecię nowonarodzone na żywot, i starca nowonarodzonego na nieśmiertelność. Cyprysy jak długie grobu firanki, kołyszą nad powtórzoném z niemowlęctwa milczeniem zmarłych przejrzystą krepę cienia. W przejściu z ciemnicy macierzyńskiego żywota do ciemnicy i macierzyństwa ziemi, chrześcianin powitanym i pożegnanym tu zostaje przez cuda jeniuszu; słońce wielkiéj katolickiéj twórczości błyszczy dlań na wschodzie i na zachodzie jego życia — w chrzcielnicy i na smentarzu; a między temi idei Bożéj przez ludzką rękę cudami, rozwija się dla niego pasmo Bożych przez południową przyrodę cudów: niebiosa przejrzyste jak jezioro, widnokręgi niewyczerpane okiem, i słoneczny na ich rąbku aksamit pod ziemską zamglenia gazą. — W taką to świetność przyrodzenia oprawne ukazują się w Pizie chrześcianinowi, obok tajemnic narodzenia i śmierci, wielkie tajemnice żywota usymbolizowane także w arcydziełach ojczystych budownictwa i jaśniejące dwoistą katolicką jasnością idei i formy, prawdy i jéj godła. Wiara ta, która się na najdalsze gwiazdy mlecznéj drogi rozpromienia i skupia się w niedojrzaną cząstkę chleba anielskiego, skupiła na odludném polu będącém zodiakiem całego chrześciańskiego żywota, godła i znaki wszystkich tajemnic w świątyni ogromnéj jak ta

wiara, jasnéj jak zachwyt, ślicznéj jak cień piękności Bożéj. Biały i czarny marmur powleka ją całą, jakby królewskiemi gronostajami, kopuła w misterne wyrabiana ostrołuki i zamknięta krzyżem wieńczy ją cesarską koroną, a na jéj facyacie pięć rzędów karraryjskich kolumn szykuje się z niewypowiedzianą harmonią. Pod temi kolumnami troje śpiżowych drzwi rzeźbionych przez wielkich mistrzów Gian-Bolonia, Francavilla, Tacca, Mocchi, Giovanni dell' Opera, wprowadza do kościoła; nad niemi zaś, na czole gmachu, wyryto imię budownika, któremu tę cudną facyatę zawdzięczają, błyszczy jak w apoteozie:

HOC. OPVS. EXIMIVM. AMIRATVM. PRETIOSVM.
RAINALDVS. VT. EIVS. OPERATOR. ET. IPSE.
MAGISTER.
CONSTITVIT. MIRE. SOLERTER. ET. INGENIOSE.

„Ale obok tajemnic świętych tak usymbolizowanych i wszystką pięknością ludzkiéj piersi przysłonionych, modlitwa umilknąć nie może. Po nad chrzcielnicą, po nad polem spoczynku, po nad świątynią Pańską, potrójna chrześcianina modlitwa za żywych, umarłych i za siebie do Boga utajonego w świątyni i w błękicie, modlitwa tęskniąca, niecierpliwa, zachwytna, zrywa się symbolicznie i na kamiennych skrzydłach lekko ku niebu ulata. Czy znasz na kończynie Pizańskiego pola, na którém kolebka, żywot i grób chrześcianina, zbliżone sąsiadują ze sobą, ową cudną wieżycę, *Torre Storta*, którą pobożny mistrz Bonanno, imie niedawno zmartwychwstałe z Pizańskiego smętarza, gdzie je na kamieniu wyryte znaleziono, wzniósł ku obłokom, a może i pochylił, i która się wiecznie korzy przed majestatem Bożym nieupadającym pokłonem? Rzekłbyś że jeniusz średnich wieków, który obwieszczał krucyaty i śpiewał przez Danta, zostawił na odlocie to wieczne z opoki

błogosławieństwo ziemi włoskiéj i ziemi Jerozolimskiéj, zarówno przez siebie miłowanym i razem tutaj połączonym, i że tę wieżycę zostawił jak symboliczny akt pokory za wszystkie cuda które stworzył, i za piękność idealną, którą wyczerpał prawie do dna. Na tle nieba i gór błękitnych, ta biała marmurowa dzwonnica nachyla się i korzy w siedmiu koronach swéj kolumnady jak okręt pod śnieżnym żaglem nakłoniony od wiatru i szybujący po siném morzu. Ta kolumnada, pomimo pochyłości, bieży w koło niéj od dołu do góry; piętro z dziwną lekkością przerasta w inne piętro; kolumna przestrzela się napowietrznie w inną kolumnę, jakoby dla dowiedzenia na téj saméj budowli, na któréj wielki Galileusz prawa ciężkości odkrył, iż duch człowieczy nie podlega tym prawom, iż ma władzę ujmować samym głazom przyrodzonego ciężaru i z samego marmuru skrzydła sobie urabiać.

„W oplecioném kolumnadą najwyższém piętrze wieży, jak w podobłocznéj klatce, zamieszkał chór śpiewnych dzwonów. Prawo kościelne głosi, iż modlitwa nie powinna nigdy upadać na ziemię. Za tym to zapewne idąc przepisem średniowieczni mistrze, robili jéj podstawy z wież marmurowych, i na ich szczycie kładli w usta śpiew w pozdrowieniu Anielskiém odmawianem codzień do Maryi i do ludzi za obrotem sąsiada ich słońca. Wyrosłe z kamieni, z których Bóg czyni syny Abrahamowe, dzwonnice, kamienne córy Boże, kapłanki powszechnéj modlitwy, bliższe nieba niżeli ludzkość, przewodniczą od wieków modlącym się pokoleniom, jak nieśmiertelne matki ojczyzny swojéj, i współmodlą się z żywymi za umarłych, którzy się pod ich cieniem ułożyli na wiekuiste wytchnienie, i którzy jako wędrowcy rajscy spoczywający w ziemi co ze wschodu przywędrowała, mogą się cieszyć świętych obcowaniem co odległości nie zna, bo jest z miłości rodem, i widzieć mogą

jak sam marmur gdyby matka nachyla się ku nim w ziemię upowitym i szepce im dzwonami imie Maryi, to przenajświętsze imie, które matki szeptać zwykły nad śpiącém niemowlęciem!“

Siedząc pod pochyłą wieżą, zaciągałem właśnie powyższe myśli do moich notatek, gdy z nienacka z poza ścian *Campo-Santo,* wśród głębokiego milczenia panującego dokoła, flet jakiś ukryty nader mistrzowsko zagrał sławną aryą z *Lucia di Lammermoor:*

Tu che a Dio spiegasti l'ali
O bell'alma inamorata!...etc.

Pieśń kochanka do duszy nieśmiertelnéj która roztoczyła skrzydła aby ulecieć do Boga, usłyszana pod Pochyłą Wieżą, przy *Campo Santo* Pizańskim, tak mię wzruszyła jak żadna odtąd muzyka. Donizetti komentowany przez ukrytego na smętarzu mistrza zachwycił mię jak samo dzieło Bonanna, jak chór dzwonów nad tym kamiennym budownika śpiewem, co go *Torre Storta* zowią! Była to jedna z tych błogich chwil, jakiemi duszę naszą nader rzadko darzy połączona harmonia dźwięków i obrazów teraźniejszości i wspomnień, słyszanéj muzyki i widzianéj piękności...

Dołączam do powyższych notatek przepisanych z podróżnego pamiętnika parę słów jeszcze, które skreśliłem w Pizańskiéj katedrze. Zachowałem one jedynie jako wierne odbicie uczuć w lot schwytanych, jako fotografią wrażenia *ipso instante:*

„Cóż w świecie porównać można do wnętrza Pizańskiéj fary, gdzie pobożność rycerzy po stoczonéj o grób Zbawiciela walce, w któréj mocarstwa ścierali kopytami swych koni i korony przerzucali przez ostrza swych włóczni, gdzie ta pobożność zwycięstw i sławy syta, a pragnąca samotności i ciszy, udawała się na puszczę marmurową, w gęstwinę kolumn przesadzonych jak

drzewa od chrześciańskich bohaterów ze świątyń Efezu i Bizancyi, z Cypru, Koryntu i Parosu, na ofiarę Bogu w Trójcy Jedynemu?— O błogo tutaj w tym lesie z wieczystego kamienia pod same chmury wyrosłym!— Między temi filary z karraryjskiego marmuru lub ze wschodniego granitu, lubię— w cienistéj głębokości— te malowane okna rozkwitające znienacka pod promieniem słoneczném jak dalekie łąki między drzewami lasu ujrzane; ten akant liściastych kapiteli wyrastający z użyznionego dłótem marmuru jak z rószczki Aarona, i okrągłość widnokręgu stokroć powtórzoną w romańskich łukach wiecznym bijących wytryskiem z jednego kapitelu w drugi. Lubię po za gęstwą filarów dal jakąś czarowną wytkniętą od słońca na złotéj mozaice chóru lub sklepienia, która się zajmuje od światła jak niebo na zachodzie, i która niebieską chwałą przyodziewa postacie Zbawiciela i Bogarodzicy i otacza światłokolem główki rozklęczonych Aniołów Tadeusza Gaddi i Ghirlandaja zacieniających majestat Boży różnofarbnemi pióry. Lubię w uroczystém milczeniu Pizańskiéj świątyni nieśmiertelnych pustelników téj puszczy z kamienia, idealne ducha rzeczywistości pod pęzlem Jędrzeja del Sarto zamieszkałe, przeczyste oblicza Agnieszki i Małgorzaty, w zachwycie panieństwa i męczeństwa, urocze, łzawe, żądne, wzdychające do wiekuistéj jasności a modlące się w cieniu rozłożystych łuków i kolumn białych i czystych jak ich dziewictwo. Lubię śpiew psalmów w zaroślu kolumnady słodszy od śpiewu ptastwa w lesie utajonego, i tę dalekość głosów, i te przerwy, i te ucinki dzwonów, które rzuca od czasu do czasu pochylona gdyby ku błogosławieniu dzwonnica Pizańska, i które wpadają przez rzeźbione podwoje Gian Bolonii i błąkają się po wnętrzu kościelném. Wnętrze to wykładane odgłośnym jak dzwon marmurem, napełnia się od każdego wieżycy uderzenia jakiemś niewymownem na-

powietrznem drżeniem, niedobitem do dźwięku i głosu, lecz rozprószoném w przestrzeni i śpiewającém jak chóry sennych słowików lub bezcielesnych duchów w głębi każdéj arkady i w każdym średniowiecznéj rzeźby tajniku. Tak zaiste, błogo tu życie spędzać w téj grającéj ciszy świętego gmachu, jak ofiarne kadzidło palić się sercem i wzlatywać myślą pod te kolumny i łuki, wskróś tego słońca i tego światłocienia— ku tym mozaikom i tym obrazom, w których Bóg zda się panować nad światem, co jeniusz dla niego stworzył. Dusza tu niepragnie wyjrzyć po za kościelne ściany, bo słońce samo przynosi jéj przez te otworzyste okna wszystkie barwy jakie tylko pod słońcem tęczują się w stworzeniu; ma ona tutaj kwiaty z marmuru wyrosłe i niezwiędłe, a za każdym promieniem co zabłyska przez kolorowe krzystały, tak pięknie i harmonijnie robi się w całym gmachu, iż zda się tobie że Boga piersią już dotknąłeś!"

Życzyłbym sobie, aby dzisiejsi klasycy, którzy przenoszą giełdę nad gmach średniowieczny, i dzisiejsi romantycy rozprawiający o gotyckiéj sztuce, którą znają tylko z dekoracyi baletu, dali pokój tym wspomnieniom, co się im o tyle przesadnemi i napuszonemi wydadzą, o ile są szczeremi i wiernemi. Dzięki Bogu niezrozumiemy się nigdy z tymi panami!

Campo-Santo Pizańskie jest przedewszystkiem wielką galeryą malarstwa. Freski są własnością i prawdziwém polem popisu włoskiego jeniuszu; z fresków dopiero można go dobrze poznać; w nich to on skrzydła swoje całkiem rozpościera. Ale niestety! te poemata ducha ludzkiego wypisane pęzlem na ścianach olbrzymich jak na jedynych kartach swéj wielkości godnych, te rodzime twory pięknéj Italii, przyrosłe do ojczystych budowli, do ojczystéj ziemi, a z których zabory żadnego przywłaszczyciela wyzuć jéj niezdołają, coraz bardziéj płowieją i nikną! Już w *Campo-Santo* Pizańskiém poście-

rały się obrazy Giotta; w Asyżu blednieje codzień więcéj ten jego żywot serafickiego Franciszka świeższy od średniowiecznych legend i od pieśni ludu; *Wieczerzę* Leonarda żołdactwo goździmi podziurawiło, a boskie Zbawiciela oblicze jak z po za mgły na ciebie patrzy; *Szkoła Ateńska* Rafaela osypuje się jak kwiat przekwitły, a w *lożach* jego najcudowniejsza freska *Stworzenie światła*, wyskrobana tu i owdzie ręką czasu, jak licha stronnica ucznia, którą nauczyciel poprawiał; *Sąd* Michała-Anioła zaćmił się stopniowo, a nieograniczonéj potęgi postacie majaczeją w tym zmroku jak zamierzchłe Tytany: rzekłbyś że cień wieczorny wstępuje pomału na niebo sztuki, na którém już nie świeci żaden wielki katolicki świetelnik!

Lecz wróćmy do *Campo-Santo.* Mnóstwo tam mistrzów chodziło w zawody aby się unieśmiertelnić zostawując ojczyźnie wdowi grosz swego natchnienia. Owoce tego współubiegania się wprawiają w osłupienie dzisiejszego widza odwykłego od bohaterstwa w charakterach i od wielkości w sztuce. Najdawniejszym malarzem w *Campo-Santo* był Buonamico Buffalmacco zmarły na początku czternastego wieku, którego styl razi jeszcze sztywnością i oschłością bizantyńską; Giotto po nim tam malował w najświetniejszéj fazie swego talentu, a te jego pizańskie freski taką mu zjednały sławę, iż papież Benedykt IX przywołał go do Rzymu; ale z sześciu obrazów przedstawiających dzieje Joba mało co już znać dzisiaj. Ocalała jednak mistrzowska postać Joba na śmietnisku, inna będąca wizerunkiem sławnego florenckiego *condottiere* Farinaty degli Uberti, który tak nas zachwyca w *Piekle* Danta, kiedy zwolna dźwigając się z grobu pyta wieszcza z nieposkromioną mękami potępieńców dumą: *Chi furon li maggiori tuoi?* kto zacz twoi przodkowie?; grupa gorzkich i niewczesnych pocieszycieli Jobowych, którzy bywają podziśdzień plagą

utrapionych, szatan skarżący przed Bogiem pełen dramatyczności, i Anioł powietrzniany i rafaelowski. Przez rzadki w Toskanii wandalizm zasłoniono część tych fresków pomnikiem Algarottego, szambelana wielkiego Fryderyka (jakoby wszystko co należało do bohaterów przeszłowiecznych miało nawet po śmierci kusić się o cudze dobro), który zwłoki dworzanina swego lepiéj niż własne uczcił, bo sam, jak wiadomo, pośród psów swoich ulubieńców rozkazał się pochować. Filozoficzny doprawdy pomysł godnego przyjaciela Woltera!

Najsłabszą może częścią tych malowideł jest sześć obrazów Spinella z Arezzo zmarłego około 1,400 r., z których trzy zupełnie zniszczało. Wyobrażają one dzieje śś. Efezjusza i Potitusa męczenników. Pełna atoli ognia i naturalności freska, na któréj aniołowie wśród bitwy pomagają świętym do zwycięstwa nad poganami.

Daléj widać żywot ś. Raniera patrona Pizy, malowany przez Szymona Memmi Seneńczyka i Antoniego Wenecyanina. Do sławy pierwszego nie tyle się może przyczyniły jego obrazy co przyjaźń Petrarki, który mu odpłacił za wizerunek Laury malowany w Awenionie dwoma sonetami przedziwnéj dźwięczności:

Quando giunse a Simon l'alto concetto
Ch'a mio nome gli pose in man lo stile, i t. d.

W pracy Szymona zasługuje na uwagę wyjazd ś. Raniera, który wsiadając na czółno aby do ziemi ś. odpłynąć, rozdaje swoją ojcowiznę ubogim. Antoni Wenecyanin celuje szczególnie w obrazach powrotu i zgonu tegoż świętego. Prawdziwie komicznym jest w innym obrazie ów djabeł w postaci kota na beczce siedzący, oraz strach opasłego karczmarza, który takiego gościa zastał w piwnicy, i osłupienie trzech pijaków napół wytrzeźwionych trwogą.

Lanzi, życiopisarz włoskich malarzy, nazywa malowidła Piotra Laurati Seneńczyka tuż po tych następu-

jące, najbogatszemi w myśli i najszczęśliwiéj natchnionemi z całego *Campo-Santo*. Przedmiotem ich są ustępy z życia pustelników Tebaidy. Tchną one naiwnością i prostotą jak te dzieje Ojców pustyni spisywane przez ich uczniów na gorących Afrykańskich piaskach w cieniu palmowego drzewa.

Ale największa cześć należy się w *Campo-Santo* dwom przedniejszym mistrzom: Andrea Orgagna i Benozzo Gozzoli. Orgagna Florentyn, współczesny Danta, malarz, snycerz, budowniczy, poeta, odznaczający się tą powszechnością zdolności, jaką świetnieli zawsze wielcy włoscy jenjusze, zostawił tutaj freski nietylko pełne mistrzowstwa, ale nieocenione także pod względem dziejowym, gdyż wszystkie niemal postacie są wizerunkami znakomitych osób tych czasów. Jego *Sąd ostateczny* zadziwia rozpaczą potępieńców, wściekłością, szatanów i nadziemskiém weselem wybranych.

Tryumf śmierci jest płodem bujnéj jak Ariosta wyobraźni; Holbein go nie przewyższył w swoich *tańcach śmierci*, a rozmarzona fantazya Hoffmana nic bardziéj fantastycznego nie stworzyła. Śmierć w żałobnych szatach unosi się pośrodku obrazu i wyciąga szerokowładną kosę swoję gdyby berło nad państwem tego świata, panując zarówno nad wielkością i nędzą, nad dostatkiem i ubóstwem, nad urodą i kalectwem. — Tam w cieniu drzew pomarańczowych szczęśliwi i niepamiętni kochankowie coś sobie szepcą o miłości i rozkoszy; po nad niemi amorki wieszając się u gałęzi pomiędzy owocami i kwieciem godzą w serce nadobnych pań i dziewic niepostrzeżonemi groty; niepomnę koło młodzieńców i panien wiedzie daléj po kwiecistéj murawie sielankowy lekki taniec; inne znowu pary szukając ochłody pod sklepieniem drzew rozłożystych zapominają się na słuchaniu muzycznych narzędzi i przyłudnych miłosnych pieśni błędnych minstrelów. Wszystko to wesołe, lube, u-

śmiechnione, jak *Dekameron* Boccaccia, jak życie wiejskie na wiosnę! Vasari w żywocie Jędrzeja Orgagna powiada że wszystkie występki świata z największym wdziękiem oddać potrafił: *fece tutti i delitti del mondo graziosissimamente*. Lecz niestety! nad biesiadnem gromem waży się jak jastrząb złowieszcze widziadło, i cios wymierza z góry na nieopatrznych światowców, którzy go nie spostrzegają... Przezorniejsi atoli umieli się już ułacnić z tych ponętnych sideł i uciekli na wysoką górę zaludnioną modlącymi się i pracującymi samotnikami. Staruszek ś. Makary zstępując z pustelniczéj wyżyny ukazuje trzem królom, którzy z licznym pocztem dworzan jadą przez gościniec, trzech innych królów nieboszczyków leżących w rowie i toczonych od robactwa. Ofiary to także czarnéj krążącéj postaci, która już trupem położyła siła starców i młodzieńców, kobiet i dzieci, żebraków i panów, mnichów i rycerzy. Dusze w postaci dziatek wylatują z ust trupów; aniołowie i czarci wydzierają je sobie w powietrzu. Kilku zgłodniałych nędzarzy zapomnianych od śmierci, w kącie obrazu wzywa jéj gorliwie i zaklina ją tym wierszem, który malarz tamże umieścił wedle ówczesnego zwyczaju;

Da che prosperitade ci ha lasciati,
O Morte, medicina d'ogni pena,
Deh! vieni a darne omai l'ultima cena!

„Od kiedy nas szczęście opuściło, błagamy cię śmierci, lekarko wszelkiéj troski, przyjdź dla Boga, i daj nam ostatnią biesiadę!“

Piekło Jędrzeja dokończone przez brata jego Bernarda jest pełném Dantejskich wspomnień. Ś. Franciszek z Asyżu i Dante Alighieri, oba poeci, stworzyli sztukę włoską we wszystkich jéj gałęziach; ich natchnienie stało się wszechobecném od jednego do drugiego krańca

Italji, ich duch przeszedł wszędzie. Byli oni pierwszemi ogniwami tego magnetycznego łańcucha natchnień, który Platon tak przedziwnie wytłómaczył w swoim Jonie. Lutnia wieszczów w Italii nazwać się może prawdziwie twórczą; dźwięk jéj był pośród średniowiecznych ciemności tém *fiat* nowożytném, na które odpowiedziało rozbłyśnienie wszech kunsztów i tęcza kolorów malarstwa. Myśl Orfeusza jest zupełnie historyą włoskiéj oświaty.

Orgagna przerysował postać swojego szatana *z Boskiéj komedyi.* Upadły archanioł, poważniejszy, straszliwszy i bardziéj katolicki niż Lucyfer Miltona, jest prawdziwie samowładcą wielkiego państwa płaczu i niedoli, *l'imperador del doloroso regno.* W potrójnéj paszczy przeżuwa on trzech zdrajców, Judasza, Brutusa i Kassyjusza; z potrójnego oblicza czarnéj, szkarłatnéj i pożółkłéj barwy ściekają łzy pomieszane z krwawą posoką, tworzące piekielną rzekę Kocyt, która w lód się ścina pod potrójnym mroźnym wiatrem sześciorga nietoperzych skrzydeł:

Non avean penne, ma di vipistrello
Era lor modo, e quello svolazzava,
Si che tre venti si movin da ello.
Quindi Cocito tutto s' aggelava:
Con sei occhi piangeva, e per tre menti
Gocciava il pianto e sanguinosa bava [1]).

Freski malarza Benozzo Gozzoli, ucznia rajskiego mistrza Angelico da Fiesole, przedstawiające dzieje starego Przymierza, zajmują całą ścianę od prawéj strony smętarza. Jestto olbrzymia praca, i jak Vasari powiada, dzieło straszliwe i mogące zatrwożyć cały zastęp malarzy,

---

[1]) *Inferno*, c. XXXIV.

un' opera teribilissima e che avrebbe giustamente fatto paura a una legione di pittori. Nietylko że freski te, napełnione portretami, zawierają mnóstwo ważnych szczegółów dla historyi osób i strojów, ale nadto pod względem artystycznym przenoszą one wszystko co przed niemi sztuka wydała, a na wielu miejscach zapowiadają Masaccia, odnowiciela malarstwa, i tchną jakiemś przeczuciem Rafaela. Wieża Babilońska mieści w sobie siła wizerunków; widać w niéj całą rodzinę Medyceuszów; w obrazie Salomona występuje Marsilius Ficinus, tłómacz Platona i wskrzesiciel Platońskiéj szkoły; historya Izaaka przypomina *Stanze* Rafaela; przeprawa przez Czerwone morze ma kilka rzeczywiście natchnionych figur niewieścich; a córka Noego zakrywająca na pozór oblicze przed nagością ojca, a krotofilnie tymczasem spozierając przez palce dostała przezwisko *la Vergognosa*, i przeszła w przysłowie: *Come la Vergognosa del Campo-Santo.*

Wzdłuż malowanych ścian bieży portyk czyli galerya z ogromnemi marmurowemi oknami o wspartych na kręconéj kolumnadzie ostrołukach. Okna te bez szyb ni zasłon, jak wieczny żywot zmarłych bez tajemnic, zdają się być jedynie zrobionemi na oprawianie błękitu niebieskiego, na którym wycinają białe swoje wzory. Są one dziełem, jak całe *Campo-Santo*, wielkiego snycerza Jana Pizańczyka syna Mikołaja, który je wyrzeźbił 1278 roku. Czworokątny smętarz objęty temi portykami, jest nałożony ziemią świętą przywiezioną z Palestyny w 1228 roku przez Pizańskich krzyżaków na pięćdziesięciu galerach. Bujna murawa go pokrywa, wysokie cyprysy ocieniają, a wielki krzyż kamienny wznoszący się pośrodku i okręcony pomurną różą, panuje nad tym przybytkiem pokoju, gdzie sztuka śmierć dokoła zasłaniając odźwierciedliła tylko nieśmiertelność.

Zastanawia podróżnego w *Campo-Santo* przepiękny

starożytny sarkofag z płaskorzeźbą wyobrażającą polowanie Meleagra. Przed nimto Mikołaj Pizańczyk, twórca nowożytnego snycerstwa, poczuł własny jenjusz, a studiując ustawicznie ten drogi zabytek przywiązał się był do niego jak Michał-Anioł do Belwederskiego Torsu. Hrabina Matylda, Joanna d' Arc włoszka, przyjaciołka wielkiego Hildebranda, złożyła w tym sarkofagu zwłoki swojéj matki hrabiny Beatrixy, któréj grobowy napis daje się czytać na nim:

Quamvis Peccatrix sum domina vocata Beatrix
In tumulo missa jaceoque Comitissa.

Przeniesiono także do Campo-Santo grobowiec cesarza Henryka VII, który miał być tym idealnym władcą wyrojonym przez Danta w jego łacińskiéj utopii, a którego ten wielki jeniusz olśniony blaskiem wieku Augusta i poświęcający mimowiednie marze powszechnéj monarchii niepodległość własnego kraju, wzywał tak gorąco niepostrzegając że wołał tylko obcego ujarzmiciela:

Vieni a vedere la tua Roma che piagne
Vidova e sola, e dì e notte chiama:
Cesare mìo, perchè non m' accompagne!...

Widać tam także łańcuchy dawnego Pizańskiego portu: to godło potęgi czy niewoli spoczywa na smentarzu wespół z umarłymi.

Do pełnych słodkiéj tęsknoty pamiątek jakie mi pozostały z Pizańskiego grobowiska, muszę i tę doliczyć: ilekroć chodziłem na *Campo-Santo* widywałem zawsze w gotyckiem oknie starodawnego pałacu, nad zamkniętemi i osnutemi pajęczyną podwojami drzwi pochodzistych, smutną czarno odzianą dziewczynę. Nieruchomość jéj, bladość i włos zaczesany jak u starożytnych posągów,

czyniły ją podobną do żywéj płaskorzeźby pomiędzy kamiennemi postaciami, jakie stały we framugach poczerniałego gmachu. W oku jéj ognistém lecz zamglonėm malowała się niedola i poezya młodości. Tylko słońce jak jedyny kochanek igrało w tym ciemnym ostrołuku z tą postacią w żałobie wyzłacając ramki w których jak obraz stała. Była to jedynaczka właściciela pałacu, córka podupadłéj rodziny hrabiów Cor... ostatni potomek rycerzy, którzy ziemię świętą podbili i wznieśli *Domo* i *Campo-Santo* cudotworną prawicą; Ta śliczna żyjąca elegia godna była tych wielkich dziejów, i zdobiła je tak jak kwiaty zwykły groby zdobić..

Władysław Kulczycki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

O Pamiętnikach Bartłomieja Michałowskiego, wydanych przez Henryka Rzewuskiego.

Ilekroć pojawiła się jaka nowa książka Henryka Rzewuskiego, zawsze brałem ją do rąk z niemałém oczekiwaniem, ale i z pewną nieufnością, którą pokonywała ciekawość.

Doskonała znajomość stosunków familijnych i podań szlacheckich, połączona ze znajomością świata, wreszcie sam talent pisarski umiejący czerpać, że tak powiem, z pierwszéj ręki — oto są tytuły budzące oczekiwanie.

Te zaś, co budzą nieufność, zdają się pochodzić najwięcéj z chwilowych, osobistych względów autora, nietylko sprzecznych z głoszonemi przezeń prawdami, ale najdotkliwiéj obrażających wiarę i uczucie narodu. Patron opinii i stronnictw potępionych sądem historyi, i sądem sumień, usiłuje wyobrażenia i uczucia ogólne, ciągnąć w tę stronę, zkąd wyszło tyle narzędzi zagłady, zkąd wiara katolickiego narodu doznała najsroższych ciosów.

Jeżeli w innych pismach Autora Pamiątek Soplicy znachodziły się tu i owdzie niejakie wskazówki napro-

wadzające na te intencye — to myśl jego wyrażała się więcéj ułamkowo, pobieżnie, niż w całéj pełności — co pozwalało wnosić, że w obec czerstwiejszych przekonań i sumień, zmuszony był porobić te restrykcye. Najświeższe zaś, wydane przez niego dzieło: *Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego,* *) obejmujące w pięciu tomach wypadki od r. 1786 do 1815, odsłania w całéj pełności myśl — i oddaje ją w sposób nieoszczędzający ani rzeczy ani ludzi — zupełnie jakby swoją publiką traktował *en bagetelle.*

Przed kilku miesiącami, w tymże samym piśmie, mówiąc o pamiętnikach z powodu Pamiętników Ewy Felińskiéj — przyganiałem w ogóle nadużyciu téj formy, która ma to do siebie, że nie powinna być naśladowaną, czyli mówiąc wyraźniéj: ten tylko ma prawo pisać pamiętniki, kto patrzał na wypadki i brał w nich udział — inaczéj pod formą tą, będzie to zawsze romansowa fikcya, środek podstawienia swoich wyobrażeń i faktów źle posłyszanych, lub połatanych z książek, a zatém przeistoczonych i podejrzanéj wiary. Mówiłem także, że tylko osobom wtajemniczonym w wysoką grę polityki, stojącym na górującym punkcie towarzyskim, lub umysłowym, przyzwoita jest pisać o rzeczach i ludziach swojego czasu; przypuszczać bowiem należy, że mogą mieć najdokładniejszą wiadomość przyczyn i skutków zdarzeń przed ich okiem dokonanych. Tego tylko rodzaju pamiętniki mają wartość historyczno-źródłową; wszelkie inne przechodzą mniéj więcéj w kategoryę historycznego romansu. Toż i Pamiętniki Michałowskiego nie są niczém inném tylko romansem osnutym na tra-

*) Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego od roku 1786 — 1815 ogłoszone p. Henryka Rzewuskiego. Warszawa nakładem Merzbacha 1857. — W Petersburgu wyszły dotąd 3 tomy tychże Pamiętników; mają one zawierać wspomnienia Michałowskiego zapewne od jego urodzenia do r. 1786. Dzieła tego jeszcze nie mamy.

dycyach Targowicy, rodzajem pamfletu co w pamiętnikowéj formie szarza zacne imiona przechowane ze czcią w pamięci obywatelskiéj, a potępione podnosi.

Zdanie to nie jest żadném uprzedzeniem się przeciw rzetelnym opiniom i wyznaniom pochodzącym od jakiego bądź członka związku targowickiego. I owszem, miałbym to za bardzo cenny dla historyi nabytek, gdyby który z naczelników związku, przypuśćmy taki światły człowiek jak Bończa Tomaszewski, zostawił był niepodejrzaną relacyę całéj téj roboty, z wykryciem zakulisowych działań, tajemnych sprężyn i pobudek, niemniéj zgryzot i wyrzutów sumienia w sercach bezinteresownych działaczy gdy celu chybili; interesowani bowiem pochwytawszy starostwa i donatywy, nie minęli się z celem i nie mieli czego rospaczać. Mam jeszcze to przekonanie, że taki pamiętnik odkryłby nam wcale co innego, jak ów pseudo — Michałowski odkrywa — pod piórem sumiennego człowieka; byłaby to upokarzająca spowiedź z dobrych intencyj, a krótkiego widzenia, z łatwowierności dającéj się wciągnąć w zasadzkę, z pychy nie mogącéj ścierpieć by się coś dobrego bez nas robiło; wreszcie z niezaszczytnych komerażów i intryg, z świadectw, patrzących na przedajność, na układy i spiskowania przeciw prawéj władzy. — Taki, a nie inny byłby to pamiętnik — i dla tèj przyczyny choć Targowicki związek miał wielu ludzi z głową i dobrze piszących, przecież nikt nie odważył się rzucić na papier tych wyznań — bo jeszcze cynizmu pióra nie znano wówczas, przewrotów sumienia nie umiano w obec świata drukowaném słowem usprawiedliwiać, tylko w cichości trawiono swoją nędzę, lub pod tarczą potężnéj gwarantki, w dostojeństwach i bogactwach udawano wzgardę i litość dla dobrodusznych półgłówków nie umiejących nic wyratować z powszechnego rozbicia, krom uczciwego imienia.

Gdy tedy podobnych pamiętników nie zostawili Targowiczanie, polegaliśmy dotąd na relacyach bądź stronników uchwały konstytucyjnéj, bądź ludzi obojętnych względem téj reformy, lecz nie obojętnych dla sprawy ojczystéj — wreszcie na sądzie historyków. — Być może iż wszyscy ci nie mogąc się otrząść z namiętności, rzucili za mocne światła i za mocne cienie, a będąc pod wpływem wielu fałszywych wyobrażeń zeszłowiecznych, źle ocenili wypadki, a w spadku biorąc uprzedzenia i nienawiści, nieoddali sprawiedliwości komu się należy, a raczéj nie chcieli zmazać piętna hańby wyciśniętego na niejedném czole w doraźnych sądach krajowych zaburzeń. Nie przeczę, ta karta historyi jest może jednostronnie pisaną, przynajmniéj nie znam żadnéj publikacyi, coby ją modyfikowała. Bo i mogłoż być inaczéj, kiedy czynności przeciwnego obozu miały tylko oficyalną stronę; bardzo mało tych zakulisowych szczegółów, tych poufnych wynurzeń się co dają klucz do zrozumienia toku zdarzeń, zawikłań i charakterów. Nic z tego nietranspirowało na wierzch, utaiło się bez protestacyi, bez usprawiedliwienia się przed współczesnymi, bez odwołania się do trybunału historyi, i poszło w grób z piętnem zbrodni i przekleństwem.

Nie przeczę, to potępiające milczenie mogło być skutkiem drażliwego położenia, okoliczności natężonych, niesprzyjających podobnym protestacyom i spowiedziom, opinii skierowanéj odpornie, niewyrozumiałéj bo jedną żywionéj namiętnością — a mimotego, ani wątpię, niechby się tylko był znalazł dokument rzucający inne światło na tę sprawę, dokument szczerego wyznania, umotywowany szlachetnemi i bezinteresownemi pobudkami, musiałby się wyrobić oględniejszy wyrok, któryby szorstkość opinii złagodził i prawdę we właściwych kolorach okazał. Że go nie ma, chociaż dziś namiętności przygasły, tradycye pozacierały się, aktorowie powy-

mierali, a rehabilitacye są w modzie — czego to więc dowodzi? oto że sumienia jednych tak były obciążone, iż wolały pozostać w przyjętéj roli, niż zrzucać z siebie syzyfowe brzemię, gdy drudzy, wciągnieni do wspólnictwa hasłem obrony starych swobód i praw rzeczypospolitéj, choć późniéj poznali fałszywą grę, nie mieli odwagi przyznać się że byli oszukani, a zatém jako narzędzia oszustwa nie wiele mogli wiedzieć o stosunkach, naradach, czynnościach, planach naczelników partyi; wreszcie większa część zacnych bardzo obywateli podpisujących akt Konfederacyi, bądź dobrowolnie, bądź pod naciskiem, rehabilitowała się prędko w oczach współziemian poświęcając się publicznym usługom, lub pozostając w miernéj niezawisłości.

Jakież tedy było zadziwienie moje, i zapewne niejednego czytelnika, gdy wziąwszy do rąk Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego, znalazłem w nich bardzo rozciągle traktowaną kwestyę Konfederacyi Targowickiéj, a co najciekawsza, okazaną z téj strony, z jakiéj jeszcze okazać jej nie odważył się żaden historyk, bo w postaci baranka w walce z wilkiem, czyli stronnictwem ustawy konstytucyjnéj.

Jakkolwiek tedy ciekawość moja była wytężoną żeby pochwytać co najwięcéj dowodów i szczegółów mogących zmodyfikować zdanie moje w téj rzeczy, przyznam się, że często opuszczała mię wiara w prawdziwość faktów podawanych przez p. Michałowskiego, i gruntowność jego rozumowań. Tego zaś nie inna przyczyna, tylko że po niektórych zdradliwych alluzyach, mylnych szczegółach i datach, oraz zdaniach bardzo dzisiejszych, poznałem iż to jest świeża robota, zapewne samego wydawcy; że żaden Bartłomiéj Michałowski nie egzystował, a choćby i egzystował, to był taki, z przeproszeniem czytelników moich, niedołęga, że nigdyby nie zdobył się na napisanie podobnych pamiętników; gdyż ten brak

loicznego tłumaczenia się, te gęste usterki językowe w składni, ta niewłaściwość użytych wyrazów, widocznie są udane, przez tak znakomitego pisarza jak autor Pamiątek Soplicy, aby tém snadniéj wmówić w czytelnika, że to klecił ów niedołęga, Michałowski.

Dzisiaj nie udają się podobne podrabiania; czasy podrabianych kronik minęły; wreszcie nacoby się zdało podrabiać stare szpargały, kiedy nowe więcéj mają pokupu i wielbicieli. Jestto więc tylko forma w którą autor Soplicy, oblókł podania jakie miał, wyobrażenia jakie sobie wyrobił, uprzedzenia jakie zatrzymał, kierunek jaki popiera, ale dla tego nie będąc ani naocznym świadkiem opisywanych zdarzeń, ani czynnym aktorem, wynalazł sobie pana Bartłomieja, któremu swoje myśli w usta wkłada, i każe mu żyć śród ludzi i scen bardzo interesujących, pamiętnych katastrofami, nagłemi zmianami rządów, wysileniami, upadkami i nadziejami.

Niepowiem jednak, żeby pan H. R. szczęśliwą miał rękę w wyborze człowieka, któremu powierzył reprezentacyą swoich wiadomości, wyobrażeń i kombinacyj.

Zkąd się wziął ten pan Bartłomiéj Michałowski? kto go rodzi, gdzie jego gniazdo, jaki klejnot familijny? — niewiem, bo nieczytałem pierwszych trzech tomów; koniec dzieła pokazał się wprzódy niż początek. Wszelako z toku opowiadania tylem dociekł, że za młodu służył w wojsku Cesarskim w pułku Szybilskiego pod którym bił się w wojnie siedmioletniéj, i dostawszy gdzieś kulą, wziął dymissyę z pensyą i pozwoleniem noszenia munduru. Była to więc sztuka wojskowa, ale w jego całem późniejszem zachowaniu się nic niepokazywało człowieka z krwią i sercem żołnierskiem. Zamiłowany w wygódkach, niezmiernie troskliwie obchodzi się ze swoją osobą, żyje regularnie jak zegarek, wina niepija, kawkę i herbatkę lubi, a za fajeczką dobrego turczyna przepada — po wielkich tylko wzruszeniach czuje się

osłabiony i jedzie do Karlsbadu, albo się kuruje piołunkowem winem w które tak się zaopatrzył, że mu do śmierci wystarczy. Amator ten pokoju i próżniactwa, niczem się nie nietrudni, nawet gospodarstwem; bo szczęśliwy jak każdy samolub, ma poczciwego synowca, który mu zarządza majątkiem i kapitały składa, towarzyskiego rezydenta który go w melancholii rozrywa, wierne sługi które nań chuchają. Zapomniałem że miał jeszcze urząd szambelana przy królu Stanisławie; lecz i tego się pozbywa, gdy naparłszy się jechać z królem do Kaniowa, a nieotrzymawszy pańskiego przyzwolenia na tę podróż, dąsa się i dziękuje królowi za służby. Ma to być ideał niepodległego Szlachcica, co jak sam często powtarza do żadnej partyi nienależy — czyli tłumacząc to właściwem słowem: niepodejmuje żadnéj czynności publicznéj, aby sobie zatrzymał urojone prawo sądzić bezstronnie i jednych i drugich.

I kiedy widział że drudzy tonęli
Mówił, stojąc na brzegu: płynąć nieumieli.

Zapewne przez wybór tak nieszczęśliwéj figury i samo opowiadanie ucierpiało niezmiernie. Pierwsze dwa tomy interesują jeszcze jako tako, mniéj znanemi anegdotami, gęstymi rozumowaniami i uwagami nad społeczeństwem warszawskiém, nad czynnościami czteroletniego sejmu, szczegółami o figurach partyi konserwatywnéj (to miano bowiem daje targowiczanom, zapewne dla tego że się ryczałtem w konserwacyę oddali) za to reszta tomów zawiera same tylko historyczne ogólniki o jakich każdy umie rozpowiadać kto żadnéj nawet historyi nieczytał, a nie dopieroż ten, kto patrzał na wypadki współczesne. Za to aż do unudzenia znajdziemy tam puste gadaniny o przejażdżkach pana Bartłomieja do krewnych w Galicyi, jak mu dobrze było u pani

Rzepeckiéj, jakie miała krowy, jaki nabiał, a masło tak wyborne, że je aż posyłała do Wiednia. Że mi z całéj téj opowieści najwięcéj to masło zostało w pamięci, ztąd pochodzi, iż pan Bartłomiéj, aż trzy razy powtarza ten szczegół z pewnym znaczącym naciskiem. Miałażby w tym rysie mieścić się charakterystyka kraju, ludzi, instytucyj, stosunków handlowo-przemysłowych, czyli też jest to jedna z licznych naiwności pana Bartłomieja? — Niewiem — ale dość powiedzieć że niepospolicie nudzi opowiadaniem swoich płaskości i amplifikacyą najpowszedniejszych przygód. Tymczasem niepospolity pisarz jak p. H. R. miał najszczęśliwszą zręczność zrobić z pana Bartłomieja figurę interesującą choć komiczną, gdyby odstępując od formy pamiętnikowéj tak niewdzięcznéj, gdy się niema dość zasobu aby ją napełnić, wystawił go nam w charakterze miłośnika pokoju i wygódek, narażonego na najrozmaitsze perypecye i kłopoty ruchliwych czasów wojen i zamieszek. A właśnie znalazł się był na tym tropie, kiedy pokazał nam pana Bartłomieja w r. 1794 jak w szlafroku i pantoflach i z nieodstępną fajeczką zamyka się i siedzi w domu, co go nie chroni od dostania się do kozy, zkąd potém za sprawą pani Grabowskiéj, ucieka do Gdańska i oddaje się pod opiekę obcego konsulatu tytułem dawnéj służby wojskowéj. Przeprowadzenie takiego tchórza i egoisty przez ciąg podobnych katastrof zawierałoby sens moralny więcéj budujący niż ten, jaki wyciągnąć da się z całego pamiętnika.

Ale zostawmy już na boku pana Bartłomieja, który miał być dla nas owym ideałem niepodległego szlachcica, co nawet swego króla nieznosi, ale dla tego innym tak często do nóg pada, że szkoda iż niepodał do wiadomości potomnych ile zdarł spodni na tych hołdach. Zostawmy go — a zatrzymajmy się na niektórych trafnych uwagach, świeżych anegdotach historycznych, a

wreszcie na nietrafnościach i niekonsekwencyach z równą obfitością rozsypanych w têm dziele.

O królu Stanisławie Auguście takie robi postrzeżenia:

„Żaden monarcha tyle się nie przyczynił do zepsucia obyczajów swojego narodu i do wywrócenia jego przyrodzonéj konstytucyi. Wszystko, co było w Polsce starodawnego, już go raziło. Rad był zatracić w narodzie pamięć przeszłości, żeby historya polska od jego panowania się zaczynała. Pomimo wysokiego świata, starodawnego wychowania, nawet niepospolitéj nauki, niebył mężem stanu, gdyż wszystkie swoje podrobne namiętności przenosił do swoich rządow. I tak nienawiść jaką czuł dla tych, co ich nazywano magnatami, była głównym bodźcem jego postępków. Myślał, że na gruzach ich potęgi w narodzie, swoję własną wyniesie, i że tym sposobem zostać może samowładnym panem. Całkowite jego panowanie było dążnością do zniechęcenia narodu do rządu wielu, a brania pochopu do rządu jednego jako więcéj przynoszącego rękojmi spokojności i bezpieczeństwu wszystkich. Niebyło intryg, którychby zaniedbał, ażeby poróżnić między sobą domy magnackie; *divide et impera*, było jego maksymą. A nieumiał przewidzieć, że nie on, ani nawet szlachta, ale niższe stany, tak dobrze jak nam obce, bo niewyrażające podań narodowych, i sąsiednie państwa korzystać będą z poniżenia magnatów.

„Najstraszniejsza a niegodziwa broń, jakiéj przeciwko nich użył, było ułatwienie jakie dał rozwodom. Co mu niebyło trudno po wyniesieniu na Prymasa, omal nie na bezzależnego zwierzchnika kościoła polskiego, rodzonego brata, pełnego światła i nauki, ale dumnego, mściwego, rozwiązłego i bez żadnej religii. On to porozsadzał na stolicach biskupich kapłanów niedowiarków i gorszącego życia, którzy znowu zapełniali konsystorze kapłana-

mi do nichże samych podobnymi... Przy takich biskupach i konsystorzach jakie oni obmyślili, rozwody w przestraszającym postępie namnożyły się, bo dekret rozwodowy tak rychło następował po pozwie, że niebyło czasu do refleksyi... Z rozwodami mnożyły się procesy familijne, gniewy zawziętości, nienawiści i ruiny wielkich domów. Gdyż przyszło do tego, że można było w jedném towarzystwie spotkać pana wysokiego rodu z trzema, a nawet czterema damami, z których każda była kiedyś jego żoną... Ale czem cios największéj zabójczy zadał naszym obyczajom, to osłabieniem związków familijnych. W Polsce stosunki familijne zastępowały niedostatek siły rządowéj. Każdy szlachcic uczył się tych stosunków i musiał umieć na pamięć całą swoją genealogią. Do piątego, a nawet szóstego stopnia pokrewieństwa było tak dalece szanowane, że synowiec w tym stopniu nazywał starszego krewnego stryjem i był dla niego pełen uszanowania. Dzieci i wnuki stryjecznych lub ciotecznych braci nazywali siebie braćmi i siostrami, i to samo im przypominało obowiązki miłości wzajemnéj. Wyraz kuzyn był tak dobrze jak nieznany między szlachtą, lub oznaczał niepokrewieństwo, ale jakąś daleką koligacyą, któréj stopnia niebyło podobieństwem skreślić. U szlachty bywały aż nadto często procesy familijne i zwady między najbliższemi krewnemi, nawet nienawiści, ale te były osobiste i nie były przeniesione do życia publicznego. Na sejmikach poselskich, deputackich, ziemskich, procesujący się między sobą krewni, głosowali wspólnie, nierozrywali partyi, na któréj czele stał zawsze jakiś najstarszy wiekiem krewny, którego zdanie było dla wszystkich jéj członków wyrocznią. Pod pewnym względem partye były familiami, i tem samem były tak potężne, że magnaci musieli się spokrewniać z szlacheckiemi domami, dla podtrzymania swojéj przewagi. Tym sposobem zacho-

wała się równość szlachecka tak dobrze, że wyraz *mésalliance* niedający się tłumaczyć w języku polskim, do piero pod koniec Stanisława Augusta zaczął wchodzić w używanie... Ten duch familijny kaził (zapewne: raził) króla, któryby rodzonego dziada nie umiał pokazać. On sam, i dowcipni awanturnicy, którymi się otaczał rzucali pociski szyderstwa naprzeciw tego zachowawczego ducha do czego aż nadto im dopomagało zfrancuziałe towarzystwo dworu i stolicy. Co tylko było w obyczajowości narodowéj, obrzucone zostało nazwiskiem sarmatyzmu nietylko w salonach warszawskich, ale nawet na widowniach publicznych. Młodzież nieumiarkowana w uniesieniu, przyklaskiwała komedyi pana Zabłockiego: *Sarmatyzm* dowcipny paskwil na jéj ojców. Jakże związki familijne miały być szanowane?"

W dalszym ciągu dodaje autor, że niemało przyczyniło się do zatarcia narodowego obyczaju, porzucenie stroju polskiego, do czego król dał pierwszy popęd, przyjmując koronę w ubiorze bliższym jakiegoś komedyanta, niż szlachcica polskiego. Trafną z tego powodu robi uwagę: „Ubiór niejest rzeczą dowolną, on musi coś wewnętrznego wyrażać; i jest koniecznie jakieś powinowactwo między duchem narodu a jego ubiorem." Nakoniec do przyczyn ściérających charakter dawnego społeczeństwa, kładzie owczesną literaturę francuzką, któréj niedorzeczności i przewrotne zasady dobrodusznie przejmowano i zamieniano w czyn, z pochopnością naszemu narodowi właściwą. Nauki też Woltera, Diderota, Helwecyusza zastosowano praktycznie, co przykładami stwierdza, opowiadając jak trzech kawalerów dopuściło się profanacyi na processyi Bożego Ciała w Warszawie, co im uszło płazem i jak młodzieniec pewien na Rusi dopuścił się podobnéj profanacyi wynosząc z kościoła Hostyą poświęcaną— lecz tym razem zbrodnia zastała pomimo wszystkich protekcyj srodze ukaraną; winowajcę

odsądzono od czci majątku i szlachectwa i skazano na śmierć; on zaś nieczekając spełnienia wyroku, uciekł do Ameryki. Szlachta niezepsuta jeszcze lepiéj umiała dochodzić obrazy Majestatu boskiego niż libertyńska stolica. —

Oto jest jeden z rysów obyczajowych owego wieku wierniéj i prawdziwiej schwycony, niż inne odnoszące się szczególniej do osób polityczną grających rolę w epoce reform krajowych. W tym względzie niemożemy odmówić autorowi bystrego rzutu oka, lubo w powyższym ustępie znajdą się niektóre punkta niezbyt ściśle oznaczone, lub też niezostajace w związku z tem co na innych miejscach powiada.

I tak mówiąc o królu przygania mu, że „całkowite jego panowanie dążyło do zniechęcenia narodu do rządu wielu (możnowładztwa), a brania pochopu do rządu jednego, jako więcéj przynoszącego rękojmi spokojności i bespieczeństwu wszystkich“. — Przyznam się, że nie tę dążność należałoby królowi wyrzucać, ale chyba obwiniać go o brak żelaznéj energii w przeprowadzeniu jej; dążność ta z resztą niebyła nową, bo od czasów Jana Kazimierza pracowano nad zniesieniem elekcyi i pomnożeniem władzy królewskiéj. Sam autor przyznaje niżéj (karta 160 T. 1) „jako w praktyce zawsze się pokaże, że jedynowładztwo i możnowładztwo są jedyne osie, na których się obracają przeznaczenia społeczności ludzkich“. — Scentralizowanie władzy przez osłabienie sił możnowładzców było jedyną już praktyczną drogą — że niedoprowadziła do celu, wina w tém cięży na możnowładzcach przywykłych od dawna prowadzić politykę na swoją rękę i zachodzić w konszachty z obcemi dwory, aby mieć plecy do stawienia oporu. Przypuśćmy nawet, żeby król oddał się był w ręce możnowładzcom — czyżby to uratowało Rzeczpospolitę? Czyż te partye co wystąpiły przeciw sobie przed i po sejmie

koronacyjnym, byłyby oręż schowały do pochew? Czy obok jednego króla obranego naciskiem Moskwy, niebyłby stanął drugi Elekt Radziwiłłów i Potockich, nielicząc innych piastów coby się na tę godność kasali? Możnowładztwo zepsute intrygami kandydatów do tronu, miało tylko nieograniczoną pychę i nieumiało się łączyć w zbawczych celach; dowiodło tego związkiem Targowickim. Niemogąc mówić ze ścisłością o tem jakby było, gdyby było inaczej, wskazuję na ten ostatni wybryk możnowładztwa i na tem opieram wsteczny domysł. Pan Bartłomiej zacięcie polemizując przeciw stronnikom czynności wielkiego Sejmu, każe nam wierzyć że ta reforma wszystkiego złego stała się źródłem, i że w możnowładztwie był tylko zbawczy środek. Tymczasem przykładami dowodzi rzeczy wręcz przeciwnéj, bo malując sprawki tego lub owego magnata, niepokazuje nam wcale owego materyału z którego robią się podwaliny i kolumny, ale same groteski i karykatury dobre na materyał do rubasznéj powiastki lub komedyi. — Snuć ogólniki powabne łatwo, trudniéj jest pokazywać na żywych, wiarogodnych przykładach jak stała społeczność.

Mógłbym także pomówić pana Bartłomieja o niesłuszny zarzut zrobiony królowi, jakoby tenże umyślnie ułatwił rozwody, aby możnowładztwo osłabić. Zaiste byłby to jenialny, przynajmniej arcydemoniczny pomysł godny machiawelowego *Principe*, — lecz o ile wiemy, nawet między najgorszymi szukając monarchami, jeszczebyśmy nieznaleźli takiego coby zawierzył porozrywać święte węzły rodziny choćby dla własnego interesu — bo przecież tam rząd łatwiejszy, gdzie węzeł rodziny trzyma społeczeństwo w karbach moralnych. — Niegodzi się robić nieszczęśliwego gorszym niż był, zwłaszcza, że rozwody nie są wyjątkiem w porządku ówczesnego świata, ale wszędzie się zagęściły w skutek

filozoficznéj propagandy nurtującéj w społeczeństwie wyrosłem na nauce kościoła. — Wreszcie przypisawszy królowi taką machiawelską przebiegłość, wolno byłoby zapytać się dla czego nieużył jej na obronę własnéj korony? — Surowo również wyraził się o Prymasie bracie królewskim,[1] który przeciwnie w wielkim rygorze utrzymywał duchowieństwo, jak to poświadcza nawet nieprzyjazny mu Kitowicz pochwalając nakazane przez niego rekolekcye po dekanatach, połączone z egzaminem z nauk. — Trudno niegodzić się z panem Bartłomiejem tam, gdzie pisze bez chęci ciągnienia wody na swoje koło, a tylko sumiennéj prawdy szuka. Do takich miejsc należy ustęp o żydach a mianowicie o ich reformie przez Franka dokonanéj. Szczegóły podane są trafnie zestawione, a uwaga niniejsza głęboką: „Nikt o reformie żydów nie myślał, i chciałbym wiedzieć na coby się ona im przydała? Czy żeby ich wyleczyć z zabobonów?... ale pierwéj trzebaby się porozumieć co ten wyraz znaczy. Każda nawet prawda dla tego, który w nią nie wierzy, jest zabobonem. Nasi ojcowie bardzo to dobrze rozumieli, nadto się troszczyli swojem własnem zbawieniem, żeby się trudzić zbawieniem żydów a tem dokuczać im na tym świecie. Dopiero kiedy uczucia religijne tak u jednych jak u drugich zaczęły omdlewać, w imię cywilizacyi wzięto się do ich nawracania już nie religijnego, ale cywilnego. Usiłowano tego dokazać, żeby żyd został polakiem, zachowując w ścisłości swoję religię, czyli swoją narodowość, bo u niego to rzecz jedna.“ — Tak się też stało, i rzeczywiście żydzi weszli w towarzystwa chrześciańskie, które na tym nabytku nietylko niezyskały, ale owszem tracą wiele; niemasz bowiem zacieklejszych racyonalistów jak reformowani żydzi.

Pod względem historycznym ciekawe są karty opisujące zjazd monarchów w Kaniowie. „Zanosiło się na

wojnę — powiada pan Bartłomiéj — między Rosyą a Austryą sprzymierzoną z jednéj, a państwem Ottomańskiém z drugiéj strony. — Wówczas imperatorowa Katarzyna i cesarz Józef, byli w aliansie z Polską. Wątpliwości nie ulega, że chcieli uczynić naszą Rzeczpospolitę wspólniczką ciążarów téj wojny, i korzyści jakieby z niéj otrzymać można było. Były o to zawiązki układów tych dwóch mocarzy z naszym królem. Zdaje się z tego, co z tych tajemnych układów transpirowało, że na wypadek pomyślnego końca téj wojny, o którym nie można było wątpić, królowi było obiecane ustępstwo kilku cyrkułów w Galicyi ze strony Austryi, a téj części Białéj Rusi', która na zachodnim brzegu Dnepru jest położona, ze strony Rosyi; nawet mówiono że do tego miano dodać Raję Chocimską." — Szczegóły tych układów jak widzimy, mało są znane; z nich to się wysnuwa działanie posła pruskiego Lucheziniego. Prusy związane z Anglią, nie życzącą sobie uszczuplenia granic Porty Ottomańskiéj, a same nie mające żadnego widoku zyskać coś na ukartowanym podziale Turcyi, krzywo patrzały na ten sojusz, i aby go rozerwać, przyjęły na siebie rolę wybawiciela Rzeczypospolitéj z pod uciążliwéj gwarancyi rosyjskiéj. Działo się to w początkach wielkiego Sejmu zabierającego się do popraw i reform. Owóż zręczny margrabia Luchezini, umiał podbijać bębenka partyi pragnącéj zmian i nowości, a przez agentów swoich działać po kawiarniach i billardach na opinię niższych warstw społeczeństwa.

Znana to polityka — lecz co pan Bartłomiéj twierdzi, że Luchezini nie byłby planów swoich prowadził, gdyby nie to, że trafił do panów Stanisława i Ignacego Potockich, którzy nie mając szczęścia podobać się imperatorowéj Katarzynie na zjeździe w Kaniowie, wrócili do Warszawy z sercem zajątrzonem na nią i na ich krewnego pana Szczęsnego — potrzebuje lepszego

dowodu, jak obryzganie błotem tych braci, równie szanowanych w opinii współczesnéj jak i potomnéj.— Biorąc całe ich życie pod rozbiór, można przecież dopatrzeć, że nie jakieś niezaproszenie na obiad w Kaniowie, kierowało krokami ich polityki i wyrachowanym odwetem; byli to ludzie reformy, a uczuciami zawsze nieprzychylni gwarantce, w któréj widzieli sprężynę poniżenia i upadku Rzeczypospolitéj.— Z widoczną nienawiścią rzucił p. Bartłomiéj wyrok potępienia na pana Marszałka litewskiego i pana Podstolego koronnego, późniejszego Wojewodę i Ministra oświecenia — pomawiając obu o nieumiarkowaną próżność, a drugiego o chciwość i egoizm; co więcéj, postawił tak obryzganych okok pana Szczęsnego, którego otoczył całą aureolą cnót obywatelskich. Tymczasem o ich zasługach miał naród czas przekonać się, bo patrzał na nie lat wiele i w różnych kolejach. Pana Szczęsnego nie widział tylko w przeciwnym obozie, i znał go z aktów budzących smutne wspomnienie.

Zresztą nie można powiedzieć, tylko że z wyrazem prawdy bezstronnéj opisane są pierwsze czynności sejmu, ubieganie się o marszałkostwo w izbie poselskiéj pana Szczęsnego, cofnięcie się jego od kandydatury, i wybór Referendarza Małachowskiego, co wywołało takie starcie się zdań, że zaraz odrysowały się dwie partye w sejmie. Jednéj dawał impulsye Luchezini, i jak mówi pan Bartłomiéj: „był to ciekawy i osobliwy fenomen, widzieć ludzi, którzy uzyskali w całym narodzie odgłos największego patryotyzmu, przez to, iż byli narzędziami czynnemi potencyi najniechętniejszéj dla Rzeczypospolitéj...“ Druga partya była konserwatorską, lecz nie powiada od kogo brała impulsyę? — Co do twierdzenia jakoby patent na patryotyzm dawał tylko Luchezini, dowcipnie brzmi i ma pozór prawdy za sobą; ale przecież i to wiadomo, że ludzie, jak dwaj Potoccy, Mała-

chowski, Niemcewicz i tylu innych i przed i po sejmie, zawsze używali téj reputacyi; gdy przeciwnie, wielu należących do partyi przeciwnéj, niezaszczytne zostawili po sobie imiona. — Wprawdzie chce nas p. Bartłomiéj przekonać, że najzbawienniejsze projekta do uchwał sejmowych wychodziły od partyi moskiewskiéj; lecz gdyby i tak było, możnaby powiedzieć: *Timeo Danaos*. Tymczasem jestto tylko przekręcenie faktów, i tak, między innemi ten cały ustęp, oparł pan Bartłomiéj na pozorze, gdy mówi: „Projekt nadania mieszczaństwu wszelkich przywilei szlachcie służących, projekt, jednomyślnie zamieniony w prawo, był podany przez Suchorzewskiego Wojskiego Wschowskiego i najzapaleńszego konserwatora w całym sejmie, a który potém był jednym z pierwszych, co zawiązali Konfederacyę Targowicką.“ Litania tych projektowiczów, co potém zawiązali Konfederacyę, dosyć jest długą, i zatrzymałaby więcéj niż to warte aby pokazać że i téj nie mieli zasługi; jednakowoż co do projektu Suchorzewskiego, winienem dać objaśnienie. Nie z jego to głowy wyszedł plan utworzenia nowego stanu Rzeczypospolitéj, czyniący ze stanu miejskiego pierwszy do szlacheckiego stopień, aby w przeciągu lat kilkudziesięciu przelał się stan miejski w szlachecki; wyrósł on bowiem w kole reformatorów i tylko zręcznie podsunięty został Suchorzewskiemu, który pochwycił go skwapliwie, aby, jak sam potém wyznawał, mieszczan zabespieczonych w prawach swoich, odstręczył od patryotów, a do swojéj przeciągnął fakcyi; partyi zaś konstytucyjnéj szło o to, aby samo prawo przeszło z łatwością, a nie o inicyatywę. Z téj strategii parlamentarskiéj, nie warto było robić tak wielkiéj rzeczy.

Męczące jest ścieranie się ciągłe z panem Bartłomiejem, męczące i dla piszącego i dla czytelnika tych uwag, chociaż już wybieram piąte przez dziesiąte; chciawszy wszystko rostrząsnąć sumiennie, trzebaby siła napisać,

13*

żeby poprostować te dorywcze zdania, te jednostronne sposoby widzenia; te apodyktyczne i poniżające sądy o ludziach nie mających u niego łaski, a znowu te panegiryki osób potępionych opinią historyi, sprowadzić do prostego mianownika. Nikt rozważający tę epokę spokojnym umysłem, nie może pochwalić wszystkich czynności, a raczéj ducha kierującego stronnictwem konstytucyjném; ależ znowu nikt się dotąd nie odważył odjąć mu całą zasługę, w praktyce obywatelskiego życia, a przenieść takową na korzyść partyi targowickiéj, o co się pan Bartłomiéj dopomina z takim naciskiem, a w dowodach ucieka się do takich wybiegów i majaków, że podziwiać należy jego talent adwokacki. — Chce on gwałtem wyperswadować nam, że co tylko robili ludzie téj partyi było złe i nikczemne, dla tego że się sprzymierzyli z ulicą; nieprzeczę iż takie przymierze należy do czarnych kart każdéj historyi — ale wprzód dowieść potrzeba że Ignacy i Stanisław Potocki, że Niemcewicz, Małachowski, Czacki i tylu innych (księdza Podkanclerzego wyjmuję), używali tego narzędzia do politycznéj intrygi. — *Vice versa* znowu, daje pan Bartłomiéj najzupełniejszą absolucyę nietylko takim Świętosławskim, Złotnickim, Hulewiczom i całéj kompanii, ale samemu nawet Adamowi Ponińskiemu, którego litośnie nazywa „nieborakiem ściganym od opinii.“

Niepodobna przypuścić aby pan Bartłomiéj nie znał dziejów swego czasu, chyba można przypuścić że rachując na tak spóźnione wydanie własnych pamiętników, pozwolił sobie kozłów poprzemieniać w barany, i zapewne pomyślał w duchu: kiedy wnuki przeczytają to, uwierzą mi na słowo; bo gdzieżby potrafili mię skontrolować, zwłaszcza że się i pamięć i tradycya zatrze pod wpływem nowych wyobrażeń, potrzeb i skłonności.

Niewiem czy szczęśliwie odgadł pan Bartłomiéj, ale to wiem, że nawet bez tradycyi i bez historyi, możnaby

co chwila łapać go na rażących przeciwieństwach. — I tak dając zdanie swe o Targowickiéj Konfederacyi, powiada: „Żeby ją osądzić sprawiedliwie *sine ira nec studio,* trzeba nie wypuszczać z uwagi okoliczności, które do niéj dały powód. Bezwątpienia jéj naczelnicy z boleścią serca widzieli upadek dawnéj formy rządowéj, bo byli do niéj sumiennie przywiązani. Ale wielce się mylą ci, co powtarzają, że ich cel był jedynie służyć widokom obcéj potencyi, lub co najwięcéj, zwrócić naród do nierządu, z którego Konstytucya 3 maja niby go wyzwoliła. Zapewne że chcieli wywrócić tę nową Konstytucyę, ale nie tyle dla tego, że ją uważali być złą, ile że mieli, że tak powiem *metafizyczne* przekonanie, że ona przez żaden sposób przeciw woli sąsiednich mocarstw, utrzymać się nie da.“

Jakże tu pogodzić między innemi tę sprzeczność? tutaj twierdzi że z boleścią widzieli upadek dawnéj formy rządowéj, bo byli do niéj sumiennie przywiązani, a wyżéj mówił, że wszystkie najlepsze uchwały do reform wychodziły z partyi konserwatywnéj? Co rozumieć pod zastrzeżeniem: mylą się ci, co powtarzają że partya ta służyła widokom obcéj potencyi, i że chciała naród zwrócić do dawnego nierządu? — A za cóż jurgelty brali? pytam pana Bartłomieja; przecież żadna potencya nie wyrzuca grosza dla pięknych oczu panów posłów, hetmanów, biskupów i t. d. — za cóż potém mieli sobie ofiarowane ogromne dobra, pensye, urzędy? Najkomiczniéj zaś brzmi to *metafizyczne* przekonanie, które powinnoby wejść w użycie, dla oznaczenia kupnych przekonań, przedajnych sumień. — Pan Bartłomiéj mimowolnie zbogacił język dyplomatyczny.

Szczególniejszą ma też słabość do swoich wielkich polityków, jak między innymi do Kossakowskiego biskupa inflanckiego. Rady które ten zacny prałat dawał po akcesie króla do Targowicy, szczególniéj co do za-

prowadzenia porządku w Warszawie, przypominają późniejszą epokę, o któréj marszałek Sebastiani powiedział pamiętne słowo. Kossakowski jest w oczach p. Bartłomieja mężem wysokiego światła, wielkiéj rozwagi, umiejącym rzeczy przewidywać. — Nie naliczyłbym mnóstwa zasług podnoszonych w tym sposobie; każdy Targowiczanin musi być *eo ipso* doskonały i wytrawny statysta; a każdy ze stronnictwa reformy — partacz. Szkoda tylko że mówiąc ogólnikami dość powszednemi o ich cnotach domowych i publicznych, nie umiał o żadnym przytoczyć choćby jednego takiego rysu, jak znany fakt o jenerale Mokranowskim. Na kilka dni przed wybuchem w Warszawie, przyszli do niego wojskowi, odkryli zamiar i wezwali na naczelnika. Mokranowski odradzał powiadając że siły ich za słabe aby się mogły mierzyć z wojskiem Igelstroma. Ale gdy mu oznajmili że ich postanowienie niezłomne, że czy zechce należeć, czy nie, wybuch nastąpi za dni kilka — Mokranowski odrzekł: a więc zginę z wami, i przyjął naczelnictwo. Stało się, że nazajutrz obłożnie zachorował na pedogrę, a tylko dwa dni zostawało do wybuchu. Mokranowski posłał po swego lekarza Bergonconiego i zapytał, czy są środki w medycynie dla przerwania paroxyzmu pedogry? Bergonconi odpowiedział, że jeżeli w takim razie krew choremu się wypuści, paroxyzm ustanie; ale następstwo tego środka jest straszne, bo chory na chwilę uzdrowiony, wkrótce potém zapada w konwulsye peryodyczne tego rodzaju, co je nazywa pospólstwo chorobą ś. Walentego. Mokranowski w wilią dnia przeznaczonego do powstania, kazał krew sobie puścić i paroxyzm jakby ręką odjęty został. Nazajutrz walczył z pułkiem Sybirskim i zwyciężył. Lecz późniéj zapadł na epilepsią, która go do śmierci trapiła. — Rys ten mógłby ozdobić karty historyi każdego narodu. Postępowanie Targowicy

nie nastręczało sposobu dla tak pięknego upadku, choć gładszą jeszcze drogą wiodło do niego Rzeczpospolitę.

Plan pamiętników pana Bartłomieja, metoda jakiéj się niby trzymać postanowił, to jest: żeby pozostać po za obrębem obu stronnictw poruszających Rzeczpospolitę— ma za sobą odcień wyższéj prawdy, daje pole do sądów niezależnych, otwiera poglądy głębsze i szersze, reasumuje w sobie istotnego ducha narodu; alić gdy przyszło do wykonania, gdy go uniosły uprzedzenia z jednéj, zbytnie schlebianie i płaszczenie się z drugiéj strony— stracił równowagę i pokazał się nienawistnym górującéj w narodzie opinii, która miała za sobą obywateli z sercem, głową, nieograniczoném poświęceniem się i potężnego sprzymierzeńca w duchu epoki — a znowu zbyt przyjaźnie przemawia za tymi, co działając wbrew téj opinii, niepotrafili nic uratować, ale owszem stali się że tak powiem dobrymi przewodnikami ostatecznéj katastrofy. Gdyby pan Bartłomiéj utrzymał się był w charakterze neutralnym, ale nie posuniętym do szczytu egoizmu w jakim pokazuje się od początku do końca, musiałby niechybnie postawić sobie pytanie: ażali związek pana Szczęsnego, acz na pewnych fundamentach zgodnych z duchem i organizmem narodu oparty był na swojem miejscu i w porze? Ażali to odstrychnięcie się od opinii majacéj wziętość i przyczyny swego bytu, bo przygotowanéj jeszcze od czasów Leszczyńskiego, a podzielanéj przez samego króla, i przez najświatlejsze głowy, a owianéj duchem ówczesnego świata — ażali to odstrychnięcie się i działanie na swoją rękę pod opieką niemiłéj potencyi, nie sparaliżowało odrazu tych sił jakie mogła była Rzeczpospolita w przerodzeniu się swojem odpornie postawić? Sam król acz z natury słaby, widząc umysły podzielone jeszcze mocniéj zachwiał się, i wypuścił tę władzę którą bezpodzielnie złożono w jego ręce... Związek Szczęsnego

wiedział i czuł *a priori* że niepotrafi nic ocalić,— krom dogodzenia swéj dumie. Stronnictwo konstytucyjne miało w siebie wiarę od początku do końca i potem. Owóż pan Bartłomiéj nieutrzymał się w swéj neutralności; zabrnąwszy w anegdotyczne szczegóły, w charakteryzowanie osób działających, zgubił nić i okazał się chwalcą Targowicy i jéj sprzymierzeńca, a zaciętym przeciwnikiem myśli ogarniającéj naród, i nadającéj witalność wszystkim jego usiłowaniom późniejszym. Legiony, Księstwo Warszawskie, Kongresowe Królestwo, był to dalszy ciąg;— dalszym ciągiem Związku Targowickiego, jest chyba ta literatura do któréj niniejsze pamiętniki należą.

Szkoda! a jednak p. Bartłomiéj mógł był oddać wielką przysługę gdyby był bezinteresowną pochodnią prawdy rozświecił te dzieje nie tak dawne, aby dzisiejsze namiętności niewiązały się z niemi bezpośrednio; nie tak wyjaśnione, aby miano o nich zdrowe zawsze pojęcie — ale chcieć być neutralnym sędzią przeszłości to niełatwa rzecz, zwłaszcza jeżeli komu co chwila zawadzi się pod piórem jaki sarkazm na dzisiejszość, jaka aluzya zbyt namacalna, a głowę zaprząta myśl zakulisowa, używająca historyi, téj mistrzyni życia, za środek do przeprowadzenia jakichś politycznych spekulacyj. O téj tedy neutralności pana Bartłomieja można by powiedzieć co Seneka mówił do swego syna nieumiejącego zrobić zakończenia do mowy którą zaczął w najlepszym zapale: I niewstydzisz się to chcieć lepiéj mówić, niż jesteś w stanie?— Jak wam niewstyd panie Bartłomieju udawać bezstronność, protestować przeciw stronniczości, a co chwila zdradzać niemoc przyrodzoną?!—

A jednak, piękna była sposobność przy tylu szacownych podaniach, znajomości osób i zdarzeń zrobić dzieło wysokiéj moralnéj i politycznéj nauki, dzieło prawdziwie praktycznego zastósowania w życiu, kodeks

familijny. — Drwić z jednych, kadzić drugim, może być zabawne lub nudne, ale niebudujące. A cóż dopiero jeżeli pisarz niecofnął się przed intencyą rzucenia zamętu rozbicia w umysły przez podawanie sofizmatów za prawdy, pozorów za rzeczywistość, i przez podraźnienie opinii w ten sposób, iżby nawet te zbawienne uwagi i postrzeżenia jakie umie powiedzieć ilekroć słucha głosu prawdy i sumienia, znalazły niewiernych co je odepchną ze wstrętem niewiary i rzekną: *Timeo Danaos.*

Pan Bartłomiéj nieposzedł ani krok daléj od tego', co dotąd kurs miało, tylko kolory przemienił, i to, co uchodziło dotąd za białe, nazwał czarném, a co za czarne białem. Króla, sejm wielki i dalsze następstwa, wystawia ze strony ujemnéj; Targowicki związek, Szczęsnego i adherenów z dodatniéj; — jest to tylko zmiana kart i nic więcéj — a gdzież sąd, coby nas uczył, że ani jedna ani druga partya niebyła w posiadaniu pełnéj prawdy, a tylko prawdy ułamkiem? Czy pokazał chorobę wieku toczącą tak jednych, jak drugich — brak religijnych przekonań? Ów Szczęsny tak podniesiony przezeń jako polityk, miłośnik praw kardynalnych staréj Rzeczpospolitéj, pan popularny, cywilizator Ukrainy, istny Rzymianin w obronie złotéj wolności, jest tylko pobielanym grobem, blichtrem oślepiającym a nie grzejącym i owocującym; wszak on istny poganin w swoich upodobaniach klassycznngo materyalizmu, a nie mąż napełniony tym duchem Bożym co mógł jedynie postawić na nogi obalony stary zakon Rzeczpospolitéj. Szczęsny zawód swój rozpoczął z młodzieńczym entuzyazmem, który ślicznie odpowiadał bogactwom i ambicyi królika Ukrainy. Na sejmie 1784 występuje w roli wielkiego obywatela i skarbi sobie popularność, jakiéj niemiał już i Radziwił, a z rozpoczęciem Wielkiego Sejmu cofa się przed samą myślą, że wota poselskie mogłyby nie na jego stronę przeważyć się w wyborze marszałka Sejmu;

Duma magnata nie może już znieść współzawodnictwa— i w pracach niełączy się z narodem, chociaż jako poseł bracławski mógłby tak dzielnie wpływać na modyfikacyą wielu postanowień niebardzo zgodnych z organizmem, do którego naród przywykł, a który się wyrobił tarciem historycznego potoku.

Od téj obojętności, do zawziętości krok tylko jeden; od chwili promulgowania i zaprzysiężenia ustawy, staje się mściwym sędzią, upoważnionym od partyi kupiącéj się pod jego chorągwią. — Trafnie głęboki jeden pisarz powiada: „Najszlachetniejszy człowiek nie wytrwa, kiedy go niezapala duch Boży, a zmysły i miłość własna unoszą. Pan Bóg go nieweźmie za swoje narzędzie, złym się ludziom dostanie. „Jest to charakter do zgłębienia w dziejach nader ciekawy; stare wyobrażenia, dawne tradycye, krzyżowały się ze zwyczajami i życiem dzisiejszego wieku. Wylew zdań w prawodawstwie i reformach, jakże niemiał nastąpić, gdy tamy tak były niemocne i tak kruche? Stare tradycye popadły w lekceważenie zostawszy literą, głosem, nie czynem. — Potocki człowiek zmysłowy, do dna serca nieprzejęty duchem Bożym, łatwo przez drugich, a nadewszystko przez siebie samego był uwiedzionym. Po raz pierwszy nazywa siebie w pismach *rozsądnym*, i wprowadza ten wyraz do spraw publicznych; odtąd też obojętność i zbytnie zamiłowanie swego bespieczeństwa, który to typ wybornie pod tym względem reprezentuje pan Bartłomiéj w swoich pamiętnikach, zaczęło przybierać nazwę rozsądku. — Niepodobna dziś nieprzyznać, że Potocki mimo tego miał w zdaniach swoich rzetelną słuszność, ale że sejm opuścił, od wojska powierzonego sobie odjechał; pokazuje, że pozwolił wziąść górę miłości własnéj, obrażonej pysze, nad uczuciem i powinnością obywatelską. — Odtąd sława jego rozbryzła się, została niesława. Próżno p. Bartłomiéj bierze ztąd po-

chop i pioruny ciska na opinię co stawia i strąca swoich bożków. Nie jest w tem wina opinii, która sądzi zawsze to co ją najbliżéj dotyka — ale wina człowieka nieumiejącego jéj szanować. Pan Szczęsny zapomniał tej wybornéj maxymy, a raczéj nieumiał się do niej zastosować: *L' opinion publique est une jurisdiction que l'honnete homme ne doit jamais reconnaître parfaitement, et qu'il ne doit jamais dècliner*". Postawił się jeżem, i cóż wywołał? oto te prawa, zasady, instytucye, wierzenia, w których obronie stanął, sam pogruchotał pod piętnem swéj zemsty. Typ starożytny, wiara dawna, podania domowe, znikły bez wspomnień, bez sympatyi, bez zdolności nawet pojęcia czem były — a tymczasem, reforma posuwała się gwałtownym umysłowym ruchem, niewiadomo, czy jako niezbędny fakt życia, czy zawiew ducha europejskiego. To pewna, że bez tego Związku co tylu nieprawych liczył w swem gronie, noszących płaszczyk konserwatyzmu, Sejm niemiałby rozpędu na ten skok, który nazywał się Konstytucyą, i który de facto przepołowił nasze dzieje.

Napróżno usiłuje pan Bartłomiéj pokazywać nam jak w kalejdoskopie znakomite przymioty umysłowe, wielkie cnoty obywatelskie w ludziach należących do targowickiego spisku — próżny wysił a raczèj fortel daremny obrócony na zdyskredytowanie tych którym opinia i historya przyznaje zaszczytne miejsce w pamięci potomnych.

Historya nigdy Targowiczan obronić nie może, bo reprezentują żywioł anarchiczny, wojnę domową; żadne prawa ich nie rozgrzeszą, bo sprowadzili obcy oręż na obalenie ustawy którą naród zaprzysiągł dobrowolnie. Wreszcie gdzież w nich te wielkie cnoty, na którychby Rzeczpospolita stać mogła, jeżeli nie chcieli, żeby porównie z duchem wieku stała na prawie narodów? — Jeżeli tylko wywieszali chorągiew złotéj wolności, a od-

pierali potrzebę ześrodkowania władzy? — A gdzież te ich cnoty prywatne i publiczne? zobaczmyż jak owocowały pod cieniem chorągwi złotéj wolności? Oto ci, co powstali przeciw ustawie w obronie złotéj wolności, weszli potém w służbę Imperatorowéj w rangach jenerałów, pobrali pensye i dobra; sami napełniali akta hańbiącemi manifestami i kłótniami, jak Potocki ze Złotnickim, Świętosławski z Pułaskim — ztąd dowcipnisie mówili o nich „Targowica jeszcze fica!“ Ci zażarci republikanie, brygadyerowie złotéj wolności, którzy za nieprzyjaciół uważali w manifestach swoich, tych, co się tknęli kardynalnych praw między innymi taki Złotnicki, w kilka lat późniéj hańbił tę Rzeczpospolitę mówiąc o jéj bezprawiach, nadużyciach; — ztąd widzimy jaka sprzeczność w ich działaniu, jakie skutki założeniu przeciwne. Gdzież p. Bartłomiéj pokaże mi taką niekonsekwencyę w założeniu i działaniu stronnictwa reformy? Na Sejmie wielkim najdroższe przywileje rycerskiego stanu, ten sam rycerski stan niesie w ofierze. Gdzieindziej dzielni królowie długo borykali się ze szlachtą aby jéj odjąć na korzyść władzy te przywileje — tutaj szlachta dobrowolnie je składa, a choć nie jest w stanie w tak krótkim czasie przyjść do nowéj organizacyi, choć nie urządza na trwałość—jednakowoż ofiara ducha, jest zasługą, i to niebezowocną...

Zdaje mi się, że te rzeczy wypadało z téj strony ująć panu Bartłomiejowi a nie zasiewać nowy kąkol, dowodząc to, czego dowieść nie mógł, bo każdy ma odpowiedź, podobną do téj, którą król dał Mokranowskiemu, gdy mu przyszedł donieść o wyparciu rosyjskiéj załogi — i cóż z tego Mospanie?!

I cóż z tego p. Bartłomieju, że mieliśmy Targowicę?

Pallida mors aequo pulsat pede
Pauperum tabernas regumque turres.

ten wiersz przyszedł ci na myśl, gdyś się dowiedział o śmierci Imperatorowéj i wypaliłeś jéj mowę pogrzebową. „Było w téj monarchini — mówisz — coś tak dzielnego, tak żywotnego, tak przestronego, że trudno było przyzwyczaić się do téj myśli, że dała siebie zamknąć między kilką deskami.“ — Rozczulające wyznanie! Pokazuje się, jak nieskończenie różne bywają rodzaje wzruszeń: ten obojętnie znosi śmierć ojca, matki, rodzeństwa, a rozczula go śmierć aktora na scenie, zgon kochanki w romansie, lub suczki faworytki. — Przy zamknięciu dziejów Rzeczypospolitej, przy śmierci króla którego nawet był szambelanem, a który zgasł na obcym dworze, nie znalazł ani jednego choćby krasomówczego kwiatu, żeby mu na grobie złożyć... Za to wdzięczni jesteśmy choćby za jeden rys który przytoczył, rys malujący szlachetny charakter tego nieszczęśliwego pana: „Gdy szło żeby wyjednać od króla abdykacyę, zachodziły w tém wielkie trudności. Król opierał się żądaniu dworów, i żeby dotrwał w swoim oporze, mógł był wiele utargować dla siebie. — To pewna że było kilka projektów wcale korzystnych dla niego. Ze strony Austryi była szlachetna propozycya żeby królowi zostawić Żmudź, gdzie były położone najbogatsze jego ekonomie. Ale te ekonomie były zapewnione innym, przeto projekt upadł sam przez się. Była jeszcze druga propozycya Austryi, żeby mu zostawić Mazowsze, do czego i Rosya się skłaniała, ale Prusy oparły się temu... Nakoniec gabinet berliński zaproponował, aby jakie udzielne biskupstwo w Rzeszy cesarz sekularyzował, i dał w indemnizacyi królowi nie jako dożywocie, ale jako księstwo spadkowe dla jego domu. Król byłby się może i zgodził na to, lecz o projekcie nie wiedział... Otóż trzeba było takiego nieszczęścia, że JW. Ch. o tych układach niewiedząc, a jedynie uwiadomiony że skłaniano króla do abdykacyi, o co trudności zachodziły z jego strony,

wyrwał się niechcący, że zadziwia go ta zwłoka. Znam króla, rzekł: niech go zastraszą, że jeśli nie złoży korony, długi jego osobiste nie będą zapłacone; król żeby nie skrzywdzić swoich wierzycieli, na wszystko się zgodzi. Tak się też stało. Wszelkie inne układy zatamowane zostały, bo można było taniéj otrzymać czego żądano.“

Król pojechał do Petersburga i tam dni resztę przeżył na łasce dworu... W dwa lat póżniej podobna historya powtórzyła się z Grzegorzem XIII królem Georgii, który abdykował także i umarł w Petersburgu.... ale za Kaukazem, w Georgii, już rządzonéj przez jenerała Cicianowa, została się Mariama wdowa po exkrólu, energiczna niewiasta, która przywiązane do swéj dawnej dynastyi plemiona, chciała wezwać do odbicia straconego tronu... Ajent jej zdradził ją. Jenerał Cicianów widząc z téj strony niebezpieczeństwo dla spokojności zakaukazkich krajów, dał rozkaz jenerałowi Łazarew, przyaresztować ją i wywieść do Rosyi.... Nazajutrz jeszcze królowa spała, gdy Łazarew wpadł do jéj sypialni, a tymczasem oddział żołnierzy obsadził wszystkie drzwi pałacu.

— Jak śmiesz wchodzić tak do mnie! zawołała królowa zrywając się ze snu. — Wstawaj — odrzekł surowo Jenerał — oto rozkaz Xięcia Cicianowa! Na tę wzmiankę żywy rumieniec wystąpił na twarz Mariamy, gniew oburzenia tryskał z ócz. *Ciciano copfiani!* (Cicianów wyrzutek narodu!) zawołała— i zaczęła przekładać, że jechać nie może, bo dzieci śpią, że dopiero za kilka godzin będzie mogła to uczynić. Łazarew miasto odpowiedzi przystąpił i brutalsko szarpnął ją za nogę. Lecz w chwili kiedy się schylał ku niej, został pchnięty w pierś tak silnym pchnięciem kindziała że go na wylot przeszył. Mariama wyrywała z niego kindżał i rzuciła mu w twarz: Tak ginie, kto królowę obrał Co się potem stało łatwo przewidzieć — Mariama ule-

gła pod siłą i wraz z dziećmi wrzuconą została w kibitkę która ją poniosła do Moskwy, tego portu detronizowanych królów...

Koniec ten ma przynajmniéj jakąś poezyę wielkości w upadku....

Zamykając powyższe uwagi moje, przyznaję się, pobieżne, niedostateczne, aby były w stanie w krótkim przeglądzie objąć te massę faktów i uwag nad niemi jakie autor rozsiał w pięciu tomach, starałem się zatrzymać czytelnika przynajmniej na tym punkcie, który jest kulminacyjnym w pamiętnikach Michałowskiego — aby z téj wysokości łatwiéj było objąć obie sfery walczących ze sobą wyobrażeń....

Książka ta, jak już mówiłem, mogłaby być wyborną, a jest chybioną. Zbyt namacalna dążność skojarzenia wiary, podań, uczuć narodu, z wiarą, podaniami i uczuciami innego słowiańskiego plemienia wyrosłego na zupełnie innych warunkach, z inną wiarą i posłannictwem, odejmuje nawet tę wartość jaką mają liczne prawdy i poglądy znachodzące się zawsze pod tem paradoxalnem piórem, z którego płyną już złote słowa tajemnic duchowych narodu, już niekonsekwencye i cynizmy równające się lekceważeniu i pogardzie jaką twardy egoista światowy miewa np. dla głodnego nędzarza — bo ofiara miłości najwięcéj go kosztuje.

Mógłbym to jeszcze dodać, że pamiętniki te są niejako dalszym ciągiem Mieszanin Bejły — istną mieszaniną prawdy i pozorów prawdy.

La Rochefoucauld w maxymach swoich wyrzekł: „Prawda nie robi tyle dobrego w świecie, ile złego robią pozory prawdy". — Otoż ten pozór prawdy jakim autor powłóczy swoje opowiadania z przeszłości, aby pod ich pokrywką siał błąd, budzi tę nieufność w czytelniku, o jakiéj na początku wzmiankowałem i obraża go, nie tyle z powodu zdań i opinii, bo są przecież lu-

dzie umiejący takowe i w przeciwnikach szanować, ile że usiłuje paradoxami zagłuszyć sumienie, i zatrzeć w niem pojęcie złego i dobrego, a poniżeniem historycznych osób czczonych dotąd, prowadzić daléj tę szkołę skandalu literackiego, którą tak szczęśliwie przed laty rospoczął, spotykając się w tem z pismami przeciwnego końca. Les extremes se touchent.

Lucyan Siemieński.

ZJAZDY MONARSZE
I OPINIA EUROPEJSKA.

Nie uszła bezwątpienia badawczego oka tych co śledzą kierunek ogólny europejskiego ruchu, a przeto zapatrują się raczéj na dążność społeczną państw, aniżeli na pojedyncze polityczne wypadki, owa ciekawa ruchu tego strona, przedstawiająca się bardzo wybitnie z okoliczności zjazdów monarszych w ostatnich czasach odbytych. Wobec zjazdów w Sztutgardzie i w Wejmarze, poruszała się sama tylko opinia europejska; wpływ zapowiedzianych nowych odwiedzin monarszych na nią tylko zdaje się wywierać wrażenie. Milczały na widok spotkania się reprezentantów największych europejskich państw, wszystkie inne żywioły politycznego świata. Milczały gabinety, a przynajmniéj nie doszła do publicznéj wiadomości wieść o żadnych zamienianych notach, przedstawieniach lub negocyacyach tyczących się rzeczonych zjazdów; wszystkie kwestye i spory szły daléj swym trybem, bez żadnéj przerwy i zmiany ani przed Sztutgardem ani po Wejmarze; nigdzie w rządowych sferach

najlekszego poruszenia dostrzedz nie można było, nawet żaden rządowy organ nie oświadczył się uroczystym tonem, nie wypowiedział swego nietykalnego zdania. Jeżeli były jakowe poruszenia bądź w dyplomatycznych, bądź w rządowych kołach, pozostały w jak najstaranniejszém ukryciu, pogrążono je w jak najgłębszéj tajemnicy; jakby umyślnie, aby na opinię europejską nie wpływać, aby jéj objawom nie stawiać żadnéj przeszkody. Może więc opinia europejska uważać je za niebyłe, i za takie je też uważała. Milczały również stronnictwa polityczne, owe zwykle najruchliwsze żywioły w świecie politycznym. One występujące zwykle nader śmiało, zwłaszcza w wypadkach gdzie jak w obecnym, głos rządów nie stawiał zapory, tym razem rzadko bardzo i zaledwie półgębkiem objawiały swoje zdania, ukrywając równie starannie jak rządy swoje odleglejsze zamiary i nadzieje. Na widok téj niezwykłéj polityki stronnictw, przychodziło na myśl, iż nie czują się na siłach rzucenia na szalę owych narad swych politycznych teoryj lub życzeń, że waga stoi za wysoko, a sprawy które się ważą zbyt obszerne, że to ciężary zbyt wielkich rozmiarów, aby ta lub owa dołożona utopia lub kwestya, na jedną lub drugą stronę przeważyć miała. Wolały więc milczeć stronnictwa, niż niedosięgnąć lub dosięgnąwszy okazać swą słabość i zniknąć w ogromie; wolały czekać skutków i działać w następstwach. Sama też przemawiała tylko opinia europejska, uznając się dość silnym żywiołem aby zabrać głos w tych naradach, których polem zdawała się być cała społeczność, a przedmiotem koleje jéj obecne i przyszłe.

Zadawała sobie więc ciągle i głośno pytanie: jakie może być znaczenie owych zjazdów monarszych?..... Było to uznaniem swéj siły i przyznaniem sobie niejako prawa do wpływu nie na poszczególne sprawy które się tam traktować miały, ale na ogólną dążność i kierunek

przyszłych skutków. Do uznania tego swéj siły w dzisiejszym systemacie państw, przyszła stopniowo opinia europejska; lecz kamieniem węgielnym w budowie téj jéj potęgi są bezwątpienia wyrazy Napoleona III, kiedy biorąc koronę r. 1852 oświadczył w Bordeaux: „że cesarstwo jest równoznacznikiem pokoju.“ Owo poczucie życzeń i potrzeb opinii, owo zaspokojenie jéj nad wypadkiem mogącym ją bliskiemi jeszcze wspomnieniami zatrważać, owa rękojmia śmiało rzucona na przyszłość — były to może najpewniejsze podstawy owéj przewagi, jaką zdobył niebawem dzisiejszy cesarz Francuzów. Owo uznanie siły opinii europejskiéj było najzręczniejszym krokiem téj polityki któréj teraz zbiera owoce. Niemniéj zręcznem było odwołanie się uroczyste do opinii europejskiéj Napoleona III w chwili gdy wypadki polityczne zmusiły go niejako do odstąpienia od zapowiedzianego programatu. „Opinia jest panią świata — rzekł monarcha francuzki przy zamknięciu wystawy w r. 1855. — ona w końcu zawsze zwyciężyć musi.“ Te wyrazy wyrzeczone podczas wojny wschodniéj, przez monarchę dzierżącego głównie w swéj prawicy losy wojny i pokoju, były więcéj niż uznaniem wpływu opinii na kierunek ogólnéj polityki, były przyznaniem jéj prawa do podnoszenia głosu i oświadczania swych życzeń i potrzeb, skoro do takowych w końcu stósować się musiały rządy w Europie. Mówiąc powyższe słowa, cesarz Francuzów opierał się na opinii, i tłómaczył niejako że prowadzona wojna była tylko koniecznością chwilową, któréj uledz musiano właśnie dla tego aby życzenia i potrzeby opinii silniéj utrwalić i zaspokoić na późniéj; że przeto odstąpienie od programatu w Bordeaux było tylko pozornem. Jakoż zawarty wkrótce potem traktat pokoju w Paryżu przekonał opinię europejską, że wyrazy Napoleona III nie były płonne. Zawarty pokój dał oczywisty dowód i siły i prawa opinii. Nieraz zapewne usta-

wała wojna pod parciem opinii, nieraz zawierano pokój ustępując przed jéj przymusem. Ulegano, ale się do tego nie przyznawano. Po raz pierwszy może, życzenie opinii powszechnéj uznano otwarcie za główny powód do ukończenia zaciętéj wojny, do ukończenia jéj bez osiągnienia stanowczego rezultatu, do zawarcia pokoju zostawiając wszystkie prawie kwestye w sporze będące w zawieszeniu. Rosya oświadczyła otwarcie przyjmując *ultimatum* Austryi poparte przez mocarstwa prowadzące wojnę: „że ustępuje przed powszechnym objawem opinii europejskiéj.“ Cesarz Napoleon powiedział wyraźnie: „że lubo wiadome było osłabienie Rosyi w chwili zawarcia pokoju, Francya wojny dłużéj prowadzić nie mogła, bo nie chciała tego opinia europejska.“ Zdanie to cesarskie chociaż nigdzie zapisanem nie było, niemniéj jest pewne. Stanął pokój w Paryżu, wbrew woli Anglii i pomimo jéj olbrzymich kwoli dalszéj wojny z Rosyą przygotowań. Po raz pierwszy, państwa europejskie prowadzące wojnę, zamieniły to będące w ruchu narzędzie stanowcze, ową *ultimam rationem* w polityce, na trybunał nieustający, pokojowy, i jemu powierzyły rozstrzyganie otwartych sporów, w celu spełnienia życzeń opinii i zastósowania się do przedstawionych przez nią potrzeb społecznych. Jest to wyjątkowy a nader ważny wypadek, który nigdy z uwagi spuszczać nie należy, zwłaszcza w ocenieniu zdarzeń politycznych, nie mających wyraźnie określonego celu i oznaczonego przedmiotu, a mogących jednak wpłynąć przeważnie na ogólne położenie społeczności europejskiéj i na przyszły kierunek polityki państw, które są dzisiaj téj społeczności polityczną formą.

Czuła się więc na siłach opinia europejska do zabrania głosu w obec zjazdów monarszych, które właśnie były zdarzeniami należącemi do powyższéj kategoryi. Przyznawała sobie prawo wpływania na ich skutki; je-

żeli nie bezpośrednio, bo tajemnica pokrywająca rzeczywiste przyczyny zjazdów niedawała jéj do tego sposobów, to przynajmniéj pośrednio, starając się odgadnąć przyczyny, a stawiając śmiało swe życzenia i nadzieje co do następstw. Czyniła to za pomocą właściwego sobie organu: przemawiała przez prasę europejską.

W prasie téj pomimo niezliczonych odcieni, jedno przebijało tętno. Różnice zdań, stanowisk, sposobu zapatrywania się w dziennikach, leżały w naturze rzeczy. Nie mówi się tu o takich domysłach, jak na przykład: że zjazdy w Sztutgardzie i Wejmarze były skutkiem grzeczności jakiéj dowody zwykli sobie dawać monarchowie, były formą i niczém więcéj. Takie ocenienie zjazdów monarszych pojmuje się w *Timesie*, któremu wypadki indyjskie niedozwoliły zabierać należytego głosu w téj okoliczności, a przeto dogadzało jego dumie, zniżać wypadki o których z całą przewagą zwykłą Albionowi nie mógł rozprawiać, do rzędu pospolitych zdarzeń bez wielkiéj politycznéj ważności. Trudniéj sąd podobny zrozumieć w *Debatach*, pomimo ducha stronnictwa które w nich przebija. Dziennik ten do wyższego poglądu w swych kolumnach przyzwyczaił był Europę. Może to posłużyć za dowód, jak dalece zmaleć może organ publiczny skoro zagrzęznie w jednéj kolei, opuszczonéj, a z któréj mu upór lub zaślepienie wydobyć się niepozwala. Taką koleją dla *Debatów* jest parlamentaryzm. Ów pryzmat przez który się na wszystkie wypadki zapatrywać usiłuje, zaciemnia tak bystry dawniéj wzrok jego do tego stopnia, iż nie widział, że niema przykładów spotkań między monarchami nie przypadkowych ale umyślnych, o mil kilkaset, bez żadnego innego celu prócz oddania sobie wzajemnéj grzeczności, a do tego między monarchami nie stojącemi z sobą w żadném przymierzu.

Pominąć także wypada zdanie: że koleje żelazne uła-

twiając dziś podróże przyczyniły się do zjazdów o których mowa, a oraz że im odjęły znaczenie jakie miewały dawniéj spotkania się monarchów; — bo to co najwyborniéj zastósować można do podróży prywatnych, traci zupełnie swą wartość w podróżach monarszych. Koleje żelazne ułatwiły bezwątpienia wszelkie podróże, ale monarchowie podróżowali zawsze z łatwością. Chodzi tu o wolę monarszą, i o pobudkę téj woli, a nie o łatwość jéj wykonania. Inaczéj przypuścićby wypadało, że zjazdy są dzisiéj przypadkowe, a takową przypadkowość sprowadziły koleje żelazne. Tymczasem zjazd Sztutgardzki nie był więcéj przypadkowym jak zjazd w Osborne za pomocą parowca, lub też dawniejszy zjazd w Erfurcie na który przybyto w powozach. Nie ma również powodu dla czego owa łatwość jaką nastręczają koleje żelazne, miałaby ująć lub zmniejszyć znaczenia dzisiejszym zjazdom monarszym. Odbywają się podróże prędzéj, ale z tą samą co dawniéj uroczystością; odbywają się częściej niż dawniéj, to prawda, ale wymagają tego zapewne okoliczności i interesa państw. Podróże i zjazdy monarsze powtarzające się ciągle w ostatnich latach, będą niezawodnie znamieniem polityki tego okresu w historyi, a niemniéj znaczenie ich zależy od przyczyn które je wywołują, od następstw jakie za sobą pociągną, a nie od sposobów jakiemi się odbywają.

Bliżéj podobno odgadnięcia przyczyny tak częstych zjazdów monarszych stanęły te organa europejskiéj prasy, które ją upatrywać chciały, w potrzebie zachowania tajemnicy dla niektórych bliższych porozumień się między rządzącemi w sprawach zwłaszcza tyczących się nie tyle interesów państw pojedynczych ile ogólnego kierunku polityki czyli systematu całego. W rzeczy saméj, owe odwoływanie się w ostatnich czasach do opinii europejkiéj, uznanie jéj jako potęgi z którą się polityka rachować winna i któréj życzenia w końcu uwzględniać

musi, wywołało pewną jawność, korzystną może z jednéj strony, tam gdzie działanie jest rozpoczęte, i odbywa się otwarcie jak podczas wojny wschodniéj, ale również jeżeli nie szkodliwą, to niezawodnie bardzo niedogodną z drugiéj strony, to jest tam gdzie zamiary lub projekta nie przeszły jeszcze w czyn i pewnego czasu lub porozumienia się do dojrzałości potrzebują. Wszelkie negocyacye, konferencye, noty dyplomatyczne, stawają zaraz przed opinią europejską, a ta biorąc na siebie rolę trybunału, orzeka swój wyrok, i bądź jak bądź wpływa zawsze na dalszy bieg procesu, chociaż wyrokuje o stronach zaocznie. Jawność ta do jakiéj łatwo bardzo przyzwyczaiła się opinia w Europie, nie była bynajmniéj wynikiem dobrowolnego ustąpienia gabinetów i dyplomacyi od dawniejszych form i przepisów, ale była niejako nałożona koniecznością, prostem następstwem owéj przewagi danéj w ostatnich czasach opinii europejskiéj, przewagi któréj zresztą nabyć musiała w systemacie solidarności państw. Dobrze więc powiedział jeden z dzienników, że nikt nie będzie wiedział o czem radzono w Sztutgardzie, bo cesarz Napoleon jak wiadomo nigdy swéj myśli nie wypowie i nie bez przyczyny porównywano go do Wilhelma któremu historya dała przydomek „milczącego“; cesarz Aleksander ma posiadać tenże sam przymiot, a dla hrabiego Walewskiego i księcia Gorczakowa zachowanie tajemnicy nietylko jest zwyczajem ale konieczným obowiązkiem. Wszakże dla tego właśnie, że zachowanie tajemnicy jest obowiązkiem mężów stanu, czemu zaprzeczać nikt nie myśli, obowiązkiem którego ściśle dopełniają, nie można samym tylko usiłowaniom uchylenia swych widoków przed jawnością przypisywać wypadki zjazdów monarszych. Nie brakuje nigdy panującym na ludziach którymiby się z zupełném zaufaniem wyręczyć mogli; nie mówiąc już o korespondencyi własnoręcznéj, chociaż nie wiedzieć czyliby i jak dalece

wolno było do tak wysokich sfer zastósować znane przysłowie, prawdziwe we wszelkich innych stósunkach: *scripta manent.* W potrzebie więc zachowania doskonałéj tajemnicy przed opinią europejską pewnych widoków i zamiarów, upatrywać tylko można jedną z podrzędnych pobudek, do częściéj niż kiedykolwiek zdarzających się dzisiaj zjazdów monarszych; ale nawet i w takim razie gdyby owa potrzeba miała być głównym ich powodem, pozostają zawsze w ukryciu te widoki i zamiary, które stanowią prawdziwe ich znaczenie, i od których zawisły przyszłe ich dla Europy następstwa.

Owóż co do tych właśnie widoków i zamiarów, jakże rozmaite były domysły organów europejskiéj opinii! Jedne chciały w nich widzieć cele wyłącznie dynastyczne, inne zupełną zmianę w polityce Francyi; jedne zbliżenie Anglii do Rosyi za pośrednictwem Napoleona, inne nadwerężenie przymierza anglo-francuzkiego na korzyść Rosyi. Dla niektórych zjazd w Sztutgardzie był tylko ostatecznym krokiem po wojnie wschodniéj, zatarciem stanowczem ówczesnych nieporozumień, dla drugich był podstawą nowego przymierza. I tu jedne domyślały się podwójnego przymierza Francyi z Rosyą, inne potrójnego Francyi, Rosyi i Anglii. Upatrywano, to przewagę Rosyi, to przewagę Francyi, to pognębienie Anglii, to upokorzenie Niemiec. Lękano się o równowagę europejską, którą znów miał przywrócić zjazd Wejmarski. Występowały i rodowe niechęci, i historyczne wspomnienia spotkań monarszych w Erfurcie i na Niemnie. Wydobywały się na jaw antagonizmy państw, i interesa do wyłącznéj polityki tego lub owego mocarstwa należące; mięszały się wszystkie kwestye w sporze będące, i bliskie rozwiązania, i dotąd nietknięte; i kwestye polityczne, jak kwestya księstw Naddunajskich i duńsko niemiecka, i dyplomatyczne jak zerwanie stósunków między Neapolem a państwami zachodniemi, między Sardynią a

Austryą; i społeczne jak redukcya wojsk, i czysto materyalne jak traktaty handlowe; — mięszały się i składały prawdziwy chaos najsprzeczniejszych wniosków, obaw i nadziei....

Chaos ten istniał i istnieje jeszcze w prasie europejskiéj, pomimo że większa część dzienników odwoływała się do systematu solidarności interesów ogłoszonego na kongresie paryzkim. I nie mogło być inaczéj. Jakkolwiek bowiem idea państwa zastósowana w praktyce i przyjęta za formę polityczną społeczności, musiała sprowadzić systemat solidarności interesów, wiążąc między sobą interesa indywiduów różnych społeczeństw czyli państw, tak że jedne zagrożone dzisiaj być nie mogą, aby natychmiast drugim nie groziło niebezpieczeństwo; to jednakowoż systemat ten, jak wszystkie inne, nie może być doskonały. Rozbierając go dawniéj i nieraz obszernie na tem miejscu, wykazanem zostało, że cała ścisłość jego teoretyczna, pozostawia wiele do życzenia w praktyce. Trudność największa zależy i zależeć będzie na tém, aby wszystkie interesa pod ową podciągnąć solidarność. Mimo najlepszéj chęci, największéj zgody, najbliższego porozumienia się, zostaną zawsze sprawy wyłączne tego lub owego państwa, zamiary osobiste, dążenia i prawa tradycyjne, historyczne, ambicye panujących, wpływy i okoliczności, które się nie dadzą urządzić żadnym ogólnym systematem, ani się poddadzą wyrokowi żadnego trybunału. Zmienićby trzeba wprzódy naturę ludzką, i skazać siłę na wieczne ze świata naszego wygnanie. Jest ona i pozostanie zawsze potężnym w polityce żywiołem. Walczy ona od wieków z prawem: jakżeby nie miała walczyć z systematem w którym interes ogółu zastąpił prawo. Interes ogółu czyli europejski, żywioł nader elastyczny, dający się różnie tłómaczyć, jakżeby nie miał być nieraz w sprzeczności z interesem państwa, który znów jest najwyższym bodźcem

w polityce każdego mocarstwa?.... Nie ma się przeto czemu dziwić owym różnicom w rozumowaniach, sprzecznościom w twierdzeniach, niezgodom w sądach wydanych o zjazdach w Sztutgardzie i Wejmarze. Były one bowiem właśnie polem, na które wszelkie trudności, anomalie i niedokładności systematu politycznego wyciągnąć musiały jakby na jakowym przeglądzie wojskowym. Każda z nich bowiem mogła być przedmiotem narad monarszych, a w niepewności, czyli nie została wywołaną, żadna nie chciała pozostać w tyle bez wypowiedzenia swego prawa i wniesienia swéj obrony.

Niemniéj atoli miały słuszność dzienniki powołując się na systemat solidarności, kiedy się starały odgadnąć przyczyny zjazdów monarszych. Nie mogły ani lepszego ani stósowniejszego obrać stanowiska. Monarchowie na tych zjazdach byli reprezentantami państw. Czuła cała Europa że nie chodzi tam ani o dobro, ani o honor lub sławę jakiego narodu, ale że się tam ważą interesa państw, że idzie o zachód i północ, o środkową Europę i jéj w polityce ogólnéj znaczenie. W Sztutgardzie widziała Zachód i Rosyą; Rosyą i Niemcy w Wejmarze. Państwa reprezentowały wielkie europejskie działy, tak jak cesarzowie reprezentowali państwa. Jako takich obowiązywał ich systemat solidarności służący za podstawę polityce ogólnéj. Jeżeli więc w zastósowaniu tego systematu do narad odbytych przez monarchów, nie mogła prasa europejska znaleść klucza do odgadnięcia zagadki co mogło być ich przedmiotem, to w każdym razie systemat ów rzucał światło pewne na wypadek zjazdów, na widoki i zamiary, które je spowodowały, a zwłaszcza sprowadzał do należytych rozmiarów sprawy i kwestye, które mniéj lub więcéj prawdopodobnie były w tych spotkaniach traktowane, i zaspakajał choć w części obawy co do następstw jakie na przyszłe losy Europy ściągnąć mogły.

I tak naprzykład: wszelka kwestya dynastyczna, czy

to jéj założenie czy utrwalenie na celu mająca, jest zapewne ważną, ale nie jest nią tak jak była dawniéj, gdy dynastye związane były niejako z historyą i tradycyą narodów, a upadek ich jeżeli nie narażał na szwank istnienia narodowego, to przynajmniéj zmieniał całkiem jego polityczne stósunki i znaczenie, sprowadzał częstokroć długie wojny i rozliczne klęski. Przywiązywane dawniéj wyobrażenia do dynastyi i do ważności téj idei, jeżeli istnieją jeszcze w dzisiejszym systemacie państw, to są w nim prawdziwym anachronizmem i polityczną sprzecznością. Skoro państwa istnieją tylko na mocy traktatów, dynastye zależą tylko od uznania. Narodu stworzyć nie można, jeżeli go nie ma. Państwo utworzyć można: konferencya paryzka dzisiaj ma utworzyć jak mówią państwo rumuńskie. Może więc postawić i dynastyę. Nie jedną też widzimy takową traktatową dynastyę, jak na przykład belgijską i grecką. Ileż z innéj strony zniknęło dynastyj, bez wywołania żadnego wstrząśnienia? Dość wymienić księcia Bordeaux, Hrabiego Paryża, hrabiego Montemolin. Któreż państwo teraz wypowiedziałoby wojnę drugiemu w obronie dynastyi? Dynastya przestała być uważaną jako fakt który dawał prawo jak dawniéj; ma on za sobą prawo tylko tak długo jak długo ma siłę, lub jak długo trwa traktat na którym się opiera. W ostatnim razie dynastya uznaną jest *de facto*, w pierwszym zaś obejdzie się bez wyraźnego uznania. Jeżeli zaś dynastyi braknie siły aby się utrzymać w państwie, napróżno odwoływałaby się do drugich z dynastycznem swem prawem. Słowem w polityce państw, dynastya ważną odgrywa rolę, ale głównie jako zasada zachowawcza. Interesa dynastyczne, wypada zapewnie rachować do owych trudności któreby wywołać mogły rozmaite w polityce obecnéj wstrząśnienia, mogłyby bowiem łatwo stanąć w sprzeczności z systematem solidarnym; lecz z drugiéj strony i to najważniej-

széj, systemat ten rozciąga nad niemi swe skrzydła pojednawcze, jako nad interesami należącemi do sfery zachowawczéj, któréj on chce być najsilniejszą rękojmią. Z tego punktu zapatrując się na kwestye dynastyczne otwarte lub otworzyć się mające w Europie, i pomijając dynastyę Napoleońską jako zbyt silną aby ją za kwestyę uważać można, ani przyszłe sukcesye Duńska i Grecka, ani nawet nowa dynastya w księstwach Naddunajskich, gdyby do tego przyszło, a do czego jeszcze daleko — nie są sprawami któreby stanowcze zmiany w położeniu Europy sprowadzić mogły, jeżeli się nieprzypuszcza innych okoliczności, nieprzewidzianych dzisiaj, a osłabiających lub niweczących systemat obecny na kongresie paryzkim oparty.

Systemat ten w ocenieniu ważności wszystkich innych kwestyj politycznych na szczególny wzgląd zasługuje już przez to samo, że rozstrzygnął ową najniebezpieczniejszą w polityce kwestyę interwencyi i nieinterwencyi. Rozstrzygnął ją zaś przyznając sobie prawo ciągłéj i nieustającéj interwencyi w kwestyach które za europejskie uznaje. Konferencye są wyrażeniem tego prawa a oraz jego praktyką. Przyznanie sobie tego prawa w systemacie obecnym polityki państw, było, wyznać należy, ściśle loicznėm; bo jeżeli ma być solidarność interesów, nic słuszniejszego jak interwencya w tych interesach każdego solidarnego członka i wszystkich razem. Interwencya ta może być częstokroć niedogodną dla jednego lub drugiego państwa, w téj lub owéj kwestyi, niemniéj atoli jest ona pewną rękojmią dla ogółu społeczności, skoro jéj chodzi tylko o zachowanie spokoju i niewywoływanie wstrząśnień. Zmieniło się bowiem tym sposobem znaczenie polityczne spraw i sporów między państwami. Głównie o to się rozchodzi czy kwestya uznaną jest lub nie, za europejską. Dopóki nią nie jest może być wyłącznym przedmiotem negocyacyj i sporów

między państwami których się tyczy; lecz skoro tylko większe przybierze rozmiary, i groźniejszą barwę, iżby z niéj wypaść mogła wojna, która w dzisiejszych stósunkach uznaną jest prawie *a priori* za europejskie wstrząśnienie, natedy sięga do niej prawo solidarnéj interwencyi i pod trybunał konferencyi oddaje. Przykładem takowego działania systematu solidarności była nie dawno kwestya neufchatelska. Według systematu więc przyjętego na kongresie paryzkim, wszystkie kwestye obecne polityczne i dyplomatyczne, jakkolwiek ważne i mogące być przedmiotem narad na zjazdach monarszych, nie powinny były niepokoić opinii europejskiéj; jedne bowiem jako już uznane za europejskie należą do konferencyj, inne zostając na polu wyłącznych negocyacyj, świadczą tem samem, że nie znikła dotąd nadzieja załatwienia ich sposobem pojednania i zgody. Wprawdzie, i tu w praktyce niedokładność systematu ukazaćby się mogła; niesforność którejbądź kwestyi mogłaby zniweczyć zastósowanie owego pokojowego narzędzia jakiem są konferencye; godność, niepodległość lub interes państwa mogłyby także szorstko wystąpić i oprzeć się systematowi solidarności. Ale zawsze opór jest trudny jednemu przeciw wszystkim, *nec Hercules contra plures;* do przypuszczenia nawet niepodobny, chyba tylko za pomocą nadwerężenia europejskiéj równowagi, przez zawiązanie koalicyj to jest wszechwładnych przymierzy.

Zorzę też takowych nowych a niebezpiecznych przymierzy upatrywało wiele dzienników w zjazdach monarszych, zwłaszcza w Sztutgardzkim. Lecz i tutaj usunąć mógł zbytnie obawy systemat solidarności, dopokąd istnieje, a nie było powodu wątpić, aby przestał był obowiązywać monarchów w Sztutgardzie, zwłaszcza cesarza Francuzów, który powołując się na opinię europejską, składał dotąd najoczywistsze dowody, że w owym sy-

stemacie upatruje główną swoją siłę i potęgę — że pierwszy poczuł jego potrzebę jeżeli nie konieczność, i był jego w polityce rzecznikiem. Ustępując przed opinią europejską w wojnie wschodniéj, zawierając pokój aby zadość uczynić jéj życzeniom i potrzebom, chciał niejako praktycznie dowieść, że poczwórne przymierze mocarstw wówczas wojujących, niebyło koalicyą. Koalicye są prawie niepodobne w systemacie politycznym, w którym ustępować muszą przed opinią europejską. W rzeczy saméj, przyglądając się bliżéj równowadze europejskiéj ze stanowiska systematu solidarności, uznać wypada że zmieniła ona dawne znaczenie. Równowaga dzisiaj ma być naturalnym wypadkiem zbiorowéj federacyi, w któréj wszystkie państwa są sprzymierzone z sobą, bez żadnego prawie wyłącznego między jednem a drugiém przymierza. Przestała ona spoczywać jak dawniéj na przymierzach że tak się powie zasadniczych, dzielących Europę na dwa obozy: zachowawczy i rewolucyjny; ani też na przymierzach interesów zaspakajających takowe ze szkodą trzeciego; — bo państwa przyznają się wszystkie do wspólności zasad i solidarności interesów. To co dawniéj przyjętem było w polityce „że kto nie z nami, ten przeciwko nam“— nie ma dzisiaj zastósowania. Wobec systematu solidarności zmieniło się tak dalece dawniejsze znaczenie przymierzy, że Erfurt i Tylża mogą być tylko wspomnieniem, ale nie są żadnym punktem porównania dla Sztutgardu. Przykładów na to dostarczyły obficie liczne przymierza zawarte w latach ostatnich. Zawartem zostało przymierze Anglii z Francyą, późniéj tych dwóch państw z Austryą, pomimo całéj różnicy zasad jaka się znajduje w rządach ich wewnętrznych, w tradycyjnym kierunku ich dawniejszéj polityki i w bieżących interesach. Przymierze anglofrancuzkie nie ustało chociaż pokój został zawarty wbrew przygotowań wojennych Anglii; trwa dotąd pomimo ca-

łéj różnicy polityki francuzkiéj w sprawie księstw Naddunajskich. Któż wątpił, że dawne przymierze tak zwane „święte,“ zerwane zostało, gdy Austrya przystąpiła do nowego przymierza 2go grudnia 1854 r., a nie ma dowodu aby istnieć przestało przymierze 15go kwietnia 1856, chociaż interes Austryi stoi w sprzeczności z polityką państwa które to przymierze podpisało. Traktat przymierza 15go kwietnia zdawał się jak najwyraźniéj nosić piętno koalicyi, dla przeprowadzenia jak najściślejszego warunków pokoju z 30go marca; znikło to znamie jego w dalszym rozwoju następstw tego pokoju. Skoro bowiem wszystkie sprawy mające ogólny interes dla państw, czyli kwestye europejskie, — a któraż nią być nie może? — mają być poddane pod trybunał systematu solidarności, mający o nich stanowczo rozstrzygać, przymierza mogą być zbliżeniem lub porozumieniem się w jakowéj kwestyi, ale przestają być owym środkiem bezwzględnym wykonania pewnych widoków i zamiarów, czem były dawniéj przymierza zawierane między narodami. Mowa o prawie *międzynarodowem* w dzisiejszéj polityce brzmi jako oczywista anomalia, i wyrażenie to zmienić by należało. Niema dzisiaj stósunków *międzynarodowych*, są tylko stósunki *między państwami*. Możnaby nawet powiedzieć, że przymierze między państwami najwyżéj w systemacie solidarności sięgnąć zdoła aż do porozumienia się, czyli tę lub ową kwestyę uważać za europejską, i takową wnieść przed konferencye. Koalicya dzisiaj do téj jedynie okoliczności ograniczoną być się zdaje, a i w takim razie jeszcze wypadałoby jéj, żądanie to przedstawić wszystkim państwom, i wymagać aby się na nie zgodziły. Z konferencyj zaś koalicya jedynie wypaśćby mogła, gdyby nie za pomocą jednomyślności ale za pomocą większości głosów rozstrzygać tam miano. Być to może, bo nigdy za wiele dowtórzyć się nie da, że żaden systemat nie jest dosko-

nałą przeciw sile rękojmią; ale niemniéj w takim przypuszczeniu musianoby pierwéj wywrócić systemat przyjęty; niemniéj prawdą jest, że obok systematu dopóki ten istnieje i jest uznany, koalicya stanowcza jest niepodobną — może być tylko groźba i obawa politycznéj przewagi.

Lubo wszystkie te uwagi pobieżnie tylko dotknięte, były już w niniejszem piśmie obszernie rozbierane, pominąć je wszelako nie można było chcąc wykazać całą słuszność jaką miały za sobą dzienniki, opierając się na systemacie solidarności w ocenianiu zjazdów monarszych. Miały ją zaś za sobą tem więcéj, że przemawiały imieniem opinii europejskiéj, i inaczéj odzywać się nie mogły. Jak bowiem systemat solidarności nie jest bynajmniéj systematem *a priori*, ale prostem następstwem ujęcia społeczności w formę polityczną opartą na idei państwa, tak znów opinia europejska jest również nieuniknionem następstwem systematu i koniecznym w tym systemacie żywiołem. Bo jeżeli każda kwestya może stać się europejską, jak naprzykład kwestya organizacyi księstw Naddunajskich, jeżeli w każdym interesie europejskim wszystkie państwa są solidarne, to znów nie może być inaczéj jak że polityka każdego państwa dotyka każde indywiduum, czyli członka społeczności europejskiéj. Ztąd wyradza się opinia europejska, jéj siła i jéj prawa, a zasługą cesarza Francuzów nie jest stworzenie téj opinii, bo nic w społeczności stworzyć się nie da, ale uznanie otwarte jéj bytu, uznanie że udział jéj w polityce jest nieochybny, słowem oddanie w praktycznych słowach tego politycznego socyalizmu. O takiéj też tylko opinii, o opinii ogółu i każdego w szczególe, jako członka społeczności europejskiéj jest mowa. Taka tylko opinia przemawiała w obec zjazdów monarszych. Nie było ani jednego głosu opinii narodowéj: gdyby Anglia nie była krytycznem swem położeniem do mil-

czenia zmuszona, możeby głos jakowéj narodowéj opinii dał się był na kontynencie usłyszeć. Tak wielka jest różnica między ową opinią narodową, która zawsze w każdym kraju istniała i istnieje, a ową opinią europejską, która dziś przemawia, że te same dzienniki które się stawiają jako organa téj ostatniéj, pierwszą nazywają opinią rewolucyjną. Dzienniki wiedeńskie opinię narodową rumuńską mienią być opinią rewolucyjną, chociaż w sprawie gdzie właśnie chodzi o narodowość ludności księstw Naddunajskich; to samo miano organa prasy dają opinii włoskiéj, greckiéj a nawet angielskiéj. Będąc wyłącznie organami opinii europejskiéj, wszelka odrębność jest dla nich równoznacznikiem rewolucyi. Że zaś są organami opinii europejskiéj dowodzi to najlepiéj, że biorą udział w jéj prawach i opierają się na jéj sile. Używają prawa zupełnéj wolności kiedy z jéj stanowiska występują. Może kto powiedzieć, że panujący skoro posiada zupełną władzę w państwie, stanowi opinię, że Napoleon jest opinią Francyi; ale dzienniki we Francyi tłómaczą się z zupełną wolnością gdy wyrażają opinię państwa, jako części solidarnéj społeczności w Europie. Tą drogą poszły też wszystkie dzienniki europejskie w ocenianiu zjazdów monarszych, wszystkie przemawiały w imieniu państwa, nawet w imieniu Europy; i na téj drodze nikt też zapewne zaprzeczać nie będzie, że były organem opinii europejskiéj i rzeczywistym większości w téj opinii wyrazem.

Dla tego też, jak powiedziano wyżéj, pomimo rozlicznych odcieni, jedno przebijało tętno we wszystkich organach europejskiéj prasy. Owo tętno było właśnie głosem opinii europejskiéj. Zachodziły różnice, gdy szło o państwo, bo interesa téj lub owéj części krzyżowały się z interesem ogółu, lecz gdy szło o ogół czyli o Europę, była zgoda. Wszystkie dzienniki, w jakiembądź wychodzące państwie, w jakiembądź pisa-

ne języku i jakiejbądź opinii, wszystkie bez względu na domysły, przyczyny, widoki i obawy jakie przywiązywały do zjazdów monarszych, jedno tylko im znaczenie przypisywały, znaczenie pokojowe. Jeżeli się znalazły wyjątki które nie upatrywały w tych wypadkach utrwalenia pokoju i silnéj rękojmi dla przyszłéj spokojności Europy, nie było wszakże żadnego, któryby się ośmielił wnosić zaburzenie lub rokować wojnę w skutku tych ważnych w polityce wypadków. Tysiące owych różnorodnych głosów zlały się w jedną nutę, bez żadnego fałszywego tonu, w nutę pokojową. Nuta ta była głosem opinii europejskiéj przemawiającéj za pokojem, głosem dobrze już znanym. Był to ten sam głos który długo nie chciał uwierzyć wojnie wschodniéj, i nieuwierzył dopóki niewybuchła; który ciągle stawiał trwanie jéj w wątpliwość, chwytał skwapliwie każdy symptomat zbliżającego się pokoju, niepojmował nigdy dobrze powodów dla których była prowadzoną, cieszył się zawartym pokojem nie wchodząc czyli on posiadał lub nie rękojmie trwałości, i na jakiej podstawie takowych dostarczał; był to ten sam głos którego usłuchały państwa i ogłosiły konferencye, któremu dogadzając Rosya ustąpiła Bołgradu a Prusy praw do Neufchatelu; słowem był to ten sam głos, którym od pewnego czasu opinia europejska przemawia zawsze i bezwzględnie za pokojem, ale przemawia drżąco, bo na dnie jego brzmi ciągła, nieustająca obawa.

Jest to bowiem najcharakterystyczniejszą cechą dzisiejszéj europejskiéj społeczności, owa obawa przed wszelką zmianą w dzisiejszem *statu quo*. Pokój służy jéj tylko za narzędzie do utrzymania się w owéj upragnionéj nieruchomości. Nie lęka się ona tyle wojny, ile jéj skutków; skutki bowiem wojny nagłe zmiany sprowadzićby mogły. Lubo więc widzi w pokoju rękojmię, nie przyjmuje go bez obawy. Wojna nie tyle przeraża ją jako wojna, ile jako prawdopodobne wstrząśnienie. Domaga

się pokoju nietylko z saméj obawy ciężarów które w czasie wojny ponosić musi; jak również i państwa nietylko jedynie z powodu braku pieniędzy na pokrycie kosztów wojennych dążą do utrwalenia pokoju. Skarby nie mają bezwątpienia na zbycie owego *nervus rerum*: ale i to pewna, że państwo któremu sposoby finansowe pozwalają utrzymywać ogromną armię podczas pokoju, mogłoby i wojnę prowadzić. Możeby nawet nieraz i lepiéj wyszło na prowadzeniu wojny, jak na utrzymaniu pokoju. Społeczność opłacająca cały pokojowy rynsztunek, stawiająca co chwila swe pokojowe armie na stopie wojennéj i w gotowości do boju, mogłaby się zaprawdę nie lękać wojny. Gdyby państwa nie były w stanie prowadzić wojny przez względy finansowe, opinia europejska nie żądałaby tak uporczywie pokoju. Zkądże to bezustanne i jednomyślne jéj za trwałością pokoju obstawanie? Czemu przypisać owe prawdziwie natarczywe wymaganie i parcie, jeżeli nie owéj obawie, która jéj żądaniom ciągle towarzyszy jeżeli ich nie wyprzedza, obawie przed wszelką zmianą w obecnem *statu quo*?.... Jestże to optymizm któremu ulega cała społeczność?....

Bynajmniéj. Bo jakiekolwiek być może *statu quo* polityczne, nie jest ono takiem, ani też takiem być może, aby już nic niezostawiało do życzenia. Jeżeli nie w jednym to w drugim kierunku zmiany mogą być korzystne, inaczéj wszelkiego ulepszenia i postępu zaprzeczyć by wypadło. Tymczasem opinia europejska oświadcza się przeciw wszelkiéj zmianie; wszelka zmiana w najsprzeczniejszym nawet kierunku, i na najodleglejszych nawet kończynach Europy objawiająca się reforma, jeżeli tylko grozi wstrząśnieniem, napawa ją obawą. Niechce jéj na Wschodzie i boi się następstw jakieby rozpadnięcie państwa ottomańskiego za sobą pociągnęło; lęka się reform w Rosyi, jakkolwiek ich sobie życzy,

jeżeli by te nagle nastąpić miały i chwilowe sprowadziły zamięszanie; trwoży ją samo przypuszczenie osłabienia Anglii w skutku powstania indyjskiego, bo brak téj potęgi w równowadze mógłby jakową wywołać zmianę; przeraża ją sama myśl gdyby władza silna kierująca dziś Francyą ustać nagle miała, i to może jest największą siłą Cesarza Francuzów w jego państwie a zarazem podstawą przewagi w całéj Europie... Opinia europejska potępia rewolucyę, nie dla tego że jest zachowawczą, ale dla tego że rewolucya przedstawia jéj się jako gwałtowne wstrząśnienie. Nie stawia ona bezwzględnie żadnéj zasady, broni się tylko od wszelkiéj zmiany. W porządku widzi tylko rękojmię swéj spokojności, i obstaje za nim czy oparty on jest na wolności czy na bagnetach: obojętnym jéj jest liberalizm ale niechce parlamentaryzmu jako zbyt ruchliwego żywiołu; przystałaby na każdą formę rządu gdyby takowa już istniała i zaprowadzać jéj dopiéro nie trzeba było, co się nigdy bez wstrząśnienia nie obejdzie. Opinia europejska świadczy, że społeczność, któréj jest wyrazem, jakby po głębokiem rozczarowaniu, nie uznaje już żadnego sztandaru, że jéj żadne już godło nieporusza, żadna sława ani nawet żądza nie budzi w niéj zapału. Do sceptycyzmu politycznego przyznać się nie śmie, bo to kazałoby się domyślać obojętności na zmiany; do materyalizmu przyznałaby się chętnie, gdyby doznawane często na téj drodze zawody nie wrażały jéj przekonania że i tutaj stanowczy pochód na niebezpieczeństwa naraża. Niebezpieczeństwo zaś upatruje wyłącznie w każdéj zmianie. Niechce więc żadnéj nawet politycznéj, bo wie że każda z nich dzisiaj ma społeczną prawicę, którą dosięgnie aż do jéj wnętrzności. Zgadza się więc na każde prowizoryum jako na *malum necessarium;* a chociaż jest przekonaną że stawiając swe żądania bezwzględnego pokoju i oświadczając się przeciwko wszel-

kiéj zmianie, tamuje naturalny bieg spraw, z których żadna stanowczo ukończoną być nie może; chociaż ma przekonanie, że taki stan tymczasowości wiecznie trwać nie może i kataklizmem zakończyć się gotów, czego najlepiéj dowodzą ciągłe jéj obawy, pełna zaufania w sile swéj opinii, podnosi jéj głos i domaga się najzupełniejszéj spokojności i ciągłego jéj utrwalenia jako najistotniejszéj potrzeby, którą rządy państwa jako jéj polityczni reprezentanci uwzględniać powinni.

Nigdy może i w żadnéj epoce ludzkości tak zwanéj przejściowéj, cecha ta tak dobitnie jak w naszéj nie była wyryta. Cecha ta, owa dążność bezprzestanna do nieruchomości, jest świadectwem słabości spółecznéj. Spółeczność europejska podobna jest do chorego, który w żadnym razie zmienić niechce swego położenia, nie wiedząc jaki obrót weźmie choroba, i w obawie czyli owa zmiana niewypádnie na gorsze. Do wszelkiéj próby, brakuje mu jeżeli nie na siłach, to na moralnéj odwadze.

Bądź co bądź, opinia europejska stawiając sobie pytanie: jakie znaczenie mają zjazdy monarsze? i odpowiadając na nie pomimo zupełnéj niewiadomości w jakiéj była tak co do przyczyn jak co do zamiarów owych zjazdów, odpowiadając z nadzwyczajną jednomyślnością i niemniéj znaczącą pewnością, że zjazdy te mają jedynie na celu utrwalenie pokoju za pomocą zbliżenia się panujących i wzmocnienia systematu solidarności — nie mogła mieć innego celu, jak tylko położyć pewną granicę, wytkniętą jak zawsze przez żądania i potrzeby spółeczności europejskiéj. Nie przesądzała ona w niczem widoków i zamiarów monarszych, ale śmiało stawiała swe nadzieje co do następstw. W owéj nadziei, w któréj nie sądziła i nawet nie przypuszczała, aby zawiedzioną być mogła, leżała właśnie owa granica przyszłości. O ile sądzić wolno, bo skutki zjazdów nie są

jeszcze widoczne, ani też podobno widocznemi tak prędko być nie mogą, nie tylko że owéj granicy nieprzekroczono, ale nawet życzenia opinii europejskiéj sowicie uwzględnionemi zostały. Jeżeli to co piszą o nocie hr. Walewskiego w przedmiocie zjazdu Sztutgardzkiego, przesłanéj pełnomocnikom Francyi przy obcych dworach jest prawdziwe, a przemawia za tem wszelkie prawdopodobieństwo „zjazdy te były tylko ostatecznem poświę„ceniem uroczystego pokoju zawartego 30 marca 1856 „roku.“ Według zdania sprawy o téj nocie, jedynego półurzędowego źródła o tym wypadku, „wstrząśnienia wy„wołane w świecie wojną wschodnią, wymagały więcéj „niż kiedykolwiek porozumienia się bezpośredniego mię„dzy panującymi, nie w celu zawierania nowych przy„mierzy niepotrzebnych całkiem w czasie pokoju, ale „w zamiarze uprzedzenia lub przytłumienia w samym „zarodzie trudności, które mogą waśnić Europę.“

Tak określone zjazdy byłyby nowym tryumfem systematu solidarności. Komentarze byłyby podobno zbyteczne. Powyższa definicya trzyma się ściśle zakresu systematu, i wskazanego przezeń stanowiska, z jakiego zapatrywać się wypada tak na kwestye jak na przymierza. Co do tych ostatnich dodaje tylko sprawozdanie: „że lubo z zjazdu sztutgardzkiego nie wypadło żadne „bezpośrednie postanowienie polityczne mogące zmienić „stósunek obecny państw europejskich, że lubo nawet nie „powstało z niego żadne stanowcze przymierze w traktat „dokładny ułożone, niemniéj jednak zjazd ten nie pozo„stał bez wpływu politycznego na stósunki Francyi i Ro„syi; zbliżenie się bowiem tych dwóch państw, uczyniło „możebném szybkie zawarcie przymierza oznaczonego i „skutecznego, w razie gdyby tego potrzeby Europy wy„magały, i gdyby trudności które dziś ciążą na konty„nencie nie miały według słuszności być rozwiązane.“ Stósownie do tego oświadczenia, opinia europejska nie

ma powodu obawiać się zmiany; pozostaje tylko obawa przed groźbą przewagi, o któréj wyżéj wzmianka, a któréj pomimo zastósowania systematu solidarności uniknąć niepodobna.

O zjezdzie wejmarskim nie ma dotąd nawet tak pewnego źródła. Chcieć brak ten domysłami zastąpić, byłoby zarozumiałością. Niechaj więc wolno będzie zakończyć jedną uwagą jaką dostarcza kryzys finansowa, która spadła na Europę właśnie w chwili kiedy się odbywały zjazdy monarsze.

Nie po raz pierwszy zauważać musiały rządy państw, że ani utrwalenie pokoju, ani zastósowanie systematu solidarności, ani wreszcie uwzględnienie potrzeb stawianych przez opinię europejską, nie uwalniały społeczności od podobnych wstrząśnień jakiem jest właśnie obecna kryzys finansowa. Opinia jakby w jéj przewidzeniu, w liczbie życzeń które stawiała odgadując następstwa zjazdów monarszych, objawiała nadzieję redukcyi w armiach europejskich. Ale pomimo, że właśnie w tym kierunku materyalnym głos jéj największą mógłby rokować dla siebie przewagę, bo cała społeczność znosi ciężary systematu armij nieustających, opinia europejska przemawiała nieśmiało. Nieśmiałości téj powodem było bezwątpienia przewidywanie trudności, jakie koniecznie zmniejszeniu wojsk europejskich towarzyszyć muszą. Każdéj bowiem zmiany obawia się społeczność europejska, nawet na swoją korzyść; tu wszelako zdobyła się podobno na jaką taką odwagę, bo zaspokojenie zewsząd na nią spływało.

I w istocie, trudności jakie przeprowadzenie téj zmiany pociągnąć by za sobą musiało, są dwojakie: polityczne i społeczne. Pierwsze — usuwają usiłowania ciągłe rządów państw ku utrwaleniu pokoju; drugie — usuwa owa jednomyślność w dążeniu i wymaganiu spokojności, objawiana bezprzestannie przez opinię europejską. Na-

stępstwem owych usiłowań zdaje się być coraz większe oddalenie i utrudnienie sporów mogących sprowadzić wojnę; następstwem zaś owéj potrzeby spokojności, ustanie jeżeli nie już niepodobieństwo ruchów społecznych czyli rewolucyj. Jedno tu dla drugiego staje się wzajemną rękojmią: brak wojny zaspakaja społeczność, brak rewolucyj zaspakaja rządy. Zmiana mogłaby się odbyć bez żadnego wstrząśnienia; a cóż mogłoby być ostatniem słowem systematu solidarności interesów, cóż z jednéj strony bardziéj dowieść jego siły, jak z drugiéj być jego rzeczywistą rękojmią, jeżeli nie rozbrojenie zbrojnego pokoju?....

Kryzys finansowa powtarza się coraz częściéj, i coraz bardziéj ogólném wstrząśnieniem zagraża społeczności i państwom z osobna. Wszystkie środki dotąd użyte okazały się tylko tymczasowemi, bezskutecznemi, co najwięcéj półśrodkami. Dowodzić byłoby zbyteczném, bo to już dawno uczyniono i uczyniono niezbicie, że redukcya wojsk europejskich byłaby stanowczym i zaradczym w podniesieniu stanu finansów w Europie sposobem. Nie wiadomo, czyli się tym ważnym przedmiotem zajmowano na zjazdach monarszych, ale wątpieniu nie ulega, że gdyby skutkiem tych zjazdów przeprowadzona została ta zbawienna w Europie zmiana, nietylko opinia europejska, ale świat cały przyklasnąłby na wieść o tym wypadku, a historya cywilizacyi na nierównie świetniejszéj karcie zapisałaby Sztutgard i Wejmar aniżeli wszystkie Erfurty i Tylże.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w październiku.

Piękna złotolistna jesień niezwykle przedłużyła nam porę letnią. W naszym klimacie, gdzie wiosna istnieje tylko w sielankach, jesień jeśli się uda jak tegoroczna, byłaby zapewne godnym przedmiotem poetycznych uniesień, gdybyśmy zapatrywać się umieli na naturę z całą swobodą ducha, niezasępionego kłopotami powszedniego życia, ani cięższemi nad nie troskami moralnemi. Ciepła jesień ma tę tylko niezaprzeczoną dla nas zaletę, że dozwala nam obywać się dłużéj bez opału, a obuwiu naszemu niegrozi przedwczesną zagładą.

Piękności października niemają powabu dla mieszkańca miasta. Miesiąc ten owszem jest jednym z najsmutniejszych w jego kalendarzu. Przed trzema miesiącami podniesiono mu czynsz mieszkalny, który od lat kilku zwiększa się co rok, co pół roku, wreszcie co kwartał. W dniu 1 października przychodzi koléj złożyć nową ratę czynszową. Gospodarz przyjmuje ją niedbale, zaczyna mówić o ciężkich czasach, wielkich podatkach, przewiduje nowe jeszcze, nareszcie pyta:

— A jeśli od 1go listopada podatki zostaną powiększone? a jeśli w miejsce dodatku 40 kr. do każdego

reńskiego, przyjdzie dopłacić do każdego reńskiego podatku, drugi reński dodatku? a jeśli rozłożą podatek gminny? a jeśli za oświecenie miasta gazem każą płacić nowe latarniowe? a jeśli obok kwaterunku w naturze każą płacić kwaterunkowe?...

Mieszkańcowi stanęły włosy na głowie, lecz nieśmiał zbijać przypuszczeń.

— W takim razie — ciągnął daléj gospodarz — nie mógłbym obstać na czynsz dzisiejszy. Oto połóżmy w kontrakcie nowy warunek, że pan bierzesz na siebie wszelkie nowe podatki i ciężary jakie wypaść mogą od wartości mieszkania które zajmujesz. Czyż to nie słuszna? Widzisz pan, że ja nie podnoszę czynszu, lecz też i sam zabezpieczyć się muszę.

Lokator żądał czasu do namysłu. Myślał dlugo, obszedł wszystkie ulice, przepatrywał po wszystkich domach, a nieznalazłszy nie tylko tańszego mieszkania, lecz nieznalazłszy nawet żadnego wolnego, poddał się nieprzewidzianym skutkom kategorycznych warunków. Odtąd jak miecz Damoklesa wisi nad głową jego trwoga nowego podatku lub dodatku, a trwoga ta z każdym dniem wzrasta, w miarę jak się zbliża koniec października i rozpoczyna się nowy rok skarbowy.

Lecz nie tu koniec trosk październikowych. Trzeba pomyśleć o zaopatrzeniu na zimę śpiżarni i piwnicy, zakupić jarzyn i węgla, wydobyć i przejrzyć zimową odzież i braki jéj uzupełnić. Oprócz potrzeb niezbędnych nasuwają się inne, które nie są wprawdzie potrzebami w dyogenesowem ich pojmowaniu, lecz które w konwencyonalnym świecie uchodzą za nieuniknione. Są to po większéj części potrzeby narzucone modą, która jednak wielowładną jest panią, bo nieposłusznych swoim wymaganiom wystawia na szyderstwo lub pogardę. Szczęśliwe to były czasy, kiedy córka dziedziczyła po matce suknię i czepiec ślubny, a żupanik dla chłopaka robiono na wyrost.

Jeżeliś więc był tak szczęśliwym, iż marnemi kilkudziesięciu reńskiemi okupiłeś wolność pozostania na dawnem mieszkaniu, lub tak roztropny, iż nieporóżniłeś się z twoim gospodarzem, zanimeś inne znalazł dla siebie mieszkanie, to październik niepowinien był w oczach twoich stracić wszelkich powabów. Ależ szczęście niemoże

być wszystkich udziałem—a roztropność jako dziecko doświadczenia nie mogła cię była pohamować w pośpiechu, z jakim wymówiłeś mieszkanie, skoroś za dawnych lat nawykł był przerzucać w mieszkaniach póty, pókiś sobie nieupatrzył dogodnego. Ale nie tak to łatwo znaleść dziś dogodne mieszkanie. Co dawniéj mogło być zbytkiem, dziś nawet za wygodę nie obstoi. Owe niewielkie domy, w których sień wjezdna cały dół zajmowała, były to dwory pańskie. Coraz więcéj znikają takie domy w Krakowie, przerabiane będąc wedle nowoczesnych potrzeb nowoczesnych mieszkańców swoich. Sień taka pomieściła w sobie i wozownię i stajnię i służbę śpiącą na brykach. Parę pokoi na piętrze z wielką izbą wchodową składały mieszkanie zamożnego obywatela. Dziś najskromniéj żyjący mieszczanin żąda dla siebie i swojéj familii kilku pokoi, a choć ich niezaludni przyjaciołmi i sąsiadami, to zapełni je mnóstwem sprzętów i sprzęcików. To też kiedy przyjdzie zmieniać mieszkanie, trzeba myśleć nie tylko o tem, aby to wszystko pomieścić, ale również aby ustawić stósownie i każdemu pokojowi nadać właściwą jego cechę. Częstokroć przez wzgląd na układ i rozmiary nowego mieszkania wypada odmienić sprzęty. Wieleż to pracy, kosztu i zachodu potrzeba, aby się w nowem mieszkaniu urządzić, rozpostrzeć i rozsiedzieć jak u siebie. Mieszkanie, co przechodziło niegdyś dziedzictwem; do którego ścian wiązały się nie tylko wspomnienia młodości, ale nawet pamiątki ojców i dziadów, stało się dzisiaj stacyą podróżną, którą zajmując nowy lokator, zaciera pamięć dawnego, i gdzie niezostawi innego po sobie wspomnienia prócz nazwiska zapisanego w książce meldunkowéj. Któryż z mieszkańców miasta może powtórzyć z Karpińskim?

Otóż mój dom ubogi! też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany,
I niska strzecha moja. Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcéj pochyliło.

Odmieniając więc mieszkanie, jedyne ślady jakie tam zostały po tobie, zatrze murarz kielnią, tapicer zalepi i woda zmyje. Duszy tam twojéj i serca niezostawiłeś ani

odrobiny, a wszystkie bogi twe domowe uniosłeś z sobą— nie, najemnicy je przenieśli. Wprawdzie kilkanaście dni potrzebowałeś do urządzenia się w nowéj siedzibie twojéj, ale po upływie tych dni kilkunastu zapomniałeś nawet, żeś kiedykolwiek gdzieindziéj mieszkał. Któryż z mieszkańców miasta pamięta dom gdzie się rodził? I jakże mógł go pamiętać, skoro w pieluchach jeszcze będąc do innego domu przeniesiony został. Z łatwością też zmieniamy mieszkanie w mieście, a lipiec i październik są głównemi tych zmian porami. W miarę jak wygody życia nadciągają do nas z Zachodu, jak obce zwyczaje towarzyskie nabierają u nas prawa obywatelstwa, mieszkania nasze przystrajają się. Nie dawno temu jeszcze lampa na schodach domu była wyłącznym przywilejem pałaców pańskich, dziś brak jéj w najskromniejszym domku gorszy nas. Podłoga z tarcic należy do zabytków barbarzyńskich, a sień zaszklona staje się widoczną potrzebą, i za lat kilka, dziwić się będziemy, że nas przez tyle zim ani razu w otwartéj sieni wiatr nie zawiał.

Cywilizacya zachodnia ze wszystkiemi swemi formami i objawami powierzchownemi podwójnym zbliża się pochodem. Niezadługo miasto nasze niczem się różnić nie będzie od miast zagranicznych. Dziś już w warsztacie szewskim nie ujrzy tych osobliwych rewerberów wodą napełnionych, a miejsce ich zastępuje matowany dzwon lampy pompowéj; krawcy jeden po drugim wynoszą się z poddaszy, i za zwierciadlanemi szybami wystawnych sklepów rozwieszają ostatnie utwory paryskiego smaku; w hotelach urządzono dzwonki; w kawiarniach trzymają gazety; w sklepach nawet korzennych myją podłogę i kassę. Za kilkanaście dni jasny płomień gazu rozleje blask swój na ulice miasta, migocące dotąd mdłem światłem zakopconych kaganków.

Ciekawy to zaiste będzie widok nie tyle pod względem oświetlenia, ile raczéj samychże widzów, tych co stanowiąc czystą rasę krakowską nie wyjrzeli dotąd nigdzie w świat i pierwszy raz oglądać będą ten rodzaj światła, które jest dla nich zagadką, a do którego przygotowania z takim prowadzone nakładem rodzą u ludu mniemanie, że światło to będzie blaskiem swym przyćmiewać słońce. Dziś już z jakąż to ciekawością lud

nasz śledzi robót około kanalizacyi gazowéj, jak usiłuje utworzyć sobie teoretyczne wyobrażenie téj rzeczy, i jak po różnych wątpliwościach przyszedł wreszcie do tego wniosku, że owemi rurami płynąć będzie wiatr ognisty, dmuchany z kilkunastu czeluści wielkim miechem żelaznym. Lud ma własny swój sposób pojmowania wszelkich zjawisk przyrodzonych i nadprzyrodzonych, wynalazków i sił natury, i jeżeli w parą i dymem buchającéj machinie widział był niedawno jeszcze uosobienie Antichrista na świat przybyłego, to niemniéj ogień tryskający z rurki gazowéj będzie miał w umyśle jego jakieś wspólnictwo z ogniem piekielnym. Lecz wszystko traci z czasem swoją cudowność. Chłop krakowski oswoił się już z koleją, i sam nawet jeździ antychrystem ze wsi do miasta lub napowrót.

Światło gazowe nie jest w Krakowie nowością. W pierwszych czasach założenia szkoły technicznéj, przed dwudziestu około laty, profesor Karol Mohr zapalił był lampy gazowe na ulicy Gołębiéj dla nauki uczniów swoich a na wielki podziw mieszkańców. Wtedy już myślano o zaprowadzeniu oświetlenia miasta gazem, wszelako pomysł ten poczytano za zuchwalstwo. Ależ był to jeszcze czas łojowych świeczek i osobliwych pojęć o skarbowości w tutejszych „ojcach ojczyzny“, którzy jak chłop sknera zakopujący pieniądze, chowali je w skrzyni kasy senackiéj. Dziś miasto nasze więcéj ma w sobie ducha przedsiębiorczego chociaż żyje tylko kredytem, wsparciem rządowem i niedoborem budżetu. Kraków jest dziś pod względem majątkowym w tem położeniu, w jakiem znajduje się dziedzic majątku którego hipoteka nieuregulowana. Niewiadomo, wiele on ma na prawdę; pamiętają tylko, że z majątku tego choć nie bardzo gospodarnie prowadzonego, utrzymywano się skromnie wprawdzie, ale też zawsze coś z dochodów zostawało jeszcze na nadzwyczajne i nieprzewidziane potrzeby. W bieżącym jednak miesiącu sprawa majątku miejskiego weszła podobno na drogę bliskiego załatwienia. O szczegółach tego ważnego przedmiotu trudno coś dokładnego wiedzieć, bo urządzenie gminy jest zupełnie wyjątkowe, a sprawy jéj okrywa grubsza zasłona, niż najskrytsze tajniki dyplomatyczne.

Jawność, która sięga do gabinetów monarszych i towarzyszy protokołom konferencyj prowadzonych między pierwszemi mocarstwami Europy, nieprzedarła się jeszcze do izby radnéj w Krakowie, co więcéj, kiedy nazwiska wszystkich urzędników państwa począwszy od pierwszego ministra do ostatniego dyurnisty wiadome są wszystkim, nie znane są dotąd nazwiska osób mających w gminie krakowskiéj władzę prawodawczą. Z tego stanu niepewności tak pod względem majątkowym jako i organicznym wyjdzie zapewne tutejsze miasto wtedy dopiero, kiedy statuta organizacyjne dla wszystkich gmin miejskich wydanemi będą. Głucha wieść wszakże krąży, że rzecz majątku miejskiego dotycząca, gorliwie traktowaną była temi czasy przez p. Burmistrza.

Z końcem października spodziewaliśmy się powrotu z wycieczki letniéj p. Pfeiffra z gronem aktorów polskich pod jego dyrekcyą zostających. W oczekiwaniu tem jednak zostaliśmy zawiedzeni. P. Pfeiffer zamyśla pobyt swój w Królestwie Polskiem przedłużyć do końca przyszłego miesiąca. Zapewne mu tam lepiéj idzie niżby szło w Krakowie, albo też mniema, że dość jeszcze będzie miał czasu przesycić publiczność naszą. Gdyby teatr polski był zupełną własnością dyrektora, a nic oraz instytucyą publiczną, dyrektorowi służyłoby prawo rozrządzania swoim czasem do woli; skoro jednak do przywileju dyrekcyi należą oraz pewne obowiązki względem publiczności, należy takowych pilnować. Dyrekcye teatrów krajowych zdają się o tych obowiązkach zupełnie zapominać; teatr stał się w ich oczach przedsiębiorstwem, z którego należy ciągnąć jak można największe zyski, z jak najmniejszemi o ile można ofiarami. Gdy eksploatować się nieda na wielkie rozmiary, gdy się nie da użyć teatru za środek do zrobienia majątku, to przynajmniéj, aby przy nim żyć można. Takie pojmowanie przeznaczenia dyrekcyi, kieruje obu tutejszemi teatrami polskim i niemieckim; zostawiając jednak ocenienie tego ostatniego, do kogo to należy, zwłaszcza że się z tego zadania wywiązują tam należycie, o teatrze polskim w Krakowie można mówić teraz jedynie jako o przyszłości, jak o rzeczy przypadkowéj, która może przyjść lub nieprzyjść, trwać krócéj lub dłużéj, i jak budka ze

słoniem wynieść się z Krakowa po nasyceniu ciekawości publicznéj.

Od zimy 1845-6 scena polska w Krakowie maleje widocznie, i przyszło z nią do tak smutnego stanu, że wspominają tu nawet zasługi téj dyrekcyi, którą temi czasy usunięto we Lwowie, dla tego że nieodpowiadała celowi swemu. Trudno o nieszczęśliwsze porównanie między Krakowem a Lwowem. Stan taki wyrodził z jednéj strony obojętność, z drugiéj niedbalstwo, zraził publiczność, a dyrekcyę skazał na żywot koczowniczy.

Liczba różnego rodzaju gron aktorskich wzrasta w Polsce corocznie, służy to za dowód że zamiłowanie ku sztuce dramatycznéj rozpowszechnia się. Z tych surowych żywiołów wyrobi się może szkoła dla artystów i arena pierwszych usiłowań ku stworzeniu dramatu narodowego. Wszelako potrzeba na to uznania ze strony dyrekcyi i aktorów, że scena jest powołaniem; ze strony widzów, że jest ona obrazem życia, które nie w saméj tylko schadzce miłosnéj ma swoje najszczytniejsze i najzacniejsze chwile i że nie sam tylko akt ślubny jest zamknięciem stanowczem najwybitniejszych epok życia.

Otóż i o teatrze mówić tu wypadło, to jest o tem czego niema; bo w szczupłym zakresie przedmiotów mogących w obecnéj chwili reprezentować Kraków, nie małe zajmują miejsce te, które brakiem swym uderzają. Prawda że łatwiéj dostrzedz niedostaki niż zalety, łatwiéj okazać niezadowolenie z tego czego niema, niż poprzestać na tem co jest; wszelako na utorowanéj kolei jaką się toczy życie miejskie dzień po dniu i noc po nocy, to tylko można zanotować, co niedostatkiem lub wadliwością narusza regularność ruchu. Gdzie niema zadziwiających zdarzeń, tam zadziwiające tylko braki ściągają na siebie uwagę powszechną— braki takie tu i owdzie powyżéj dotkniętemi zostały, by jakokolwiek wyróżnić ten miesiąc od swego poprzednika i następcy.

Wiedeń w październiku.

Gdyby w pamiętnym roku kampanii rosyjskiéj, Napoleon miał był taką jesień, jaką my mamy teraz, kto wié, jakieby z tak małéj, w jego własném ówczesném mniemaniu, klimatyczno-strategicznéj okoliczności wielkie dla niego, dla Francyi i dla Europy, wyniknęły następstwa. Uwagę tę nasuwa mi prawdziwe latowe powietrze, którém oddycha dotąd Wiedeń, i okropny w wybitniejszych i prawdziwszych rysach niż w jakimkolwiek bądź innym opisie, skreślony obraz odwrotu wielkiéj armii z Moskwy, w czternastym tomie wybornego dzieła, które niezmordowany i wielki pisarz Thiers prowadzi daléj. Niepodobna wystawić sobie nic okropniejszego, nic mocniéj przenikającego umysł i serce. Najgłębsze plany wodza co trzymał w ręku swém losy prawie całego świata, najśmielsze pomysły, najpewniejsze rachuby, rozbiły się równie jak sto tysięcy wybornego jeszcze wojska, które wyszło z Moskwy z nadzieją przynajmniéj szczęśliwego powrotu do Polski; rozbiły się w przeciągu dwóch, najdaléj trzech tygodni, o kilka stóp śniegu i o kilkanaście stopni mrozu! Zima! straszny to nieprzyjaciel, zwłaszcza na północy. Szczęśliwe kraje południowe, słyszą o nim tylko z opowiadań. Lecz w Europie środkowéj stawia on nieraz groźne, ubogim zwłaszcza massom ludności, czoło. Ile nieszczęść wśród gwałtownych śnieżnych zamieci po lasach, górach i otwartych polach; ile cierpień po biednych, na pół nieraz rozwalonych chatach wieśniaczych; ile łez spadających na kamienną pościel nędzarza, wśród najwspanialszych ulic téj lub owéj stolicy? Dzięki Bogu, zdaje się, że w tym roku, Wiedeń przynajmniéj, będzie miał późną i łagodną zimę, wnosząc z ciepła i pogody jakie mamy dotąd. Podobnéj jak dzisiejsza jesień, nie pamiętam od lat wielu. Drzewa zrzucając przepaloną letnim skwarem powłokę, przywlekają tu i owdzie nową, wiosenną prawie, albo przynajmniéj tak do niéj zbliżoną na oko szatę, jak nasze męzkie i damskie ubiory. O watowanym płaszczu lub mantylce, nikt jeszcze nie myśli. Kapeluszów letnich, tak nazwanych Pamela, więcéj niż latem, gdyż powrót ze wsi do miasta, jest tu rzeczą mody

i zwyczaju, bardziéj niż powietrza. Obok szalów kaszemirowych i sukien jedwabnych, widać pełno lekkich, wydmuchanych, przezroczystych ubiorów. Wśród dnia przy kilkunastu stopniach ciepła, zwijają się tłumniéj nawet niż w przeszłych miesiącach pędzone ciekawością lub potrzebą, piękne z paryzkiemi nieraz w porównanie iść mogące, nóżki. Między trzecią i czwartą godziną z południa, Prater, to jedyne w Wiedniu dla koni i powozów miejsce popisu, ściąga na nowo tem liczniejsze pieszych nawet widzów tłumy, że zamiast letniego skwaru i pyłu, rzuca on przed wypieszczone w wiejskich ustroniach oblicza, lekki, świeży, właściwą téj porze roku nasycony wonią powiew, uścielając drogę bogatym z różnobarwnych liści utkanym kobiercem. Ranki i wieczory, lubo nieco chłodniejsze, są niemniéj czyste, jasne i pogodne. Mgła okrywająca zwykle w tym miesiącu swą wilgotną i ponurą szatą Sekwanę i Tamizę, topi się w przezroczystém zwierciedle Dunaju, odsłaniając przez pryzmę płynnych jego kryształów uroczy prawdziwie nieraz obraz obsypanego gwiazdami firmamentu i oświeconego rzęsistemi rewerberami miasta. Jedném słowem, jest to godzina poezyi, w monotonném i prozaiczném skąd inąd życiu Wiednia. Podróżny co go widział w téj godzinie i wyjechał nie czekając zanim przeminie, wywiózł z sobą, jestem pewien, pochlebne i przyjemne wspomnienie.

Lecz jeżeli widok powierzchowny tutejszego życia w téj chwili, jest tak zajmującym, jak smutne i zatrważające robi on wrażenie na tych, co chcą zajrzeć w skład jego wewnętrzny i zbadać jego głębsze warstwy. Ubóstwo i nędza, z któremi ludność wyrobnicza walczyła dotąd z cierpliwością i zwycięzko, zaczynają się przy drogości mieszkań i pożywienia z jednéj strony, a przy braku wciąż wyraźniejszym zarobkowéj pracy, z drugiéj strony, stawać coraz widoczniejszemi i przykrzejszemi. Stan przesilenia finansowego, tak okropny w całéj niemal Europie, dotknął i tutaj znaczną liczbę zamożnych handlowych i przemysłowych zakładów. Upadłości, o których już wiemy, i te które jeszcze nastąpić mogą, zmniejszyły nietylko łatwość kupna i sprzedaży, ale odjęły tysiącom rąk jedyny sposób zapracowania na życie. Wpływ moralny téj, wśród poprzednich złu-

dzeń, za niepodobny prawie, uważanéj zmiany, jest smutny i w dalszych swych następstwach trudny do ocenienia. Zachwiał on już spokojność i wytrwałość, te główne cechy charakteru ludności. Wywołał zwątpienie, smutek, a nawet i rospacz. Samobójstwa pokazały się w liczbie nieslychanéj dotąd w Wiedniu. Każdy dzień prawie zabiera z sobą nową ofiarę. Zrujnowani na majątku w jednéj chwili i nieszczęśliwi, ale ufni w przyszłość, przez długie lata rzucają się w tę przepaść, przenosząc śmierć nad hańbę lub nad dalszą z losem walkę. Trwoga i zamieszanie w sferach zwłaszcza handlowych, stały się już ogólnemi. Każdy list, każda telegraficzna depesza, drżącą otwarte ręką, niosą smutek lub niepewność w duszę. A że choroba jest ogólną, że dotknęła nietylko Europę, lecz i inne strony świata, nikt nie wie i przewidzieć nie może, gdzie się zatrzyma i jak skończy. Rządy, banki i zakłady kredytowe łączą się w usiłowaniach i spieszą z pomocą; lecz środki nawet najzbawienniejsze w zwyczajnych tego rodzaju wypadkach, zdają się nie wystarczać na zaradzenie teraźniejszym nadzwyczajnym potrzebom. Przy braku pieniędzy, który tu i owdzie panował od dawna, ratowano się kredytem, zaufaniem, nadzieją. Dziś wszystko zachwiało się razem, i na wszystkich punktach całego, można powiedzieć świata. Instytut tutejszy kredytu ruchomego, chce krajowe przynajmniéj klęski zagładzać. Wziął na siebie spłatę wierzycieli domu Boskowicza, i zdaje się, że ją doprowadzi do skutku. Mówią, że się zajmie również i innemi większemi upadłościami. Rząd ze swojéj strony przygotowuje już od dawna zapowiedziane rozporządzenia mające na celu zmniejszenie ciężarów publicznych i ścieśnienie wpłat na rozmaite przedsiębiorstwa założone na akcye. Przyjdzie zapewne i Bank narodowy w pomoc środkami, które już inne tego rodzaju zakłady za konieczne uznały. Przesilenie się skończy — lecz kiedy, i ile jeszcze będzie kosztowało ofiar!

Łatwo zgadnąć, że w takim składzie rzeczy, strona coraz szczuplejszego życia domowego, przemaga nad wszystkiemi innemi, mody, zwyczajów, nałogów, tych koniecznych wad życia towarzyskiego, wymagalnościami. O otwarciu salonów, o przyjęciach, zabawach, wieczorach, ani słychać. Wprawdzie najbogatsza część ludno-

ści bawi jeszcze na wsi, dzieląc czas między gospodarstwem i polowaniem. Lecz oszczędność, która i w najwspanialszych zamkach zaczyna coraz większą grać rolę, przeniesie się zapewne teraz z całą swą chlubną zresztą otwartością do pałaców i hotelów, zamkniętych dotąd w stolicy, z powodu nieobecności właścicieli. Już przeszła zima była w téj mierze wyraźną na przyszłość skazówką. Usprawiedliwiano się wówczas podróżą NN. Państwa po Włoszech. Otwartość będzie teraz jedyną zapewne i najlepszą wymówką.

Cokolwiekbądź, to pewna, że ktoby chciał sądzić o istotnym stanie usposobienia moralnego i finansowego ludności tutejszéj, z ulic lub teatrów i z domów zajezdnych, tenby i w téj chwili Wiedeń za najweselsze i za najbogatsze ogłosił miasto. Ja powtórzę raz jeszcze, że jest to miasto, w którém hotele są najdroższe i teatra najbrudniejsze w całéj Europie.

Wszakże przyznaję, że jedne i drugie pomimo tych wad, są zawsze pełne. Nie skarżę się już nawet ani na to co jem w jednych, ani na to co widzę i słyszę w drugich. Oświadczam tylko, że kuchnia dramatyczna, jeśli nie lepsza od jadalnéj, to przynajmniéj tańsza, i dla tego uboższéj nawet ciekawości przystępniejsza.

W operze główną nowością jest ciągle proces dyrektora p. Corneta, który jak wiadomo wyjechał ztąd napowrót do Hamburga po zapłaceniu za odebrany policzek 100 złr. na ubogich. Sąd apelacyjny ograniczył karę do téj summy, i uwolnił go od więzienia, na które był skazanym w pierwszéj instancyi. Panna Mayer, powód niewinny całéj téj awantury, wygląda czerstwo, świeżo, i powiadają, że przez wdzięczność ma poślubić wkrótce śmiałego swéj dobréj sławy obrońcę. Tymczasem śpiewa trochę słabiéj i niepewniéj, niż w roku przeszłym. Panna Titjens, pani Czillag i panna Liebhart, dzielą się pierwszemi rolami i względami publiczności. Co do muzyki, odżywiona opera p. Nicolai „Powrót wygnańca,“ była dotąd pierwszą nowością. Reszta repertoaru składa się z dawnych sztuk, i po większéj części włoskich i francuzkich tłumaczeń. Nowy balet ukaże się na scenie przy końcu tego miesiąca. Przyszłym dyrektorem opery ma być p. Eckert, jeden z dyrektorów orkiestry.

W Burgu *Trylogia* Grillparzera pod tytułem: „*Złote runo*“ ściąga licznych widzów. W innych sztukach panna Gossmann ma główny dla publiczności pociąg. Tłumaczenia lub naśladowania trzymają i na téj scenie pierwsze miejsce.

Towarzystwo włoskie, tak chlubnie przyjęte w roku przeszłym, wróciło pod dyrekcyą p. Rossi, i znalazło te same oklaski w teatrze *Josephstadt*. Odznacza się ono wybornym składem i niepospolitą wartością prawie wszystkich swych członków.

W innych teatrach przedmieściowych, tak nazwane farsy lokalne są głównym dla grubych żołądków pokarmem.

Poznań w październiku.

Po dwumiesięcznej niebytności wróciwszy nad brzegi Warty, i mając zdać sprawę z ruchu umysłowego w téj części kraju przez ten czas objawionego, zajrzałem do księgarń i drukarń poznańskich. Pierwsze zbogaciły się kilkoma nowo wyszłemi na widok publiczny księgami, drugie tak są zajęte, że nie łatwo wydołać mogą poruczonéj im pracy, która i brakiem zdatnych polskich drukarzy i niedostatkiem papieru często jest tamowana.

Konstanty Żupański, nie tyle przez chęć poszukiwania zysków, jak przez upodobanie w przedsiębiorstwie swojém i gorliwość o postęp piśmiennictwa naszego, najwięcéj się przyczynia do utrzymywania ruchu w drukarniach poznańskich. Nie zraża się on napotykanemi trudnościami, nie zniechęca wątpliwością korzyści, lecz skoro dzieło jakie wyszło z pod pióra zasłużonego pisarza, lub zdaje mu się posiadać istotną wartość, odważa się bez wahania na jego wydawnictwo. O tem jego usposobieniu przekonywa nas przedsięwzięte przez niego wydanie wszystkich dzieł Lelewela tyczących się Polski. Już on dawniéj wydrukował tego znakomitego i najpracowitszego badacza przeszłości ojczystéj niektóre pisma historyczne, jakoto: *Polska wieków średnich*, *Narody na Ziemiach Słowiańskich* i *Album rytownika Polaka*. Teraz przedsięwziął przedrukowanie reszty jego prac dotyczą-

cych Polski, które w znacznéj części przez Autora poprawione i uzupełnione zostały. Wydanie to nosząc tytuł *Polska, dzieje i rzeczy jéj*, obejmować będzie siedm tomów. Trzeci i czwarty już wyszedł z druku, pierwszy w tych dniach wyjdzie, a po nim ukażą się i następne. Ten tom pierwszy teraz pod prasą będący mieścić będzie rozmaite rozprawy dziś już do nabycia trudne, a które po części dołączone zostały do Atlasu p. Reginy Korzeniowskiéj, jakoto: 1⁰ *Pierwsze dziesięć wieków, czyli Chronologia Polski*; 2⁰ *Piszący tak w języku polskim, jak i w innych o rzeczach polskich*; 3⁰ *Obraz czyli dzieje Polski*; 4⁰ *Geografia*; 5⁰ *Kultura kraju*; 6⁰ *Alfabetyczny spis dziesięć arkuszy druku obejmujący bibliografii polskiéj*. Piąta rozprawa tu wymieniona jest nową pracą autora. Trzecia i czwarta w osobnych także poszytach teraz odbitą została. Drugi tom zawierać będzie *Dzieje Polski synowcom opowiadane*. Trzeci już wydrukowany mieści: *Uwagi nad Polską*. Czwarty: *Dostojności, urzędy, herby, pojedynki, grobowce królów polskich, pomniki, pszczelnictwo i bartnictwo*. W piątym tomie znajdziemy *Panowanie Stanisława Augusta* z nowemi dodatkami. W szóstym: *Polskę odradzającą się*. W siódmym *Dzieje Litwy i Rusi z przydaniem mitologii i rozprawą o rządach Senatora Nowosilcowa w Wilnie, wraz z Sprawozdaniem o deputacyi do Wierzbna z roku 1830*.

Te wszystkie pisma historyczne i rozprawy są nieocenionym zbiorem rozświeconych krytyką faktów i wiadomości. A choć nie każdy badacz dziejów ojczystych zgodzić się może na pogląd autora, każdy z jego szacownych prac korzystać będzie. Są to cegły, starannie obrobione ciosy, belki, płatwy, krokwie na dach powiązane, jest już i część budynku ręką Lelewela wzniesiona, lecz jeszcze wewnętrznie nie urządzona, jednak wspaniały gmach dziejów ojczystych dotąd nie stanął. Kiedyż się znajdzie budownik duchem Michała Anioła obdarzony, który tę świątynię przeszłości naszéj wzniesie, i w niéj tę przeszłość zachowa i uwieczni?

Przez miłośników dawnych rzeczy ojczystych mile powitanem zostanie wspaniałe wydanie jednego z dawnych zabytków mowy polskiéj, kosztownym nakładem Tytusa hr. Działyńskiego dokonane. W księdze téj in 4to, czcionkami Merzbacha na pięknym papierze wybitéj,

znajdują się najprzód tak nazwane kazania polskie wyjęte z kodeksu kazań łacińskich w bibliotece katedralnéj gnieźnieńskiéj przechowywanego. Na początku i końcu tego kodeksu inną ręką spisane zostały kazania polskie i łacińskie, a wśród tych łacińskich różne polskie wyrazy umieszczone. Otóż oprócz tych pierwszych będących zabytkiem starożytnéj mowy naszéj, wydawca umieścił *Glossarium* polskich wyrazów, które wśród owych łacińskich kazań napotkał. Daléj znajdujemy psalm 136 *Super flumina Babylonis* w różnych tłómaczeniach słowiańskich, dla porównania narzeczy i postępów mowy polskiéj przedstawiony, a więc w tłómaczeniach: cerkiewnem, w czeskich, w staro-korutańskim i w kilkokrotnych polskich, nie pominąwszy przekładu wyjętego z kodeksu od śgo Floryana, to jest, z Psałterza królowy Małgorzaty i z Biblii Sarosz-Patackiéj. Następują potem starannie wyrobione *facsimilia* pierwszéj części kazań polskich, niemniéj i Psalmu. Czyli ten szacowny zabytek mowy polskiéj który wydawca do roku 1420 odnosi, można nazwać kazaniami, należałoby się zastanowić. Nie zdają się one mieć charakteru nauk duchownych mówionych w kościele, będąc dziwną mięszaniną błędnych wiadomości historycznych z podaniami ewangelicznemi i z temi których autor musiał zaczerpnąć w jakichś wcale nieznanych nam legendach. Wprawdzie, każda przemowa zaczyna się od tych słów: „Dziatki miłe,“ wprawdzie znajdujemy parę razy powtórzony wyraz „mówię,“ który zdaje się oznaczać, że te nauki opowiadane były, lecz w innem miejscu napotykamy następujące wyrażenie: *a przetoć tuta wypisuje imiona królewskie*“ it.d. które wskazują że ten dawny zabytek był tylko pismem a nie słowem publicznie głoszonem. Przypuścić bowiem nie można, aby na początku piętnastego wieku, w którym zwłaszcza w Polsce, wiadomości i nauki były prawie wyłącznym duchowieństwa udziałem, znalazł się kapłan tak mało obeznany z nauką kościelną i z historyą, iżby publicznie wiernym w kazaniu ogłaszał, że cesarz August przysłał w darze mirrę Chrystusowi, że ś. Józef przybywszy do Betleem przed narodzeniem dzieciątka do pomocy Maryi „*był dwie babce wezwał*“, z których jedna nazwaną była Gebał, druga Salomee, że Inocenty papież był trzecim papieżem po ś. Piotrze, że ś. Jana

ciało wraz z duszą anieli w niebo unieśli, i wiele innych podań i twierdzeń najdziwaczniejszych. O tych dwóch babkach Gebał i Salomee musiał pisarz w jakiéjś legendzie tak niezgodnéj z opowiadaniem ewangelicznem powziąść wiadomość, lecz czyliż kaznodzieja lud nauczający byłby nawet w owym czasie śmiał ją w kościele wspominać? Mniemałbym więc, że tych pism tyle szacownych jako pomnik starożytny z 15 wieku starożytnéj mowy ojczystéj, za kazania uważać nie należy, i że one były tylko pracą jakiegoś mało jeszcze uczonego kleryka lub przepisywacza, dla własnéj wprawy lub rozrywki przedsiewziętą. Ozdobą téj nowo wydanéj księgi są wyrazy hr. Tytusa Działyńskiego poświęcające ją księdzu biskupowi Brodziszewskiemu szufraganowi gnieźnieńskiemu. Nie są one liczne, ale zwięźle i pięknie tłómaczą uwielbienie i wdzięczność wydawcy dla czcigodnego pasterza, iż równie z pokorą jak z stałością stanął w obronie prawdy kościoła katolickiego. „Kiedy wielkie nieszczęście, mówi wydawca, ten niemylny próbierczy kamień wartości człowieka i narodów, było dotknęło kościół katolicki w W. Księstwie Poznańskiem, a Ty zacny Panie umiałeś w duchu pokory połączonéj z niezłomną stałością wskrzesić w oczach naszych święte przykłady żywota męczenników pierwotnego kościoła, od téj chwili wdzięczność i uwielbienie ku Twojéj osobie stały się długiem narodowym.“

Z jak żywą radością widzimy w uczonym i zasłużonym mężu, potomku znakomitego rodu, odrodzenie przodków gorliwości religijnéj, i tę cześć głęboką dla poświęcenia i cnót katolickich.

Wydanie zabytku dawnéj mowy polskiéj, jak wszystkie, które Hrabia Działyński z rzadką szczodrobliwością przedsiębierze, jest, jakeśmy już rzekli, wspaniałe, a więc kosztowne, i ztąd nie każdemu przystępne. W czasie, w którym dostatki możnych w naszym kraju tak rzadko użyte widzimy na wsparcie nauk, uczonych i literatury ojczystéj, hojność Hr. Działyńskiego więcéj niż kiedykolwiek ocenioną być winna. Lecz niech się zapytać godzi, czyli to jego upodobanie w wystawnych wydaniach, okazujące wprawdzie jego cześć i uszanowanie dla wszelkich zabytków naszéj przeszłości, jest praktycznie użytecznem. Czyby nie właściwiéj było

mniéj ozdobne wydawać edycye, a czynić je łatwiejszemi do nabycia trudniącym się rzeczami ojczystemi?

W *Żłobku,* kolędzie dla dzieci księdza Antoniewicza, wydanym u Merzbacha, śliczne znajdują się nauki głoszone z tkliwością i z wdziękiem właściwym temu świętobliwemu kapłanowi. *Żłobek* podzielony jest na dni dziesięć, przy każdem jest stósowne opowiadanie, nauka z niego wyprowadzona, przy niej modlitwa i nakoniec, kolęda wraz z nutą. Przedruk poezyi Lenartowicza „Ś. Zofia“ wyszedł nakładem Żupańskiego.

Wydał on także *Powieść z czasu mojego* bezimiennego autora, będącą raczéj zbiorem niektórych wspomnień litewskich, niż powieścią. Wspomnienia te z prostotą, bez żadnych wysileń wyobraźni i stylu przedstawiane, mają tę zaletę, iż jak autor przyrzekł w przedmowie, zgorszenia nie przyniosą, będąc z poczciwem czuciem skreślone. Wiele jest w tem dziełku szczegółów i opowiadań mniej zajmujących, które autor mógł by był opuścić, lecz roździał o wspaniałości, powadze i pociągającéj rzewności nabożeństw kościołów polskich, jest pięknie skreślony. Opis tego co się działo w Litwie podczas wojny 1812 roku, obudza żywe zajęcie; parę zabawnych anegdot rozśmiesza, a znajdujesz czasem w ciągu tego pisma trafną uwagę i zdanie autora; jedno z nich jako nacechowane znajomością charakteru narodowego przytoczę. Mówiąc pisarz o skłonności Polaków do niepotrzebnych wydatków, twierdzi „że my łatwiej umiemy być wspaniałymi, jak dopełniającymi obowiązków naszych“.

Z anegdot jedną wspomnę. Gdy Hrabia Prowancyi, późniejszy Ludwik XVIII jechał do Odessy, przejeżdżając przez powiat Nowogrodzki przyjmowany był na stacyi pocztowéj w Nowinach przez Chorążego Michała Mackiewicza; książe francuzki wierny nawyknieniom dworu nie okazywał mu żadnéj uprzejmości i nie zwracał na niego uwagi. Wtenczas Mackiewicz godnością obejścia się swego tak go zadziwił, iż go książe spytał: „Kto WPan jesteś? — „Jestem równy Waszéj królewiczowskiej Mości i urodzeniem i nieszczęściem“ odrzekł Mackiewicz. — „A to jakim sposobem?“ zawołał Hrabia Prowancyi. — „Jako szlachcic polski, mówił daléj p. Chorąży, miałem niezaprzeczone prawo do tronu pol-

skiego, a więc równy jestem urodzeniem, dziś gdy wypadki polityczne pozbawiły mnie tego prawa, równy się stałem nieszczęściem.“ —

Wspomnieć nakoniec należy między nowo wyszłemi drukami *Obrazki Andersona* przekładu Hieronima Feldmanowskiego, który już poprzednio przetłómaczył był *Iwprowizatora* tegoż pisarza.

Z drukarni Kamieńskiego i Spółki wyjdzie wkrótce tłómaczenie bezimienne *Homilii S. Augustyna i Rys Dziejów narodu polskiego dla użytku młodzieży*, w katolickim duchu skreślony. Rys takowy, któryby młode w kraju naszym umysły oswoił z przeszłością narodu, dał im poznać jego dawne cnoty, zasługi, chwałę, a razem wszystkie winy i błędy, a któryby w nich żadnych szkodliwych nie zaszczepił wyobrażeń, żadnych mylnych mniemań, wielce jest pożądanym. Zobaczym, czyli ta praca na stanowisku katolickiem wykonana, odpowie w zupełności temu przeznaczeniu.

Pan Jarochowski, który zaszczytnie poznać się dał z swojéj pierwszéj części panowania Augusta II, którego to dzieła przedmowa szczególniej ściągnęła na niego uwagę czytających, przygotował kilka prac historycznych do druku. Można się nie zgadzać z autora poglądem na tę smutną epokę naszych dziejów, można mu nie jeden zarzut uczynić, czego artykuł w waszym Dodatku umieszczony w roku zeszłym dopełnił, lecz nie można odmówić mu talentu, nie można mu nie powinszować, że go niechce marnować zwyczajem dzisiejszym na jałowe i nie użyteczne pisma, ale krząta się koło poważniejszéj pracy, wymagającéj więcéj czasu, trudu, i nauki. — Lecz po wybornéj recenzyi dzieła jego umieszczonéj nie dawno, w *Wiadomościach polskich*, mało by już było do dodania o niém. Recenzyę tę zbyt znakomite skreśliło pióro, aby odgadnionem być nie miało.

Poszyt siódmy czasopisma literackiego tutejszego ukaże się w przyszłym tygodniu. Słyszeliśmy, że głównemi jego artykułami będzie pismo o Sprawach Polskich w rocznikach kościelnych, które ks. Augustyn Theiner dalej po kardynale Baroniuszu, tudzież ks. Odoryku Raynaldzie i Luderchiuszu prowadził; i recenzya piśmiennictwa literackiego, a w szczególności *Dodatku miesięcznego do Czasu.* — Recenzya ta, jak nam mówiono,

jest bardzo szczegółowa i zajmuje się numerami wyszłemi aż do miesiąca lipca. Sama obszerność jej dowodzi, ile krytyk ocenia usiłowania i zasługi Redakcyi *Dodatku*. Wielu on artykułów wartość istotną uznaje, o nie jednym z przychylnym odzywa się sądem, lecz podobno o niektórych zbyt surowe, a może nawet niesprawiedliwe zdanie wyraża, zapatrując się na nie ze zbyt wyłącznego a właściwego sobie stanowiska. Krytyka w tém piśmie poznańskiem zwykle bywa uzasadniona, z znajomością przedmiotu dokonana, często zręczna, nigdy namiętna. Różni się ona od tych, które w niejedném piśmie peryodycznem dzisiejszem spotykamy, a które nigdy miary znaleść nie umieją czy nie chcą, ani w pochwałach ani w naganie. Lecz pismo poznańskie zwracając szczególniej swój pogląd w jedną stronę, nie dozwala sobie pochwalać żadnych objawów ducha i talentu, nie mogących miejsca znaleść w widnokręgu jego. Ztąd pochodzi, iż dostrzegłszy w dziele jakiem to co być błędnem lub szkodliwém mniema, już odwraca wzrok od całości, i wartości zalet szczegółowych nie rozpoznaje. Skoro strona ujemna ściągnie na siebie baczność jego krytyki, już dodatnia jest niejako dla niego stracona.

Z poezyi w tym poszycie umieszczony będzie wiersz nowy Deotymy, i „Wierzba“ księżny Puzyniny; a tak czytelnik będzie mógł porównać oba najgodniejsze w kraju naszym natchnienia niewieście. Poszyt ten obejmować ma także recenzyę ostatniego wydania Poezyi Pola, i bardzo — za nadto obszerną kronikę religijną, która stając się zbyt szczegółową, przestanie być czytaną. Ta część tego pisma przybrała takie rozmiary, iż należy się obawiać, aby drugi, to jest literacki oddział, przez nią jeżeli nie wyrugowany, to przynajmniéj znacznie uszczuplony nie został.

Jak w kraju naszym umysły potrzebują zajęcia i ruchu, dowodzi ta drobna okoliczność, iż gdy w Poznaniu ogłoszony został konkurs do bardzo mało znaczącéj nagrody za najlepszą satyrę przeciw grze w karty, z wszystkich stron satyry takowe jakby rzęsisty deszcz lunęły. Mówiono mi, że ich liczba znacznie wzrosła, i że między 8 lub 10 polskiemi dwie niemieckie pośpieszyły także w szranki. Nagrododawca bowiem zanie-

dbał w swém ogłoszeniu wyrazić, że tylko polskim wierszem napisane o nagrodę ubiegać się mogą.

Kończąc moje z tego miesiąca literackie sprawozdanie, winienem słowo radosne umieścić o wznoszących się tyle użytecznych zakładach zakonnych płci żeńskiéj. W Kurniku, w majętności Tytusa Hrabiego Działyńskiego zaprowadzone zostało zgromadzenie Siostr miłosierdzia, dla których właściciel Kurnika czynem także udowodniając gorliwość religijną, w przedmowie wyżéj wspomnianéj objawioną, obszerny budynek w roku następnym wznieść zamierzył. W tych dniach przybyły z Paryża z domu głównego, cztery Siostry serca Jezusowego (*Dames du sacré coeur*) dwie Francuski, jedna Niemka, jedna Polka, które wkrótce zakład wychowania dla płci żeńskiej urządzą i otworzą.

Lecz najsilniejszym dowodem, jakich cudów zdolna silna wiara w łaskę Boską, miłość i gorliwość chrześciańską, przekonywa zakład Siostr Urszulanek przed trzema miesiącami zaprowadzony w Poznaniu, a tak szczupłemi przy zaprowadzeniu funduszami opatrzony, iż takowe zaledwie część należytości za domy zakupione spłaciły. Tymczasem, jak gdyby wyższa moc dwoiła siły, gorliwość i możność osób zarządzających tem zgromadzeuiem zakonnem, lub niem się opiekujących, już to zgromadzenie urządziło się, usadowiło, już otworzyło szkołę i zakład wychowania dla kobiet; do pierwszéj już 120 dzieci ubogich uczęszcza, a drugi już 50 uczennic za opłatą oznaczoną przyjmowanych, a 45 na godziny nauk z miasta przybywających liczy. Ani wątpić, że zakład ten, acz żadnemi możnemi ofiarami nie zasilony, a już zalecający się starannością, porządkiem i opatrznem urządzeniem, utrzyma się i zakwitnie, bo nim zarządza szanowna, poświęcona i wielce wykształcona Przełożona, bo się nim opiekują ludzie dobrej woli, a miłosierdzie Boże widocznie go wspiera.

Berlin w październiku.

W ostatnich dniach pierwszéj połowy bieżącego miesiąca postawioną i odsłoniętą była ostatnia, ósma,

marmurowa grupa na moście zamkowym w Berlinie. W tym samym czasie król Fryderyk Wilhelm IV niebezpieczną dotknięty chorobą, leżał na śmiertelném łożu w poczdamskim zamku Sanssouci.

Co ma z sobą wspólnego grupa na moście z chorobą króla? Ja nie wiem co ma wspólnego, gdy na jednę i na drugą patrzę z stanowiska praw przyrodzenia i rozumu; ale wiem, że wyobraźnia ludu, lubiąca bardzo często łączyć z sobą najodleglejsze i najróżniejsze przedmioty i wypadki, osnuła podanie: że postawienie grup na moście zamkowym będzie znakiem zbliżenia się ostatnich chwil życia panującego monarchy.

Złowroga wyrocznia nie sprawdziła się. Król powstał z choroby i zaczyna powoli przychodzić do zdrowia. Zapomniano nawet całkiem o podaniu. Nikt go w tym czasie w pamięci ludu ani ustnie ani piśmiennie nie odświeżył. Grupę ostatnią postawiono i odsłonięto w największéj cichości, prawie bez świadków. Nie czekano z odsłonięciem, jak było zapowiedzianém, na dzień urodzin królewskich, ale owszem przyspieszono je o parę dni, i dopełniono w téj saméj chwili, w któréj życie monarchy znajdowało się w największém niebezpieczeństwie i zdawało się uchodzić bezpowrotnie. Nie przywiodła nawet nikomu podania powyższego na pamięć postać odsłoniętéj na ostatku grupy, wyobrażającéj „Iris unoszącą poległego w boju bohatyra do Olimpu.“ A przecież tak bliskim był związek postaci téj z aniołem śmierci przy łożu króla!

Miałże był najpoetyczniéj ze wszystkich swoich poprzedników usposobiony monarcha, którego żywot oznaczony był nadto tylu tragicznemi wypadkami, umierać bez znamion wieszczych na ziemi i na niebie, bez nadzwyczajnych i poetycznych oznak i okoliczności towarzyszących ostatnim chwilom jego życia, bez obudzenia nawet w spółczesnych sobie ludziach pamięci dawniejszych wydarzeń, które wyobraźnia idealniejszych czasów ubrała w poezyą podania i powiązała z jego osobą? Proza dzisiejszych zmateryalizowanych stosunków ludzkich miałażby już tak dalece rozszerzyć i utwierdzić swoje panowanie, że nawet wiara w duchowy związek tego świata z drugim, wiara utrzymywana przez wieki tysiącem zakonów, podań, objawień, cudów staciła moc

swą pomiędzy ludźmi, nie wywierając na serce, umysł i wyobraźnią ich żadnego wpływu?

Bo nawet *Biała Pani*, pokazująca się w zamku przed każdém ważném wydarzeniem w rodzinie królewskiéj, nie pokazała się tą razą. Widziano ją po raz ostatni w roku 1850, kiedy życiu króla zagrażał morderczy zamach chorego na umyśle żołnierza Sefeloge, wykonany na tutejszym dworcu poczdamskiéj drogi żelaznéj. Widziano ją w roku 1840, kiedy Fryderyk Wilhelm III, ojciec panującego króla, kończył dni swoje.

Biała Pani uważa się za matkę rodu Hohenzollernów. Pokazuje się już dniem, już nocą, odziana w długą obszerną białą szatę, z pękiem kluczy przy boku. Pokazuje się pospolicie starym sługom, mamkom, żołnierzom stojącym na warcie. Stąpa bez szmeru i łoskotu wolnym niepostyszanym krokiem po korytarzach i komnatach. Drzwi otwierają i zamykają się przed nią i za nią same i bez skrzypienia. Lubi wchodzić do sypialnych i dziecinnych pokoi, kołysze dzieci i czuwa nad niemi podczas snu mamki lub piastunki, znikając z cichością cienia spostrzeżona przez przebudzone. Niema, ani się sama odzywa, ani na zagadnienia odpowiada. Pokazanie się jéj zwiastuje pospolicie smutne, śmierć w rodzinie zapowiadające, lecz niekiedy i radośne wypadki. Dorzucam kilka słów o jéj pochodzeniu.

Początki historyi Białéj Pani, pokazującéj się na zamkach rodu Hohenzollernów, odnoszą badacze podań i powieści do Agneszki hrabiny Orlamuende. Pochodziła ona z książęcego rodu Meran, który wygasł 1248 r. Małżonka hrabiego Ottona z Orlamuendy, powiła mu dwoje dzieci. Po śmierci męża r. 1293, rozniecił płomień miłości w niemłodéj już ale pięknéj wdowie, Albrecht Piękny, burgrabia norymberski, z rodu hrabiów Zollern, z którego wyszli Hohenzollernowie. Miłość ta tragiczny wzięła koniec. Bo gdy Albrecht oświadczył jednego razu Agnieszce, że cztery oczy są jedyną przeszkodą do pojęcia jéj w małżeństwo, ona zabiła oba swoje dzieci, nie osięgnąwszy przez to celu życzeń swoich. Opuszczona dla zbrodni téj przez Albrechta, skończyła żywot swój w więzieniu w dzisiejszém bawarskiém mieście Hof. Historya ta tłumaczy wskazane powyżéj znaczenie pokazującego się ducha nieszczęśliwéj kochanki i matki.

Inni odnoszą początki historyi o Białéj Pani do Berty z Rosenberga, matki czeskiego rodu Rosenbergów, pokrewnionego z różnemi panującemi książęcemi domami w Niemczech, które także mają swoje Białe Panie. Inni znowu poczynają jéj dzieje aż od bułgarskiéj księżniczki Kunigundy, która w pierwszém zamęściu była za Ottokarem II, królem czeskim, w drugiém za jednym z Rosenbergów, z którymi już najdawniejsi margrabiowie brandenburscy zostawać mieli w pewnych pokrewieństwa stosunkach. Biała Pani czesko-rosenberska, rozciągłaby więc opiekę swą na najodleglejsze latorośle pierwotnego szczepu rodowego. Pokazuje się bowiem nietylko na zamkach rodziny Rosenbergów w Czechach, w Morawii, w Szląsku, mianowicie w Neuhaus, Krumau, Telczach, Kynast i Kynsbergu, nietylko na zamku berlińskim, ale i w Darmstadt, Baireuth, Ansbach, Altenburgu, a nawet w Londynie, Sztokholmie i Kopenhadze. Zabłądza nawet podobno niekiedy do Rydzyńskiego zamku książąt Sułkowskich w W. Ks. Poznańskiém.

Otóż Biała Pani ta, nie pokazała się tą razą na zamku berlińskim. Czy dla tego, że królowi groziło tylko niebezpieczeństwo umysłowéj śmierci, lecz nie fizycznéj? Czy że leżał chory nie w Berlinie lecz w Sanssouci, gdzie Biała Pani nie ma przystępu, bo tam panują mocniejsze duchy Fryderyka II, Woltera i wielka ćma innych z wieku oświecenia, które szydziły z widm, upiorów i wszystkich zaświatowych potęg i wpływów? Czy że pokolenie dzisiejsze stolicy pruskiéj przesiąkłe jest od stóp do głów podobną niewiarą? Czy że panujący dziś królestwo nie mają bezpośredniego potomstwa i następstwa korony? Czy wreszcie, że ostatnie przeznaczenie Fryderyka Wilhelma IV wskazane już było w ludowém podaniu o marmurowych grupach na moście zamkowym? Kto zdoła wniknąć w tajniki Białéj Pani? Dosyć, że matrona nie raczyła pokazać się nikomu; co gdyby publiczność stolicy miała na uwadze, mogła była wróżyć z większą niż biuletynów lekarskich pewnością, że czas żywota monarchy jeszcze się nie spełnił. Rozstęp tylko pewien utworzył się pomiędzy ciałem a duchem.

Skutki téj smutnéj katastrofy nie są jeszcze wiadome. Wyobraźni ludowéj nie trudno jednak będzie dopatrzyć w niéj spełnienia się przepowiedni podania o grupach

mostowych, między których cielesną postacią, czysto pogańską, a duchem chrześciańskim, cechującym tak widocznie wszystkie czynności panującego monarchy, podobny jest rozstęp.

Skąd się wzięło to podanie? Skąd się biorą wszystkie podania. Z nadzwyczajnych zjawisk natury, z wielkich wypadków w społeczeństwie, z utworów wyobraźni ludowéj, z natchnień i objawień pojedynczych ludzi. Podania nie są utworem dawnych tylko i ciemnych wieków. Powstaje ich i ginie bardzo wielka liczba i w naszych cywilizowanych czasach. Obok dziejów piśmiennych ciągnie się nieprzerwanie żyjąca ustna tradycya, niekiedy więcéj warta niż pisane kroniki, tradycya, „w któréj lud składa broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.“

Tak i podanie, o którém tu mówię, jest utworem nowszego czasu. Przed kilkunastu laty, jeszcze za panowania przeszłego króla, zjawił się tu pewien wieszczbiarz, jeśli sobie dobrze przypominam, nazwiskiem Sohn. Ludzie tacy nie są w Berlinie, chociaż to miasto tak refleksyjne, rozumujące i oświecone, żadną rzadkością, jak nie są nią w Paryżu. Najrozumniéjsi ludzie miewają swoje przesądy i zabobony. Wieszczek ten ściągał do siebie tłumy ciekawych. Za małą zapłatę wróżył, zgadywał, przepowiadał, zwykle dość trafnie, wpatrując się poprostu w fizyonomię stojącéj przed sobą osoby. Sława jego rozeszła się po całém mieście. Pytano go o coraz ważniejsze rzeczy. Wieszczek posunął się aż do przepowiedzenia roku i dnia śmierci przeszłego króla, co się spełniło. Policya, światlejsza niż publiczność, i wolna przez rozkaz z góry od wszelkich guseł, wróżb i zabobonów, zamknęła mu usta.

Po wstąpieniu nowego króla na tron, zaczęto mówić o wielkich nowych budowlach, które król miał zamiar stawiać, o wykonaniu projektowanych przez zmarłego króla, między innemi o postawieniu marmurowych grup na moście zamkowym, od kilkunastu lat zbudowanym, i tylko jeszcze téj ostatniéj ozdoby, nie wiadomo dla jakich przyczyn, tak długo pozbawionym. W tym czasie wieszczek nasz znowu był wystąpił z zacisza swego, przepowiedział, nie wiem już przy jakiéj sposobności, że postawienie grup na moście, będzie znakiem kończą-

cego się kresu żywota Fryderyka Wilhelma IV. Przepowiednia rozeszła się pomiędzy ludem, i utrzymywała się dotąd jako żyjące podanie — o którém, jak powiedziałem na początku, w ostatniéj chwili zapomniano.

Co mogło dać powód wieszczbiarzowi do téj przepowiedni? Zapewne następujący wypadek: Most zamkowy zbudowany wedle pomysłu i rysunku sławnego Schinkla, był właśnie dokończony, kiedy panujący dziś król żenił się z Elżbietą księżniczką bawarską. Było to dnia 29 listopada 1823 r. Uroczysty wjazd nowożeńców do stolicy, miał być zarazem dniem otwarcia mostu. Oni pierwsi mieli przezeń przejechać. Natłok ludu był niezmierny, największy w bliskości zamku i nowego mostu. W czasie pracy około niego, rzucony był przez rzekę dla utrzymania komunikacyi inny tymczasowy most z drzewa, tuż przy tamtym wystawiony. Przezeń cisnęła się i waliła cała masa ludu w czasie przejazdu następców tronu, i w chwili, kiedy ich kareta galowa wjechała na most nowy, most drewniany załamał się, i paręset ludzi wpadło do wody, w któréj większa część znalazła śmierć swoję. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wypadek takowy sprawił na nowożeńcach. Winę jego zwalono na policyę, która po wjeździe karety galowéj na most nowy, tenże natychmiast zamknęła, przez co na most drewniany tém większy stał się nacisk, a w skutku tego, rzeczone nieszczęście. Lud uważał je za złą wróżbę dla przyszłego panowania młodéj pary. Wróżba pod wielu względami nie była mylną. Czas zatarł jéj początek i pamięć. Wieszczbiarz berliński wysnuł jednak z niéj ostatni wątek życia Fryderyka Wilhelma, wiążąc go z ostateczném dokończeniem mostu przez postawienie na nim grup marmurowych.

Królowi nie była niewiadoma ta przepowiednia, którą znał każdy mieszkaniec stolicy a może i kraju. Że monarcha tak głęboko i wszechstronnie wykształcony nieprzywięzywał do niéj żadnego znaczenia, dowodem tego najlepszym postawienie grup na moście. Rozkaz do robienia ich wyszedł zaraz po wstąpieniu króla na tron. Dokonanie budowli i dzieł sztuki od ojca swego przejętych, uważał król za obowiązek synowski, który przeważał wszystkie inne względy. Nadzwyczajna tylko przewłoka w postawieniu grup mogła utrzymać wiarę

pomiędzy ludem, że przyczyną tego jest powyższe podanie. Gdy przed dwoma laty wreszcie pierwsze siedm grup postawiono, a przepowiednia się niesprawdziła, podanie straciło całą wartość swoję i powagę, i to było zapewne przyczyną, że nie pamiętano nawet o niém, gdy niebezpieczne chwile choroby królewskiéj przypadły właśnie na czas postawienia ostatniéj grupy. Dziś dochodzą mię już głosy, które szepcą, że przepowiednia w większej części sprawdziła się, i że choroba króla istotnie się już od postawienia pierwszych siedmiu grup poczęła. Niemasz pewniejszych proroków jak po dokonanym czynie. Wtenczas noc ciemna staje się dniem jasnym, nieodgadniona zagadka prawdą oczywistą, myśl senna słowem wcielonem i czynem na jawie, głupiec jasnowidzącym mędrcem, który rozdarł przed czasem zasłonę wyroków niebieskich!

Oto na dokończenie krótki opis grup w porządku, w jakim wedle pomysłu Schinkla po sobie następują. Most zamkowy jest połączeniem szeregu narodowych pomników rozstawionych na przestrzeni od Bramy brandenburskiéj aż do muzeów i zamku królewskiego. Wypadało ozdobić go odpowiednim sposobem, to jest, nadać mu wojenne piętno w klasycznéj starożytnéj formie. Ztąd pomysł połączenia wojowników z Minerwą i Wiktoryą w różnych przejściach i stopniach życia wojennego. Z jednéj strony mostu, idąc od Lip ku zamkowi, grupy wyobrażające wojowników od rozpoczęcia sztuki robienia bronią aż do uwieńczonego powrotu z boju; z drugiéj strony grupy wyobrażające wojowników od powstania z ran, postępujących przez nowe boje ku uwieńczonéj bohaterskiéj śmierci. Po każdéj stronie mostu cztery grupy, stojące na podwójnych postumentach, spodnim z szlifowanego granitu, górnym z szarego szląskiego marmuru.

Pierwsza grupa, dzieło rzeźbiarza E. Wolffa, przedstawia Wiktoryą, która dorastającego młodzieńca wzywa do boju, wskazując mu wyryte na tablicy imiona Aleksandra, Cezara i Fryderyka.

Druga grupa, dzieło rzeźbiarza Schievelbeina, wyobrażająca Minerwę, uczącą młodego wojownika rzucać oszczepem.

Trzecia grupa, dzieło rzeźbiarza Moellera, wyobrażająca Minerwę, zbrojącą młodego wojownika do boju.

Czwarta grupa, ostatnia po prawéj stronie, dzieło rzeźbiarza Drake, wyobrażająca Wiktoryą, wieńczącą zwycięzkiego bohatera po ukończonym boju.

Piąta grupa, pierwsza z lewéj strony, dzieło rzeźbiarza Wichmanna, wyobrażająca Wiktoryą, podnoszącą rannego wojownika.

Szósta grupa, dzieło rzeźbiarza A. Wolffa, wyobrażająca Minerwę, zagrzewającą powstałego z ran wojownika do nowego boju.

Siódma grupa, dzieło rzeźbiarza Blaesera,— najlepsza ze wszystkich — wyobrażająca Minerwę, niosącą wojownikowi pomoc w ostatnim stanowczym boju.

Ósma grupa, ostatnia w porządku, dzieło rzeźbiarza Wredowa, wyobrażająca Wiktoryą w postaci Iris, unoszącą poległego w boju bohatera do Olimpu.

Wszystkie te grupy wykonane są według greckiego stylu. Wojownicy po większéj części nadzy. Wiadomo, jaki z tego powodu powstał dwa lata temu skandal w publiczności i spór w prasie tutejszéj. Mówiłem już o tém w artykułach o rzeźbiarstwie. Ostatnia grupa przesadziła inne w nagości.

Bohater leży przegięty na lewém ramieniu Wiktoryi, z wypiętym przodem ciała bez żadnéj osłony, jakby umyślnie wystawiony na widok publiczny. Niektórzy z krytyków, tą razą słusznie, na to nadużycie powstali, zwłaszcza, że grupa nie zaleca się wcale ani kompozycyą ani wykonaniem. W całości most wspaniały sprawia widok. Grupy wykonane są z najtwardszego kararyjskiego marmuru.

Paryż w październiku.

Dwie rywalki walczące z sobą o berło literatury francuskiéj, *Akademia* i *Towarzystwo literackie*, chcąc rozniecić w piszącéj młodzieży święty ogień natchnienia, z każdym dniem gasnący, naznaczyły skłonnym do rymów autorom, dwa konkursa. Pierwsza, zawsze wierna klasycznéj epopei, w braku wyższego przedmiotu, za-

dała *Wojnę Wschodnią*; druga, systematycznie zbratana z duchem swego czasu, wskazała jako przedmiot poematu *Upiększenie Paryża.*

Na skinienie dwóch belletrystycznych mocarek zbiegły się roje konkurentów; sędziwa Akademia naliczyła ich przeszło półtorasta. — Towarzystwo Literackie, że nowe i hojniejsze, nie mogło nadążyć czytać w odpowiedzi na swe wezwanie nadsyłanych foliałów. Przedmiot tak dalece nęcił każdego, że sama nawet Jaśnie Oświecona Bursa, Przewielebny Handel, oraz Wielmożne Kredyty ruchomy i nieruchomy, których czyny i aspiracye są zadaniem codziennych konkursów tutejszych pisarzy, na chwilę ustąpiły z drogi słonecznemu wozowi Apollina.

Jakoż, tak fantazya poety, jak patryotyczne uczucie, miało tu obszerne dla siebie pole: obrazów gotowych rozmaitość wielka—niewyczerpane źródło porównań—faktów i dzieł dających się podnieść do ideału, mnóstwo — każdemu z konkurentów zdawało się, że ze sccn wystrzyżonych przez samą historyę, będzie można jak z tekturowego patrona rzecz przerysować — że dodawszy nieco cudowności i koloru, z Wojny Wschodniej da się ułożyć poemat co zaćmi Iliadę — a z Nowego Paryża coś, co przewyższy Wiktora Hugo opisy koronkowéj stolicy Ludwika XI.

Tak się zdawało — cóż bo się niezdaje ludziom zapatrzonym w swe wielkie cele — ale jakby na przekór zarozumieniu młodych rymotworców, poezya nie stawiła się na ich wezwanie. Kapryśna ta córa niespodzianki i zapału, jak owa bajka Krasickiego, nie przychodzi do tych co jéj wołają jak czajki — zamiast stąpać po wysypanéj piaskiem i kwiatami drodze, woli odkrywać scieżki, po których jeszcze nawet myśl ludzka nie chodziła, a odwiedzać tych tylko co na nią nie czekają.

Stało się tedy, że pomimo łatwości zadania, w całéj armii na papierze zdobywającéj Sebastopol, Akademia nie odkryła ani jednéj piersi godnéj zaszczytnego znaku — i z bólem serca, choć wątpiąc w gruncie czy znajdzie już dziś rycerza któryby klasyczną zbroję i oręż podźwignął, drugie do tejże mety wyznaczyła turnieje.

Zadanie Towarzystwa Literackiego pomyślniejszy uwieńczył skutek. Paryż, a raczéj przemysł, natchnął francuskich bardów silniej niż Sebastopol — dzieła pokoju przemówiły do nich wymowniej niż czyny wojenne; rymowane obrazy Paryża pojawiły się ładne, gładkie, błyszczące kolorami i pokostem — ale zawsze tylko ze stanowiska racyonalnego widziane. Opisu Paryża z odwieczną jego historyą, żaden z młodych synów staréj Lutecyi nie związał; każden dał formę, ale niewlał w nią ducha; zajęty chwilą obecną, ani pomyślał spojrzeć po za siebie, wspomnieć o sterczących, obok nowych cegieł, kamienych widmach przeszłości... a jednak, gdzież ich więcéj jak tutaj?...

Paryż, to kamienna kronika w któréj wyczytać można całą historyę wielkiego narodu — dziesięć miast w jedném, reprezentowanych przez główne gmachy. Paryż Katarzyny Medicis uosabiają *Tuilerye*, szacowny zabytek architektury szesnastego stulecia, i zarazem karta dziewiętnastowiecznych dziejów Francyi zapisana kulami dwóch rewolucyj; Paryż Henryka II, *Hôtel-de-Ville*, gmach wymowny o szlachetnym profilu; Paryż Henryka IV, *Place Royale*, zabudowany w trójkolorowe domy, których fasady z cegły czerwonéj, narożniki z białego kamienia, a dachy z sinego łupku, wdzięcznie śmieją się do słońca. Paryż Ludwika XIII uosabia *Val-de-Grâce*, karłowaty kościół o brzuchatych kolumnach; Paryż Ludwika XIV, *Inwalidy*, gmach wielki, bogaty, złocisty a zimny; Paryż Ludwika XV, reprezentuje godnie wątły, manierowany i upstrzony *Saint-Sulpice*; Paryż Ludwika XVI, *Panteon*, nieudolna kopia Bazyliki św. Piotra; Paryż Rzeczypospolitéj, *L'Ecole-de-Médecine*, niby grecko-rzymska budowa, tak podobna do Kolizeum i Parthenonu jak konstytucya roku III do praw Minosa; Paryż Napoleona na *Place - Vendôme* jaśnieje, uosobiony szczytnie w bronzowéj kolumnie ulanéj z dział nieprzyjacielskich i uwieńczony statuą Cesarza, który:

.... „jak Rodyjski posąg, świecznik trzyma,
I jedną nogę wsparł na martwych grobie,
Drugą na zamku królów... Gdzie oczyma
Sięgnął—tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.“

Nakoniec Paryż Restauracyi wyraża *Bursa*, droga bo dwadzieścia milionów kosztująca episjerska kopia greckiej świątyni, która z resztą odpowiada zupełnie swemu przeznaczeniu: tem jest bowiem dziś Giełda we Francyi czem była kiedyś w Grecyi Świątynia.

Z każdym z tych charakterystycznych gmachów wiążą się tysiące domów, które rozróżnić łatwo, bo wybitny w nich duch wieku, a fizyonomia króla odciśnięta na każdéj klamce. Wszystko tu tak wymowne, tak plastyczne, że nawet prostakowi tajemnice swéj duszy odsłania: któż nie spostrzeże, iż Wyspa Ludwika S., ta kolebka Paryża, opasana niebieską wstęgą Sekwany, ma istotny kształt kolebki? — któż przejdzie przez ogromny Plac *Rewolucyi*, dziś placem *Zgody* zwany, ażeby się nie spotkał z widmem gilotyny? Któryż z nas stanąwszy przy hieroglifami zapisanym kamieniu, gdzie niegdyś spadła głowa Ludwika XVI, niepowtórzy pytania, które przed dziesięciu laty, w tem samem miejscu zadawał sobie Juliusz Słowacki:

„Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,
Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli
Co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli.
Lud cały kona, katy i obrońce,
Dnia im nie stało, aby się wysiekli;
I przeczuwając krwawéj zorzy końce,
Jak Jozue wołali: dnia trzeba — stój słońce!“

Któż obojętnie pominie ponury kościół *Notre Dame*? Kogóż w głębokie nie pogrąży dumania ta majestatyczna postać i ta

„Gotyckim kunsztem ukształcona ściana.
Rzekłbyś — że zmarła matka twojéj matki,
W czarne brabanckie koronki ubrana,
Z chmur się wychyla jak duch Ossyana“.

A teraz, po przez las wieżyc, kolumn, arkad, łuków, obelisków i posągów, spojrzyj w to miasto potężne, uchwyć ogólny kontur jego rysujący się na niebie jak

olbrzymia szczęka rekina — roztop go we mgle która ustawicznie szczyty jego oblega — oświeć go słońcem, gazem lub księżycem, co głowy wież jego zwykł srebrzyć misternie — i powiedz, czy jest drugi z ducha i kształtu wznioślejszy do poematu przedmiot?

A jeżeli jeszcze nie dość silnego przez oczy doznałeś wrażenia — jeżeliś nie zrozumiał tajemniczéj mowy granitów — wejdź o świcie na szczyt jaki wyniosły i posłuchaj pierwszego słowa budzącego się Paryża. Posłuchaj, jak za danym przez słońce znakiem, na raz uderzą serca tysiąca dzwonów, a słuchając téj pieśni poważniejszéj od porannego hymnu przyrody, zrozumiesz niechybnie, że trzymasz ucho na sercu świata.

Poranna pieśń Paryża ma urok niezrównany. Płynie ona ku niebu w owéj tajemniczéj chwili, kiedy perłowe powietrze walczy jeszcze ze słońcem, i jego brylantowe strzały swym opalowym odpiera puklerzem..... Z początku, tu i owdzie z rzadka ozwie się dzwon, jakby muzykant dający drugiemu hasło zaczęcia koncertu... chwilę trwają sygnały — aż nagle z każdej wieżycy tryska ku górze piramida dźwięków — z razu wyraźna jak solo w chórze, wkrótce utopiona w wzburzonym oceanie śpiżowych bałwanów... W porannym tym hymnie rozróżnisz jednak tysiące odrębnych, poważnych, posępnych, głuchych lub wrzaskliwych dyalogów: rozpoznasz bogatą gammę siedmiu dzwonów świętego Eustachego — srebrną mowę Loretańskiéj dzwonnicy — głuche jęki z wieży świętego Rocha — i setki innych dzwonów, co wszystkie razem śpiewają różnemi tony, a chwilami jak pod uderzeniem młota cichną, przygłuszone potężnym akordem ogromnego dzwonu Katedry.

Za prawdę, jestto opera której posłuchać warto! Dzienny gwar Paryża, to jego mowa — poranny jest jego modlitwą, a kto ją raz w życiu słyszał, przyzna, że niema nic w świecie wspanialszego i wznioślejszego nad tę pieśń śpiewaną rannéj zorzy przez dziesięć tysięcy śpiżowych głosów, nad ten gród przemieniony w kapelę, nad tę symfonię grzmiącą jak nawałnica!

Ale wróćmy do konkursu. Mówiłem ci tedy, że przedmiot zadany przez Towarzystwo Literackie był piękny, i że młodzi autorowie z tego zadania wywiązali się lepiej niż z epopei — przez co bynajmniej powiedzieć

nie chciałem, że Paryż znalazł swoich poetycznych dziejopisów. Najgórnolotniejszy z nich i ukoronowany, p. Henryk Derville, nie wzniósł się nawet do szczytu wieży świętego Jakóba, a cóż mówić o wieżach *Notre Dame!*

Szanowny laureat nie ma skrzydeł — za to ma rozsądek — przymiot niekoniecznie potrzebny poecie, ale że narodowy, popłaca. Zamiast więc bujać w powietrzu, Derwille spaceruje sobie po ziemi — zagląda do sklepów — chwali pod sznur wyciągniętą ulicę Rivoli, która jest piękna ani słowa, dobrze wybrukowana i zamieszkana przez bogatych kupców — Luwr nowy; podoba mu się daleko więcéj niż poczerniałe kamienie wchodzi do nowych kawiarń, koszar, do pałacu wystawy, nowych domów i nowych hoteli, słowem, wszędzie gdzie czuć świeże wapno lub pokost — i tak obszedłszy spory kawałek drogi, nie zmarnowawszy czasu ani werwy na mgliste opisy, suche badania historyczne, męczące regiestra dat, zaszedł prosto do celu, to jest, wykazał czarne na białem : że Paryż nigdy nie był tak wspaniałym jak za panowania Ludwika Napoleona, i jeżeli tym trybem rzeczy iść daléj będą, Królestwo Boże, o które się modlimy, wkrótce we Francyi zawita.

Tyle co do konkursów poetycznych.

O czemże więcéj mówić? Paryż próżniaczy rozpierzchniony po świecie, jeszcze się u siebie bawić nie zaczął; Paryż roboczy jeszcze nie ukończył nowych cacek i nowych niespodzianek, które pod niebytność ulubleńców fortuny, zwykł co rok o téj porze dla nich przygotowywać; Paryż literacki daleko po za gniazdem wybiegł szukać żywności, którą żarłoczną swą publikę ma przezimować.

Z książek poważniejszych wyszedł w tym miesiącu tylko drugi tom *Historyi Panowania Ludwika Filipa*, przez Wiktora Nouvion. Autor nie uważając że zwłoki wygnanego króla jeszcze ciepłe, a nienawiść stronnictw gorąca, ciągnie daléj dzieło rehabilitacyi tego monarchy.

Rzecz dziwna, że chociaż pożytek z takiéj pracy żaden — chociaż nie trzeba być prorokiem, ażeby wiedzieć iż przed czasem urodzone dziecko żyć nie może — że autor chociażby miał słuszność, jeżeli nie wybierze nie

w porę, pierwéj będzie zapomniany niż słuchany—rzecz dziwna mówię, że mimo to wszystko, pisanie i drukowanie wczorajszych dziejów jest teraz w powszechnéj modzie.

Historya pisze się teraz z dnia na dzień, a co większa, wydaje za życia tych, których czyny ocenia. Jeszcze nienawiści wrą w najlepsze — jeszcze stronnistwa stoją na przeciw siebie w bojowym szyku, kiedy już znajduje się pół-bożek w tym lub owym obozie, który spółczesne ludzkie sprawy sądzić się podejmuje bezstronnie. Przypuściwszy nawet tę rzadką cnotę w człowieku stojącym zupełnie na uboczu, przypuścić nie można, ażeby bezstronnie sądził wypadki ten, kto sam w nich brał udział. Autor i aktor zarazem, choćby był najuczciwszym i najzdolniejszym, mimowiednie ulega wpływowi sprawy któréj służy, związany z nią całą swą przeszłością, nie może samemu sobie zadawać kłamstwa — w złej czy dobréj wierze, niesprawiedliwym być musi kto w gorącym szpera popiele.

Dla tego potomność tak dobrze z dzieła pana Nouvion, jak z pamiętników Guizota tę tylko naukę wyciągnie, że pisana jednocześnie z wypadkami historya, musi być apologią albo pamfletem.

A propos *pamfletu,* przychodzi mi na myśl nowa dwuaktowa komedya, którą pod tym tytułem p. Legouvé dla teatru francuzkiego napisał. Ponieważ prac akademickich pomijać się nie godzi, opowiem w kilku słowach treść „*Pamfletu.*"

Pod koniec zeszłego wieku, żył w Madrycie sławny pamflecista nazwiskiem Clavijo, przed którego ostrém piórem drżała Hiszpania; człowiek ten trzymający w swém ręku honor wszystkich rodzin, był zakałą i zarazem potęgą swego czasu.

Otóż, po ostatniéj kampanii hiszpańskiéj w Ameryce, pamflecista ów wydał broszurę, w któréj wielbionego przez naród Tordovę obwinia o zdradę i przekupstwo; na dowód, przytacza list nieprzyjacielskiego jenerała, w którym tenże ofiaruje wodzowi hiszpańskiemu znaczną summę za wydanie twierdzy. W końcu Clavijo dodaje, że zezwolenie Tordovy na haniebne pro)ozycye ma w kieszeni.

Jenerał Tordova ma w Madrycie córkę Izabellę zarę-

czoną z margrabią Ureas. Skoro potwarcza książeczka rozeszła się po kraju, ojciec pana młodego nie chce zezwolić, aby syn jego zaślubił córkę zdrajcy ojczyzny. Młody margrabia nie mogąc zbić zarzutów, wyzywa Clavija na pojedynek. Przerażona Izabella chcąc cios odwrócić, układa zręcznie niby nieumyślne spotkanie z pamflecistą, mając nadzieję że go skłoni do odwołania potwarzy.

Najprzód atoli potrzeba, żeby Clavijo przyznał się iż jest autorem bezimiennie wydanéj broszury. W tym celu Izabella chwyta się zużytego ale zawsze nieomylnego środka: ugadza przeciwnika w najsłabszą stronę, próżność autorską. Zaczyna chwalić książeczkę i przypisuje ją komu innemu. Clavijo nie mogąc znieść żeby ktoś inny jego talentem wzrastał, przyznaje się do autorstwa. Wtedy panna prosi o odwołanie — ale groźby i prośby pozostają bez skutku.

Postawiwszy rzeczy tak rospaczliwie, dla uniknienia tragedyi, potrzeba było koniecznie ażeby jakiś *deus ex machina* przybył nadać sprawie weselszy obrót. P. Legouvé sprowadza go w osobie zrujnowanego hidalga, który mając sobie tegoż wieczora życie odebrać, chce zrobić przed śmiercią dobry uczynek, oczyścić Hiszpanię z pamflecisty. Clavijo mając pistolet hidalga na piersiach, odwołuje potwarz — poczém, naturalnie, wszystko układa się jak najlepiéj.

Powyższa sztuka napisana dobrze, ma fałsz w założeniu. Można było na tém tle osnuć satyrę, ale za jéj główną figurę wziąść wypadało nie podłego pamflecistę, lecz uczciwych ludzi, którzy w pamfletach lubują. Od niejakiego czasu, publiczność tylko plotkami zajęta, potrzebuje nauczki — taka komedya byłaby i zabawna i zbawienna; Claviowie wnet-by się wzięli do innego rzemiosła, gdyby piękne damy i panicze mniéj chciwie czytali ich szlachetne utwory. Wielka szkoda, że się p. Legouvé nad tém nie zastanowił — zadanie było godne jego znakomitego talentu.

Pisząc ten list do ciebie, o małom nie zapomniał donieść o wielkim wynalazku, którego sława może jeszcze do twych uszu nie doszła.

Cóż za wynalazek — spytasz — pewnie Goldschmidta nowe dwie planety aż tu mnie ścigają.

Boże uchowaj! O Goldschmidzie w Paryżu się nie mówi. Prasa tutejsza znużona mnogością jego wynalazków, dawno mu już powiedziała słowa, któremi niegdyś Boileau apostrofował Ludwika XIV: „*Grand roi, cesse de vaincre, ou je cesse d'écrire*“ — a ponieważ napomniany nie przestał nadużywać jéj cierpliwości, ale z uszczerbkiem astronomów całego świata, po dwie naraz planety odkrywa — więc skazany został na bannicyą z kolumn drukowanych. Nie o jego tedy nudnych wynalazkach mówić chciałem, ale o czemś ważniejszém, o wynalazku który napełnił cały Paryż radością — o maszynie do puszczania mydlanych baniek, zwanéj *Le Vole-heures.*

Bańki mydlane podniesione do ideału! Czyż to nie wielki wynalazek? W tym naszym doktrynerskim świecie, pełnym formułek, systemacików, kłamstw historycznych, paszkwilów i panegiryków — w tych czasach w których głowy są zarazem tak nadęte i próżne — frazesy tak wielkie, a tak bezduszne — w których tyle książek i dzienników, a tak mało sensu — możnaż znaleść milszą rozrywkę nad puszczanie baniek z mydła?

Co do mnie, ja z wydoskonalenia téj niegdyś dziecinnéj zabawki, nietylko przyjemność, ale zbawienne skutki wróżę. Idealne to zajęcie, zabijając czas mile, może powstrzyma ludzi od pismo-manii, może ostudzi autorską gorączkę w jednych, a drugich od czytania malignowych płodów uchroni. Daj Boże, aby zbawienny wynalazek francuzkiego filozofa jak najrychléj się u nas rozpowszechnił!

Londyn w październiku.

W ciągu tego miesiąca niebyło żadnych ważniejszych wypadków nad indyjskie. Całego świata w téj chwili oczy na Anglię zwrócone; wie ona o tém i poczuwa się do obowiązku. Jéj rada stanu przeto, jej władze wykonawcze i lud, jej wojsko i kościół jedynie tem zatrudnione, jak utrzymać państwo na wysokości dawnéj jego potęgi, jak odbić ciosy niespodzianie wymierzone na nią w Indyach. Przedmiot to wielce wa-

żny, pełen nauki, mogący być przestrogą dla niejednego rządu; — dla tego rzecz o nim, jak za dwóch przeszłych miesięcy, dalej prowadzę.

Mylnem jest mniemanie, jakoby Anglicy tylko zdzierali i bogacili się w Indyach bez żadnéj dla tego kraju korzyści prócz ucisku; a mylniejszem jeszcze to, że Indye zyskałyby więcéj i byłyby szczęśliwsze, gdyby pozbywszy się ich, wróciły pod panowanie poprzednich swych zdobywców, Mogułów lub krajowych swych książąt, istniejących pod różnemi tytułami w jakie Azya obfituje. Wszakże ci długą mieli sposobność przyczyniać się do szczęścia swych ludów, wielu mają nawet teraz jeszcze, a przecie nie przyczyniają się do niego; owszem osobista ich nieudolność i idący za nią bezrząd poddały ich pod zwierzchnictwo Anglii, bo jakem już na inném miejscu powiedział, panowanie Anglików w Indyach nie jest samowładne lecz tylko zwierzchnicze, oparte na pewnych ugodach zawartych z książętami krajowymi i podzielające z nimi, jakoby lennikami władzę nad różnemi dzielnicami kraju. Panowanie Anglii w Indyach nie było podbojem w prawdziwém słowa tego znaczeniu; jest ono przewagą, jaką naród z wyższą oświatą zwykle nad mniéj oświeconym otrzymuje; zgoła, wpływ panowania angielskiego na Hindostan, jeśli nie jedynie, to w większéj części był tylko moralny. I niemógł też być inszy, zważając na stopięćdziesiąt milionową ludność krajową, w obec tylko 60,000 Anglików, policzając w to od 25,000 do 30,000 wojska, gdyż go nigdy więcéj tam nietrzymano—kiedy w Europie, państwa ledwo cztery miliony ludności mające, liczniejsze częstokroć utrzymują. Dziwić się trzeba, i historya nieprzedstawia żadnego podobnego przykładu — żeby naród kiedykolwiek, nie siłą swego oręża, lecz jedynie praktycznego geniuszu swego w rządzeniu, zdołał odzierżyć taką przestrzeń ziemi i tyle ludności pod swem berłem utrzymać. Że dziś bunt wszczął się — choćby ten bunt od wojska przeszedł i do masy narodu — nic w tem dziwnego; owszem dziwna, że przy tak wielkiéj różnicy wyobrażeń, zasad rządzenia, praw i obyczajów europejskich a azyatyckich, i codziennem ścieraniu się ich między sobą, częstszych nie było zaburzeń. Niemożna tego czemu innemu przypisać, jak umiarkowaniu i

mądréj we wszystkiem oględności ze strony rządu angielskiego. Z czegokolwiek wyższa oświata europejska słynęła, to starała się Anglia przenosić na grunt indyjski. Ulepszenia te były moralne i fizyczne. Poznoszono wiele barbarzyńskich zwyczajów, nieludzkich kar i katuszy; pozaprowadzano liczne szkoły, dziennikarstwo w krajowym języku, dano wolność druku. Co więcéj, zniesiono handel niewolnikami. Urzędnicy cywilni i oficerowie do pułków wojska indyjskiego przeznaczani, obowiązani byli znać język krajowców, odbierali przygotowawcze wychowanie w osobnych instytutach w Anglii na ten cel utrzymywanych, gdzie składali przed wysłaniem do Indyj przepisane egzamina. Handel wywozowy przewyższający dowóz, corocznie bardziej się wzmagał. Dla ułatwienia komunikacyi pobudowano koleje żelazne, pozakładano telegrafy; dogodności jakich wiele stolic europejskich niema, posiadały Kalkuta, Madras i Bombaj, jako środkowe punkta rządu i handlu. Zapewne wiele jeszcze zostawało do zrobienia, ale i to by się z czasem zrobiło — bo anglosaksońska rasa nie lubi próżnować — gdyby rokosz czynności jej był nieprzerwał. Pod tym względem sami krajowcy nieodmawiają Anglikom sprawiedliwości. Czytając odezwy króla delijskiego lub Nana Sahiba, najsroższych nieprzyjaciół ich, nie znajdujemy w nich nic ani przeciw polityce angielskiéj, ani przeciw administracyjnym urządzeniom; lecz cała skarga toczy się o to że Anglicy chcą schrześcianić Indye. Gdyby w powyższych względach miano im cokolwiek do zarzucenia, zapewneby tego niezaniechano; lecz odezwy obydwóch, a osobliwie kłamliwa odezwa Nana Sahiba, którą znacie, wymierzona była jedynie przeciw nawracaniu. Wiedzieli oni dobrze na co się skarżyć, i co im przyczynić mogło stronników. Nawracanie więc było ich hasłem. Wystawili przez to rząd angielski na dwa ognie: na jeden z Azyi, że nawracał grzesząc nietolerancyą, na drugi zaś z Europy, że bronił nawracać i grzeszył zbytkiem tolerancyi. Prócz tego, narażony on został jeszcze na flankowy ogień z Rzymu, jakoby misyonarze nawracając na protestantyzm, zaszczepiali tam fałszywą i zgubną cywilizacyę.

Ztąd mógłby kto mniemać, że katolickie misye miały sobie wstęp do Indyj wzbroniony. Lecz rzecz ma się inaczéj. W okolicach pod Mirut, w tem pierwszem ognisku powstania, były szkoły katolickie w których mniszki uczyły; a podczas saméj okropnéj rzezi w Cawnpore czterech księży katolickich padło ofiarą wściekłego okrucieństwa Nana Sabiha. W połowie właśnie bieżącego miesiąca odpłynęło z tutejszych portów więcéj księży katolickich niżby trzeba na zapełnienie miejsca zamordowanych męczenników. Rząd angielski nie zabrania bynajmniéj ani tych misyj, ani misyj wszelkich innych wyznań religijnych. Sam atoli nie jest misyonarskim, ale władzą świecką, i jako rządowi niepodobna było mu być inną, gdyż występowałby z własnéj swej atrybucyi i powołania. Obowiązanym był rozciągać swą opiekę nie na jednych Chrześcian, ale zarówno na Muzułmanów jak na Budystów, zarówno na Parsów czcicieli ognia jak na ludy wszelkich innych wyznań, które mu się podały w poddaństwo. Jak najściślej też przestrzegano téj reguły, pilnie unikając dawania powodu do urazy jakiemubądź wyznaniu. Polityka takowa może się niepodobać, może nie być konsekwentną teoretycznie, ale zachodzi jeszcze pytanie: czy rząd sam przez się, lub łącznie z Kompanią Indyjską, mógł był w tym względzie inaczéj działać? i czy wystąpieniem swem w charakterze misyonarskim, jak to wielu chce, i zaprowadzeniem w Indyach niejako chrześciańsko-teokratycznéj władzy, zamiast oddalenia nie byłby przyspieszył raczej okropnych zaburzeń i krwi przelewu, jakiemi wojny religijne tylokrotnie się odznaczyły. To pytanie po przytłumeniu rokoszu znajdzie zapewne gruntowny rozbiór, na jaki z wielu miar zasługuje, a może i zastósowanie. Od wypadków bowiem dzisiejszych rozpocznie się nowa epoka dla Indyj.

Wartość stosunków jednego kraju z drugim zależy głównie od korzyści jakie ztąd na nie spływają — co się zwykle nazywa dobrze zrozumianym interesem. Zważając na ten interes czyli zobopólną sprawę, zdaje się, że jako Anglia potrzebuje Indyj, tak Indye potrzebują Anglii, i niewiadomo czy te ostatnie nawet nie potrzebują jéj więcéj. Pomijając same już moralne korzyści jakie mogą spływać ze stosunków z narodem posiada-

jącym większą oświatę, przez sam wzgląd na materyalne czyli ekonomiczne korzyści potrzeba zachowania związków z Anglią zdaje się być dla Indyj pożądaną. Pod względem handlu i jak go ekonomiści zwykli oceniać: że im większa wartość wywozu tem więcéj bywa dla kraju korzyści — właśnie w tém szala na korzyść Indyj przeważa. Od kilkudziesiąt lat co rok wartość wywożonych produktów z Indyj przewyższała o parę milionów dowóz wyrobów wprowadzanych z Anglii.

I tak roku 1832 wartość produktów wywiezionych z Indyj była 6,337,098 fst., a wartość wyrobów z Anglii do Indyj, tylko 3,750,286. W dziesięć lat późniéj, roku 1842, wartość pierwszych podniosła się do 7,120,748 a wyrobów angielskich do 5,439,564. Roku 1854 produkta indyjskie doszły do wartości 10,672,876, a wyroby z Anglii do 9,127,556. W następnym zaś roku 1855, podług ostatnich urzędowych rachunków, Anglia wywiozła była surowych płodów z indyjskich posiadłości za 12,668,774 fst. a z swych wyrobów krajowych wysłała na sprzedaż w Indyach za 9,949,154. — Główne artykuły wywozu indyjskiego, i to prawie wyłącznie z Bengalu, za ostatnich lat były następne:

Indigo	1,518,097	fst.
Cukier	1,043,480	—
Lniane siemie . . .	1,297,803	—
Bawełna	2,241,972	—
Ryż	1,559,031	—

Towary zaś rękodzielni angielskich składały się między innemi, z następujących wyrobów:

Wyroby bawełniane i przędza za . .	5,842,974	fst.
Żelastwo	1,242,853	—
Fajanse i porcelana	137,848	—
Sukno i wyroby wełniane	227,550	—
Machiny	404,900	—
Porter i Ale	438,319	—

Z tego wykazu przedmiotów handlu równie jak jego ilości widzieć można, ile oba kraje dla siebie są potrzebne. Osłabienie lub zerwanie istniejących związków nierównie zgubniejszém stałoby się dla Indyj niż dla Anglii, bo kiedy ta posiadając kupiecką flotę mogłaby łatwo we własnych osadach zamorskich lub w portach innych krajów poniesioną stratę w handlu wynagrodzić,

Indye jako naród niekupiecki, ani trudniący się żeglugą, przez brak odbytu na swe produkta, popadłyby w ubóstwo i ostatnią nędzę.

Nienależy też mniemać, że Anglicy dostawszy się do Indyj, dopuszczali się zdzierstw ściągając z nich bogactwa jak z niewyczerpanéj miny. Rzut oka na finanse indyjskie najlepiéj wyjaśni, w jakiem położeniu Anglia zostaje do tych nieprzebranych skarbów indyjskich.

Ostatni gubernator Indyj, lord Dalhousie, poczytywał sobie za zasługę, że za swych rządów podniósł dochody do 30,000,000 fst., lecz włączył w to cztery z górą miliony podatku od opium, sumę pochodzącą właściwiéj od Chińczyków a nie od poddanych angielskich w Indyach. Jakkolwiekbądź, wyliczam poszczególnie, jaki był ten całkowity dochód w ciągu finansowego roku 1855—6:

Gruntowy czyli od posiadłości ziemskich	17,817,229 fst.
Cło od opium „ „	4,871,227 —
Cło od soli „ „	2,485,389 —
Dochód z opłat na komorach „	1,934,906 —
Stępel „ „ „	504,329 —
Poczta „ „ „	219,045 —
Rozmaite dochody „ „	979,902 —
Ogół dochodów.	28,812,027 —
Koszta poboru	6,664,750 —
Czysty przychód	22,147,277 —

Rozchód tegóż samego roku był ten:

Opłata urzędników cywilnych i politycznych	2,276,262 fst.
Sądownictwo i zakłady polityczne	2,510,799 —
Budownictwo i wychowanie.	1,881,606 —
Utrzymanie wojska i żołd.	10,417,369 —
Wydatki na flotę	593,070 —
Na mennicę.	62.573 —
Opłata procentu od długu indyjskiego . .	2,044,318 —
Procent od długu *home bond* debt . . .	152,017 —
Diwidendy z wschodnio-indyjskiego kapitału (*East India Stock*)	632,680 —
Wydatki na zakłady w Anglii	493,834 —
Zakupione przyrządy (*stores*) dla Indyj .	526,663 —
Wydatki dla Singaporu, Wysp Ks. Walii itd.	64,512 —

Rozmaite domowe wydatki.	1,459,435	fst.
Ogół rozchodu	23,120,138	—

Z tego wykazu można widzieć, że powyższego roku wydatki Kompanii Indyjskiéj przewyższały przychody o 972,861 fst. Toż samo było za dwóch lat poprzednich, tak dalece, że za ostatnich trzech lat Kompania zadłużyła się blisko na dwa miliony. Rzadko też i pierwej, począwszy od czasów wielkorządztwa lorda Clive, dochody jéj przewyższały rozchód—tak iż Kompania ciągle brnęła w długi, z których się nigdy nie wypłacała. Podług ugody z rządem roku 1793 zawartéj, za ustąpienie dla niéj monopolu handlu indyjskiego na 20 lat, obowiązała się była do płacenia rządowi 10,000,000 fst. z téj sumy ledwie dwudziestą część wypłaciła, a od pozostałych 9,500,000 musiał parlament ją uwolnić Roku 1833 monopol ten jej odjęto, a zaprowadzenie wolności handlu ożywiło nietylko handel, ale oraz przynosi teraz znaczny dochód dla skarbu z opłaty ceł na komorach.

Tyle o finansowości Kompanii Indyjskiéj. Z niej się okazuje, że przychody niewystarczały na opędzenie bieżących wydatków. Błędne przeto jest upowszechnione mniemanie, że Anglia ciągnie z Indyj niezmierne bogactwa, które atoli muszą być tylko złudzeniem, skoro Kompania indyjska, mająca kraj pod swym zarządem, niezdoła bez zadłużania się opędzać różnych wydatków. Oprócz tego marzący o wielkości bogactw spływających z Indyj na Anglię, tracą z oczu to co one ją kosztowały, a co poczytać należy za dług ciążący na nich. I tak naprzód jest dług zaciągniony na początkowe zdobycie Indyj, wynoszący 50,000,000 fst. Drugi dług zaciągniony i zaręczony na dochodach indyjskich. do 62,000,000. Trzeci dług na budowę kolei żelaznych 30,000,000 na 5%. Gdyby choć połowę z tych trzech długów zwrócono Anglii, należność takowa wyniosłaby do 70,000,000, a sam procent roczny wynosiłby najmniéj 3,500,000. Do tych sum dołączyćby trzeba jeszcze wspomniony deficit 2,000,000 z ostatnich trzech lat, oraz 1,000,000 na ostatnią wojnę perską, któréj cały koszt mają Indye ponosić. Bo pomijam tu jeszcze koszta wyprawy teraźniejszéj na przytłumienie rokoszu

w Indyach, które są ogromne i pewnie policzone będą na ichże rachunek. Z samych kas rządowych do 2,000,000 fst. rokoszanie rozerwali; za nie, jako i za inne szkody rząd będzie żądał wynagrodzenia. Co wszystko policząjąc razem, należność indyjska dla Anglii czyli dług indyjski podniósłby się do 100,000,000 fst. od których opłata samego procentu wymagałaby 4,000,000, czyli piątą część ogółu przychodów teraźniejszych w Indyach. W ogólności więc, można powiedzieć, że jakkolwiek posiadanie Indyj przydało Anglii wiele uroku w polityce, jakkolwiek zapewniło korzystne posady dla wielu młodzieży w służbie cywilnej i wojskowéj, i jakkolwiek przyczyniło się do podniesienia handlu — jednakże pod względem pieniężnym bezpośrednio Indye jako rząd niewypłaciły się Anglii.

Skreśliłem ten rys finansowy, aby wam cyframi okazać, o ile Anglia na posiadłościach swych indyjskich bogaci się, a o ile nie. Oschły i niezabawny on jest, ale w wieku materyalnych interesów w jakim żyjemy i w którym wszystko zwykło się brać pod kredkę, stosunki zachodzące między krajami dają się najjaśniéj cyframi wyrażać. Zostawiam wam obrachowanie ważności powyższych cyfer, a z nich pojmiecie, jakim węzłem wzajemnych interesów połączona jest Anglia z Indyami.

Ucisk ludu indyjskiego podatkami, o co Anglia bywa oskarżaną, zdaje się być także bezzasadnym. Z porównania podatków pobieranych najlepiéj można się o tem przekonać. W Anglii roku 1853 podatek od duszy był rocznie 1 fst 19 szylingów, 4 pense; we Francyi tego roku 1 fst. 12 szylingów; w Prusiech 19 szylingów 3 pense; gdy tymczasem w Indyach podatek takowy wypadał tylko 4 szylingi 5 pensów od osoby — podług innych nawet niżéj, bo tylko $3\frac{1}{2}$ szylinga (1 szyling=2 złp.), a więc tylko 7 złp. podatku. Jakby to lud nasz był szczęśliwy, gdyby miał tylko tyle do płacenia. Zaiste, ludy europejskie mają wiele do zazdroszczenia Indyanom owego ich ucisku. — Najem robotnika krajowggo 7 szyl. na miesiąc.

Zdarzyło mi się w ostatnich czasach napotykać nieraz skargi w dziennikach kontynentalnych na arystokracyę angielską — lub raczéj, jak jabym powiedział

na średnią i najoświeceńszą klasę w Anglii — że ona młodszych członków swych rodzin wysyła do Indyj, gdzie ich niby suto uposaża. Użalanie to zupełnie niesłuszne, i pochodzi więcéj z zawiści, niż z bezstronnego pojęcia położenia rzeczy. Zważając, że Indye są podbitym krajem, Anglicy tam wysyłani, są jedynym węzłem i podstawą zwierzchnictwa angielskiego nad nim; bez nich niebyłoby ani cienia zwierzchnictwa, ani żadnéj cywilizacyjnej tam władzy, — o co przecie zdaje się wiele Europie chodzi. Nie wielka też zazwyczaj liczba tych uposażonych tam Anglików, bo policzywszy cały kontyngens wojska europejskiego, oraz oficerów w pułkach sepojów, tudzież wszystkich urzędników cywilnych, niema i niebyło ich tam nigdy więcéj nad 60,000, czyli w proporcyi jeden anglik na 3,000 krajowców. Wszakże żaden kraj nieobchodzi się bez wojska i urzędników; gdyby ich niebyło, Indye musiałyby innych opłacać, bo bez nich obejśćby się nie mogły — a robotnik wart swego myta. Tak mała ich liczba na tak obszerny kraj, niemogła być dla niego ciężarem. Zważając nadto, iż większa liczba ludzi wysyłanych do Indyj, niepospolitego bywa ukształcenia, jako to prawnicy, misyonarze, inżyniery i tego rzędu inni z wyższą oświatą ludzie mogący upowszechniać nauki, przemysł handel, na których Indyom zbywa — samo to już stało się nie małem dla kraju dobrodziejstwem i sutą odpłatą za żołd pobierany. Tacy ludzie, jakich wielu znam, mogliby łatwo w kraju albo w osadach, których Anglia tyle posiada, znaleźć dla siebie równie zaszczytne a może i korzystniejsze posady — lecz misya ich była do Indyj. Udających się tam większa część już niewraca — tam żyją i umierają — a przeto i żołd ich tam się zużywa; ci co po długich latach wysługi wrócą jako emeryci, a raczéj jako inwalidzi ze zniszczonem zdrowiem, zwykle ze szczodréj swej pensyi nie długo się cieszą. A zatem niesłusznie obwiniają Anglię, że niedaje swéj ludności za piecem gnuśnieć otwierając jéj obszerne pole, gdzie może się poświęcać dla dobra ludzkości. Służba w Indyach jest prawdziwem poświęceniem: klimat zabijający, a co od niego się uchowa, to jako dziś widzimy, Nane Sahiby okrutnie wymordują.

Zdaje się, że tylko chrześciaństwo potrafi zniweczyć zabobonność i pochodzącą z niej dzikość obyczajów zmiękczyć w Hindostanie. W dzień pokutny, który się odbył 7go b. m. w całéj Anglii, kazania z wszystkich ambon polecały Chrześciaństwo jako jedyny skuteczny środek na rozpędzenie ciemnoty, na obeznanie ludu z cywilizacyą europejską i przyswojenie go jéj. Trudne to zadanie dla rządu. Jakiego systematu on się w tem chwyci, później się dowiemy. Kompania Indobrytańska dotąd wcale innego trybu się trzymała. Lecz jej panowanie można uważać już za skończone.

Zaszczepienie chrześciaństwa w Indyach nie będzie łatwą sprawą, grunt jednak do niego już w części przygotowany. Duch jego zdaje się przedzierać do najwyższych oświeceńszych kast. Jeden przykład tu przytoczę. Znajduje się w Londynie w téj chwili księżniczka indyjska córka Beer Radzinder Wadaira, radży Coorgu ziemi graniczącéj z Mysorą, i zostającéj teraz pod protekcyą Anglii. Młoda ta księżniczka jest najulubieńszem dzieckiem Radży z pomiędzy jedenaściorga innego rodzeństwa z kilku żon jego. Przywiązanie to ojca do niéj przypisują smutnéj okoliczności, że matka jéj, którą wielce kochał, we dwa dni po urodzeniu córki umarła. Radża mocno był dotknięty tą stratą, a że był doskonale obeznany z nauką religii chrześciańskiéj i wierzył w nią, widać że znalazł w niéj największą w swym smutku pociechę. W skutek tego postanowił aby ulubiona córka jego odebrała wychowanie chrześciańskie. Z tym zamiarem przybył on roku 1852 razem z nią do Anglii, zostawiwszy w Benares swe żony i resztę dzieci. Królowa uwiadomiona o przybyciu Radży i celu jego podróży, najłaskawiéj ofiarowała się na chrzestną matkę dla księżniczki jego córki. Chrzest jéj odbył się w pałacu Buckingham d. 30 czerwca r. 1852 przed N. Panią, jako trzymającą ją do chrztu, w obecności księcia małżonka i całej królewskiéj rodziny. Obrzędu chrztu świętego dopełnił Arcybiskup Kantorberski. Księżniczka otrzymała na imie: „Gouramma Victoria". Pierwsze nosiła przed chrztem jako poganka, a nadane je miała sobie od jakiegoś bóstwa indyjskiego. — Od tego czasu królowa przyjęła na siebie wychowanie księżniczki, i przeznaczyła dla niej jedną ze znacznych dam

za ochmistrzynię. Ojciec oddając ją pod opiekę królowéj, przemówił do niéj w tych pełnych prostoty i tkliwych słowach: „Staraj się, moje najdroższe dziecię, codziennie więcéj a więcéj zyskiwać łaskę N. Pani i zasługiwać na jéj miłość i troskliwość. Europa, Indye i cały świat niech słyszą o tobie, żeś dobrą, niech upodobają cię i sławią za to. Oby błogosławieństwo Nieba było nad tobą, zachowując cię zawsze pod swą najwyższą opieką. To jest moje ojcowskie życzenie dla ciebie, najukochańsza córko moja, i te są moje najgoretsze modły do Wszechmocnego za tobą“.

Księżniczka Gouramma Victoria urodziła się w miesiącu lutym r. 1841, ma przeto 16 lat. W czasopiśmie *Art-Journal* z Września, znajduje się jéj wizerunek ślicznie rytowany z portretu malowanego przez Winterhaltera dla królowéj. Z cery swèj jest ona brunetka ciemniejsza nieco od brunetek europejskich. Głowa jéj więcéj owalna niż Angielek i ztąd podobniejsza ona do Polek. Rysy twarzy ma regularne, miłe, pełne duszy. Wystawił ją malarz w całéj postaci, w bogatym indyjskim ubiorze, okrytą perłami. Stojąc prawą rękę oparła na podstawie kolumny z któréj opadająca zasłona spływa na indyjskie bożyszcza u dołu, a w lewéj ręce nieco wyciągnionéj trzyma biblię, na któréj oprawie krzyż jako symbol chrześciaństwa.

Stowarzyszenie Narodowe (*National Association*) zawiązane rok temu w celu rozbierania kwestyj społecznych, odbywa tegoroczne swe posiedzenia w Birmingham, pod prezydencyą sławnego lorda Brougham. Wzmiankę o jego zawiązaniu zrobiliście już przeszłego roku (ob. *Dodatek* IV, p. 1), dając artykuł: „O Zbrodniarskich Dzieciach“. Prezydujący zagaił posiedzenie obszerną mową, w któréj wykazywał przedmioty, cele i konieczność badania potrzeb społecznych; zwłaszcza że tylko przez gruntowne obeznanie się z niemi dadzą się zaprowadzać na stałych zasadach zmiany i poprawy w społeczeństwie. Czem Stowarzyszenie Brytańskie jest dla różnych gałęzi nauk fizycznych, tem Stowarzyszenie Narodowe dla nauk moralnych; podzielone też jest na wzór tamtego na różne wydziały, z których każdy ma swego prezesa, i każdy liczy w swem gronie wielu członków parlamentu, mężów stanu, i innych znanych

z swego światła i filantropii. I tak naprzykład, w wydziale prawa prezesem jest tego roku Lord John Russell; w wydziale wychowania publicznego Sir John Packington; w wydziaie poprawy i kary p. Hill; w wydziale zdrowia publicznego Lord Stanley; w wydziale ekonomii społecznėj Sir B. Brodie. Poszczególnie niepodobna tu rozbierać prac tych wydziałów, tak one są obszerne, niektóre z nich brzmią jakby z natury swéj należały do bajecznéj Atlantis i Utopii Moora. Anglia jest jedynym krajem, gdzie kwestye tak wielkiéj wagi roztrząsane bywają publicznie, i próbowane w zastósowaniu. W przeszłym wieku rozbierali je Hobbes, Shaftesbury i Mardeville. Po nich Romilly, Wilberforce i Peel usiłowali zaprowadzić teoretyczne ich zasady w praktyce. Do czego tak były rzucane zarody przez poprzedników, to prezydujący w wydziałach, których po imieniu wyliczyłem, starają się teraz na obszerniejszą stopę rozwinąć i dla dobra społeczeństwa praktyką wypróbować.

Dnia 14 b. m. była w Dublinie inauguracya posągu Tomasza Moora, z którego poezyami w kilku tłomaczeniach na nasz język obeznani są czytelnicy. Statua ta poety wystawiona przed Kollegium S. Trójcy, jest cała z bronzu, 9 stóp wysokości, na podstawie granitowéj 18 stóp wysokiéj. Hr. Charlemont prezydował na tej uroczystości odsłonienia statuy na cześć narodowego poety Wyspy Erinu. Tysiące ludu, wielbicieli jego, zapełniało plac, a dwie muzyki wojskowe naprzemian, przy téj okoliczności odgrywały co wyborniejsze pieśni z przecudnych „Melodyj irlandzkich“ (*Irish Melodies*). Miano przy tem kilka mów o zaletach pism poety, a najwymowniejszym był głos hr. Carlisle namiestnika Irlandyi. Pieśni Moora — rzekł on na zakończenie swéj mowy — opasują wszystkie części ziemi harmonią mowy angielskiéj; zachwycają nas na ucztach i w towarzyskich kołach i brzmią wdzięcznie z ust naszych dziewic, a serca męskie na ich dźwięki pałają miłością ojczyzny.

Warszawa w październiku.

Kronika naszego miasta za ten miesiąc, więcéj jak mam nadzieję barwistą będzie, niż poprzednie: posucha na którą pierwéj uskarżałem się, ustała; stolica zaludnia się znowu, bo jesienne przymrozki zegnały do naszych murów wszystkich już prawie wędrowców. — Znowu u nas szumno, gwarno, tak nawet, że gawędy nieraz przypominają zamieszanie przy wieży Babel powstałe. Wszyscy wprawdzie mniéj więcéj jednym mówią językiem, ale każdy o czém inném. Już to rej wiodą między nami wędrowcy: ten chwali piękne niebo Italii, ów narzeka na mgły Albionu, tamten unosi się nad Paryżem. Kiedy inny opisuje kąpiele w Biarritz; kąpiele niemieckie, brzegi Renu i wrażenia z rulety są już rzeczy spowszedniałe, i te z rozmowy uległy wywołaniu. Wrażenia z podróży są nieodmiennym tematem wszystkich gawęd, a nawet przedarły się do gazet. *Warszawska* niedawno skończyła drukować Listy Wędrowca Ludwika Niemojowskiego, i Listy z podróży Padalicy — a teraz umieszcza filipiki Kraszewskiego przeciwko podróżom za granicę — a i w zbiorowym artykule mającym zastąpić Gwiazdkę, piorunuje przeciw téj manii. Gwiazdka bowiem, świetniejszego pragnie horyzontu; ramy *Gazety Warszawskiéj* zdają się być jéj za małe— dla tego w osobném chce jaśnieć pisemku— czy własne wystarczą jéj promienie? czy obejdzie się bez pożyczanego blasku Gazety? sam pan Niewiarowski odpowie kiedyś— jeśli udadzą mu się jego zamiary; a radzibyśmy temu byli, bo z radością witamy każdy nowy organ na polu pism peryodycznych. Gazeta postara się ubytek ten zastąpić i usiłowanie to dosyć szczęśliwe widzieliśmy w artykule zbiorowym mającym zastąpić Gwiazdkę. *Kronika* także w tyle nie pozostaje i sadzi korespondencye z Rzymu, Paryża etc. Czy te wędrówki za granicę przynoszą korzyść ogółowi i szczegółom, kwestya to dość zawiła. Większość zapewne jak z niczém pojechała, tak z niczém powróci, dobrze wypróżniwszy kieszenie; ale mniejszość przywozi zawsze jakiś zapas nowych wiadomości, wyobrażeń, których potém ogółowi udziela, a choć ogół traci parę milionów za granicą — cieszmy się słodką wyobraźnią, że skarby wiedzy za tę

cenę nabyte, choć pół miliona warte — cieszmy się wreszcie i tą smutną pociechą, że te strwonione pieniądze może i w kraju nie lepiéj byłyby użyte — a poszłyby także na gałganki, jadło, karty, lub z dymem cygara.

Ale dajmy pokój téj zagranicy, kiedy nasi marnotrawni synkowie wrócili już do ojczystéj zagrody — wznowimy ją da Bóg doczekać na przyszłą wiosnę lub jesień, a teraz życząc szczęśliwéj podróży tym co do Jerozolimy i Kairu pojechali, i drugim co do Brazylii się wybierają — i my powróćmy do naszego miasta. Najważniejszym faktem naszéj kroniki, będzie pobyt NN. Państwa, w powrocie do Petersburga. Pierwszy raz wstępując w nasze mury, N. Pani zapragnęła poznać towarzystwo tutejsze, a mianowicie damy — dla tego panie nasze zgromadziły się w Łazienkach, na powitanie NN. Państwa w stroju dworskim rosyjskim, to jest w sukniach z ogonem i kokosznikiem czyli czółkiem na głowie. Było wprawdzie trochę hałasu o ten strój ostatni, ale właśnie te panie, które najwięcéj się przeciw niemu srożyły — pierwsze go obstalowały, tłomacząc sobie, że to jest to samo co i mundur jaki przywdziewają w podobnych okolicznościach ich ojcowie i mężowie. Wszystkim w ogóle strój ten był do twarzy, nawet podeszłym — które nie kokosznik, ale kurnik cały na głowach miały. Niektóre chcąc pogodzić niby przymus z drażliwością wewnętrzną, dyademami brylantowemi i wieńcami z kwiatów tak umiały przykryć głowę, że tego ubioru urzędowego i widać nie było. Nazajutrz była prezentacya dam u Cesarzowéj, która prawie z każdą z nich rozmawiała — a wieczorem bal w Zamku bardzo świetny, acz krótko trwały — skończył się bowiem z wyjazdem Cesarstwa o wpół do pierwszéj. Na tém zebraniu, między innemi hr. Skarbek i hr. Andrzéj Zamojski mieli zaszczyt rozmawiać z Cesarstwem; pierwszemu N. Pani oświadczyła zadowolenie swe z Szpitala ś. Kazimierza, który tego dnia zwiedzała, i w ogóle z wzorowego stanu instytutów dobroczynnych, dawniéj pod kierunkiem hrabiego zostających. Monarcha zaś wypytywał go o postęp prac prawodawczych i nowéj organizacyi sądowéj. W sobotę po widowisku w Pomarańczarni, dygnitarze dwóch pierwszych klas i damy, były na kolacyi u N. Pani w Łazienkach. Tego wie-

czora przedstawiano tańce perskie, „Wesele w Ojcowie“ i 2gi akt „Marty“ — wybór nieszczęśliwy, bo ten akt opery właśnie nudny i jak na dobitkę źle był odśpiewany. „Wesele w Ojcowie“ zapewne 500go doczekało się przedstawienia. Dziwna rzecz, że u nas nie mogą innego ułożyć baletu z narodowych tańców — niechże nam wskrzeszą poloneza choć z 12tu par. Przed laty Maurice ułożył był balet „Stach i Zośka“ nierównie piękniejszy jak „Wesele w Ojcowie“ — ale wszystkie tańce układu Maurica, wyklęte są przez Dyrekcyę. — Orkiestra swoim zwyczajem fałszowała — nędznego Mazurka w balecie zagrać nie potrafili. Wszyscy krzyczą, piszą na orkiestrę, ale ta w szlachetnéj swéj dumie pozostaje wierną dawnym usterkom i nałogom. Może współzawodnictwo z nową orkiestrą pod wodzą Dobrzyńskiego złożoną w ogródku Arkadyi, obudzi tych panów z ich gnuśnego uśpienia. Ależ znowu widzę, że nudnym obyczajem starego gaduły odbiegłem od głównego przedmiotu. Cesarstwo zadowoleni byli bardzo z przyjęcia w Warszawie. N. Pan za poprzednią bytnością już wspomniał był, że w sercu Rosyi, w starym Kremlu, nie lepiéj był witany. Ludność bowiem tłoczyła się koło powozu, głośne wydając okrzyki. Jak w Pomarańczarni tak i w wielkim teatrze w dzień przybycia NN. Państwa na przedstawieniu „Korsarze“, publiczność z obawy uchybienia dworskiéj etykiecie, zachowała zupełne milczenie, czém Cesarz zdziwiony, miał wyrzec: *Le public est il mort?* i dał znak swoim adjutantom, aby nieszczędzili oklasków artystom. — Dyrekcya teatrów mogła była uprzedzić w tym względzie publiczność, tembardziéj, że po dwa razy oznajmiano po lożach że trzeba wstawać jak monarcha wejdzie. Przedstawienie to w W. Teatrze było bardzo świetne: damy w strojach balowych, mężczyzni po krzesłach i lożach we frakach i białych chustkach; żałujemy tylko, że damy siedzące naprzeciw Cesarstwa, nie jaśniały pięknością, ale dyamentami, o które naszym bankierowym łatwiéj niż o wdzięki.

Pod względem administracyjnym lub politycznym pobyt monarchy żadnych zmian nie przyniósł. Mówią o powrocie dóbr jednéj rodzinie, o orderach spodziewanych, zresztą nic. Najważniejszym faktem wszakże jest, o czém już wiecie zapewne, odstąpienie kolei żela-

znéj Warszawsko-Wiedeńskiéj, kompanii szlązkiéj, to jest hr. Renardowi, baronowi Moschwitz, p. Milde i Epstejnowi z Warszawy; ale z tego ustąpienia nikt się nie cieszy, bo sympatye kraju były dla kompanii dróg rosyjskich reprezentowanéj w Warszawie przez bankiera Kronenberga i Spółkę, w któréj chcieli przyjąć udział kapitaliści polscy. Kraj straci nawet na tém, bo koléj Warszawsko-Petersburgska, ledwie za kilka lat wybudowaną zostanie; a tymczasem kompania rosyjska z całym pośpiechem chce wykończyć linię od Petersburga do Królewca, a głównie od Wilna, i tamtędy obróci się cały handel zewnętrzny lądowy rosyjski, jak również projektowaną koleją od Odessy do Brodów. Warszawa zatém na boku zostanie, a mogła być dla Europy składem towarów azyatyckich. Nasze bogate pokłady węgla kamiennego zostaną bez eksploatacyi, bo hr. Renard dla tego tylko przystał do téj spółki, aby swoje kopalnie zużytkować. Warunki wszakże kompanii szlązkiéj położone ze strony rządu tak są uciążliwe, że wątpić należy o zysku dla akcyonaryuszów. Korzyści ciągnąć tylko będzie administracya. O jednéj dogodności dla Warszawy nadmienić jeszcze muszę: zapewniano mnie z dobrego źródła, iż N. Pan chce aby na Wiśle był most stały, i w tym celu kazał jechać inżynierowi Dignolles do Kijowa, dokąd sam udał się; tu w Warszawie bowiem zabrakło już czasu do zawarcia stanowczego układu.

Akademia medyczna rozpoczęła swe kursa; tymczasowo mieści się w gmachu dawniéj Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie dotąd była loterya, którą przeniesiono do mennicy. Ten trafny wybór przybytku nauk, zawdzięczamy p. Cycurinowi prezesowi Akademii, nieobecnemu nateraz w Warszawie, a wahającemu się niestety z przyjęciem téj godności. Marzenia o szkole Prawa, rozwiane zostały; powiększono natomiast stypendya prawne w uniwersytetach, a przytém ma być dodana jeszcze 8ma klasa w Instytucie Szlacheckim dla specyalnego wykładu prawa, i cały ten zakład podniesiony do rzędu wyższych uczelni.

W sferach rządowych cicho. Ma być utworzony komitet dla przejrzenia 10ciu tysięcy próźb podanych Cesarstwu, w czasie ich bytności. W teatrze nowa komedya „Rodzina Lambert,“ nie szczególne miała powodzenie,

nie moralna, a z wielkiém wyrachowaniem na efekta napisana, nuży artystów i publiczność; role niesłychanie trudne, mogą służyć dla popisu doświadczonym aktorom, ale u nas jedna Ziemińska zaledwie dorównywa zadaniu, a i tak roli nie podnosi grą swoją; w grze Rychtera oceniamy tylko również sumienne wywiązanie się z roli niewłaściwéj; kiedy pannie Łapińskiéj dziękować jedynie możemy i cieszyć się nadzieją, że kiedyś lepiéj będzie. Te same nadzieje żywimy dla panny Morandini nowéj śpiewaczki; choć świetna jéj przyszłość, bardzo jednak daleka, bo dotąd prócz powierzchowności i głosu mocnego i młodego, niema nic, ani metody, ani gry. Jakkolwiek pewna część dyletantów oklaskami obsypuje tę primadonnę, krytycy muzykalni bardzo ostro ją sądzą. W tych sądach wszakże więcéj widzimy ogólnego uprzedzenia przeciw Włochom, jak istotnéj krytyki. Publiczność nasza chętnieby słuchała włoskiéj opery, ale dobréj, nie zaś taką zbieraninę, jaką teraz mamy; wolałaby przez trzy miesiące mieć dobrych, niż przez cały rok złych śpiewaków; dla tego polska opera *par contre coup* zyskuje coraz więcéj zwolenników, których organem „Ruch Muzyczny“— wszakże i to zamiłowanie aż do przesady jest posunięte, bo oprócz Dobrskiego i Rivoli, nie ma kogo słuchać. Szkoły, konserwatoryum, gwałtem nam potrzebne—bez tego, żadnych w muzyce nie zrobimy postępów. Mało mamy talentów, mało nauki, a jeszcze zabrał nam Pan Bóg cośmy najlepszego mieli — rzewny śpiewak „Kaliny“, w chłodnym już grobie leży. Cała młodzież nasza, artyści, urzędnicy, obywatele, akademicy, ubiegali się aby na barkach zwłoki ukochanego Ignacego zanieść do mogiły. Pamięć zacnego przyjaciela zostanie w sercach tych co go bliżéj znali— a pamięć muzyka, w sercach wszystkich tych, co piosenki jego choćby słuchać, jeśli nie śpiewać umieli. Wszyscy też powinniby się przyłożyć do wzniesienia pomnika ś. p. Komorowskiemu. — Elsnera już gotowy pomnik, ale nie powiem żeby był udatnym, jak również i ministrowi Turkułłowi wzniesiony. Henryk Stattler jeden może umiałby godnie wywiązać się z zadania. Czytając te kilka wyrazów o Komorowskim, poświęćcie też jeszcze jedno westchnienie naszemu zasłużonemu Kurpińskiemu, który poprzedził Komorowskiego na drogę wieczności.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Drukarnie jak zazwyczaj przed Nowym Rokiem najwięcéj zatrudnione są kalendarzami, które kiedyś składać będą osobną gałęź piśmiennictwa jeżeli trafią na właściwą drogę temu rodzajowi publikacyi. Dotąd można powiedzieć, nietylko pomnożyła się ich liczba, gdyż zamiast jednego kalendarza, trzy teraz co roku pokazuje się w Krakowie, ale i w niektórych znać dążność wyraźną do zrobienia się prawdziwie użyteczną podręczną książką, przewodnikiem, w rozmaitych czynnościach codziennych. I tak: *Kalendarz Katolicki* Walerego Wielogłowskiego niebawem opuści prasę, a chociaż nieobejmuje zwykłych kategoryj wchodzących dziś w skład kalendarza, natomiast zawiera wyborne artykuły obyczajowe pisane z humorem, które prawdziwą przynoszą rozrywkę wiejskim czytelnikom. *Kalendarz Juliusza Wildta* więcéj rozszerzony na wzór niemieckich kalendarzy, zawiera nietylko wszystkiego rodzaju taryfy, tabele stęplowe, poczty, koleje żelazne, targi i jarmarki, genealogie panujących domów, ale i artykuły statystyczne, opisowe biograficzne ozdobione drzeworytami, niemniéj rady i sekreta gospodarskie. Z drzeworytów mogących nas interesować, jest widok Babiéj Góry, wizerunek księdza Staszyca, X. Samuela Stefanowicza ormiańskiego arcybiskupa lwowskiego, i Aleksadra Humboldta. *Kalendarz Krakowski* Czecha jako najdawniejszéj egzystencyi lubo niezmienia swoich ram, ma jednak pewną specyalność jemu właściwą; to jest: przepowiednie pogód i niepogód i wszelkich nadprzyrodzonych zjawisk w naturze.

— Nakładem Wildta wyszedł drugi zeszyt romansu Teodora Mügge, *Afraja* w polskim przekładzie — i stanowi ostatni zeszyt pierwszéj seryi *Czytelni domowéj* składającéj się z 12 zeszytów. — Następna serya zalecać się będzie równym doborem dzieł literatury zagranicznéj.

— Wydawnictwo katolickie ciągle czynne wydaje: *Dzieci i zwie-*

rzęta domowe, książeczkę z obrazkami i objaśniającym textem; w drugim wydaniu drukuje: *Listy w duchu Bożym* p. X. Karola Antoniewicza.

W drukarni Czasu, odbija się dziełko francuzkie bawiącéj w Krakowie pani Leprince de Beaufort pod tytułem: *Ce qu' une femme doit être; reflections sur l' education*, i toż samo w języku polskim.

Drukarnia Budweisera wydała: *Rozmyślania* Gorzkiéj Męki Jezusa Chrystusa oraz najważniejszych prawd zbawienia, rozłożone na każdy dzień tygodnia wyjęte z dzieł Wieleb. O. Ludwika z Grenady zakonu kaznodziejskiego, przełożył ks. M. Wieczorek Oryginał tego dzieła zapisany był w języku hiszpańskim, ten zaś przekład dokonany podług wiernego przekładu francuzkiego wydanego w Bruxelli r. 1851.

W tejże drukarni wyjdzie niebawem obszerne dzieło pod napisem: Historya Ruskiego kościoła — będzie to podobnoś tłumaczenie z włoskiego, zapewne popomnożone własnemi uwagami i sprostowaniami tłumacza.

— W drukarni Czasu, zacznie się odbijać text do pięknego Albumu Szczawnicy czyli widoków wyobrażających wybrzeża Górnego Dunajca. Widoków będzie 24, Dotąd 12 wylitografowanych jest w Wiedniu, drugie dwanaście ma się litografować w litografii Czasu tak urządzonéj, że śmiało może z zagranicznemi konkurować. — W tejże litografii pracują obecnie nad kalendarzem illustrowanym, który ułożony będzie z monumentów i przedmiotów mających związek z miejscowością, a przytem nosić ma charakter katolickiego kalendarza podając wizerunki świętych żyjących niegdyś w tym starożytnym grodzie.

Biblioteka polska wydawana ostatniemi czasy w Przemyślu przez p. Turowskiego, ma się przenieść do Krakowa, gdzie znajdzie ułatwione środki prowadzenia bez przerwy tego pożytecznego przedsiębiorstwa.

— W drukarni Czecha wyszło dziełko: *Włościanie z okolic Krakowa*, w zarysie skreślił Józef Mączyński. Do tego dołączone są ryciny Michała Stachowicza wyobrażające ubiory krakowskiego ludu i górali. — Autor pozbierał wiele nowych szczegółów a dawne uporządkował i dał zupełniejszy etnograficzny opis Krakowiaków, Ogrodników, Skawiniaków, Kijaków, Proszowiaków, Skalmierzaków i Górali.

— „Krynica w Karpatach galicyjskich położona — opisana pod względem historycznym, topograficznym, klimatycznym, botanicznym geologicznym i lekarskim przez Prof. Dra. Dietla — z autografu niemieckiego tłómaczył Michał Zieleniewski Dr. Medycyny Chirurgii i Akuszeryi Lekarz rządowy przy zdrojach w Krynicy — nakładem c. k. krajowéj Dyrekcyi skarbu. W Krakowie, w drukarni c. k. Uniwersytetu — 1857.“

— „Obrazki wód podgórskich mianowicie *Krynicy*, *Bardyjowa*, *Rzegiestowa i Zulina* skreślił Pr. Dr. F. K. Skobel — Kraków — czcionkami Czasu r. 1857.“

Jestto osobne odbicie z mającego wyjść rocznika Towarzystwa naukowego krakowskiego.

— Ks. Pękalski Dr. ś. Teologii napisał *Żywot ś. Wojciecha* biskupa pragskiego i męczennika z uwagami nad podaniem Czechów jakoby jego święte zwłoki w Pradze były zachowane.— Celem téj historycznéj pracy, niebawem mającéj wyjść na widok publiczny— jest udowodnienie historycznemi świadectwami poparte, że ciało ś. Wojciecha nie w Pradze, lecz

w Gnieźnie spoczywa.— Ciekawa ta pod każdym względem praca przyłoży się zapewne do rozstrzygnięcia, po któréj stronie, jest prawda.

„Hymn do ś. Jacka Odrowąża z okoliczności zupełnego odpustu w r. p. 1857 nadanego na sześćsetną rocznicę zejścia wielkiego Wyznawcy na 3 głosy i organ ułożył Alojzy Bieńkowski (organista polski przy kościele ś. Ruperta w Wiedniu) w Krakowie r. 1857 drukiem nutowym Karola Budweisera i Spółki“ (słowa Wincentego Pola).

Lwów. Słownika Lindego tom trzeci niebawem opuści prasę. — Jabłoński księgarz wydaje zeszytami: *Życie Stanisława Jabłonowskiego* Hetm. W. Kor. jest to polski przekład z francuzkiego dzieła pana de Jonsac. Wiadomo że dzieło to wyszło już było po polsku w 1789, lecz nie kompletne; albowiem cała 11ta księga, wraz z dokumentami ogłoszoną nie była.— Opowiadanie zbyt rozwlekłe bezbarwne a często nieścisłe zasługiwało na przerobienie odpowiedniejsze dzisiejszemu sposobowi pisania historyi.

Poznań. Żupański ogłosić ma niebawem nową powieść L. Orpiszewskiego pod tytułem: *Półkownik.* U tegoż wyszło już bezimiennie napisane dzieło: *Powieść z moich czasów* czyli Przygody Litwina. Nie jest to tyle powieść ile pamiętniki zawierające opisy zdarzeń na Litwie w początkach bieżącego stólecia.

Warszawa. Październikowy zeszyt Biblioteki Warszawskiéj zawiera następujące artykuły:

Nagrobek Bolesława Chrobrego. Wyjątek z dzieła do druku przygotowanego: Opis historyczny kościołów, klasztorów. szkół parafialnych, szpitali i innych zakładów dobroczynnych w dawnéj dyecezyi poznańskiéj przez J. Łukaszewicza.

Wycieczka na Podlasie przez J. Grajnerta.

Pogląd na piśmiennictwo europejskie przez Dominika Szulca Makbeti Tragedya w pięciu aktach; przekład z Szekzpira przez J. Paszkowskiego.

Kronika paryzka literacko naukowa i artystyczna. Szesnasty tom konsulatu i cesarstwa.— Biografia Eugeniusza Sue. — Salon Diderota. Wiadomości literackie.

Kilka uwag historyczno-statystycznych o gubernii augustowskiéj skreślił B. Tykiel.

O poezyi włoskiéj w średnich wiekach jako źródle do Boskiéj komedyi Danta przekład z A. Fryderyka Ozanama.

Poezya. Sprawa graniczna. Powiastka przez Ludwika Niemojewskiego 24. — Urywek z powieści pod tytułem: Tomito przez Wincentego Korotyńskiego.

Kronika Literacka. Makbet: Tragedya z Szekspira przełożył wierszem A. E. Koźmian. Poznań. 1857. przez Bolesława Wiktora.— Piotr Skarga i jego wiek przez M. J. A. Rychcickiego Kraków. 1850. Przez J. Ł Przegląd muzykalny. Studya nad muzyką dramatyczną czyli operą. Przez M. K. Czas Dodatek miesięczny, czerwiec przez K. Wł. W.

Rozmaitości. Początek ikonografii naszéj. W spisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z blach miedzianych które przedstawiają królów polskich i znakomitych mężów; tudzież śś. Patronów naszych i błog. Polaków.— Dodane sę prace rytowników i inne tu należące przedmioty przez Ambrozego Grabowskiego. —

Nowości przytoczone następnie podajemy w wyciągu zrobionym z kroniki tegoż pisma:

Druk „Historyi prawodawstw słowiańskich“, w drugiem przerobionem wydaniu posuwa się coraz. Tom II przed końcem r. b, wyjdzie zpod prasy. Równocześnie odbija się i Tom VI obejmujący źródła do tego ważnego dzieła.

= Sędziwy wiekiem, a dobrze zasłużony w zawodzie nauczycielskim, gorliwy obrońca i stróż czystości ojczystego języka i pisowni polskiéj Teodozy Sierociński, nad którego pierwszą rozprawą w ćwiczeniach naukowych unosił się ś. p. Stanisław Kostka Potocki, ogłosił prospekt na: Pisma celniejsze uczniów i uczennic, które zamierza, wraz z własnemi, zeszytami wydawać. Nie wątpimy, że liczni jego uczniowie wesprą to przedsiewzięcie sędziwego profesora. Z listy celujących niegdyś uczniów i uczennic T. Sierocińskiego, nie mało zyskało rozgłos w kraju, jak np. Józef Wyszyński (dziś kanonik kat. war.) Sobieszczański, Bentkowski Alfred, Chojecki Edmund, Kolberg Oskar, Śmigielska Józefa.

— Księgarnia S. H. Merzbacha rozpoczyna druk dzieł Adama Mickiewieza. Honoraryum jakie złożył 36,000 franków, idzie na korzyść dzieci naszego wieszcza. Wydanie to ozdobne, ma się składać z 10,000 egzemplarzy i obejmuje ośm tomów. Trafne popiersie zmarłego poety będzie dołączone. W tym roku ujrzymy zapewne pierwsze dwa tomy.

— Galeryi nieświeżkiéj portretów Radziwiłłowskich, opisanéj historycznie przez Edwarda Kotłubaja, z drzeworytami Michała Starkmana, wyszedł zeszyt drugi, i obejmuje życiorysy Radziwiłłów: 1) Mikołaja VII ur. 1546 r. 2) Jerzego IV ur. 1578 r. 3) Krzysztofa I Mikołaja z przydomkiem *piorun*, ur. 1547 r. 4) Krzysztofa II ur. 1585 r. 5) Janusza XI ur. 1612 r. 6) Janusza VI ur. 1579 r. W drzeworytach załączonych M. Starkmana widać wielki postęp: w wizerunkach zeszytu tego w śmiałych rysach odbijają wydatnie charaktery postaci Radziwiłłowskich. Przypominamy, że całe dzieło składać się będzie z jednego tomu a sześciu zeszytów wielkiego w 8ce. formatu, drukiem drobnym a ścisłym.

— J, Korzeniowskiego druk powieści pod napisem „Wyprawa po żonę“ w drukarni Gazety Codziennéj już ukończono nakładem B. W. Wolffa. Pisarz ten ukończył pówieść „Szczęście za górami“, która w odcinku Gazety Warszawskiéj ma się drukować. Pierwsze tomy z wydania zupełnego J. Korzeniowskiego tak dramatów jak powieści, które swym nakładem J. Zawadzki podejmuje, mają się jeszcze w r. b. pokazać w handlu księgarskim.

— Rozrywek dla młodocianego wieku pod redakcyI Seweryny z Żuchowskich Pruszakowéj, seryi drugiéj wyszła część 1sza (tomu 1go) z pod prasy, i obejmuje. Z poezyi: Modlitwę; Sieję proso na zagonie, p. S. P.; Grajek, M. Ilnickiéj. Z prozy: Wielkanoc w Krakowie 1431 r.; Franciszek Karpiński, obrazek z przeszłości. Wycieczka do krainy Cyda, przekład z Ozanama. Literatura polska: Czasy Piastowskie. List z Warszawy. Co dźwigasz to i możesz, gawęda z Krakowa. Do redaktorki rozrywek list J. Paszkowskiego pułk. Pismo to wyjdzie w pięciu tomach, a 15 zeszytach.

— Życzenia nasze powoli spełnionemi widzimy, gdyż w miejsce lichych zagranicznych powieści, mamy przekłady dzieł ważnych lub policzonych do arcydzieł li-

teratur obcych. Przekłady Kantu, Oznama, Eihorna i świeżo ogłoszony prospekt na tłumaczenie z francuzkiego: „Historyi zdobycia Anglii przez Normąndów“ Augustyna Thierrégo, wymownym są dowodem tego. Nietylko w zakresie dziejowym przedsięwzięto przekłaoy, ale zbogaca się dramat i poemata; dość napomknąć o tłumaczeniach najświeższych Szekspira i Dantego. Zapisujemy to jako fakt ważny w piśmiennictwie naszém, a obok tego musimy zwrócić uwagę naszych czytelników na niesłychanie nizką cenę tego przekładu. Cztery bowiem tomy kosztują tylko 20 złp.

— Księgarz K. Bernstein ogłosił prospekt na Bibliotekę popularną nnuk przyrodzonych, podług niemieckiego oryginału A. Bernsteina, „Ważność niemal na każdym kroku codziennego życia piękność i wzniosłość w tłumaczeniu praw i zjawisk natury (słowa prospektu) uczyniły nauki przyrodzone niezbędnemi dla każdego ukształconego człowieka, i pomieściły je w rzędzie umiejętności wchodzących w skład wychowania młodzieży, a zarazem skłoniły naturalistów do przedstawienia ich w takiej formie, aby od ogółu bez trudności mogły być pojęte. Ztąd powstały dzieła elementarne, wykłady popularne, dostępne dla wszystkich chcących się z niewielką pracą obeznać z jakąkolwiek umiejętnością. W naszym języku posiadamy kilka dzieł napisanych celem spopularyzowania nauk przyrodzonych, lecz jedne z nich nie osiągnęły zamierzonego zadania, drugie traktując pojedyncze nauki, nie obejmują całości, tak, iż rzeczywiście popularnego i całość nauk przyrodzonych zawierającego dziełka, wielka uczuwać się daje potrzeba.“

Ten brak ma wypełnić właśnie „Biblioteka popularna nauk przyrodzonych.“ Dwanaście tomików ma składać całość; tomik pierwszy wyszedł z druku i obejmuje: Niektore zjawiska przyrody“.

— Królowie polscy, wizerunki zebrane i rysowane przez Aleksandra Lessera, objaśnione textem historycznym przez Juliana Bartoszewicza, zeszyt 1szy wyszedł i obejmuje wizerunki Zygmunta Augusta i Henryka Walezyusza, wraz z textem po polsku i po francusku. Wydanie to liczymy do jednéj z ważniejszych publikacyj naszych. Wizerunki królów polskich mają oprócz strony artystycznéj, stronę prawdy jak najściśléj historycznéj; a text skreślony piórem naszego badacza, który już potrafił zdobyć sobie imię zasłużone, podnosi o wiele téj publikacyi wartość. Format duży arkuszowy, druk ścisły obejmuje samego tekstu dwa i pół arkusze. Text francuski jest dokładnem tłumaczeniem oryginału polskiego. Zeszytów czternaście obejmuje całość. Cena bardzo umiarkowana, bo zeszyt jeden kosztuje złp. 10, i wartość saméj publikacyi dają rękojmią świetnego jéj powodzenia.

— Szkice i obrazki wydawane nakładem J. Ungra, serya pierwsza z XII zeszytów, ukończone zostaną przed Nowym Rokiem. Tekst do téj publikacyi, która ma objaśnić czytelników tak z życiem wewnętrznem Warszawy, jako téż i wydatniejszemi postaciami, podjęło kilku znanych pisarzy.

— Album kaliskiego, ułożonego i opasanego przez Edwarda Staweckiego, z rysunków S. Barcikowskiego, w litografii M. Fajansa odbite, wyszedł zeszyt pierwszy i obejmuje ryciny: 1) Kalisz w XII wieku. 2) Kollegiatę ś. Maryi. 3) Rząd Gubernialny.

4) Pomnik grobowy arcybiskupa S. Karnkowskiego. Text obszerny, wsparty na dokumentach nie znanych z archiwów kaliskiego i sieradzkiego wydobytych. dodaje wartości. Wydawca we wstępie mówi: „Rzecz godna zadziwienia, że gdy u nas w najmniejszych wioskach, mogiłka jaka, wzgórze, czy to inne jakie miejsce, do którego przywiązana najmniejsza legenda, każde prawie dziecię wskaże i opowie, w Kaliszu miejsca grobu Mieczysława Starego nikt ani wskazać, ani też żadne akta naprowadzić nie zdołają. Z zamku Zbigniewa zbudowanego r. 1108 dziś ani szczątkow nie zostało; z muru którym Kazimierz Wielki miasto Kalisz opasał, dziś dwa tylko małe odłamki stoją: jedném słowem starożytne miasto, a postać jego nosi cechę świeżości nowych miast naszych. Dla tych powodów Album kaliskie, na pozór łatwe do ułożenia, nastręcza wiele bardzo trudności w wyborze.“

Wsparł swoją pomocą wydawcę Józef Szaniawski archiwista akt dawnych kaliskich i sieradzkich: współudział tego uczonego badacza, niemało podeprze text Album kaliskiego. Całość ma składać 10 zeszytów; dwa poświęcone są Album sieradzkiemu.

— Wyszedł z pod prasy drukarskiéj zeszyt drugi „Wieńca“ pisma zbiorowego, ofiarowanego Stanisławowi Jachowiczowi przez pierwszych kraju autorów, oraz licznych innych jego przyjaciół i wielbicieli. Czytamy tu utwory poetyczne oprócz wielu innych: Aleks. hr. Fredry, T. Nowosielskiego, J. I. Kraszewskiego, Fr. S. Dmochowskiego, Deotymy, Pauliny Kraków, A. E. Odyńca, Wacława Szymanowskiego, S. z Żochowskich Pruszakowéj, Józefy Prusieckiéj; z prozy: prześliczny utwór Narcyssy Gabrielli Żmichowskiéj p. n. „Adeodat“ W. A. Maciejowskiego: „Ogólny pogląd na główną przyczynę upadku miast w dawnéj Polsce“, K. B.: „Godzina rozmyślania w święta Wielkanocne“, Karoliny z hr. Potockich Nakwaskiéj ustęp z dzieła „Dwór wiejski“, J. K. Gregorowicza, Srebrna sala pod trzema murzynami w Warszawie, i Juliana Bartoszewicza ustęp historyczny p. n: „Pan Bystry“. Sześć zeszytów będzie stanowić całość wielkiego tomu, bo przeszło 1000 stronnic obejmującego. Dzieło to zostanie pomnikiem na chlubę naszych czasów, jak umiano uczcić zasługi męża.

— Opisu Cmentarza Powązkowskiego pod Warszawą K. Wł. Wójcickiego, wyszedł zeszyt XI i obejmuje wspomnienia i życiorysy: 1) F. Potockiego pułk. 2) Józefa Mrozińskiego generała w. p. 3) M. Moroza. 4) F. S. Armińskiego, dyr. obserwat. astronomicznego w Warszawie. 5) J. Plichty. 6) Lud. z Milewskich Czerkieskiéj. 7) D. Lisieckiego. 8) X. M. Wierzbowskiego. 9) M. Szczepańskiego. 10) X. Ant. Kotowskiego. 11) J. B. Millego. 12) Prowidencyi z Fontannych Czempińskiéj. 13) Piusa Kicińskiego. 14) St. Trębickiego, generała. 15) X. W. Skrzetuskiego. 16) M. księcia Ogińskiego. 17). A. M. Kitajewskiego, prof. b. uniwer. war. 18) Antoniego Łabęckiego. 19) X. Gwalberta Bystrzyckiego. 20) Hugona Kołłątaja. Do tego zeszytu dołączonych jest sześć rycin przedstawiających pomniki grobowe: Józefa Bielawskiego, Aleks. Grajbnera, P. E. Leśniowskiego, Antoniego Żyzkiewicza, Antoniego Wejnerta i Feliksa Bentkowskiego.

— Przyczynek do historyi akuszeryi w Polsce — napisał Dr. Michał Zieleniewski — Warszawa 1857 (osobne odbicie z pa-

mietników towarzystwa lekarskiego warszawskiego)".

Jestto wyjątek z ważnego dzieła Historyi szpitali krakowskich i nauki położnictwa w Polsce. W wyimku tym przywiedziona jest ciekawa wiadomość o *dziele położniczem polskiem z połowy 15 wieku*. Całe dzieło obejmuje różne dodatki do Historyi literatury, oświecenia i obyczajów domowolekarskich w Polsce.

Wilno. Teka wileńska wydawana przez Jana ze Śliwina, składać się będzie z sześciu numerów, z których każdy dzieli się na cztery oddziały: 1) Literatury pięknéj 2) Filozofii, nauk ścisłych, gospodarstwa krajowego itd. 3) Historyi, statystyki, archeologii, archeografii itd. i 4) przeglądów literatur słowiańskich życiorysów i innych pomniejszych artykułów. Po wyjściu 6 numerów oddziały te mogą być z sobą połączone i sformują 4 osobne tomy; nadto zaś, obszerniejsze artykuły jak np. Wiadomości historyczne o klasztorach, Historya biskupów wileńskich i inne drukowane w ciągu 6 numerów, stanowić będą osobną całość; dlatego, jak każdy oddział tak też i obszerniejsze artykuły mieć będą osobną numeracyą stronnic, a do 6 nr. dodane będą stosowne karty tytułowe i treść rzeczy.

Teka wileńska zawierać będzie artykuły: Balińskiego Michała, Bartoszewicza Juliana, Chodźki Ignacego, Chodźki Dominika, Fryczyńskiego Michała, Godlewskiego ks. Lucyana, Krasińskiego ks Stanisława, Kraszewskiego Józefa-Ignacego, Łepkowskiego Józefa, Malinowskiego Mikołaja, Narbutta Teodora, Odyńca Antoniego-Edwarda, Pługa Adama, Proniewskiéj Karoliny, Przyjałgowskiego ks. Rittersberga Ludwika, Syrokomli Władysława, Tomaszewicza Waleryana, Trentowskiego Bronisława-Ferdynanda, Tyszkiewicza hr. Eustachego, Tyszkiewicza hr. Konstantego, Tyszyńskiego Aleksandra, Ważyńskiego ks. Alexandra, Wójcickiego Kazimierza-Władysława Zaleskiego Bronisława, Zappa Karola Władysława, Zienkiewicza Romualda i wielu innych.

Tak zapowiedzianego pisma wyszedł numer pierwszy drukiem T. Glücksberga w wielkiéj 8ce, str. 276 i obejmuje, z poezyi: 1) Franciszek z Assyżu, kantata Wł. Syrokomli. 2) Trzy promienie ducha, Karoliny Proniewskiéj. Z prozy: 3) Piastunka. Relikwie z poczciwéj przeszłości Adama Pługa. 4) Dydaktyka B. F. Trentowskiego (urywki). 5) Kwestye żywotne, przez Pirogowa, przekład z rosyjskiego K. Szlagiera. 6) Mińsk, Wł. Syrokomli. 7) O ziemniakach podług dawnych praw litewskich, Mikołaja Malinowskiego. 8) Krótki zarys historyi literatury czeskiéj Ludwika Rittersberga z Pragi Czeskiéj. 9) List profesora Z. z Pragi Czeskiéj.

Wrocław. P. Walenty Masłowski doktor filozofii urodzony w Krzewinie w W. Ks. Poznańskiém r. 1828) wydał w Wrocławiu ważną rozprawę inauguracyjną w języku łacińskim: O życiu i poezyach Klemensa Janickiego (*De vita et poesi Clementis Janicii; dissertatio inauguralis. Vratislaviae, typis Rob. Nischkowsky 1857. 8vo str. VIII. 63. 1.*). Janicki urodzony r. 1516 we wsi Januszkach koło Znina w Wielkiéj Polsce, protegowany od Andrzeja Krzyckiego arcybiskupa gnieźnieńskiego i kosztem Piotra Kmity wojewody krak. do Padwy na nauki wysłany, poezyami swemi łacińskiemi zwrócił na siebie uwagę uczonych włoskich, a mianowicie kardynała Piotra Bembo,

który go papieżowi Klemensowi VII zalecił, że go tenże aczkolwiek dwudziesto-letniego młodzieńca, wieńcem poety zaszczycić raczył. Słabe i nadwerężone zdrowie, sprowadziło Janickiego napowrót do kraju, gdzie pomimo zabiegów lekarskich, na dworze Kmity r. 1543 zawcześnie żywot swój zakończył. W rosprawie powyższéj, zebrał pan Masłowski troskliwie wszelkie szczegóły dotyczące życia Janickiego i takowe zostawił, dołączywszy oraz krytyczny rozbiór pod względem estetycznym i grammatycznym poezyj Janickiego, które mu niepospolitą sławę u cudzoziemców, a nawet przydomek drugiego Tybulla zjednały. Prócz tego podał autor wiadomość o dwóch przez siebie odszukanych dziełkach Janickiego, których nie ma w zbiorze wszystkich poezyj Janickiego roku 1755 w Lipsku przez Jana Ehrenfrieda Boehma ogłoszonym, to jest o poemacie satyrycznym: *Quaerela reipublicae polonae* 1538 dochowanym w jednym egzemplarzu w bibliotece Ossolińskich i o epigrammatach znajdujących się w księgozbiorze kórnickim. Ważna ta i do bibliografii polskiéj wielce przydatna praca p. Masłowskiego, powinnaby i innych rodaków kończących nauki w uniwersytetach obcych zachęcić do obierania rodzinnych przedmiotów za wątek swych rozpraw inauguracyjnych.

— Znany wydawca statututów dyecezalnych wrocławskich Ks. Mortimer Jan Montbach sekretarz arcybiskupa wrocławskiego wydał właśnie w Wrocławiu w języku niemieckim Szematyzm dyecezyi wrocławskiéj na r. 1857. Książka ta z powodu wielostronnéj użyteczności swéj z wszech miar zasługuje na uwagę: albowiem prócz dokładnych dąt statystycznych i etnograficznych zawiera chronologiczny spis wszystkich biskupów i sufraganów wrocławskich, opisanie pojedynczych kościołów z wymienieniem roku założenia i stylu w jakim są zbudowane, prócz tego z wyszczególnieniem wszelkich starożytności jako to obrazów, rzeźb, pomników napisów, chrzcielnic, dzwonów, naczyń i paramentów kościelnych, rękopisów, książek it.p. ciekawości, które się w nich znajdują. Życzyćby należało, aby i konsystorze polskie wziąwszy sobie za wzór pracę Ks. Montbacha obok imion osób i nazw wsi podawały podobne notaty starożytnicze, a wtedy powzięlibyśmy wiadomość o niejednym ważnym pomniku artystycznym i historycznym spoczywającym dotąd w zapomnieniu; prócz tego skorowidz taki stanowiłby bogaty zasób do dokładnego opisu kraju na jakim nam dotychczas zbywa i posłużyłby za wskazówkę badaczom. Z szematyzmu Ks. Montbacha dowiadujemy się iż dyecezya wrocławska podzielona na 90 dekanatów liczy 1,255 kościołów parafialnych i filialnych oraz 1,546,812 ludności katolickiéj pomiędzy którą około 700,000 dotąd (nielicząc już protestantów) językiem polskim mówi.

Rzym. Wydano tam drukiem Propagandy Katechizm polski p.t. *Dar Boży* czyli nauka chrześciańska dla prostaczków. Rzecz to dobra i użyteczna, rozłożona przyzwoicie, napisana z wielką prostotą obok pewnéj żywości kolorytu. Niema w polskim języku katechizmu równie przydatnego dla dzieci i dla ludzi prostych.

— Ks. Józef Boero Jezuita, ogłosił w Rzymie w drukarni pisma *Civilta Cattolica* łacińskie tłómaczenie żywota św. Stanisł. Kostki, Daniela Bartoli, p. Ojca

Józefa Jawencyusza dokonane p.t. *De vita et miraculis S. Stanislai Kostka Soc. Jesu* libri duo ex italico Danielis Bartoli S. J. in latinum conversi a Josepho Iuvencio ejusdem societatis sacerdote. W przedmowie O. Boero umieścił wiadomość o tłumaczu, który pochodził z Paryża, żył między latami 1643 do 1721 umarł w Rzymie i zostawił historyę zakonu Jezuitów p.t. Epitome totius historiae societatis ab Anno 1560 ad Annum 1615.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied.— Antoni Czapliński Rząd. Druk.